

PATRICIA BRIGGS

seria alfa & omega

WILCZY TROP



fabryka słów®

Spis treści

Karta tytułowa

SERIA ALFA & OMEGA

Część 1

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Część 2

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Karta redakcyjna

Okładka

PATRICIA BRIGGS

seria alfa & omega
WILCZY TROP

PRZEŁOŻYŁA
DOMINIKA SCHIMSCHEINER

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

SERIA ALFA & OMEGA

1. Wilczy trop
2. Hunting ground
3. Fair Game
4. Dead Heat
5. Burn Bright
6. Wild Sign



CZEŚĆ 1



1

Zimny wiatr przenikał do szpiku kości, od mrozu zdrętwiały jej palce u stóp. Kiedyś złamie się w końcu i kupi porządne buty – o ile nauczy się obywać bez jedzenia.

Anna zaśmiała się do siebie, chowając nos w kołnierz kurtki. Jeszcze tylko niecały kilometr do domu. To prawda, że jako wilkołak była silniejsza i bardziej wytrzymała, także w ludzkiej formie, ale dwunastogodzinna zmiana nawet jej dała się we znaki. A można by sądzić, że w Święto Dziękczynienia ludzie mają lepsze rzeczy do roboty niż przesiadywanie we włoskiej knajpie.

Tim, właściciel restauracji Scorci (wbrew pozorom Irlandczyk, choć to właśnie on robił najlepsze gnocchi w całym Chicago), pozwolił jej wziąć dodatkowe zmiany pod warunkiem, że nie przekroczy pięćdziesięciu godzin tygodniowo. Największym bonusem tej pracy był darmowy posiłek podczas każdej zmiany. Mimo to obawiała się, że będzie musiała wziąć drugi etat, żeby pokryć wydatki. Życie wilkołaka, jak się

okazało, problematyczne samo w sobie, wymagało także dużych nakładów finansowych.

Przekręciła klucz w bramie, wchodząc do holu. Nie znalazła w skrzynce niczego na swoje nazwisko, zabrała więc gazetę i korespondencję Kary, po czym wspięła się na trzecie piętro. Kiedy weszła do mieszkania, Myszołów – syjam Kary – spojrzał na nią, prychnął z obrzydzeniem i czmychnął za kanapę.

Od pół roku karmiła kota podczas nieobecności sąsiadki, która z racji pracy w biurze turystycznym bardzo często wyjeżdżała, a Myszołów nadal jej nie znosił. Siedząc w kryjówce za kanapą, obrzucił ją stekiem przekleństw, tak jak tylko syjamy to potrafią.

Westchnąwszy, odłożyła pocztę oraz gazetę na niewielki stolik w jadalni, otworzyła puszkę z kocim jedzeniem i postawiła obok miski z wodą. Usiadła przy stole i przymknęła powieki. Wolałaby iść już do swojego mieszkania piętro wyżej, ale musiała dopilnować, żeby kot zjadł. Gdyby go tak zostawiła, rankiem zastałaby nietkniętą puszkę. Myszołów mógł jej nienawidzić, ale jadł tylko przy kimś, nawet jeśli tym kimś był wilkołak, któremu za grosz nie ufał.

Zwykle włączała telewizor i oglądała to, co aktualnie leciało, ale dzisiaj była zbyt zmęczona, by sięgnąć po pilota. Dla zabicia czasu postanowiła przejrzeć wiadomości, tym bardziej że od dwóch miesięcy nie miała w ręku gazety.

Bez większego zainteresowania przesunęła wzrokiem po nagłówkach na pierwszej stronie. Nie przestając psioczyć, Myszołów wychynął zza kanapy i ruszył niechętnie do kuchni.

Przewróciła stronę, pozwalając kotu nabrać pewności, że naprawdę czyta gazetę. Na widok zdjęcia młodego człowieka Annie aż zaparło dech w piersiach. Portretowa fotografia musiała pochodzić ze szkolnego albumu. Obok znajdowała się podobna, przedstawiająca dziewczynę w tym samym wieku.

Ponad zdjęciami widniał tytuł: „Na miejscu zbrodni znaleziono krew należącą do zaginionego nastolatka z Naperville”.

Z wypiekami na twarzy przeczytała wprowadzenie umieszczone dla tych, którzy, podobnie jak ona, nie śledzili wcześniejszych artykułów.

Dwa miesiące wcześniej zgłoszono zaginięcie Alana MacKenziego Fraziera, który zniknął podczas szkolnej potańcówki tej samej nocy, kiedy na terenie szkoły znaleziono zwłoki jego dziewczyny. Nie dało się określić dokładnej przyczyny śmierci uczennicy, ponieważ jej ciało rozszarpały zwierzęta. Od kilku tygodni w tamtej okolicy grasowały bezpańskie psy. Przedstawiciele władz nie ustalili, czy zaginiony chłopak jest podejrzanym w tej sprawie. Wyniki identyfikacji krwi przemawiały na korzyść hipotezy, że występuje raczej w roli kolejnej ofiary.

Anna powiodła drżącymi palcami po zdjęciu Alana Fraziera. Wiedziała, że coś jest nie tak. Wiedziała.

Poderwała się z krzesła i ignorując oburzone prychnięcie Myszołowa, puściła strumień zimnej wody na nadgarstki, żeby powstrzymać ogarniające ją uczucie mdłości. Biedny chłopak.

Wyczyszczenie puszki zajęło kotu całą godzinę. W tym czasie Anna zdążyła nauczyć się artykułu na pamięć, a także podjąć decyzję. W zasadzie od początku wiedziała, co musi zrobić, jednakże potrzebowała godziny, aby zebrać się na odwagę i przejść do działania. Jeśli nauczyła się czegoś w ciągu tych trzech lat, od kiedy była wilkołakiem, to tego, że lepiej unikać wzbudzania zainteresowania dominujących wilków swoją osobą. A bezpośredni telefon z pewnością przykuje uwagę Marroka, przywódcy wszystkich wilków w Ameryce Północnej.

Nie miała telefonu, skorzystała więc z tego u Kary. Czekwała jeszcze chwilę w nadziei, że ręce przestaną jej się trząść, a oddech uspokoi, lecz kiedy ani jedno, ani drugie nie nastąpiło, wybrała numer zapisany na pomiętej kartce.

Po trzech sygnałach zdała sobie sprawę, że godzina trzynasta w Chicago niekoniecznie oznacza tę samą w Montanie, dokąd, sądząc po kierunkowym, dzwoniła. Dwie czy trzy godziny różnicy? Do przodu czy wstecz? Pospiesznie odłożyła słuchawkę.

Zresztą co miałyby powiedzieć? Że widziała chłopaka, niewątpliwie ofiarę wilkołaka, kilka tygodni po tym, jak zaginął, i to w klatce w domu swojego Alfya? Że podejrzewa przywódcę stada o zlecenie napadu?

Wystarczyło, żeby Leo wyjaśnił Marrokowi, że nie wiedział nic o ataku, a chłopak przyszedł do niego później. A może właśnie tak było? Może interpretowała to źle ze względu na własne przeżycia?

Nie wiedziała nawet, czy Marrok miałby cokolwiek przeciwko temu najgorszemu scenariuszowi. Może wilkołaki mogły atakować kogo chciały bez żadnych konsekwencji? To właśnie przytrafiło się Annie.

Odwróciła się od telefonu, a jej wzrok padł na zdjęcie chłopaka. Wpatrywała się długo w jego twarz, a potem ponownie wybrała numer. Marrok na pewno nie będzie zachwycony, jeśli nie czym innym, to przynajmniej szumem, jaki zrobił się wokół tej sprawy. Tym razem ktoś odebrał już po pierwszym sygnale.

– Bran przy telefonie.

Nie brzmiał groźnie.

– Nazywam się Anna – rzekła, przeklinając się w duchu za niemożność opanowania drżenia w głosie. Z gorzką tęsknotą pomyślała o czasach, kiedy nie bała się własnego cienia. Kto by pomyślał, że przemiana w wilkołaka obróci ją w tchórza... Teraz jednak wiedziała, że potwory istnieją naprawdę.

Była zła, że nie potrafi wydusić z siebie słowa. Jeśli Leo dowie się o tym telefonie, równie dobrze może oszczędzić wszystkim

zachodu i od razu strzelić sobie w łeb srebrną kulą, którą kupiła kilka miesięcy temu.

– Dzwonisz z Chicago, Anno? – Zaskoczył ją śmiertelnie, ale szybko zdała sobie sprawę, że pewnie ma w telefonie identyfikację numerów. Nie robił wrażenia rozzłoszczonego, że mu przeszkadza, a do tej pory tylko takie Alfy miała okazję poznać. Może był asystentem albo innym pomocnikiem? Tak, na pewno. W końcu prywatny numer Marroka nie mógł być tak ogólnie dostępny.

Nadzieja, że to nie z samym Marrokiem rozmawia, dodała Annie odwagi. Nawet Leo bał się głównego Alfy. Pominęła odpowiedź na zadane pytanie, skoro była ona oczywista.

– Mam sprawę do Marroka, ale może ty potrafisz mi pomóc.

Zapadła chwila ciszy, a następnie usłyszała odrobinę smutny głos Brana:

– Ja jestem Marrokiem, dziecko.

Wpadła w panikę, ale zanim zdążyła przeprosić i zakończyć połączenie, odezwał się uspokajająco:

– Nie bój się, Anno. Nic się nie stało. Powiedz, z czym dzwonisz.

Nabrała powietrza świadoma, że to ostatni moment na zmianę decyzji, zignorowanie całej sprawy dla własnego bezpieczeństwa.

Jednak opowiedziała mu o wszystkim. O artykule i o tym, że widziała chłopaka u swojego Alfy, w klatce, gdzie trzymano nowe wilki.

– Rozumiem – mruknął wilk na drugim końcu linii.

– Nie wiedziałam, że coś jest nie tak, dopóki nie przeczytałam o tym w gazecie – tłumaczyła.

– Czy Leo wie, że widziałaś chłopaka?

– Tak. – Władzę na terenie Chicago podzieliły między siebie dwa dominujące wilki. Nie zastanawiała się długo, skąd Bran wie, o którego chodzi.

– Jak na to zareagował?

Anna z trudem przełknęła ślinę, usiłując odpędzić od siebie wspomnienia o tym, co działo się później. Kiedy towarzyszka Alfy zainterweniowała, Leo już w zasadzie przestał oddawać Annę innym wilkom wedle swojego widzimisie, ale tego wieczoru uznał, że czyn Justina zasługuje na nagrodę. Chyba nie musiała objaśniać Marrokowi wszystkiego ze szczegółami?

Oszczędził jej upokorzenia, precyzując pytanie.

– Był zły, że widziałaś chłopaka?

– Nie. Był... zadowolony z tego, kto mu go dostarczył. – Twarz Justina była umazana krwią, nadal cuchnął podnieceniem łowami.

Leo wyglądał na tak samo zadowolonego, kiedy Justin przyprowadził Annę. To Justin się wściekł, nie przypuszczał, że okaże się uległą wilczycą. Uległość oznaczała umiejscowienie Anny na samym dole hierarchii stada. Justin szybko doszedł do wniosku, że popełnił błąd, przemieniając ją. Ona od początku nie miała co do tego wątpliwości.

– Rozumiem.

Miała wrażenie, że naprawdę rozumie.

– Gdzie teraz jesteś, Anno?

– W mieszkaniu przyjaciółki.

– Wilkołaczycy?

– Nie. – Nagle zdała sobie sprawę, że Marrok może podejrzewać ją o wyjawienie obcemu, kim naprawdę jest. To było surowo zakazane. Pospieszyła z wyjaśnieniem: – Nie mam telefonu. Moja sąsiadka wyjechała, a ja karmię jej kota. Skorzystałam z jej telefonu.

– W porządku. Staraj się na razie trzymać z daleka od Leo i swojego stada. Jeśli ktoś się dowie, że do mnie dzwoniłaś, możesz mieć kłopoty.

Oględnie powiedziane.

– Dobrze.

– Tak się składa – ciągnął Marrok – że ostatnio doszły mnie słuchy o pewnych problemach w Chicago.

Ogłuszona świadomością, że niepotrzebnie się narażała, przestała na chwilę rejestrować, co mówi.

– ...w normalnych okolicznościach skontaktowałbym się z najbliższym stadem, ale trudno uwierzyć, że drugi Alfa nie wie o morderstwach na sąsiednim terytorium. Skoro Jaimie nie skontaktował się ze mną, zakładam, że obaj są w to zamieszani, w mniejszym czy większym stopniu.

– To nie Leo przemienia ludzi – przypomniała. – Tylko Justin, jego Drugi.

– Ale to Alfa ponosi odpowiedzialność za swoje stado – odparł Marrok chłodno. – Wysłałem tam swojego... detektywa. Przylatuje do Chicago wieczorem. Jedź na lotnisko i czekaj tam na niego.

W ten właśnie sposób Anna kilka godzin później znalazła się na parkingu lotniskowym, naga, kuląc się pomiędzy samochodami. Nie miała własnego auta ani pieniędzy na taksówkę, ale na szczęście lotnisko znajdowało się tylko trzy kilometry w linii prostej od jej mieszkania. Było już po północy, a wilcza postać Anny ułatwiała sprawę ze względu na niewielkie, jak na wilkołaka, gabaryty oraz smoliście czarną sierść. Istniała spora szansa, że nawet jeśli ktoś ją zobaczy, weźmie za bezpańskiego psa.

Robiło się coraz chłodniej. Zadrzała, naciągając podkoszulek, który ze sobą przyniosła. W małym pakunku nie wystarczyło miejsca na kurtkę. Zapakowała tylko to, co najpotrzebniejsze, czyli dzinsy, buty i koszulkę.

Nie była wcześniej na lotnisku O'Hare, odnalezienie terminalu zabrało jej więc trochę czasu. Kiedy dotarła na miejsce, on już czekał.

Dopiero po odłożeniu słuchawki skojarzyła, że Marrok nie opisał jej detektywa. Gryzła się tym całą drogę na lotnisko, jak

się okazało, całkiem niepotrzebnie. Pomyłka nie wchodziła w tym wypadku w grę. Nawet na zatłoczonym terminalu ludzie przystawali, żeby obrzucić go ukradkowym spojrzeniem, choć szybko odwracali wzrok.

Indianie, choć stanowili w Chicago wyjątkowo nieliczną społeczność, nie wzbudzali zazwyczaj swoim widokiem takiego poruszenia. Prawdopodobnie żaden przechodzień, który na niego popatrzył, nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego ten człowiek przykuł jego uwagę – Anna wiedziała. Każdy dominujący wilk miał to w sobie. Leo także, choć nieporównywalnie słabsze.

Mężczyzna był wysoki, wyższy nawet od Leo, a jego kruczoczarny warkocz kończył się poniżej skórzanego pasa. Ciemne, sprawiające wrażenie nowych dżinsy kontrastowały ze znoszonymi kowbojkami. Kiedy poruszył głowę, światło lamp odbiło się od złotych kolczyków. Dziwne, nie wyglądał bowiem na typ mężczyzny, który przekłułby sobie uszy.

Młoda twarz o barwie drewna tekowego była płaska, szeroka, nienaturalna w swej nieruchomej obojętności. Czarne oczy prześlizgiwały się po tłumie, szukając czegoś. Zawiesił na Annie wzrok tylko na moment, a intensywność doznania zaparła jej dech w piersiach. Jego spojrzenie powędrowało dalej.



Charles nienawidził latania. Tym bardziej jeśli to nie on pilotował maszynę. Do Salt Lake latał sam, ale lądowanie małego jeta w Chicago zwróciłoby uwagę jego celu, a wolał wziąć Leo z zaskoczenia. Poza tym odkąd zamknęli Meigs Field, przestał latać do Chicago. Na O'Hare i Midway panował za duży ruch.

Nienawidził też dużych miast. Zbyt wiele zapachów szturmowało jego nos, w zgiełku automatycznie wyłapywał urywki rozmów, jednak łatwo mógł przeoczyć szmer podkradającego się od tyłu napastnika. Podczas wysiadania ktoś na niego wpadł. Musiał przywołać całe opanowanie, żeby nie oddać niezgrabiaszowi podwójnie. Nocny lot uchronił go przed największym ruchem, mimo to było tu jak dla niego zbyt wielu ludzi.

Nienawidził także telefonów komórkowych. Włączywszy swój po lądowaniu, odebrał wiadomość od ojca. Teraz, zamiast iść od razu do wypożyczalni samochodów i jechać do hotelu, musiał odnaleźć jakąś kobietę i zostać z nią, żeby Leo i jego wilki jej nie zabili. W dodatku znał tylko imię, najwyraźniej Bran uznał za zbędne opisanie nieznajomej.

Zatrzymawszy się przy bramkach, rozglądał się, licząc, że instynkt pozwoli mu zlokalizować kobietę. Wyczuwał wilkołaka, ale wentylacja na lotnisku uniemożliwiała określenie źródła zapachu. Początkowo jego wzrok przyciągnęła dziewczyna o bardzo jasnej cerze, kręconych włosach koloru whisky, przygaszona, stłamszona jak ktoś regularnie bity. Robiła wrażenie zmęczonej, wyziębionej i była zdecydowania za szczupła. Jej widok wzbudzał w Charlesie rozdrażnienie, a ponieważ jego napięcie i tak sięgało już zenitu, odwrócił od niej oczy.

Nieopodal stała kobieta w garsonce koloru brązowego, stanowiącego echo jej czekoladowej skóry. Nie wyglądała mu na Annę, ale postawą pasowała na kogoś, kto mógłby sprzeciwić się swojemu Alfie i zadzwonić do Marroka. Poza tym wyraźnie wypatrywała kogoś w tłumie. Już miał ku niej ruszyć, gdy naraz wyraz jej twarzy zmienił się, jakby dostrzegła tego, na kogo czekała. I nie był to Charles.

Zaczynał właśnie drugą rundę przeczesywania wzrokiem cizby, kiedy usłyszał cichy, niepewny głos:

– Czy przyleciał pan właśnie z Montany?

Źródłem głosu była bledziutka dziewczyna. Musiała podejść, gdy patrzył w inną stronę, czego nie udałoby jej się zrobić, gdyby nie to koszmarne lotnisko.

Cóż, przynajmniej mógł dać spokój poszukiwaniom. Dziewczyna stała tak blisko, że nawet klimatyzacja nie rozpraszała jej wilkołaczego zapachu. Jednak nie tylko nos powiedział mu, że natknął się w tym wypadku na coś wyjątkowo niespotykanego.

W pierwszej chwili wziął dziewczynę za uległego wilka. Większość wilkołaków wykazywała mniejszą lub większą skłonność do dominacji. Łagodni, słabi ludzie zwykle nie przeżywali brutalnej transformacji w wilkołaka. W wyniku tego uległe wilkołaki były prawdziwą rzadkością.

Szybko zdał sobie sprawę, że gwałtowna zmiana przyczyny rozdrażnienia oraz nieodparta, irracjonalna potrzeba chronienia jej przed tłumem oznacza coś więcej. Na pierwszy rzut oka wielu mogło brać ją za uległą wilczycę – błędnie jednak. Dziewczyna była Omega.

Charles natychmiast pojął, że bez względu na to, co ma załatwić w Chicago, zabije wszystkich, którzy doprowadzili ją do takiego stanu.



Z bliska robił jeszcze większe wrażenie. Czują, jak jego energia ostrożnie ją bada, smakując niczym wąż swoją ofiarę. Czekwała na odpowiedź ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Nazywam się Charles Cornick – przedstawił się. – Jestem synem Marroka. A ty pewnie jesteś Anna.

Skinęła głową.

– Przyjechałaś tu samochodem czy taksówką?

– Nie mam auta.

Mruknął coś pod nosem tak niewyraźnie, że nie zrozumiała.

– Masz prawo jazdy?

Przytaknęła.

– Świetnie.



Okazała się bardzo dobrym kierowcą, może nieco przesadnie ostrożnym, co akurat wcale mu nie przeszkadzało, choć nie powstrzymało też od uczipienia się rączki nad drzwiczkami. Nie odezwała się, kiedy kazał jechać do jej mieszkania, ale nie uszło jego uwadze przerażenie, z jakim przyjęła polecenie. Mógł wyjaśnić, że ojciec zlecił mu jej ochronę, a do tego musiał być blisko. Nie chciał straszyć Anny jeszcze bardziej, i tak była zalekniona. Mógł zapewnić, że nie ma w planach nawiązywania z nią kontaktu fizycznego, lecz nie chciał jej okłamywać. Siebie również. Dlatego milczał.

Podczas drogi stan jego brata wilka przeszedł z wywołanego podróżą i tłokiem rozdrażnienia w spokojne zadowolenie, jakiego Charles nigdy dotąd nie doświadczył. Podobnie czuł się w obecności dwóch innych Omeg, jakie spotkał w życiu, ale tamte doznania nie były aż tak głębokie.

Tak musi się czuć prawdziwy człowiek.

Agresja i nieustanna czujność łowcy, zwykle jego wilkowi, ustąpiły przemożnemu pragnieniu zdobycia w Annie partnerki. Coś takiego Charles przeżywał również po raz pierwszy.

Była ładna, choć trzeba by ją podkarmić i zatroszczyć się, aby znikła ta nerwowa sztywność ramion. Wilk chciał pojąć ją natychmiast, przypieczętować swoją własność. Jednak ludzka natura nakazywała cierpliwość, wstrzymanie się z zalotami, dopóki nie poznają się lepiej.

– Moje mieszkanie to nic specjalnego. – Podjęła wysiłek przerwania niezręcznego milczenia. Po delikatnej chrypcie poznał, że ma sucho w ustach.

Bała się go. Jako wykonawca wyroków ojca przywykł do wzbudzania lęku, ale nie sprawiało mu to przyjemności.

Oparł się o drzwi, chcąc dać Annie jak najwięcej przestrzeni, i zapatrzył przed siebie, pozwalając spokojnie mu się przyjrzeć. Nie odzywał się z nadzieją, że oswoi się z jego obecnością, pomyślał jednak, że może to nie najlepsza droga do zdobycia jej zaufania.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Nie jestem wybredny. Poza tym, i tak na pewno jest wygodniejsze niż wigwam, w którym się wychowałem.

– Wigwam?

– W rzeczywistości jestem starszy, niż wyglądam. – Uśmiechnął się lekko. – Dwieście lat temu wigwamy były dość popularnym lokum w Montanie. – Jak większość wilkołaków, nie lubił mówić o przeszłości, poczuł jednak, że gotów jest zrobić gorsze rzeczy, aby ją uspokoić.

– Zapomniałam, że twój wygląd o niczym nie świadczy – rzekła przepraszająco. Dostrzegł uśmiech, pomyślał, że nie boi się już aż tak bardzo. – Wszystkie wilki z tutejszego stada są od ciebie dużo młodsze.

– Nie aż tak – zaprzeczył, notując jednocześnie w duchu, że powiedziała „tutejsze stado”, a nie „moje stado”. Leo miał jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, ale jego żona była dużo starsza, w każdym razie żyli już na tyle długo, że powinni docenić dar posiadania Omegi w stadzie, zamiast sprowadzać ją do roli ponizanego dziecka, które kuli się, gdy tylko ktoś na dłużej zatrzyma na nim wzrok. – Trudno ocenić, ile wilkołak ma naprawdę lat. Większość nie mówi o swojej przeszłości. I bez nieustannego wspomniania starych czasów niełatwo przystosować się do teraźniejszych.

Nie odpowiedziała, zaczął więc szukać innego tematu, który mógłby poruszyć. Konwersacje nie były jego mocną stroną, zwykle zostawiał je ojcu i bratu, którzy radzili sobie z tym świetnie.

– Z jakiego pochodzisz plemienia? – zapytała, zanim zdołał znaleźć odpowiedni przedmiot rozmowy. – Niewiele wiem o Indianach z Montany.

– Matka była Saliszką – podchwycił ochoczo. – Ze szczepu Płaskogłowych.

Zerknęła ukradkiem na jego całkowicie normalną czaszkę. Ha, ucieszył się, będą miał dla niej niezłą historyjkę.

– Wiesz, skąd wzięła się nazwa Płaskogłowi?

Pokręciła przecząco z tak poważną miną, że miał ochotę z niej zażartować. Zarzucił szybko ten pomysł, dochodząc do wniosku, że nie znając go prawie, mogłaby nie zrozumieć intencji, i postanowił trzymać się prawdy.

– Wiele szczepów z dorzecza Kolumbii, w większości z plemienia Saliszów, formowało noworodkom czaszki, spłaszczając czoła. Płaskogłowi należeli do szczepów, które tego nie robiły.

– To dlaczego nazywają się Płaskogłowi?

– Ponieważ celem nadania czaszce kształtu nie było spłaszczenie czoła, a utworzenie stożka w górnej części. Dlatego inne szczepy określały nas „płaskimi głowami”. I nie był to komplement.

Im dłużej mówił, tym mniej wyczuwalny stawał się lęk w zapachu Anny.

– Byliśmy dla nich odstręczającymi, barbarzyńskimi kuzynami. – Zaśmiał się. – Jak na ironię, biali traperzy źle zinterpretowali nazwę. Długo posądzano nas o praktyki, których nie stosowaliśmy. Dlatego też biali, podobnie jak nasi kuzyni, także postrzegali nas jako barbarzyńców.

– Twoja matka była Saliszką, czy Marrok też jest Indianinem?

Potrząsnął głową.

– Ojciec jest Walińczykiem. Przybył do Ameryki, żeby polować na zwierzęta w czasie, kiedy kwitł handel skórami. Zakochał się w tutejszych sosnach oraz śniegu i postanowił tu osiąść. – Tak opowiadał to ojciec. Charles poczuł, jak znów się uśmiecha, tym razem prawdziwym uśmiechem, na który Anna zareagowała jeszcze głębszym rozluźnieniem. Co więcej, twarz wcale go nie bolała. Postanowił zadzwonić do brata, Samuela, z wiadomością, że jak się okazuje, twarz mu nie popękała od uśmiechu. I pomyśleć, że żeby się o tym przekonać, wystarczyło jedno spotkanie z Omegą.

Anna skręciła, parkując na niewielkim placu przy jednym z wszechobecnych w starszych dzielnicach czteropiętrowych ceglanych bloków.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– W Oak Park. Miasteczku Franka Lloyda Wrighta, Edgara Rice’a Burroughsa i Scorciego.

– Scorciego?

Kiwnęła głową i wysiadła.

– To najlepsza włoska restauracja w Chicago i moje aktualne miejsce pracy.

Ach, to stąd pachnie czosnkiem.

– A więc twoja opinia jest całkiem obiektywna? – Z ulgą stanął na chodniku. Brat zawsze żartował sobie z niechęci Charlesa do samochodów, szczególnie że przecież nie groziła mu śmierć w wypadku. Ale Charles nie lubił pojazdów mechanicznych z innych przyczyn, były po prostu zbyt szybkie. Siedząc w środku, nie czuło się pokonywanej przestrzeni, ponadto w razie drzemki kierowcy samochody nie wracały same do domu. Zdecydowanie wolał konie.

Zabrał torbę z tylnego siedzenia, Anna zaś zamknęła centralny zamek. Auto pisnęło. Drgnął, zaskoczony, spoglądając

bykiem na samochód. Kiedy się odwrócił, dziewczyna stała ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Gniew, który przygasł w obecności Anny, uderzył z pełną siłą, odzwierciedlając jej strach. Ktoś musiał wyrządzić jej straszną krzywdę.

– Przepraszam – wyszemrała. W wilczej formie cofałaby się teraz, podkulając ogon.

– Za co? – Nie zdołał zapanować nad gniewnym pomrukiem w głosie. – Bo denerwują mnie samochody? Nie twoja wina.

Uświadomił sobie, że ta sytuacja będzie wymagała od niego lepszego panowania nad wilkiem. Zwykle wykonywał zadania dla ojca z zimną krwią. Tym razem, gdy miał u boku skrzywdzoną Omegę, która w dodatku działała na niego tak silnie i na tak wielu płaszczyznach, czekał go nie lada wysiłek, żeby utrzymać w ryzach naturę.

– Anno – zaczął, powściągnąwszy emocje – jestem egzekutorem Marroka. Takie mam obowiązki jako jego Drugi. Ale to nie znaczy, że znajduję w tym przyjemność. Nie zamierzam cię skrzywdzić, masz na to moje słowo honoru.

– Tak, proszę pana. – Nie uwierzyła mu.

Przypomniał sobie, że w dzisiejszych czasach honor nic nie znaczy. Pocieszył się jednak, że w zapachu Anny prócz lęku wyczuwał także gniew. To oznaczało, że nie do końca złamano w niej ducha.

Uznał, że dalsze zapewnienia odniosą przeciwny do zamierzonego skutek. Sama musiała się przekonać, że można wierzyć jego słowu. Postanowił, że tymczasem da jej do myślenia.

– Poza tym – rzekł łagodnie – przy tobie mój wilk jest bardziej zainteresowany zalotami niż potwierdzaniem dominacji.

Minął dziewczynę, zanim na usta wpełzł mu kolejny uśmiech, wywołany zmianą w jej aurze. Dotychczasowy lęk

i gniew uleciały, zastąpione zaskoczeniem... oraz czymś, co mogło być iskrą zainteresowania.

Dogoniła Charlesa szybko i unikając jego wzroku, otworzyła bramę, prowadzącą do opustoszałego holu. Na drugim piętrze wszystkie inne nuty jej zapachu stłumiło zmęczenie.

Z trudem dowlokła się na ostatnie piętro. Drżącymi po wysiłku rękami nieporadnie grzebała przy zamku jednych ze znajdujących się tu drzwi. Powinna więcej jeść. Wygłodzony wilkołak mógł stanowić poważne zagrożenie dla otoczenia.



Powiedział, że jest egzekutorem wysyłanym przez ojca, aby rozwiązywać problemy w gromadzie wilkołaków. Skoro zajmuje się czymś takim, musi być jeszcze groźniejszy niż Leo. Nie miała wątpliwości, że jest niezwykle silnym wilkiem dominującym, a wiedziała, jacy oni są. Powinna mieć się na baczności, w każdej chwili spodziewać się agresywnego zachowania z jego strony. Powinna być gotowa znieść ból i powściągnąć panikę, aby nie pogorszyć sytuacji ucieczką.

Dlaczego więc z każdą chwilą czuła się przy nim coraz bezpieczniej?

Podążył za nią na górę bez słowa. Przy drzwiach powstrzymała się od kolejnych przeprosin za niewygodę mieszkania. W końcu sam się wprosił. Na własne życzenie będzie spał na rozkładanym materacu zamiast na miękkim łóżku hotelowym. Nie miała nawet co podać do jedzenia. Liczyła, że jadł podczas podróży. Rano pójdzie na zakupy, czek z wypłatą wisiał na lodówce, czekając na zrealizowanie.

Na poddaszu znajdowały się niegdyś dwa trzypokojowe lokale, lecz w latach siedemdziesiątych przerobiono je na jeden większy oraz kawalerkę, w której teraz mieszkała.

Jej lokum wyglądało nędznie i pusto. Nie miała mebli poza materacem, niewielkim stolikiem turystycznym i dwoma podniszczonymi składanymi krzesłami. Tylko dębowa, lakierowana podłoga przydawała temu miejscu nieco koloru.

Obserwowała wchodzącego gościa, ale jego nieruchoma twarz nie zdradzała żadnych emocji. Nie miała pojęcia, o czym myśli, założyła jednak, że zwrócił uwagę na niewielki materac, idealny dla niej, lecz sporo za mały dla niego.

– Łazienka jest tam – wskazała niepotrzebnie, gdyż drzwi do drugiego pomieszczenia stały otworem.

Kiwnął głową, przyglądając się jej w słabym świetle żarówki.

– Pracujesz jutro? – zapytał.

– Nie, dopiero w sobotę.

– Świetnie. W takim razie porozmawiamy rano. – Zabrawszy niewielką torbę, zniknął w łazience.

Starła się ignorować obce dźwięki drugiej osoby gotującej się do snu, skupiając się na pospiesznym wyciągnięciu z szafy koców. W tej chwili żałowała, że zamiast drewna nie ma na podłodze wykładziny. Dębowe deski były piękne, lecz zimne i na pewno niewygodne do spania.

Drzwi otworzyły się, kiedy na kłęczkach robiła z koców poślanie, które umieściła jak najdalej się dało od materaca.

– Możesz zająć materac – powiedziała, odwracając się, i zamilkła, stając oko w oko z wielkim rudobrazowym wilkiem.

Pomachał ogonem, szczerząc radośnie zęby, zapewne rozbawiony jej zaskoczeniem. Wyminął Annę, wchodząc na koc, okręcił się kilkakrotnie, zwinął w kłębek i położywszy pysk na łapach, zamknął oczy, według wszelkich oznak natychmiast zapadając w sen. Nie dała się zwieść pozorom, ale nie drgnął nawet, kiedy szła do łazienki ani kiedy z niej wyszła, ubrana w najcieplejszy dres, jaki miała.

Nie zmrużyłaby oka w obecności obcego mężczyzny w mieszkaniu, lecz wilk nie przyprawiał jej o taką nerwowość.

W każdym razie nie ten wilk. Porządnie zamknęła drzwi wejściowe, zgasiła światło i wsunęła się pod przykrycie. Niespodziewanie dla niej samej ogarnął ją spokój, jakiego nie czuła od nocy, której przekonała się, że potwory istnieją naprawdę.



W pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na kroki w korytarzu, przyzwyczajona, że sąsiedzi kręcą się o różnych porach dnia i nocy. Wcisnęła poduszkę na głowę, żeby stłumić dźwięki, ale naraz skojarzyła szybkie, równe tempo chodu. Nadchodziła Kara, a w domu był wilkołak. Usiadła gwałtownie, spoglądając na Charlesa.

W świetle poranka wilk był jeszcze piękniejszy, niż wydał jej się w nocy. Jego futro miało głęboki odcień rudości, z czarnymi znaczeniami na łapach. Zaalarmowany ruchem, podniósł łeb. Wstali jednocześnie.

Kiedy rozległo się stanowcze pukanie, przyłożyła palec do ust.

– Anno, jesteś tam? Wiesz, że znów ktoś zaparkował na twoim miejscu? Znalazłaś sobie w końcu jakiegoś faceta czy mam wezwać straż?

Anna wiedziała, że Kara nie odejdzie, nie dowiedziawszy się wszystkiego.

– Jestem, jestem, chwileczkę. – Rozejrzała się gorączkowo po mieszkaniu, ale nie znalazła miejsca na ukrycie wilka. Nie zmieściłby się do szafy, a Karę na pewno zainteresuje widok zamkniętych drzwi łazienki. Podobnie będzie chciała wiedzieć, dlaczego Anna przyprowadziła nagle do domu psisko wielkości wilczarza, lecz o dużo mniej przyjacielskiej powierzchowności.

Rzuciwszy Charlesowi spłoszone spojrzenie, pobiegła do drzwi, dostrzegając kątem oka, jak wilk znika w łazience.

– Wróciłam – oświadczyła Kara wesoło, stawiając na stoliku dwie torby. Jej atramentowoczarna skóra po tygodniu spędzonym w tropikach nabrała jeszcze cieplejszej tonacji. – W drodze do domu zahaczyłam o sklep i kupiłam coś na śniadanie. Jadasz mniej niż myszka.

Wzrok Kary powędrował ku zamkniętym drzwiom łazienki.

– Masz gościa? – Uśmiechnęła się, choć w oczach czaiła się ostrożność. Kara pałała jawną niechęcią do Justina, którego Anna przedstawiła jej, nie kłamiąc zresztą bardzo, jako swojego byłego chłopaka.

– Uhm... – przytaknęła Anna, w pełni świadoma, że Kara nie odpuści, póki nie zobaczy, kto ukrywa się w łazience. Sąsiadka, z tylko sobie znanych przyczyn, wzięła ją pod skrzydła już pierwszego dnia, zaraz po przeprowadzce, która nastąpiła niedługo po Przeistoczeniu Anny.

W tym momencie otworzyły się drzwi od łazienki i stanął w nich Charles.

– Masz jakąś gumkę do włosów, Anno?

Nie wierzyła własnym oczom. Stał przed nią ubrany, w ludzkiej formie. Wiedziała, że przemiana w tak krótkim czasie jest niemożliwa.

Zerknęła na Karę, ale sąsiadka była zbyt zajęta gapieniem się na gościa, by dostrzec jej zaskoczenie.

Widząc oszołomienie Kary, Anna sama przyjrzała się baczniej Charlesowi. Musiała przyznać, że naprawdę robił wrażenie. Długie, rozpuszczone włosy sprawiały, że mimo dzinsów oraz flanelowej koszuli wydawał się osobliwie nagi. Z pewnością było na co patrzeć. Uśmiechnął się lekko do Kary i zwrócił ponownie do Anny:

– Chyba zgubiłem gumkę, masz gdzieś jakąś?

Przytaknęła nerwowo, rzucając się do łazienki. Jak to możliwe, że przemienił się tak błyskawicznie? Niestety, nie mogła zaspokoić ciekawości przy Karze.

I pięknie pachniał. Nawet po trzech latach z trudem ignorowała ludzki zapach. Zwykle starała się nie zwracać uwagi na informacje przekazywane jej przez nos, ale tym razem wiele wysiłku kosztowało, aby nie przystanąć przy nim i nie rozkoszować się głębokim, bogatym aromatem.

– A ty to kto? – usłyszała podejrzliwy głos Kary.

– Nazywam się Charles Cornick. – Nie wyczuła w głosie wilkołaka nuty rozdrażnienia obcesowym zachowaniem Kary. – A ty?

– To moja sąsiadka, Kara – rzekła Anna, podając mu gumkę do włosów. – Przepraszam, że was sobie nie przedstawiłam. Karo, to Charles Cornick, przyjechał z Montany. Charlesie, to Kara Mosley, moja sąsiadka z dołu. Przywitaj się ładnie.

To miała być sugestia dla Kary, która potrafiła być opryskliwa wobec ludzi niewzbudzających w niej sympatii, jednak Charles uniósł brew zdziwiony i odwrócił się, wyciągając rękę do kobiety.

– Z Montany? – powtórzyła Kara i uściśnięła mocno jego dłoń.

Skinął głową i szybkimi, wprawnymi ruchami zaczął zaplatać francuski warkocz.

– Ojciec przysłał mnie tu na wieść o kłopotach Anny z pewnym mężczyzną.

Anna wiedziała, że tym oświadczeniem całkowicie podbił serce Kary.

– Ach, chodzi o Justina? Zajmiesz się tym draniem? – Otaksowała Charlesa wzrokiem. – Jesteś w niezłej formie, ale nie obraż się, Justin to typ spod ciemnej gwiazdy. Zanim matka zmądrzała i wyszła za mąż za porządnego faceta, mieszkaliśmy w Cabrini Green. Tego typu osiedla są wylęgarnią mętów, dla których przemoc jest sposobem na życie i rozrywką. Ten Justin

ma pustkę w oczach. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, od razu naszły mnie wspomnienia z dzieciństwa. Krzywdzi ludzi dla przyjemności. Nie zastraszysz go twardą gadką.

Kąciki ust Charlesa uniosły się, a spojrzenie pocieplało, całkowicie odmieniając rysy twarzy.

– Dzięki za wskazówki.

Kara skinęła łaskawie głową.

– Znając Annę, w całym domu nie ma niczego jadalnego. Musisz pilnować, żeby porządnie jadła. W torbach na stoliku są bajgle i serek. I nie, nie zamierzam zostawać. Mam kupę roboty, chciałam się tylko upewnić, że Anna coś zje.

– Przypilnuję tego – obiecał Charles rozbawiony.

Kara poklepała go macierzyńsko po policzku.

– Będę ci wdzięczna. – Objęła Annę i wyciągnęła z kieszeni kopertę, którą położyła obok toreb z zakupami. – Weź to, inaczej następnym razem będę musiała oddać Myszołowa do hotelu, a sama wiesz, jak on nienawidzi psów. Poza tym biorą tam jak za zboże. Znalazłam to w słoiku na ciasteczka i przyrzekam, że jeśli znów to zrobisz, oddam go obcym na przechowanie. To zwykła sprawa, Anno, nie odmawiaj.

Wyszła.

Anna odczekała, aż kroki sąsiadki ucichną.

– Jakim cudem dokonałeś przemiany w tak krótkim czasie?

– Wolisz czosnkowe czy jagodowe? – zapytał Charles, otwierając torebkę.

Kiedy nie odpowiedziała, westchnął, opierając się pięściami o blat.

– Nie znasz historii o Marroku i jego indiańskiej ukochanej?

Nie była w stanie wyczytać nic z głosu Charlesa, a twarzy nie widziała.

– Nie – powiedziała.

Zaśmiał się niewesoło.

– Moja matka była piękna i to ocaliło jej życie. Wyszła do lasu zbierać zioła i tam natknęła się na łosia. Przestraszony, stratował ją, ciężko raniąc. Hałas zwrócił uwagę ojca, który znajdował się w pobliżu. Znalazł ją umierającą i uratował, przemieniając w wilkołaka.

Charles wyjął bajgle i poukładał na serwetkach. Usiadł, gestem wskazując Annie drugie krzeselko.

– Zaczynij jeść, a ja opowiem ci resztę.

Podał dziewczynie jagodowego bajgla i poczekał, aż odgryzie pierwszy kęs.

Skinął usatysfakcjonowany, po czym podjął opowieść:

– Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. To musiało być wejrzenie, bo żadne z nich nie mówiło w języku drugiego. Wszystko układało się dobrze do czasu, gdy zaszła w ciążę. Ojciec matki był szamanem. Pomógł jej pozostać w ludzkiej postaci aż do chwili moich narodzin. Każdego miesiąca podczas pełni, kiedy mój brat i ojciec ruszali na łowy, ona pozostawała człowiekiem. Z każdym miesiącem coraz bardziej słabła. Ojciec martwił się jej stanem. Nie zgadzał się z decyzją matki i sprzeczał o to z nią oraz dziadkiem.

– Dlaczego nie chciała się przemieniać?

Charles zmarszczył brwi.

– Jak długo jesteś wilkołakiem?

– W sierpniu miną trzy lata.

– Kobiety wilkołaki nie mogą mieć dzieci. Płód nie przetrwa przemiany. Poronienie następuje zwykle w trzecim, czwartym miesiącu.

Anna patrzyła na niego oczami jak spodki. Nikt jej o tym nie wspomniał.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Charles.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie myślała o dzieciach, szczególnie teraz, gdy jej życie stanęło na głowie, ale nie zakładała też nigdy nieposiadania dzieci.

– Powinnaś wiedzieć takie rzeczy przed podjęciem decyzji o Przeistoczeniu – rzekł Charles.

Tym razem ona roześmiała się gorzko.

– Nikt mi nic nie wyjaśniał. Nie, wszystko w porządku. Opowiadaj dalej.

Obserwował dziewczynę przez moment, po czym poważnie skinął głową.

– Wbrew protestom ojca wytrzymała aż do porodu. Osłabiona magią umożliwiającą opieranie się zewowi księżycy, nie przeżyła moich narodzin. Urodziłem się wilkołakiem, nie przeszedłem Przeistoczenia, jak inni. Dzięki temu posiadam pewne zdolności, jak na przykład umiejętność bardzo szybkiej transformacji.

– Brzmi świetnie – wyrwało się Annie z głębi duszy.

– Nadal jest bolesne.

– Zamierzasz szukać tego zaginionego chłopaka? – spytała, bawiąc się bajgłem.

Zacisnął usta.

– Nie. Wiemy, gdzie jest Alan Frazier.

Coś zaalarmowało ją w tonie jego głosu.

– Nie żyje?

Przytaknął.

– Mamy ludzi, którzy zajmują się tą sprawą. Dowiedzą się, kto ponosi za to odpowiedzialność. Chłopak został przemieniony wbrew woli, a jego dziewczyna zamordowana. Po pewnym czasie sprzedano go do laboratorium, w roli królika doświadczalnego. Winny odpowie za swoje zbrodnie.

Już otwierała usta, chcąc zadać kolejne pytanie, gdy drzwi wejściowe otworzyły się, z hukiem uderzając o ścianę, zaś w progu stanął Justin.

Tak skupiła się na Charlesie, że nie usłyszała nadchodzącego Justina. Zapomniała też zamknąć drzwi po wyjściu Kary. Nie

żeby to cokolwiek zmieniło, bo Justin miał klucze do jej mieszkania.

Skurczyła się, gdy wparował do środka pewnym krokiem, jakby wchodził do swojego domu.

– Dzień wypłaty – ogłosił. – Dawaj czek. – Zerknął na Charlesa. – A ty lepiej spadaj, facet. Mam do pogadania z tą panią.

Anna nie mogła uwierzyć, że zwraca się do Charlesa takim tonem. Odwróciła się do swojego gościa, żeby zapobiec awanturze, i natychmiast zrozumiała agresywne zachowanie Justina.

Charles grzebał w talerzu ze wzrokiem wbitym w bajgla. Cała siła jego osobowości została powściągnięta, ukryta gdzieś w środku.

– Lepiej dla kogo? – mruknął Charles, nie podnosząc głowy. – Bo mam wrażenie, że nie dla niej.

Justin skrzywił się pogardliwie.

– Gdzieś go wyrwała, suko? Czeka, niech się tylko Leo dowie, że przygruchałaś sobie jakiegoś kundla bez jego wiedzy. – Podszedł do Anny, chwytając za włosy. Szarpnął, zmusił do wstania i pchnął na ścianę, przyciskając biodrem. Gest był jednocześnie brutalny i miał seksualny podtekst. – Doigrasz się, zobaczysz. Może nawet pozwoli mi cię ukarać, jak ostatnio. Podobało mi się, wiesz?

Na wspomnienie ostatniej kary nie zdołała zdusić nerwowej reakcji. Jej strach podniecił Justina bardziej. Przygniótł Annę mocniej, żeby się nim napawać.

– Jeśli o tym już mowa, nie sądzę, żeby to ona została ukarana – rzucił Charles łagodnie. Mimo tej bierności Annę ogarnął spokój. Poczwała, że Charles nie pozwoli jej skrzywdzić.

Nie miała pojęcia, skąd to przekonanie. W końcu z doświadczenia wiedziała, że nawet jeśli jakiś wilk się nad nią nie znęca, nie znaczy to, że obroni ją przed innymi.

– Pyskujesz? – Justin odwrócił głowę, żeby spiorunować wzrokiem nieznanego. – Zajmę się tobą, jak z nią skończę.

Charles wstał przy wtórze hurgotu krzesła. Anna usłyszała, jak otrzepuje rękę.

– Myślę, że już tu skończyłeś – odezwał się zupełnie innym tonem. – Puść ją.

Siła jego głosu przeniknęła dziewczynę do szpiku kości, rozgrzewając zmrożone przerażeniem serce. Justin przedkładał przyjemność pastwienia się nad nią ponad branie w posiadanie jej bezwolnego ciała. Na początku walczyła, ale szybko uświadomiła sobie, że opór podnieca go bardziej. Nauczyła się też, że nigdy z nim nie wygra. Był szybszy i silniejszy, a raz, kiedy ucieczka się powiodła, reszta stada złapała ją i oddała znów w jego ręce.

Jednak słowa Charlesa sprawiły, że puścił Annę natychmiast. Zaskoczona, zachwiała się. Odzyskawszy błyskawicznie równowagę, uciekła jak najdalej od niego, czyli do kuchni. Chwyciła odziedziczony po babce marmurowy wałek, unosząc go wojowniczo.

Justin stał do niej tyłem, ale w oczach Charlesa na widok nietypowej broni zamigotały wesołe iskry. Szybko zgasły, kiedy skupił uwagę na intruzie.

– Ktoś ty, do diabła? – warknął Justin groźnie, lecz Anna wychwyciła skrywaną za gniewem nutę lęku.

– Mógłbym zapytać cię o to samo – odparł Charles. – Mam listę wszystkich wilków z Chicago, a ciebie na niej nie ma. Ale to nie jedyna sprawa, którą mam tu załatwić. Wracaj do domu i powiedz Leo, że Charles Cornick przyjechał z nim porozmawiać. Spotkamy się u niego o siódmej wieczorem. Może mieć przy sobie pierwszą szóstkę oraz towarzyszkę, reszta stada ma się trzymać z daleka.

Ku zdumieniu Anny Justin, choć warknął, wyszedł bez dalszych protestów.



2

Wilkołak, który tak potwornie przeraził Annę, nie miał ochoty wychodzić, ale równocześnie nie miał tyle siły, by zrobić cokolwiek w obecności Charlesa. Dlatego właśnie Charles odczekał kilka sekund, a potem podążył za nim na dół.

Justin stał piętro niżej, gotów zapukać do jednych z drzwi. Charles założył, że to mieszkanie Kary, i nawet się nie zdziwił, że Justin znalazł inny sposób na ukaranie Anny za ten wymuszony odwrót. Celowo zahaczył obcasem o stopień, obserwując, jak Justin sztywnieje i opuszcza rękę.

– Kary nie ma w domu – rzekł. – I nie radzę ci jej nachodzić.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zabić Justina na miejscu, ale odrzucił ten pomysł. Miał reputację, której ze względu na Marroka nie mógł zszargać. Zabijał tylko tych, którzy łamali prawo Marroka, i tylko po udowodnieniu ich winy.

Anna mówiła jego ojcu, że to Justin właśnie przemienił Alana MacKenziego wbrew woli chłopaka, ale skoro w stadzie źle się działo na tylu płaszczyznach, możliwe, że istniały jakieś

okoliczności łagodzące. Anna była wilkołakiem już od trzech lat, a nikt nie powiedział jej, że nie będzie mogła mieć dzieci. Skoro o tym nie wiedziała, może inne wilki też nie znały zasad.

Ale bez względu na to, czy Justin był świadom swoich zbrodni, czy nie, Charles i tak miał ochotę go zgładzić. Kiedy Justin odwrócił się do niego, Charles pozwolił, by z oczu wyjrzała mu bestia, i patrzył, jak drugi wilk kurczy się w sobie i zaczyna wycofywać schodami na dół.

– Idź do Leo i przekaz mu wiadomość – powiedział Charles. Tym razem wyraźniej dał Justinowi do zrozumienia, że go podchodzi, dał mu poczuć, jak to jest znaleźć się w roli ofiary silniejszego drapieżcy.

Justin był twardy, nie unikał konfrontacji, wprost przeciwnie: starał się patrzeć Charlesowi w oczy, choć szybko spuszczał wzrok. Polowanie rozochociło wilka i Charles, wściekły za zachowanie Justina wobec Anny trochę mocniej, niż powinien, popuścił bestii cugli. Starcie zakończyło się na samym dole przy bramie. Rozczarowany zbyt krótkim polowaniem wilk puścił Justina.

Bratu wilkowi też nie podobał się widok przerażonej Anny. Uznał ją już za swoją i Charles musiał włożyć wiele wysiłku, by go powściągnąć i nie zabić Justina od razu, jeszcze w mieszkaniu Anny. Tylko świadomość, że dziewczyna znów zacznie się go bać, sprawiła, że potrafił oprzeć się pokusie.

Wędrówka na poddasze dałaby mu czas na opanowanie i całkowite wyciszenie wilka, tyle że Anna czekała na półpiętrze z wałkiem w ręku.

Kiedy przystanął w połowie schodów, odwróciła się bez słowa i wróciła do mieszkania. Wszedł za nią do kuchni, gdzie odkładała swoją nietypową broń na stojak, tuż obok pojemnika, w którym trzymała noże.

– Czemu wałek, a nie noże? – zapytał chrapliwie głosem nabuzowanym niespożytą w walce energią.

Popatrzyła na Charlesa po raz pierwszy, odkąd ujrzała wyraz jego twarzy na schodach.

– Nóż nie wyrządziłby Justinowi wielkiej krzywdy, ale kości goją się dłużej.

Spodobało mu się to. Kto by pomyślał, że rozochoci go widok kobiety z wałkiem w dłoni?

– No tak – przyznał. – No tak.

Odwrócił się gwałtownie i odsunął od Anny, jeszcze chwila, a ją posiadzie, uwiedzie. Mieszkanie było jednak za małe, by zachować większy dystans, zapach dziewczyny w połączeniu ze strachem i podnieceniem działał niczym mieszanka wybuchowa. Charles musiał się czymś zająć.

Odsunął krzesło, usiadł i odchylił się tak mocno, że stołek opierał się tylko na dwóch nogach. Splótł ręce za głową, przyjmując zrelaksowaną postawę, i przymknął do połowy powieki.

– Opowiedz mi o swoim Przeistoczeniu. – Nie uszło jego uwagi, że drgnęła gwałtownie. Coś musiało być nie tak z jej Przeistoczeniem. Uchwycił się tej myśli.

– Po co? – zapytała wyzywająco, zapominając się, nadal poruszona wizytą Justina, jak sądził. Zmitygowała się szybko, odwracając wzrok i kuląc się, jakby spodziewała się ataku.

Już całkiem zamknął oczy. Obawiał się, że zasady dobrego zachowania, których nauczył go ojciec, pójdą w las, a on weźmie ją, obojętnie, czy będzie tego chciała, czy nie. Tak, to na pewno przekonałoby Annę, by się go nie bała, ofuknął się w duchu.

– Muszę wiedzieć, co dzieje się w stadzie Leo – odpowiedział cierpliwie, choć w tym momencie żadne stada nie były mu w głowie. – Wolałbym najpierw usłyszeć, jak ty to widzisz, a potem dopiero zadawać pytania. Dzięki temu lepiej zrozumiem, co Leo robi i dlaczego.



Anna przyjrzała mu się nieufnie, ale nie poruszył się. Nadal wyczuwała zawieszony w powietrzu zapach gniewu, uznała jednak, że może to pozostałość po wizycie Justina. Charles był także podniecony, a ona reagowała na to podniecenie, choć wiedziała, że to normalne u zwycięskiego samca po konfrontacji. Ignorował to, więc ona też mogła.

Odetchnęła głęboko, wciągając w nozdrza zapach Charlesa.

Odchrząknęła, cofając się do początku swojej historii.

– Spotkałam Justina, gdy pracowałam w sklepie muzycznym w Pętli. Powiedział, że jest gitarzystą, tak jak ja, i zaczął przychodzić kilka razy w tygodniu, kupując struny, płyty i inne drobiazgi. Flirtował ze mną. – Prychnęła na wspomnienie własnej naiwności. – Myślałam, że jest miłym gościem, więc kiedy mnie zaprosił na lunch, zgodziłam się.

Zerknęła na Charlesa, lecz ten sprawiał wrażenie, jakby drzemał. Miał rozluźnione ramiona, oddychał głęboko i spokojnie.

– Spotkaliśmy się kilka razy. Zabrał mnie do takiej restauracyjki obok parku, tego rezerwatu leśnego. A potem poszliśmy na spacer do lasu. Żeby popatrzeć na księżyc, tak mi powiedział. – Nawet teraz, po tak długim czasie, słyszała napięcie we własnym głosie. – Poprosił, żebym chwilę zaczekała, że zaraz wróci.

Pamiętała, że Justin był podniecony, wprost drżał od tłumionych emocji. Poklepał się po kieszeniach, mówiąc, że zapomniał czegoś z samochodu i będzie za minutę. Przestraszyła się, że wraca po pierścionełk zaręczynowy, i czekając, układała w głowie łagodną odmowę. Niewiele mieli ze sobą wspólnego i w ogóle między nimi nie iskrzyło. Choć

wydawał się miły, coś ją w nim niepokoiło, a instynkt podpowiadał, że powinna zerwać tę znajomość.

– Trwało to dość długo, już miałam sama wracać do samochodu, kiedy usłyszałam szelest w krzakach. – Twarz Anny ściągnęła się w wyrazie strachu dokładnie tak samo, jak tamtego wieczoru.

– Nie wiedziałaś, że jest wilkołakiem? – Głos Charlesa przypomniawszy jej, że teraz jest bezpieczna, we własnym mieszkaniu.

– Nie. Myślałam, że wilkołaki istnieją tylko w baśniach.

– Opowiedz, co się stało po ataku.

Nie musiała opowiadać, jak Justin ścigał ją przez godzinę, przeganiając w głąb lasu za każdym razem, gdy zbliżyła się do wyjścia. Chciał tylko dowiedzieć się czegoś na temat stada. Anna powstrzymała westchnienie ulgi.

– Ocknęłam się w domu Leo. Na początku był podekscytowany, bo w stadzie jest tylko jedna kobieta. A potem odkryli, czym jestem.

– A czym jesteś, Anno?

Głos Charlesa kojarzył jej się z dymem, był miękki i lekki.

– Jestem uległym wilkiem. Stoję najniżej ze wszystkich. – A ponieważ nadal miał przymknięte oczy, dodała: – Jestem bezużyteczna.

– Tak ci powiedzieli? – zapytał z namysłem.

– Tak jest. – Powinna się tym bardziej przejmować. Wilki, które nią nie gardziły, litowały się. Ale Anna wcale nie czuła potrzeby dominacji. Nie chciała walczyć ani robić ludziom krzywdy.

Nie powiedział nic, więc opowiadała dalej, starając się podać jak najwięcej szczegółów. Potem zadał kilka pytań.

– Kto pomógł ci zdobyć kontrolę nad wilkiem? (Nikt, zrobiła to sama. Powiedzieli, że to kolejny dowód na to, iż pozbawiona jest potrzeby dominacji).

– Kto dał ci telefon do Marroka? (Trzeci Leo, Boyd Hamilton).

– Kiedy i dlaczego? (Tuż przed tym, jak towarzyszka Leo wkroczyła i powstrzymała Alfę przed oddawaniem jej samcom, których chciał za coś nagrodzić. Anna usiłowała unikać kontaktu z wilkami stojącymi wysoko w hierarchii, nie miała pojęcia, dlaczego Trzeci dał jej ten numer, i nie miała ochoty go o to wypytywać).

– Ilu członków przyjęto do stada po tobie? (Trzech, mężczyzn, ale dwóch z nich nie umiało opanować wilków i trzeba było ich zabić).

– Ilu członków obecnie liczy stado? (Dwudziestu sześciu).

Kiedy skończyła odpowiadać, ze zdumieniem odkryła, że siedzi na podłodze naprzeciwko Charlesa, opierając się plecami o ścianę. Charles opuścił powoli przednie nogi krzesła na podłogę, z westchnieniem ścisnął nasadę nosa, a potem popatrzył na Annę, po raz pierwszy, odkąd zaczęła mówić.

Na widok jasnozłoty ślepi wstrzymała oddech. Był blisko przemiany wymuszonej jakąś silną emocją. Choć widziała to teraz w jego oczach, nic, ani w postawie, ani w zapachu, nie zdradzało jego stanu – zdołał to jakoś przed nią ukryć.

– Istnieją pewne zasady. Po pierwsze, nikogo nie wolno zmuszać do Przeistoczenia wbrew jego woli. Po drugie, nie wolno dopuszczać do Przeistoczenia, zanim nie porozmawia się z kandydatem i za pomocą prostego testu nie sprawdzi, czy w pełni rozumie on konsekwencje Przeistoczenia.

Nie wiedziała, co powiedzieć, po chwili przypomniała sobie, że powinna odwrócić wzrok.

– Z tego, co mówisz, wygląda na to, że Leo jedne wilki tworzy i przyjmuje, a inne traci bez powiadamiania o tym Marroka. W zeszłym roku na doroczne spotkanie Alf przybył tylko ze swoją towarzyszką i Czwartym, tym Boydem Hamiltonem, i twierdził, że Drugi oraz Trzeci byli zajęci.

– Ale przecież Boyd jest jego Trzecim, odkąd należę do stada.
– Anna zmarszczyła brwi. – A Justin Drugim.

– Wspominałaś, że poza tobą jest w stadzie tylko jeszcze jedna kobieta, tak?

– Tak.

– A powinno być cztery.

– Nikt nigdy nie mówił o jakichś innych.

Charles popatrzył na lodówkę, na której przyczepiony był czek z wypłatą.

– Zabierają ci czek, tak? Ile dają ci z nich pieniędzy? – Jego głos był niezwykle niski, wibrowały w nim nuty bliskiej przemiany.

– Sześćdziesiąt procent.

– Hm. – Znów zamknął oczy i odetchnął głęboko. Teraz jeszcze wyraźniej czuła piżmowy zapach gniewu, choć w postawie wilkołaka nadal nic nie wskazywało na tak silne napięcie.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała, kiedy milczał. – Mam wyjść, mówić albo włączyć muzykę? – Nie miała telewizora, ale był stary odtwarzacz.

Uśmiechnął się lekko, właściwie ledwie uniósł kąciki ust.

– Zwykle lepiej nad sobą panuję – rzekł, nie otwierając oczu.

Czekała, ale nie polepszało mu się, wprost przeciwnie.

Nagle otworzył oczy, a spojrzenie żółtych ślepi przytrzymało Annę na miejscu, kiedy Charles sprężył się i runął ku niej przez pokój.

Serce podskoczyło dziewczynie do gardła, spuściła głowę i skuliła się. Raczej poczuła, niż zobaczyła, że przy niej kuca. Dłonie, którymi ujął jej twarz, były tak gorące, że aż się wzdrygnęła – i natychmiast pożałowała, kiedy warknął.

Ukląkł, złożył głowę na jej ramieniu, a potem przylgnął do niej, napięty, więząc Annę między twardym jak skała ciałem a ścianą. Oparł dłonie o ścianę, odgradzając ją od świata także

z boków, a potem znieruchomiał. Gorący oddech owiewał szyję dziewczyny.

Zamarła, bojąc się drgnąć, by nie stracił panowania nad sobą. Jednak nie była przerażona, instynkt podpowiadał, że nie zrobi jej krzywdy. Że nigdy jej nie skrzywdzi.

Co oczywiście świadczyło o naiwności Anny, bo przecież wszystkie dominujące wilki wyżywały się na tych stojących niżej w hierarchii. Nie raz brutalnie wbijano jej to do głowy. Możliwość szybkiego powrotu do zdrowia nie oznaczała, że polubiła bicie. Jednak bez względu na to, jak uparcie nie wmawiałały sobie, że powinna się bać Charlesa, najbardziej dominującego z wilków, obcego, o którego istnieniu jeszcze poprzedniego dnia nie miała pojęcia, nie potrafiła w to uwierzyć.

Choć biła od niego silna woń gniewu, pachniał także deszczem, wilkiem i człowiekiem. Przymknęła oczy i przestała walczyć, pozwalając, by jego słodko-ostry zapach zmył jej strach i gniew wzniecone wspomnieniami najgorszych chwil w jej życiu.

Kiedy się rozluźniła, on także natychmiast się uspokoił. Napięcie mięśni zelzało, a więzące ją ramiona opadły łagodnie na jej barki.

Po chwili odsunął się odrobinę, ale nadal klęczał. Jego głowa znajdowała się trochę wyżej, więc kiedy ujął Annę delikatnie pod brodę i unióś jej twarz, spojrzała wprost w ciemne oczy. Nagle naszała dziewczynę myśl, że gdyby mogła patrzeć w te oczy do końca życia, nie potrzebowałaby niczego więcej do szczęścia. Przeraziło ją to znacznie bardziej niż jego gniew.

– Robisz coś, żebym tak się czuła? – zapytała, zanim ugryzła się w język.

Nie pytał, jak się czuje. Przekrzywił głowę w geście typowym dla wilków i podtrzymał kontakt wzrokowy, choć w jego

zapachu nie pojawiła się żadna nuta wyzwania. Odniosła natomiast wrażenie, że jest tak samo zaskoczony jak ona.

– Nie sądzę. W każdym razie nie celowo. – Ujął jej twarz w obie dłonie. Były duże, pokryte odciskami i drżały. Pochylił się, opierając brodę o czubek jej głowy. – Ja też nigdy się tak nie czułem.



Mógłby trwać tak do końca świata, mimo że na twardej podłodze niewygodnie mu się klęczało. Nigdy nie czuł nic podobnego, a już na pewno nie w towarzystwie kobiety, którą znał od niecałej doby. Nie wiedział, co z tym fantem zrobić, nie chciał nic z tym robić i – co całkiem do niego niepodobne – najchętniej odsunąłby w ogóle wszystko na czas tak długi, jak długo dane mu będzie tulić się do niej.

W zasadzie było coś, co miał ochotę zrobić, ale, o ile się nie mylił, ktoś szedł po schodach. Najwyraźniej cztery piętra wcale nie odstraszały gości. Przymknął oczy, pozwalając bratu wilkowi wychwycić spośród innych zapach nadchodzącego.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Anna wyrwała się z objęć Charlesa, wydając cichy jęk zaskoczenia. Poczul zadowolenie na myśl, że aż tak zawładnął jej uwagą, ale i troskę, że jest tak bezbronna.

Wstał niechętnie, odsuwając się trochę.

– Wejdz, Izabelo.

Drzwi otworzyły się, a do mieszkania zajrzała towarzyszką Leo, Izabela. Przyjrzała się uważnie Annie.

– Przeszkadzam? – zapytała z szelmowskim uśmieszkiem.

Zawsze lubił Izabelę, choć starał się tego nie okazywać. Jako wykonawca wyroków ojca już dawno nauczył się nie zbliżać do ludzi, bo zawsze istniało niebezpieczeństwo, że będzie musiał

któregoś z nich zabić. Dlatego też krąg jego bliskich był bardzo mały, głównie ograniczał się do ojca i brata.

Anna podniosła się, rewanżując Izabeli nieśmiałym uśmiechem, choć nadal jeszcze drżała. Jednak ku jego zaskoczeniu powiedziała:

– Tak. Dzieje się coś bardzo ciekawego. Ale wejdź, proszę.

Zaproszona Izabela wpadła do mieszkania niczym huragan, jak to zwykle ona, jednocześnie zatrzaskując za sobą drzwi i wyciągając rękę do Charlesa.

Ucałował lekko podaną dłoń. Pachniała cynamonem i goździkami. Zapomniał, że mając na względzie wilkołaczy węch, używała perfum, by zamaskować ewentualne zmiany w swoim zapachu. Trudno było powiedzieć, co czuje, chyba że targały nią niezwykle silne emocje.

– Wyglądasz jak zwykle pięknie – rzekł, bo wiedział, że tego właśnie oczekiwała. Zresztą nie kłamał.

– A powinnam wyglądać jak kłębek nerwów – odparła, poprawiając włosy dłonią, którą właśnie ucałował. Krótkie, puszyste włosy i delikatne rysy upodabniały ją do królowej wrózek. Była niższa od Anny i drobniejsza, ale Charles nigdy nie popełnił błędu, biorąc Izabelę za kruchą kobietę. – Justin przybiegł, bredząc coś o wieczornym spotkaniu. Płatał się i jękał. Cóżeś zrobił biedakowi, że tak się wkurzył? Powiedziałam Leo, że wpadnę zobaczyć, co planujesz.

Dlatego właśnie nie zawierał przyjaźni.

– Czyli Leo otrzymał wiadomość? – upewnił się.

Potwierdziła skinieniem.

– Przestraszył się nie na żarty, a nie do twarzy mu z tym, czego nie omieszkałam powiedzieć. – Pochyliła się, kładąc wilkołakowi rękę na ramieniu w nazbyt familiarnym geście. – Co sprowadza cię na nasze terytorium, Charles?

Odsunął się. Nie lubił kontaktu fizycznego – o czym zresztą zdawał się zapominać przy Annie.

Jego Annie.

Z trudem skupił uwagę na sprawach oficjalnych.

– Przyjechałem na spotkanie z Leo.

Zwykle radosne oblicze Izabeli ściągnęło się w gniewie. Spodziewał się, że kobieta na niego naskoczy. Zarówno jej temperament, jak i charyzma były wręcz legendarne. Należała do nielicznych, którzy zrobili awanturę samemu Marroкови i uszli z tego z życiem – ojciec Charlesa także darzył Izabelę sympatią.

Jednak nie pociągnęła tematu, natomiast zwróciła się do Anny, którą, jak sobie uświadomił, ostentacyjnie do tej pory ignorowała. Potem znów spojrzała na Charlesa, ale nie do niego kierowała swe słowa.

– Co mu tam naopowiadałaś, moja droga? Skarżyłaś się na pozycję w stadzie? Wybierz sobie towarzysza, jak ci się nie podoba. Justin może sobie ciebie wziąć, pewnie się zgodzi. – W tonie Izabeli nie brzmiała złośliwość. Może gdyby Charles nie spotkał Justina, nie zauważyłby, jak mocno Anna pobladła. Może też nie wychwyciłby groźby.

Anna milczała.

Izabela nie spuszczała wzroku z Charlesa, choć pilnowała, by nie patrzeć mu prosto w oczy. Uznał, że kobieta bacznie go obserwuje, ale wiedział, że nie wyczyta nic z jego twarzy. Tym razem był już przygotowany na ostrą reakcję swojego wilka, pragnącego bronić Anny.

– Sypiasz z nim? – ciągnęła Izabela. – Dobry z niego kochanek, prawda?

Choć Izabela była związana, nie odmawiała sobie przyjemności, a Leo nie miał nic przeciwko temu – co było sytuacją niemal niespotykaną wśród wilkołaków. Nie oznaczało to, że Izabela nie była zazdrosna. Leo nie mógł nawet zerknąć na inną. Charles zawsze uważał, że to dziwny związek, ale sprawdzał się w tej formie już bardzo długo. Kiedy zaczęła

z nim flirtować parę lat temu, nie opierał się, wiedząc, że z jej strony to nic poważnego. Nie był zaskoczony, gdy usiłowała przekonać go, by porozmawiał ze swoim ojcem o rozszerzeniu terytorium Leo. Nie dał się wciągnąć w gierki kobiety, a ona nie poczytała jego odmowy za obrazę.

Seks nie znaczył dla żadnego z nich nic szczególnego, ale znaczył dla Anny. Charles musiałby być człowiekiem, by nie zauważyć, że uwaga Izabeli zraniła dziewczynę i wzbudziła w niej nieufność.

– Zachowuj się, Izabelo – zmitygował gościa z niespodziewanym zniecierpliwieniem. W kolejne polecenie włożył nieco nacisku. – Wracaj do domu i powiedz Leo, że porozmawiamy wieczorem.

W oczach kobiety zapłonął gniew.

– Nie jestem moim ojcem – ostrzegł Charles łagodnie. – Nie chcesz próbować na mnie swoich sztuczek.

Strach ochłodził jej zapędy, jego też zresztą. Perfumy maskowały zapach Izabeli, ale trudno było nie zauważyć rozszerzonych oczu i zaciśniętych dłoni. A Charles zwykle nie lubił, kiedy ludzie się go bali.

– Wracaj do domu, Izabelo – powtórzył. – Do wieczora musisz uzbroić się w cierpliwość.

Zamknął za nią drzwi i przez chwilę się w nie wpatrywał, nie chcąc spojrzeć Annie w twarz, choć nie miał bladego pojęcia, skąd to poczucie winy za coś, co zrobił na długo, zanim ją spotkał.

– Zabijesz ją?

Popatrzył na dziewczynę, bo nie potrafił wywnioskować z tonu, co o tym sądzi.

– Nie wiem.

Anna przygryzła wargę.

– Była dla mnie dobra.

Dobra? Z tego, co zdołał się dowiedzieć, od Przeistoczenia nie spotkało Anny nic, co nawet leżało obok dobroci. Jednak widząc jej zatroskaną minę, zmilczał ciętą odpowiedź.

– W stadzie Leo źle się dzieje. Dzisiaj zamierzam się dowiedzieć, o co tu chodzi.

– Jak?

– Zapytam. Nie mogą mnie okłamać, a odmowa odpowiedzi bądź spotkania ze mną będzie równoznaczna z przyznaniem się do winy.

– Jak to, nie mogą cię okłamać? – zdumiała się.

Postukał się palcem po nosie.

– Łatwo wyczuć kłamstwo, no chyba że dana osoba nie potrafi odróżnić prawdy od kłamstwa. Ale na to też są sposoby.

Annie zaburczało w brzuchu.

– Dość tego – oświadczył, uznając, że czas ją nakarmić. Bajgiel to mało. – Ubieraj się.

Nie chciał jechać samochodem do centrum, wiedząc, że w Pętli trudno będzie zaparkować, szczególnie że tak blisko Anny trudno mu było nad sobą panować. Nie udało mu się przekonać dziewczyny do wezwania taksówki, co go niezmiernie zdumiało, jako że rzadko kto mu odmawiał. Ale z drugiej strony Anna była Omegą i po prostu nie czuła instynktownej potrzeby podporządkowania się silniejszemu wilkowi. Westchnąwszy w duchu, poszedł za nią na stację kolejki nadziemnej.

Nigdy nie korzystał z tego środka transportu i gdyby nie ta uparta kobieta, prawdopodobnie i tym razem by sobie odpuścił. Choć musiał przyznać, nawet jeśli tylko w cichości ducha, że nawet podobało mu się, kiedy grupka nastolatków postanowiła się z nim podroczyć.

– Hej, Indiańcu – zawołał chłopak w zbyt obszernych ciuchach. – Jesteś przyjezdny? Niezła ta twoja laseczka. Jeśli

lubi ciemne mięsko, to znajdzie tu coś do wyboru. – Poklepał się w pierś.

W Chicago działały prawdziwe gangi, które tworzyła młodzież wychowana w dzielnicach rządzących się twardym prawem miejskiej dżungli, ale ta grupka składała się prawdopodobnie z dzieciaków, które miały wolne od szkoły i najzwyczajniej w świecie się nudziły. Postanowiły więc zabawiać się kosztem dorosłych, którzy nie odróżniali amatorów od prawdziwego zagrożenia. Nie żeby banda niedorostków nie mogła być groźna...

Starsza kobieta, obok której siedzieli, skuliła się ze strachu, a zapach jej lęku pobudził Charlesa do działania.

Wstał, uśmiechnął się i obserwował, jak bezczelność znika z ich twarzy.

– Laseczka owszem – powiedział. – Ale jest moja.

– Hej, ziomal – odezwał się chłopak siedzący za pyskatym kolegą. – Spoko, bez nerwów. Sorki, stary.

Charles uśmiechnął się szerzej. Chłopcy zbili się w ciaśniejszą gromadkę.

– Taki ładny dzień dzisiaj. Chyba powinniście usiąść sobie tam, z przodu, będziecie mieć lepszy widok na miasto.

Błyskawicznie przenieśli się na przód wagonu i usiedli na wolnych fotelach. Charles wrócił na swoje miejsce przy Annie.



Kiedy siadał, miał taką zadowoloną minę! Anna uśmiechnęłaby się, gdyby nie obawa, że któryś z chłopców odwróci się i pomyśli, że śmieje się z niego.

– To był prosty przykład zatrucia testosteronem – zauważyła sucho. – Co teraz? Nakryczysz na harcerki?

W oczach Charlesa załśniło rozbawienie.

– Teraz będą sobie ostrożniej wybierać ofiary.

Anna rzadko jeździła do Pętli – wszystko, czego potrzebowała, miała pod nosem. Ale najwyraźniej Charles, mimo że przyjezdny, znał miasto, bo wiedział, gdzie wysiąść, a z przystanku poprowadził wprost do niewielkiej greckiej restauracyjki, ukrytej pod nadziemną linią kolejki.

Powitano go tam jak starego znajomego i zaprowadzono ich do osobnej salki z jednym stolikiem.

Pozwolił jej wybrać, podwoił porcje i dodał do zamówienia jeszcze kilka potraw.

Gdy czekali na jedzenie, wyciągnął z kieszeni podniszczony notes kołowy, wyjął kilka kartek i wręczył je Annie wraz z długopisem.

– Wypisz tu członków stada, najlepiej zgodnie z hierarchią, jeśli możesz.

Zrobiła listę tak, jak umiała. Nie знаła niektórych nazwisk, a ponieważ wszyscy znajdowali się w hierarchii wyżej od niej, nie zwracała uwagi na kolejność.

Z niepewną miną oddała Charlesowi kartkę.

– Nie pamiętam kolejności poza pierwszą czwórką czy piątką, więc mogę się mylić co do dalszych pozycji.

Położył jej listę obok tej, którą miał spisana, i zaczął je porównywać, zaznaczając nazwiska. Anna zabrała krzesło i przeniosła się z nim bliżej niego, żeby widzieć, co robi.

Podsunał jej swoją kartkę.

– To oficjalny spis członków twojego stada. Zaznaczyłem nazwiska, których nie ma na twoim.

Przejrzała listę, wzięła długopis i skreśliła jedno z jego zaznaczeń.

– Ten jest, tylko o nim zapomniałam. I ten też.

Zabrał kartkę.

– Brakuje kobiet. Większość z tych, które zniknęły, to starsze wilki. Nie były stare, ale nie został żaden starszy od Leo. Nie ma

też kilku młodszych. – Wskazał palcem kilka nazwisk. – Te są młode. Paul Lebshak jest wilkołakiem od czterech lat. George niewiele dłużej.

– Znasz wszystkie wilkołaki?

– Znam Alfę. – Uśmiechnął się. – Zjeżdżają się na coroczne spotkania. Znam też większość Drugich i Trzecich. Jednym z punktów tych zjazdów jest aktualizacja pogłowia stad. Alfy mają obowiązek informowania Marroka w razie śmierci któregoś z członków i gdy dochodzi do Przeistoczenia kogoś nowego. Gdyby ojciec wiedział, że zniknęło tyle wilków, już dawno sprawdziłby, co się tu dzieje. Leo stracił jedną trzecią stada i uzupełnił braki.

Podsunał Annie listę, którą napisała. Zaznaczył kilka nazwisk, w tym jej.

– To nowe wilki. Z tego, co opowiadałaś, zostały chyba przemienione wbrew woli. Z wilkołaków powstałych w wyniku losowego ataku przeżywa niewielka część. Twój Leo musiał w ciągu ostatnich lat zabić bardzo wielu ludzi, żeby utrzymać mniej więcej stałą liczbę członków stada. Tyle napadów powinno zwrócić uwagę władz. Ile z tych wilków przyjęto do stada po tobie?

– Żadnego. Jedyny, którego widziałam, to ten biedny chłopak.

– Postukała długopisem w nazwisko. – To wielkie miasto. Jeśli nie porzucali ciał i polowali na rozległym terenie, przez te kilka lat mogli upolować niezauważeni nawet ze sto osób.

Charles odchylił się na krześle i przymknął powieki. Potem potrząsnął głową.

– Nie mam pamięci do dat. Większości zaginionych wilków nie poznałem osobiście i nie pamiętam dokładnie, kiedy po raz ostatni widziałem dawnego Drugiego Leo, poza tym, że działo się to w ostatniej dekadzie. Z tego wynika, że musiało się to stać później.

– Co się stało i komu?

– Pewnie Leo. Coś sprawiło, że zabił wszystkie kobiety w stadzie oprócz Izabeli i większość starych wilków, tych, którzy sprzeciwiliby się atakowaniu niewinnych ludzi oraz zaprzestaniu uczenia nowych wilków zasad i informowania ich o prawach. Rozumiem więc, dlaczego zabił wilki, ale wilczyce? I czemu drugi Alfa z Chicago nie powiedział ojcu, co tu się dzieje?

– Może nie wiedział? Leo i Jaimie trzymają się z daleka od siebie, nasze stado ma zakaz wstępu na terytorium Jaimiego. Pętla to teren neutralny, ale nie wolno nam chodzić na północ stąd bez specjalnego pozwolenia.

– Naprawdę? To ciekawe. Wiesz może, co ich tak poróżniło?

Anna wzruszyła ramionami. Krążyło wiele plotek.

– Ktoś mówił, że Jaimie nie chciał się przespać z Izabelą, a kto inny, że mieli romans, on zerwał i ona poczuła się urażona. Albo że nie chciał zakończyć romansu i Leo musiał wkroczyć. Jeszcze inni twierdzą, że Leo i Jaimie nigdy się nie dogadywali. Nie wiem, jak było naprawdę.

Popatrzyła na zaznaczone nazwiska na liście i zaśmiała się nagle.

– Co?

– Nic, to głupie. – Pokręciła głową.

– Powiedz.

Zarumieniła się, skrzepowana.

– Dobrze. Szukasz czegoś, co łączy wszystkie nowe wilki. Pomyślałam, że właśnie tak wyglądałaby lista najprzystojniejszych facetów w stadzie.

Oboje zaskoczyła fala zazdrości Charlesa, której nawet nie starał się ukryć.

Tę właśnie idealną chwilę wybrał sobie kelner na przyniesienie pierwszego dania.

Anna zaczęła odsuwać się na swoje miejsce, ale kelner, odłóżwszy tacę, przysunął jej krzesło, usadzając wygodniej

przy Charlesie, a potem wrócił do ustawiania półmisków.

– Co u pana? – zagaił przyjaźnie. – Nadal nie przeniósł się pan do cywilizacji?

– Cywilizacja jest mocno przereklamowana – odparł Charles, zbierając kartki i zamykając je w notesie. – Wystarczy, że raz czy dwa razy do roku mogę u was zjeść. Więcej mi nie trzeba.

Kelner potrząsnął głową ze smutną miną.

– Góry są piękne, ale nie tak piękne, jak nasze drapacze chmur. Kiedyś zabiorę pana nocą na miasto i już nigdy nie będzie chciał pan stąd wyjeżdżać.

– Filipie! – Do salki wkroczyła drobna kobieta. – Ty tu sobie plotkujesz z panem Cornickiem, a tam czekają głodni goście.

Kelner uśmiechnął się i mrugnął do Anny, po czym pocałował kobietę w policzek i czmychnął na główną salę.

– Ech, co ja z nim mam... – pokręciła głową kobieta, ale z czułym uśmiechem. – Straszny z niego gaduła. Trzeba mu żony, żeby go utemperowała. Ja już jestem na to za stara. – Wyrzuciła w górę ręce i podążyła za mężczyzną.

W ciągu kolejnych dwudziestu minut przez salkę przewinął się szereg kelnerów i kelnerek, wszyscy do siebie podobni. Wnosili tace, nie czyniąc najmniejszej uwagi, że dwoje ludzi pochłania taką ilość jedzenia.

Charles nałożył sobie na talerz i popatrzył na Annę.

– Nie mówiłaś, że nie lubisz jagnięciny – zauważył.

Spojrzała na swój talerz.

– Bo lubię.

Zmarszczył brwi, wziął łyżkę i nałożył jej porządną porcję.

– Powinnaś więcej jeść. Dużo więcej. Przemiana pochłania ogromną ilość energii. Wilkołaki muszą dużo jeść, żeby utrzymać wagę.

W trakcie jedzenia, przy obopólnej, milczącej zgodzie, skupili się na rozmowie na tematy ogólne. Wymieniali opinie o Chicago i życiu w mieście. Kiedy Anna zaczęła nakładać sobie ryż,

Charles przypilnował, żeby wzięła drugą łyżkę. Opowiadał jej trochę o Montanie. Odkryła, że łatwo przychodzi mu mówienie, pod warunkiem że nie pyta się go o nic prywatnego. Nawet nie chodziło o to, że nie chce zdradzać swoich sekretów, bo prostu nie uważał, żeby był szczególnie interesujący.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny i do salki weszła z deserem dziewczyna, może czternastoletnia.

– Nie powinnaś być w szkole? – zaczepił ją Charles.

– Ferie – westchnęła. – Wszyscy mają wolne, a ja co? Muszę pracować w restauracji. Beznadzieja.

– Rozumiem. Może powinnaś zadzwonić do opieki społecznej i poskarżyć się, że jesteś wykorzystywana?

– O tak! – Rozpromieniła się. – Tato by się zagotował. Aż mnie kusi, żeby tak zrobić, tylko po to, by zobaczyć jego minę. A może jak powiem mu, że to pana pomysł, to wścieknie się na pana, a nie na mnie? – Zmarszczyła nos. – Chyba jednak nie.

– Przekaż matce, że jedzenie smakowało rewelacyjnie.

Oparła tacę o biodro i wycofała się z salki.

– Powiem jej, ale już kazała przeprosić, że nie było idealne. Jagnięcina była żylasta, ale tylko taką udało jej się zdobyć.

– Jesteś tu częstym gościem? – zapytała Anna, nakładając sobie bez entuzjazmu kawałek bakławy. Nie żeby nie lubiła bakławy, bo lubiła, ale niekoniecznie po wepchnięciu w siebie ilości jedzenia, którą zwykle żywiła się przez tydzień.

– Aż nazbyt. – Charles nie miał kłopotu z jedzeniem deseru. – Prowadzimy tu parę interesów, więc muszę bywać trzy, cztery razy do roku. Właścicielem restauracji jest wilkołak, jeden ze stada Jaimiego. Czasami omawiam tu interesy.

– Myślałam, że jesteś wykonawcą wyroków ojca – zaciekała się. – Aż tyle wilkołaków w Chicago łamie prawo?

Roześmiał się w głos. Dźwięk wydawał się nieco drewniany, jakby Charles niezbyt często to robił. Niesłusznie, bo ze śmiechem było mu do twarzy. I to na tyle dobrze, że Anna

machinalnie wzięła kawałek baklawy do ust i po chwili musiała kombinować, jak go przełknąć wbrew protestom przepełnionego żołądka.

– Nie, mam też inne obowiązki. Zajmuję się interesami stada ojca. Jestem dobry w obu dziedzinach – stwierdził nieskromnie.

– Wierzę. – Charles należał do ludzi, którzy byliby dobrzy we wszystkim, czymkolwiek by się zajęli. – Powierzyłabym ci własne oszczędności. Czyli jakieś dwadzieścia dwa dolary i dziewięćdziesiąt siedem centów.

Zmarszczył brwi, a cała jego wesołość uleciała.

– To był żart – tłumaczyła, ale bez rezultatu.

– Większość Alf zabiera dziesięć procent zarobków członków stada na rzecz wspólnoty, i to głównie, gdy stado jest nowe. Pieniądze te są przeznaczane na przykład na stworzenie i utrzymanie bezpiecznego miejsca, domu, gdzie może bywać stado. Później, gdy sytuacja się stabilizuje, nie ma już takiego zapotrzebowania na pieniądze. Tak stare stado jak ojca w ogóle nie potrzebuje składek. Posiadamy własną ziemię i różne inwestycje. Leo jest tu od trzydziestu lat, to wystarczająco dużo czasu na stabilizację. W życiu nie słyszałem, żeby stado zabierało czterdzieści procent dochodów. To może oznaczać, że Leo ma poważne problemy finansowe. Tym bardziej że sprzedał tego chłopaka, w którego sprawie dzwoniłaś do ojca, a także kilku innych. Kupił ich osoba pracująca nad narkotykiem, który działałby na wilkołaki tak, jak narkotyki działają na ludzi. A żeby stworzyć jednego takiego wilkołaka, Leo musiał zabić wielu ludzi.

Zastanowiła się nad implikacjami.

– Kto to jest ten od narkotyków?

– Dowiem się, gdy Leo powie mi, komu sprzedał chłopaka.

– Dlaczego w takim razie nie sprzedał mnie?

– Alfa, który sprzedałby kogoś ze stada, musi liczyć się z buntem. Poza tym Leo zadał sobie wiele trudu, by cię zdobyć.

Odkąd dołączyłaś do stada, nikt nie zginął ani nie zniknął.

Nie było to pytanie, ale i tak odpowiedziała.

– No nie.

– Myślę, że stanowisz klucz do tajemnicy Leo.

Nie potrafiła powstrzymać się od parsknięcia.

– Ja? Leo potrzebował nowego popychadła?

Charles zerwał się gwałtownie, odtrącając krzesło i stawiając Annę na nogi. Myślała, że przywykła już do szybkości i siły wilkołaków, ale zaparło jej dech w piersiach.

Stała, trzęsąc się, a on obszedł ją i kiedy znalazł się z dziewczyną twarzą w twarz, pocałował. To był długi, głęboki, namiętny pocałunek, który zaparł Annie dech w piersiach, tym razem z całkiem innego powodu.

– Leo cię odszukał, byłaś mu potrzebna – rzekł. – Aby cię zdobyć, posłużył się Justinem, bo każdy inny wilk wiedziałby, czym jesteś. Nawet przed Przeistoczeniem. To dlatego wysłał na wpół szalonego wilkołaka, bo żaden inny nie mógłby cię zaatakować.

Odsunęła się od Charlesa. Mówił tak, jakby była kimś szczególnym, ale kłamał. Brzmiało to jak prawda, a przecież wiedziała, że jest nikiem. Dzisiaj sprawił, że czuła się wyjątkowa, lecz nie miała złudzeń.

Nie potrafiła stawić oporu tym silnym dłoniom, które spoczywały na jej barkach.

– Powiem ci coś o Omegach, Anno. Spójrz na mnie. – Zamrugła, przełykając łzy, i niezdolna oprzeć się jego żądaniu, podniosła wzrok. – Są wyjątkowe. – Potrząsnął dziewczyną lekko. – Ciągle mam do czynienia z liczbami i procentami, Anno, i może nie umiem określić tego dokładnie, ale szanse, że Justin wybrał cię przypadkiem, są znikome. Żaden wilkołak kierujący się choćby tylko instynktem nie zaatakowałby Omegi. A Justin zrobił na mnie wrażenie wilkołaka, którego działań nie wspomaga nic innego.

– Dlaczego? Dlaczego nie mógłby mnie zaatakować? Co to jest Omega?

Pytanie okazało się właściwe, bo Charles znieruchomiał, uspokajając się.

– Jesteś Omegą, Anno. Założę się, że kiedy wchodzisz do pomieszczenia, ludzie do ciebie podchodzą. Założę się, że nieznajomi mówią ci o sobie rzeczy, których nie wyjawiliby własnym matkom.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Widziałeś dzisiaj Justina. To ma być spokojny wilkołak?

– Widziałem. I myślę, że każde inne stado zabiłoby go wkrótce po Przeistoczeniu, bo nie jest w stanie wystarczająco nad sobą panować. Nie pojmuję, dlaczego nie został zgładzony. Sądzę jednak, że ty pozwalasz mu utrzymać w ryzach jego wilka i za to cię nienawidzi. Nie powinnaś być ostatnia w hierarchii stada. – Jego dłonie ześliznęły się po ramionach Anny, aż wziął ją za rękę. Gest ten odebrała jako intymniejszy nawet od pocałunku. – Wilk Omega jest jak szaman wśród Indian, znajduje się poza wszelkimi układami i zależnościami. Musieli nauczyć cię, żeby spuszczać wzrok, prawda? Uległe wilki robią to instynktownie. Tobie musieli to wbijać na siłę. Dajesz spokój tym, którzy są w pobliżu ciebie – rzekł żarliwie, patrząc Annie w oczy. – Wilkołaki, szczególnie te dominujące, zawsze balansują na krawędzi agresji. Przez kilka godzin byłem zamknięty na małej przestrzeni z wieloma obcymi, ale gdy podeszłaś, całe moje rozdrażnienie, drapieżność uleciały. – Ścisnął jej dłonie. – Jesteś darem, Anno. Omega w stadzie oznacza, że więcej wilkołaków przetrwa Przeistoczenie, bo łatwiej im będzie kontrolować wilki. Oznacza, że stado straci mniej silnych samców w głupich starciach o przywództwo. Omega wycisza stado.

W argumentacji Charlesa była wielka dziura.

– Ale nawet ty jeszcze niedawno prawie się przemieniłeś, bo byłeś taki wściekły.

Na twarzy wilkołaka odbiła się silna emocja. Nie potrafiła jej zidentyfikować, wiedziała tylko, że było to coś niezwykle intensywnego.

Gdy przemówił, jego głos brzmiał, jakby dobywał się ze ściśniętego gardła.

– Większość wilkołaków zakochuje się, bierze ślub i długo żyje ze swoim wybrankiem, zanim wilk zaakceptuje go jako swego towarzysza. – Charles spuścił oczy i przeszedł przez salkę, odwracając się od Anny.

Pozbawiona nagle ciepła i bliskości jego ciała, poczuła chłód i samotność. I lęk.

– Czasami zdarza się inaczej – wyjaśnił ścianie. – I na tym poprzestańmy na razie. I bez tego masz wiele do przetrwania.

– Mam dość niewiedzy – warknęła nagle rozzłoszczona. – Wywróciłeś wszystkie znane mi zasady do góry nogami, więc, do diabła, chyba możesz mi zdradzić te nowe?! – Fala gniewu, która zalała dziewczynę tak gwałtownie, równie nagle cofnęła się, zostawiając ją roztrzęsioną, bliską płaczu.

Kiedy się odwrócił, jego oczy były złote, niczym przyćmione światło w salce, szybko jednak pojaśniały jeszcze bardziej.

– Dobrze. Lepiej, gdybyś to tak zostawiła, ale skoro chcesz prawdy... – Głos Charlesa rozbrzmiewał niczym grzmot, choć nie mówił wcale głośno. – Mój brat wilk wziął sobie ciebie za towarzyszkę. Nawet gdybyś była dla mnie nikim, nie pozwoliłbym na to, co spotkało cię po Przeistoczeniu, jednak w tej sytuacji sama myśl o tym, przez co przeszła moja towarzyszka, myśl, że moja towarzyszka została skrzywdzona, a ja nie mogłem nic na to poradzić, budzi we mnie gniew, którego również Omega nie jest w stanie łatwo ukoić.

Hm, pomyślała oszołomiona. Czowała, że jest nią zainteresowany, ale uznała, że to nic szczególnego. Jedynym

wilkiem, jakiego znała, a który posiadał partnerkę, był Leo. Nie wiedziała, jak to wszystko działa. I co to znaczy, że jego wilk obrał ją sobie na towarzyszkę? Czyli ona nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia? Czy to podniecenie, które rozpalał w niej, nic tak naprawdę nie robiąc w tym kierunku, to uczucie, jakby go znała od wieków, pragnienie, żeby budzić się obok niego co rano, choć przecież znała go ledwie od kilku godzin – to wszystko jego wina?

– Gdybyś mi pozwoliła – podjął – starałbym się o ciebie, rozpoczął gody i zdobył twoje serce. – Zamknął oczy. – Nie chciałem cię wystraszyć.

Powinna się bać, ale, o dziwo, nagle poczuła błogi spokój, jakby znalazła się w oku cyklonu emocji.

– Nie lubię seksu – oświadczyła, uznając, że w tej sytuacji powinna poinformować Charlesa o tym fakcie.

Aż się zatchnął. Otworzył gwałtownie powieki. Na jej oczach jasnozłote tęczęwki ciemniały, aż znów przybrały ludzką barwę.

– Nie pociągał mnie szczególnie przed Przeistoczeniem – wyjaśniła wprost. – A po tym, jak Leo oddawał mnie komu chciał, póki Izabela go nie powstrzymała, już w ogóle nie mam ochoty na fizyczne kontakty.

Zacisnął usta, nic nie mówiąc, więc kontynuowała:

– I nie zrobię już tego wbrew woli. Nigdy. – Podciągnęła rękawy, pokazując długie blizny biegnące po wewnętrznej stronie przedramienia od przegubu do łokcia. Zraniła się srebrnym nożem i umarłaby, gdyby Izabela jej nie znalazła. – To dlatego Izabela zakazała Leo oddawać mnie w nagrodę. Znalazła mnie i odratowała. Po tym kupiłam broń i srebrne kule.

Warknął niegłośnie, ale nie na nią, była tego pewna.

– Nie grozę, że się zabiję. Po prostu musisz wiedzieć, że jeśli chcesz być moim towarzyszem, nie będę taka jak Leo. Nie

pozwolę ci sypiać z innymi. I nie dam się do tego zmusić. Mam dość. Jeśli zachowuję się jak pies ogrodnika, trudno. Ale skoro ja jestem twoja, ty będziesz tak samo tylko i wyłącznie mój.

– Pies ogrodnika? – Odetchnął dźwięcznie, jakby nie mógł powstrzymać śmiechu. Znow zamknął oczy i po chwili rzekł rozsądnie: – Zdziwię się, jeśli Leo przeżyje dzisiejszy wieczór. I będę równie zdumiony, jeśli uda mi się przy tobie nie zwariować. – Spojrzał na nią. – A mało co mnie już dziwi.

Przeszedł przez salkę, po drodze podnosząc i odstawiając na miejsce krzesło. Przystanął przed Anną, ujął ją delikatnie pod brodę i roześmiał się łagodnie. Nie przestając się uśmiechać, odsunął jej za ucho pasemko włosów.

– Obiecuję, że spodoba ci się seks ze mną – wymruczał.

Udało jej się utrzymać prosto. Nie była jeszcze gotowa, by rozpląnąć mu się w kałużę u stóp.

– Uhm, Izabela wspominała, że jesteś dobrym kochankiem.

– Nie masz o co być zazdrosna. – Zaśmiał się. – Seks z nią znaczył dla mnie tyle, co drapanie po brzuchu, a sądzę, że dla niej jeszcze mniej. Nic, co warto byłoby powtarzać. – Zza drzwi dobiegły ich przyciszone głosy. – Czas na nas – powiedział, biorąc Annę za rękę.

Wręczając kartę kredytową młodemu mężczyźnie, który pachniał wilkołakiem i zwracał się do Charlesa per „pan”, komplementował posiłek. Jak się domyśliła, wilkołak musiał być właścicielem restauracji.

– To gdzie teraz? – zapytała po wyjściu.

Założył kurtkę i uskoczył przed kobietą w szpilkach, niosącą skórzaną aktówkę.

– Gdzieś, gdzie jest mniej ludzi.

– Może do zoo? O tej porze roku jest wyludnione, mimo że dzieci mają ferie świąteczne.

Odwrócił głowę i już chciał odpowiedzieć, ale coś przykuło jego uwagę. Chwycił Annę i pociągnął na ziemię, nakrywając ją

sobą. Rozległ się głośny huk, jakby strzeliło z rury wydechowej, Charles drgnął i znieruchomiał.



3

Od ostatniego postrzału minęło już dużo czasu, ale nadal pamiętał to palące uczucie w miejscu, gdzie utkwiła srebrna kula. Nie zareagował wystarczająco szybko, a tłum uniemożliwiał ściganie samochodu, który odjechał natychmiast po zamachu. Nie zdążył się nawet przyjrzeć dobrze strzelcowi. Zauważył go tylko kątem oka.

– Charles? – Przygnieciona do chodnika Anna patrzyła na niego wielkimi, czarnymi z przerażenia oczyma, klepiąc łagodnie po ramieniu. – Ktoś do nas strzelał? Wszystko w porządku?

– Tak – powiedział, choć nie mógł ocenić swojego stanu, dopóki się nie poruszy, a na to nie miał za bardzo ochoty.

– Proszę leżeć spokojnie, zanim nie zobaczę rany – rozległ się stanowczy głos. – Jestem ratownikiem.

Rozkazujący ton zmusił Charlesa do działania – nie przyjmował poleceń od nikogo poza ojcem. Stoczył się z Anny i wstał, a potem pomógł jej podnieść się z oblodzonego chodnika.

– Cholera, człowieku, krwawisz. Nie bądź głupi – warknął mężczyzna. – Usiądź.

Sam postrzał wystarczył, by rozdrażnić wilka, więc Charles odwrócił się gwałtownie z zamiarem usadzenia natręta, którym okazał się na oko kompetentny mężczyzna w średnim wieku o piaskowych włosach i siwiejącej rudej brodzie.

Anna ścisnęła Charlesa za rękę, której dotąd nie puściła.

– Dziękujemy – powiedziała do mężczyzny, a potem zwróciła się do Charlesa: – Pozwól panu obejrzeć ranę. – I nagle Charles był w stanie się opanować.

Warknął jednak nisko, gdy nieznajomy przystąpił do badania – nigdy nie okazuj słabości przy kimś, kto może być twoim wrogiem. Czuł się całkiem odsłonięty, siedząc na środku tłumnego chodnika, a w dodatku mieli coraz większą publiczność.

– Proszę się nie przejmować – uspokajała Anna. – Robi się marudny, kiedy go boli.

George, właściciel restauracyjki, wyniósł dla niego krzesło. Ktoś wezwał policję – nadjeżdżały dwa radiowozy na sygnale, a do ogłuszającego hałasu włączyła się podążająca za nimi karetka.

Powiedziano mu, że kula przeszła przez mięśnie barków, nie wyrządzając wielkich szkód. Ma jakichś wrogów? Anna wyjaśniła, że właśnie przyleciał z Montany, więc to raczej przypadkowa strzelanina, choć w tej dzielnicy coś takiego to rzadkość.

Gdyby zadający pytania gliniarz miał wilkołaczy nos, nie uwierzyłby w jej kłamstwo. Ale mimo jego braku jako doświadczony policjant czuł, że coś jest nie tak. Pozbył się podejrzeń dopiero, gdy Charles pokazał mu prawo jazdy.

Obecność Anny pozwoliła Charlesowi przebrnąć we względnym spokoju przez oczyszczenie rany, zakładanie opatrunku i przesłuchiwanie, ale żadna siła nie zmusiła go do

wejścia do karetki i wizyty w szpitalu, mimo że rany po srebrnych kulach goiły się w normalnym dla ludzi i strasznie wolnym dla wilkołaków tempie. Nawet teraz czuł palący ból w miejscu, gdzie srebro przeniknęło do tkanki.

Poddając się zabiegom obcych i skupiając na zachowaniu kontroli, nie mógł przestać myśleć o strzelcu. W szybie zobaczył najpierw odbicie broni, a potem tego, który ją trzymał. Zamachowiec był w ciemnych okularach, a twarz osłonił dodatkowo szalikiem. Za mało, by zidentyfikować sprawcę, widział go przez ułamek sekundy, ale mógłby przysiąc, że gdy urękawiczony palec naciskał na spust, strzelec patrzył na Annę.

Co było zupełnie bez sensu, bo po co ktoś miałby zabijać Annę?

Nie poszli do zoo.

W czasie gdy doprowadzał się do porządku w restauracyjnej łazience, George znalazł mu kurtkę, pod którą mógł ukryć opatrunek oznajmiający wszem wobec jego słabość. Tym razem Anna nie protestowała przeciw taksówce.

W drodze do mieszkania Anny zadzwonił jego telefon, ale Charles wyciszył go, nie patrząc na ekran. Możliwe, że dzwonił ojciec. Bran posiadał niesamowity dar wyczuwania, kiedy jego syn był ranny, a Charles nie chciał rozmawiać z nim przy taksówkarzu. Bardziej prawdopodobne, że dzwonił Jaimie. Pewnie George powiadomił swojego Alfę o wszystkim natychmiast po zamachu. Tak czy owak, rozmowy należało odłożyć na później.

Po dotarciu na miejsce kazał Annie poczekać w taksówce, zaś sam wszedł do budynku, żeby się rozejrzeć. Nikt nie jechał za nimi z Pętli, ale napastnikami byli najprawdopodobniej ludzie Leo, a ci znali adres Anny. Nie rozpoznał strzelca, lecz przecież nie znał wszystkich wilkołaków w Chicago.

Anna wykazywała daleko idącą cierpliwość. Nie sprzeciwiała się pozostaniu w samochodzie, taksówkarz natomiast patrzył

na niego jak na wariata.

Cierpliwość dziewczyny pomagała mu zachować panowanie nad sobą, a jego równowaga już dawno nie została wystawiona na taką próbę. Zastanawiał się, jak reagowałby, gdyby jego Anna nie była Omegą, której zdolność do kojenia gniewu prawie że przerastała wściekłość wzbudzoną zamachem na jej życie. Pałący ból pleców – pierwsze chwile po postrzale srebrną kulą zawsze są ciężkie – nie pomagał, a na to nakładała się nie mniej irytująca świadomość, że jego możliwości walki zostały znacznie obniżone.

Ktoś próbował zamordować Annę. Nie miało to sensu, ale zaakceptował ten fakt w drodze do Oak Park.

Zadowolony z wizji lokalnej, wrócił do taksówki, pomógł wysiąść Annie i zapłacił kierowcy. Jednak przez cały czas zerkał na boki, sprawdzając, czy nie dzieje się coś nietypowego. Wszędzie panował spokój.

Na klatce natknęli się na mężczyznę wyjmującego korespondencję ze skrzynki. Uśmiechnął się do Anny, przywitał z nią i wymienili parę zdań, jednak gdy Anna popatrzyła na Charlesa, szybko zakończyła rozmowę i ruszyła na górę.

Charles nie potrafił wydobyć sensu z jej słów, a to bardzo zły znak. Ponuro powlókł się za nią, drgając lekko w rytm bicia serca. Kiedy otwierała drzwi, rozprostował palce. Stawy aż bolały, tak bardzo jego ciało pragnęło przemiany, powstrzymywał się ledwie, ledwie. Skoro czuł się tak fatalnie w ludzkiej formie, po przemianie kontrolę przejąłby wilk.

Usiadł na materacu, obserwując, jak Anna otwiera lodówkę, a potem zamrażalnik. Po chwili wydostała z niego pudełko, otworzyła i wrzuciła niezbyt zachęcającą zawartość do garnka, który postawiła na kuchence.

Potem uklękła przed Charlesem na podłodze, dotknęła jego twarzy i powiedziała bardzo wyraźnie:

– Przemień się. – Plus masę innych rzeczy, które łaskotały go w uszy jak skrzydła motyla.

Zamknął oczy.

Istniał bardzo ważny powód, dla którego nie powinien w tej chwili przechodzić przemiany, ale zapomniał o nim, patrząc na Annę.

– Masz jeszcze pięć godzin do spotkania – mówiła powoli, a on z zamkniętymi oczyma lepiej ją rozumiał. – Jeśli dasz radę zmienić się w wilka i z powrotem, to ci pomoże szybciej się uleczyć.

– Nie panuję nad sobą – powiedział. Właśnie. To był ten powód. – Nie chodzi o ranę, to nic. To przez srebro. Stanowiłbym dla ciebie zagrożenie. Nie mogę.

Przez chwilę milczała, ważąc słowa.

– Skoro jestem twoją towarzyszką, twój wilk nie zrobi mi krzywdy, bez względu na to, czy będziesz go kontrolował, czy nie, prawda? – Więcej w tym było nadziei niż pewności, a on nie myślał już na tyle jasno, by wiedzieć, czy Anna ma rację.



Dominujące wilki są przewrażliwione na punkcie poleceń od słabszych, więc zostawiła Charlesowi czas do namysłu, a sama wróciła do mieszania gulaszu, żeby się nie spalił. Nie żeby spalenizna mogła pogorszyć jego smak. Kupiła mrożonkę na wyprzedaży jakieś pół roku temu i nie była jeszcze na tyle głodna, by ją zjeść. Ale potrawa zawierała mięso, a więc białko, czyli to, czego potrzebował, by odzyskać siły po zranieniu, a w domu nie znalazłaby nic równie pożywnego.

Rana wyglądała na bolesną, lecz do wytrzymania, a żaden z ratowników nie sprawiał wrażenia przesadnie zatroskanego jego stanem.

Wyciągnęła z kieszeni spodni metalową kulę, która parzyła jej palce. Podczas gdy ratownicy opatrywali ranę, Charles podchwycił spojrzenie Anny i wskazał leżący na chodniku krwawy strzęp.

Podniosła go i schowała do kieszeni. Teraz położyła kulę na blacie. Srebro, czyli zły znak. Świadczył o tym, iż był to zamach, a nie przypadkowa strzelanina. Nie widziała strzelca, ale podejrzewała, że to ktoś ze stada, prawdopodobnie Justin.

Rana po srebrnej kuli nie zagoi się w kilka minut czy godzin, więc Charles pójdzie na spotkanie osłabiony.

Rozległo się stukanie pazurów na drewnie i rudy wilk doczłapał do kuchni, gdzie padł na podłogę na tyle blisko, by oprzeć łeb na jej stopie. Gdzieniedzie miał na sobie strzępy tkaniny. Zerknęła na materac. Najwyraźniej nie kłopotał się rozebraniem przed przemianą – nie przetrwały jej ani ubrania, ani opatrunek. Na łopatkach wilka widniała głęboka, krwawa szrama.

Leżący plackiem wilk nie robił wrażenia rozszalałej bestii, więc Anna doszła do wniosku, że jego obawy co do utraty kontroli się nie sprawdziły. Z doświadczenia wiedziała, że pozbawiony nadzoru wilk raczej warczy i krąży nerwowo, a nie leży cichutko. Przełożyła gulasz do miski i postawiła na podłodze.

Wziął do pyska kęs, zaczął gryźć i szybko przestał.

– Wiem – rzekła przepraszająco. – Żaden z tego przysmak. Mogę iść na dół do Kary i zobaczyć, czy nie ma kawałka mięsa w lodówce.

Wrócił do jedzenia, lecz sama nie raz była ranna i wiedziała, że do uzdrawiania potrzebne mu będzie więcej energii, czyli mięsa. Kary nie było teraz w domu, ale nie miałyby nic przeciw, gdyby Anna pożyczyła coś do jedzenia, o ile oczywiście potem to zwróci. A Anna miała przecież klucze.

Charles zdawał się pochłonięty jedzeniem, więc zaczęła iść w stronę drzwi. Zdążyła zrobić dwa kroki, kiedy poderwał się i podążył za nią. Ruch sprawiał mu ból – nie kulał ani też nie szedł sztywno, jednak Anna, choć nie miała pojęcia, jakim cudem, była tego pewna.

– Musisz tu zostać – powiedziała. – Zaraz wracam.

Gdy chciała otworzyć drzwi, zagroził jej drogę.

– Charles – zaczęła i umilkła, z trudem przełykając ślinę. W żółtych ślepiach wilka nie było ani odrobiny Charlesa.

Nie miała szans wyjść z domu.

Wróciła więc do kuchni, przystając przy misce. Po chwili przyszedł za nią i zaczął jeść. Kiedy skończył, usiadła na materacu, a on wskoczył, usadawiając się z łbem na jej kolanach. Z ciężkim sapnięciem zamknął oczy.

Po chwili otworzył jedno i znów zamknął. Pogłaskała go po karku, uważając, by nie urazić rany.

Czy naprawdę byli parą? Raczej nie. Przecież do tego trzeba było bardziej formalnej ceremonii. Nawet nie potwierdziła, że go przyjmuje – nie żeby pytał...

Mimo wszystko... Przymknęła powieki, dając ponieść się jego zapachowi i dotykowi miękkiej sierści między palcami. Kiedy otworzyła oczy, spojrzała wprost w złociste ślepia.

Gdzieś na podłodze zadzwonił jego telefon. Wyciągnęła go spod resztek ubrań i popatrzyła na wyświetlacz, po czym odwróciła tak, żeby wilk też mógł zobaczyć.

– Ojciec – odczytała, ale wilk najwyraźniej nadal stał u steru, bo nawet nie popatrzył na telefon. – Hm, zadzwonisz do niego, jak wrócisz. – Miała nadzieję, że stanie się to szybko. Nawet po zatruciu srebrem powinien dojść do siebie za kilka godzin.

Telefon umilkł, a potem znów się rozdzwonił. Trzy dzwonki. Przerwa. Trzy dzwonki. Przerwa. Gdy zadzwonił po raz kolejny, niechętnie odebrała.

– Halo?

– Jak on się czuje?

Przypomniała sobie wilkołaka przynoszącego krzesło z restauracji. Pewnie to on zadzwonił do Marroka.

– Chyba nieźle. Rana nie jest groźna, to tylko dość głębokie draśnięcie na plecach, ale kula była srebrna, więc kiepsko zareagował.

– Mogę z nim porozmawiać? – zapytał Marrok po chwili.

– Jest w wilczej formie. Jednak słucha.

Jedno ucho wilka było zwrócone w stronę telefonu.

– Potrzebujesz pomocy? Jego reakcja na srebro może być dość ostra.

– Nie, jest całkiem spokojny.

– Srebro pozbawia Charlesa kontroli nad wilkiem – tłumaczył Marrok bardzo łagodnie. – I jest całkiem spokojny, tak? Jak to się stało?

Anna nie знаła Marroka, ale nie była głupia, więc nie dała się zwieść łagodnemu tonowi. W głosie tym czaiła się groźba. Czyżby myślał, że zrobiła coś rannemu Charlesowi i teraz go przetrzymuje? Pomimo skrepowania postanowiła wyjaśnić sytuację.

– Hm... Charles uważa, że jego wilk obrał mnie sobie na towarzyszkę.

– W ciągu niecałej doby? – Z tej perspektywy brzmiało to naprawdę głupio.

– Tak. – Nie potrafiła wyzbyć się niepewności pobrzmiewającej w głosie, co widocznie zdenerwowało wilka, który dźwignął się i warknął miękko. – Charles uważa także, że jestem Omegą. Może to ma też coś z tym wspólnego...

Cisza po drugiej stronie przedłużała się, aż Anna zaczęła się zastanawiać, czy połączenie nie zostało przerwane.

– Heh – zaśmiał się Marrok cicho. – A to dopiero jego brat będzie miał używanie. Opowiedz mi wszystko po kolei od chwili, kiedy odebrałaś Charlesa z lotniska.



Tak mocno ścisnęła kierownicę, że aż jej knykcie pobieleły, lecz Charles nie był w nastroju, żeby ją uspokajać.

Usiłował zostawić Annę w domu, nie chciał, żeby znalazła się w wirze walki, która najpewniej czekała go wieczorem. Nie chciał, żeby stała jej się krzywda i żeby zobaczyła go w roli, jaką wybrano dla niego już tak dawno temu.

– Znam adres Leo – oświadczyła. – Jeśli mnie nie zabierzesz, wsiądę w taksówkę i pojedę za tobą. Nie pójdziesz tam sam. Jeszcze pachniesz raną, poczytają to za słabość.

Prawda zawarta w słowach Anny rozdrażniła go niepomierne. Na końcu języka miał ripostę, że jak niby ona, kobieta, Omega, miałyby pomóc w walce, lecz brat wilk zamknął mu usta. I tak miała o sobie niskie mniemanie i wilk nie zamierzał pozwolić na sprawianie jej przykrości. Po raz pierwszy w życiu Charlesowi przydarzyło się, że to wilk powściągnął człowieka, a nie na odwrót. Zresztą i tak nie miałyby racji. Dobrze pamiętał obraz Anny dzierżącej w dłoni marmurowy wałek. Może i nie była agresywna, ale istniała granica, poza którą nie dałaby sobą pomiatać.

Zdziwiony swoją reakcją, potulnie zgodził się, aby mu towarzyszyła, jednak im bliżej Naperville i domu Leo, tym bardziej wyrzuty sumienia psuły mu radość, że jest przy nim.

– Siedziba Leo stoi na blisko czterdziestu hektarach – powiedziała. – Wystarczy, żeby stado mogło polować, ale ze względu na sąsiadów nie możemy szaleć.

W głosie Anny słyhać było napięcie. Uznał, że podejmuje rozmowę, żeby poradzić sobie z niepokojem, i choć zły, nie mógł jej nie pomóc.

– W wielkich miastach trudno polować – zgodził się, a ponieważ nie dane im było rozwinąć pewnej niezwykle

istotnej kwestii, postanowił Annę przy okazji wysondować: – Zabiorę cię na prawdziwe łowy do lasów w Montanie. Po czymś takim już nie będziesz chciała mieszkać w żadnym mieście. Zwykle polujemy na jelenie albo wapiti, ale populacja łosi jest na tyle spora, że też możemy czasem je pogonić. A łowy na łosia to prawdziwe wyzwanie.

– Ja to wolę zające, jeśli ci to nie przeszkadza. Zwykle i tak wlokę się w ogonie za stadem. – Uśmiechnęła się lekko. – Chyba za dużo razy oglądałam „Bambi”.

Roześmiał się. Tak, będzie jego. Poddawała się bez walki. Jeśli już, będzie stanowiła wyzwanie – pomyślał o jej niechęci do seksu – ale nie przeciwniczkę.

– Polowanie leży w naszej naturze. Nie jesteśmy kotami, nie igramy z naszymi ofiarami, a zwierzęta, które odławiamy, potrzebują trzebienia stada, żeby zachować zdrowie i siłę. Jeśli jednak nie chcesz polować, w Montanie też możesz się wlec w ogonie. Sama pogoń da ci wiele radości.

Podjechała do panelu przed bramą, wybrała cztery cyfry, po czym brama zaczęła się odsuwać.

Odwiedził to miejsce już dwukrotnie. Po raz pierwszy ponad sto lat temu, kiedy dzisiejszy dom był zaledwie chatą, otoczoną ponad stu dwudziestoma hektarami terenu. Alfą był wtedy irlandzki katolik, Willie O’Shaughnessy, który zaskakująco łatwo wpasował się w tutejsze niemiecko-luterańskie sąsiedztwo. Po raz drugi natomiast przybył z początkiem dwudziestego wieku na pogrzeb Williiego. Willie był stary, niemal tak stary, jak Marrok. Czasami ci, którzy żyją zbyt długo, popadają w obłąd. Gdy Willie zauważył u siebie pierwsze objawy, przestał jeść – był to objaw żelaznej woli, dzięki której został Alfą. Charles pamiętał żałobę ojca po śmierci Williiego. Wraz z bratem, Samuelem, całymi miesiącami zamartwiali się, że ojciec zechce podążyć za Williem.

Dom Williego i ziemię przejął kolejny Alfa, z pochodzenia Niemiec, który ożenił się z córką O'Shaughnessy'ego. Charles nie pamiętał, co się z nim stało, ani nawet jak się nazywał. Po nim, a przed Leo, mieszkało tu jeszcze kilku przywódców.

Willie przy pomocy kilku utalentowanych kamieniarzy zbudował ten dom z ogromnym kunsztem. Taka praca w dzisiejszych czasach kosztowałaby niebotyczne pieniądze.

Kilka okien wypaczyło się ze starości, a Charles pamiętał je, kiedy były całkiem nowe.

Nienawidził, gdy coś przypominało mu, jak bardzo jest stary.

Anna zgasiła silnik i zaczęła otwierać drzwiczki, ale ją powstrzymał.

– Czekaaj. – Coś podrażniło jego szósty zmysł odziedziczony po matce, a nauczył się ufać swojej intuicji. Spojrzał na Annę i sposepniał. Była całkiem bezbronna. Gdyby coś mu się stało, rozerwaliby ją na strzępy. – Przemień się – powiedział i natychmiast ogarnął go spokój. To było to. – Jeśli coś mi się stanie, zaczniesz uciekać, jakby cię furie goniły, znajdziesz jakieś bezpieczne miejsce i zadzwonisz do ojca, żeby cię zabrał.

Zawahała się.

Nie przywykł do tłumaczenia swoich decyzji. Jako jeden z przywódców w stadzie ojca nie musiał robić tego zbyt często. Jednak dla Anny postanowił zrobić wyjątek.

– Nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale to bardzo ważne, żebyś poszła tam w wilczej formie. – Wzruszył ramionami. – To mi podpowiada moja intuicja.

– Dobrze.

Czekając, aż Anna dokona przemiany, otworzył notes i jeszcze raz przejrzał spisaną przez nią listę. Powiedział Justinowi, że Leo może mieć przy sobie Izabelę i pierwszych pięciu. Według listy Anny poza Izabelą jedynie Boyd znajdował się na spisie, który dał mu ojciec. Jeśli Justin był Drugim Leo, to poza Alfą w domu nie było wilka, który by mu zagroził.

Ból w ranie na plecach zadał kłam temu twierdzeniu, więc poprawił się w myślach. Nie było nikogo, kto dałby mu radę w równej walce.

Anna skończyła przemianę i siedziała na fotelu kierowcy, ciężko dysząc. Pomyślał, że jest przepiękna. Miała smoliście czarną sierść z białą łatką na nosie i jasnoniebieskie oczy, dziwne, bo w ludzkiej formie były brązowe. Niewielka jak na wilkołaka, przerastała jednak gabarytami owczarka niemieckiego.

– Gotowa? – zapytał.

Pisnęła, wstając, a jej pazury zagłębiły się w skórzaną tapicerkę. Otrząsnęła się, jakby była mokra, i skinęła łbem.

Nie widział, żeby ktoś wyglądał przez okno, ale na ganku, pomiędzy drewnianymi zdobieniami połyskiwał obiektyw małej kamery. Charles wysiadł z samochodu, pilnując, by nie pokazać po sobie bólu, o jaki przyprawiała go rana.

Sprawdził w łazience u Anny i uznał, że rana nie powinna go za bardzo spowalniać. Najgorsza słabość po zatruciu srebrem już minęła. Zastanawiał się, czy nie udawać silnego osłabienia, i zrobiłby to, gdyby miał stuprocentową pewność, że to Leo jest odpowiedzialny za śmierć ludzi i wilkołaków. Wyrażna słabość sprowokowałaby Leo do ataku, a Charles nie chciał go zabijać, póki nie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Przytrzymał drzwiczki, żeby Anna wyskoczyła, po czym zatrzęsął je i ruszył do domu. Nie zawracał sobie głowy takimi uprzejmościami jak pukanie – nie przybył z wizytą towarzyską.

Wnętrze bardzo się zmieniło od jego ostatniego pobytu tutaj. Ciemna boazeria została rozjaśniona, a gazowe lampy zastąpiono oświetleniem elektrycznym. Anna szła u jego boku, lecz nie potrzebował przewodnika do salonu, gdyż tylko w jednym pomieszczeniu znajdowali się ludzie.

W domu mogło się zmienić wszystko, ale w salonie nadal królowała duma i radość Williego – wielki, ręcznie obrabiany

granitowy kominek. Izabela, lubiąca znajdować się zawsze w centrum wydarzeń, siedziała na polerowanym gzymsie z drewna wiśniowego. Leo zajął miejsce po przekątnej, z Justinem po lewej i Boydem po prawej. Pozostała trójka, na którą zgodził się Charles, siedziała na wykwintnych wiktoriańskich krzesłach. Wszyscy mężczyźni byli ubrani w garnitury w prążki, prócz Leo, który poprzestał na czarnych spodniach, odsłaniając opalony, umięśniony tors.

Efekt tego groźnego jednolitego frontu psuła co nieco różowo-bordowa tapicerka i ściany oraz Izabela, ubrana w dżinsy i odsłaniającą brzuch koszulkę tego samego koloru.

Charles zatrzymał się dwa kroki za progiem. Anna przykleiła się do jego nóg, nie na tyle mocno, by pozbawić go równowagi, ale wystarczająco, by przypomnieć, że jest przy nim.

Wszyscy milczeli, bo do Charlesa należało pierwsze słowo. Nabral powietrza do płuc i czekał, co powiedzą mu zmysły. Dzięki matce miał nie tylko ciemną skórę i rysy oraz zdolność szybkiej przemiany. Przekazała mu także dar widzenia. Nie oczyma, ale całą duszą.

Ze stadem Leo było coś nie tak, czuł to bardzo wyraźnie.

Popatrzył prosto w niebieskie oczy Leo, ale nie zobaczył nic, czego nie widział wcześniej. Ani śladu szaleństwa. A więc nie on, lecz ktoś ze stada.

Przyjrzał się trzem nowym wilkom i zrozumiał uwagę Anny o ich fizjonomii. Sam Leo był niebrzydki, w typie wikinga, ale był wojownikiem i tak właśnie wyglądał. Boyd miał długi nos, a krótka fryzura na żołnierza sprawiała, że spore uszy wydawały się odstawać jeszcze bardziej.

Natomiast trzy nieznanym wilki wyglądały niczym modele reklamujące smokingi w wypożyczalni. Szczupli, wiotcy, bez wyraźnej rzeźby, która mogłaby psuć linię kroju. Mimo różnic kolorystycznych podobieństwo było wyraźne. Izabela wsparła się bosą stopą o kominek, wzdychając ciężko.

Ignorował jej niecierpliwość, bo nie ona była teraz ważna, tylko Leo.

Podchwycił spojrzenie Alfya.

– Marrok przysłał mnie tutaj, abym zapytał cię, dlaczego sprzedałeś w niewolę swoje dziecko.

Najwyraźniej nie tego pytania spodziewał się Leo. Izabela myślała, że chodzi o Annę, a Charles nie wyprowadził jej z błędu. Sprawę Anny też poruszy, jednak pytanie od ojca było zdecydowanie lepsze na początek, bo niespodziewane.

– Nie mam żadnych dzieci – odparł Leo.

Charles potrząsnął głową.

– Wszystkie twoje wilki to twoje dzieci, Leo, wiesz o tym. Masz je kochać, karmić, strzec, chronić, nauczać i prowadzić przez życie. Sprzedałeś młodego człowieka, Alana MacKenziego Frazier. Komu i dlaczego?

– Nie należał do stada. – Leo rozłożył ręce, pokazując puste dłonie. – Utrzymywanie tylu wilków tu, w mieście jest bardzo kosztowne. Potrzebowałem pieniędzy. Chętnie podam ci nazwisko kupca, choć z tego, co wiem, jest tylko pośrednikiem.

Prawda. Wszystko prawda. Jednak Leo niezwykle uważnie dobierał słowa swojej odpowiedzi.

– Ojciec chciałby poznać jego nazwisko oraz sposób, w jaki się z nim skontaktowałeś.

Leo skinął na jednego z przystojniaków, który wyminął Charlesa z oczyma wbitymi w ziemię, ale na Annę popatrzył bykiem. Położyła po sobie uszy i warknęła.

Charles pomyślał, całkiem nieskruszony, że ma na nią zły wpływ.

– Czy mógłbym ci jeszcze jakoś pomóc? – zapytał Leo uprzejmie.

Wszyscy, wszystkie wilki Leo zastosowały sztuczkę Izabeli z perfumami, ale Charles miał naprawdę świetny nos. Leo był... smutny.

– Od sześciu lat nie aktualizowałeś listy członków stada – rzekł Charles, zastanawiając się, skąd ta reakcja u Alfy. Spotykał się ze sprzeciwem, gniewem, lękiem, ale nigdy ze smutkiem.

– Przypuszczałem, że to zauważysz. Zrobiliście z Anną listy porównawcze? Rzeczywiście, miałem tu kilka prób zamachu, które musiałem brutalnie rozwiązać.

Prawda, ale znów niecała. Leo posiadał prawniczą umiejętność takiego manipulowania prawdą, że używał jej jak kłamstwa, by prowadziła do fałszywych wniosków.

– To dlatego zabiłeś wszystkie kobiety w stadzie? Buntowały się przeciwko tobie?

– W stadzie nigdy nie było wielu kobiet.

Znów to samo. Czuł, że czegoś nie dostrzega. To nie Leo zaatakował młodego Frazier, tylko Justin.

Wilk Leo wrócił i wręczył Charlesowi karteczkę z imieniem i numerem telefonu napisanymi fioletowym długopisem.

Charles schował kartkę do kieszeni i kiwnął głową.

– Masz rację, mamy bardzo mało kobiet, dlatego te, które są, należy szczególnie chronić, a nie zabijać. Osobiście pozbawiłeś je życia?

– Wszystkie? Nie.

– A które zabiłeś sam?

Leo nie odpowiedział, a Charles wyczuł, jak jego wilk ożywia się, węsząc rozpoczynające się łowy.

– Nie zabiłeś kobiet – stwierdził Charles, spoglądając na modelowych przystojniaków i Justina, który również był piękny na szczególny, niewykończony sposób.

Leo kogoś ochraniał. Charles popatrzył na Izabelę, która kochała pięknych mężczyzn. Izabelę, która była starsza od Williego O’Shaughnessy’ego, kiedy ten popadł w obłąd.

Ciekaw był, od jak dawna Leo wie, że jego towarzyszka oszalała.

Przeniósł wzrok na Alfę.

– Trzeba było poprosić o pomoc Marroka.

Leo potrzęsnał głową.

– Wiesz, co by zrobił. Zabiłby ją.

Charles dałby wiele, by zobaczyć reakcję Izabeli, ale nie mógł spuścić oka z Leo – wilk przyparty do muru to niezwykle niebezpieczny wilk.

– Ilu przez to musiało zginąć? Ile stada straciłeś? Kobiety, które zabiła z zazdrości, ich partnerów, których musiałeś zabić, żeby ją chronić, wilków, które buntowały się, widząc, co wyprawiacie? Ilu?

– Żaden od trzech lat. – Leo zadarł brodę.

Gniew podnosił swój wstrętny łeb.

– Tak – zgodził się Charles łagodnie. – Żaden od czasu, gdy twoje łotry napadły na bezbronną kobietę i Przeistoczyły ją wbrew woli. Kobietę, którą później tak brutalnie traktowałeś.

– Izabela znienawidziłaby ją, gdybym jej bronił – wyjaśnił Leo. – A ja obmyśliłem wszystko tak, by to ona jej broniła. Udało się, Charles. Od trzech lat Izabela znów jest zrównoważona.

Była, dopóki nie przyszła dzisiaj do Anny i nie odkryła, że Charles jest nią zainteresowany. Izabela nie znosiła, by ktoś przy niej zwracał uwagę na inne kobiety.

Zaryzykował zerknięcie w jej stronę. Nie ruszyła się z gzymsu, lecz jej nogi zwisały luźno, żeby w razie potrzeby mogła błyskawicznie zeskoczyć na ziemię. Oczy Izabeli zmieniły się, buchało z nich niecierpliwe wyczekiwanie na scenę przemocy, której się spodziewała. Wierciła się niespokojnie na swoim miejscu.

W Charlesie wszystko buntowało się na myśl o tylu straconych życiach. Zwrócił się ponownie do Alfy.

– Żadnych trupów, bo miałeś Omegę, która trzymała ją w ryzach. I dlatego że nie miała żadnych rywalek prócz Anny, która czuła wstręt do twoich wilków po tym, jak kazałeś im ją gwałcić.

– Nie dopuściłem do śmierci Anny – rzekł Leo z naciskiem. – Obie trzymałem przy życiu. – Spuścił głowę w błagalnej prośbie o pomoc. – Powiedz ojcu, że jest zrównoważona. Powiedz, że dopilnuję, by nikogo już nie skrzywdziła.

– Usiłowała zabić dzisiaj Annę. I gdyby nie... Ona jest szalona, Leo.

Obserwował, jak z oblicza Leo znika ostatnia isierka nadziei. Alfa wiedział, że Charles nie zostawi Izabeli przy życiu – była zbyt groźna, zbyt nieprzewidywalna. Wiedział, że sam również jest już martwy. Zrobił zbyt wiele, by chronić życie swojej towarzyszki.

Leo zaatakował bez ostrzeżenia, ale Charles był gotów. Leo nie należał do tych, którzy potulnie idą na rzeź. Wiedział, że w tej walce przeciwnik nie odsłoni gardła dobrowolnie.

I obaj wiedzieli, kto zwycięży.



Anna stała osłupiała, gdy Leo wyjawiał swoją tajemnicę, lecz otrząsnęła się ze stuporu w chwili, gdy rozgorzała walka. Z pyska wyrwał jej się pisk zaskoczenia, a ona sama instynktownie rzuciła się naprzód, by bronić Charlesa.

Duże ręce robotnika chwyciły ją za kark i drapiącą pazurami po drewnianej podłodze, pociągnęły w tył.

– Spokojnie – dobiegł ją grzmiący głos Boyda. – Nie wtrącaj się, to nie twoja walka.

Głos, którego nauczono ją słuchać, uspokoił Annę na tyle, by mogła myśleć. Pomógł też Charlesowi uniknąć pierwszego ciosu za pomocą minimalnego ruchu ramion.

Wilki zerwały się na równe nogi, Justin zaczął skandować: „Zabij go, zabij go”. Nie była tylko pewna, czyjej śmierci pragnie. Justin nienawidził Leo za władzę, którą miał nad nim

Alfa, i za to, że Izabela była jego towarzyszką. Może było mu obojętne, kto zwycięży.

Leo wyprowadził serię gwałtownych ciosów, za każdym razem niecelnych, dlatego gdy lądował na ziemi, musiał postąpić krok do przodu, by nie upaść.

Charles wykorzystał potknięcie przeciwnika i wykonał płynny ruch, zbyt szybki, by Anna dostrzegła dokładnie, na czym polegał. Cios, którego celem było ramię Leo, wywołał ryk bólu miejscowego Alfę.

To, co stało się później, stało się tak błyskawicznie, że Anna nie potrafiła odtworzyć kolejności zdarzeń.

Rozległ się podwójny huk, uchwyt Boyda na jej karku zelżał, zagrzmiało siarczyste przekleństwo i rozległ się histeryczny śmiech Izabeli.

Wystarczył rzut oka, by pojąć sytuację. Izabela trzymała w dłoni broń, czekając na kolejną szansę czystego strzału do Charlesa.

Anna wyrwała się Boydowi i runęła przez salon. Siedząca na kominku Izabela podchwyciła jej spojrzenie.

– Stój, Anno – rzuciła.

Pewna całkowitego posłuszeństwa dziewczyny, nie zatrzymała wzroku na dłużej, by upewnić się, że rozkaz został wykonany, i natychmiast przeniosła znów uwagę na walczących.

Anna odczuła nakaz Izabeli jak powiew wietrzyku, który zmierzwił jej sierść, ale nic poza tym.

Sprężyła się do susa i skoczyła. Jej szczęki zamknęły się na ramieniu Izabeli, a odgłos gruchotanej kości usatysfakcjonował jej rozgniewaną wilczycę. Impet ataku zmiotł Izabelę z gzymsu i obie spadły w palenisko, Anna, nie puszczając ręki Izabeli.

Przyczaiła się, oczekując ruchu przeciwniczki, ale kobieta leżała nieruchomo. Ktoś podszedł i Anna warknęła ostrzegawczo.

– Spokojnie – rzekł Boyd, a jego łagodny głos zadziałał na Annę bardziej niż rozkaz Izabeli.

Kiedy poczuła na grzbiecie jego dłonie, warknęła głośniej, lecz on nie zwracał na nią uwagi, skupiając się na Izabeli.

– Nie żyje – oświadczył. – Należało jej się za to, że zapomniała, iż nie jesteś jednym z uległych wilków, który jej posłucha. Puść, Anno. Upadając, uderzyła się o kominek. Jest martwa. – Jednak gdy Anna puściła ramię, schylił się i przekręcił głowę Izabeli, aż kręgosłup chrupnął nieprzyjemnie. Potem podniósł broń.

Wpatrując się w nieruchome ciało, Anna zaczęła się trząść. Podniosła łapę, ale nie była pewna, czy iść naprzód, czy się cofnąć. Dopiero uderzenie krzesłem w bok przypomniało jej, że obok toczy się walka, a Izabela dwukrotnie postrzeliła Charlesa.

Jeśli był ranny, nie pokazywał tego po sobie. Poruszał się tak samo zwinnie, jak na początku, Leo zaś chwiał się, z jednym ramieniem zwisającym bezwładnie. Charles przyskoczył do niego z tyłu, uderzył kantem dłoni w kark i Leo runął na ziemię niczym latawiec, gdy ustaje wiatr.

Boyd wydał z siebie niskie, żałobne wycie, podchwyczone przez inne wilki oplakujące śmierć swojego Alfya.

Nie zwracając na nich uwagi, Charles przyklęknął przy leżącym i tak samo jak przed chwilą Boyd z Izabelą, przekręcił głowę Leo, upewniając się, że ten jest martwy.

Kłęczał tak przez chwilę na jednym kolanie, niczym oświadczaający się mężczyzna. Skłonił głowę i jeszcze raz wyciągnął rękę, tym razem, by dotknąć twarzy Leo.

Justin skoczył tak szybko, że Anna nie miała szans dostrzec, co się święci. Nie zauważyła nawet, kiedy przybrał wilczą formę. Runął na Charlesa jak szarżujący byk, a Charles przypadł do ziemi.

Anna zamarła, ale na szczęście nie Boyd. Uniósł broń i strzelił Justinowi prosto w oko, nim ten zderzył się z Charlesem.

W ułamku sekundy było po wszystkim.

Boyd ściągnął bezwładne ciało Justina z Charlesa i rzucił je opodal. Anna nie przypominała sobie, jak znalazła się przy Charlesie, ale stała obok, warcząc na Boyda. Ten wycofał się powoli z uniesionymi rękami. Broń miał zatknęta za pasek.

Gdy tylko Boyd przestał być zagrożeniem, Anna skupiła całą uwagę na Charlesie. Leżał twarzą na podłodze, skąpany we krwi. Nos powiedział jej, że częściowo jest to krew Justina, ale Charlesa także.

Choć walczył z Leo, jakby nic się nie stało, Izabela trafiła go przynajmniej raz. W plecach ziała dziura po kuli. W wilczej formie Anna nie mogła mu pomóc, a przemiana trwałaby zbyt długo.

Spojrzała z ukosa na Boyda.

Wzruszył ramionami.

– Nie mogę mu pomóc z daleka.

Wpatrzyła się w niego wyzywająco, czego nie odważyłaby się zrobić nigdy wcześniej, ale nie wydawało mu się to przeszkadzać. Czekał, aż się zdecyduje. Wilki nie ufają nikomu na tyle, by powierzyć życie swojego towarzysza w czyjeś ręce, lecz Anna nie miała wyboru.

Przeskoczyła leżącego Charlesa, ustępując miejsca Boydowi, jednak warknęła odruchowo, gdy ten przetoczył rannego na plecy, by obejrzeć rany. Druga kula przebiła lewą łydkę.

Boyd zrzucił marynarkę i ściągnął z siebie koszulę, siejąc wszędzie guzikami, a następnie rozdarł jedwabną tkaninę na pasy, którymi pospiesznie i ze znanstwem opatrzył ranę, wydając jednocześnie rozkazy:

– Holden, zadzwoń po resztę stada, zacznij od Rashida. Niech przywiezie ze sobą wszystko, czego trzeba do opatrzenia rany postrzałowej. Obie kule przeszły na wylot. Potem zadzwoń do Marroka i powiedz, co się wydarzyło. Jego numer jest w notesie Izabeli w szufladzie pod aparatem.

Anna zaskomlała.

Obie kule Izabeli sięgnęły celu.

– Nie umrze – uspokajał ją Boyd, mocując ostatni bandaż. Rozejrzał się po salonie i zaklął. – To miejsce wygląda jak scena z Hamleta. Gardner i Simon, zabierzcie się za sprzątanie. Trzeba przenieść Charlesa w spokojniejsze miejsce, bo nie ocknie się w radosnym nastroju, a cała ta krew nie pomoże. – Podniósł rannego i opuścił salon z Anną depczącą mu po piętach.



Już w ludzkiej formie Anna położyła się na łóżku obok Charlesa. Rashid, który był zarówno wilkołakiem, jak i lekarzem, przyszedł, wymienił opatrunki na prawdziwe, powiedział Annie, że Charles stracił przytomność z powodu utraty krwi, i poszedł.

Potem odwiedził ich Boyd. Poradził Annie, żeby wyszła z pomieszczenia, które zbudowano tak, by utrzymać w nim rozwścieczonego wilkołaka. Nie sprzeczał się z nią jednak, gdy odmówiła. Zamknął tylko zasuwę, gdy wyszedł. Odczekawszy, aż zostaną sami, Anna przemieniła się i założyła wyjęte ze starej szafy ubrania. Były w różnych rozmiarach i udało jej się znaleźć podkoszulek i dzinsy, które mniej więcej pasowały.

Charles nie zauważył, kiedy położyła się przy nim. Złożyła głowę na poduszce obok i zasłuchała się w jego oddech.



Nie ocknął się spokojnie. W jednej chwili leżał bezwładnie, a w następnej zerwał się na równe nogi. Nie była do tej pory świadkiem jego przemiany, wiedziała, że jest to szybki proces,

ale nie sądziła, że wygląda to tak pięknie. Zaczęło się od nóg, cynamonowa sierść pełzła w górę i w końcu na materacu stał strasznie zły, ociekający krwią wilk.

Jasnożółte ślepia omiotły pokój, zatrzymując się na zaryglowanych drzwiach, okratowanych oknach i na niej.

Leżała nieruchomo, pozwalając mu w spokoju obejrzyć okolicę i upewnić się, że nic mu nie grozi. Kiedy popatrzył na nią ponownie, usiadła i zabrała się do poprawiania opatrunków.

Warknął, ale poklepała go delikatnie po nosie.

– Wystarczająco dużo już straciłeś krwi. Te opatrunki nie będą świadczyły o twojej słabości bardziej niż krwawiące rany, a przynajmniej nie narobisz bałaganu.

Kiedy skończyła, zanurzyła palce w sierść na jego szyi i przytuliła głowę do jego łba.

– Myślałam, że cię straciłam.

Przez chwilę stał spokojnie, po czym wyzwolił się z objęć Anny, zeskoczył z łóżka i podszedł do drzwi.

– Są zamknięte od zewnątrz – wyjaśniła, sama jednak podniosła się i poszła za nim.

Popatrzył na nią spokojnie.

Zamek zazgrzytał, otworzyły się drzwi, a w progu stanął szczupły, niezwykle mężczyzna, niewiele po dwudziestce. Kucnął, popatrzył Charlesowi w oczy i przeniósł wzrok na Annę.

Siła osobowości kryjąca się w tych oczach uderzyła dziewczynę jak obuchem, nie była więc zaskoczona, rozpoznając jego głos.

– Trzy razy w ciągu jednego dnia – mruknął Marrok. – Chicago dało ci w kość bardziej niż zazwyczaj, synu. Lepiej zabiorę cię do domu, co ty na to?

Nie miała pojęcia, co powiedzieć, więc milczała. Położyła dłoń na karku Charlesa i przełknęła z trudem ślinę.

Charles spojrział na ojca.

– A pytałeś ją?

Charles warknął głucho.

Marrok roześmiał się, wstając.

– Tak czy owak, zapytam. Ty jesteś Anna. – Nie było to pytanie.

Zaschło jej w gardle, więc tylko potwierdziła skinieniem.

– Mój syn pragnie, żebyś towarzyszyła nam do Montany. Zapewniam, że jeśli nie masz na to ochoty, mogę przenieść cię tam, gdzie będziesz chciała.

Charles warknął, a Bran spojrział na niego, unosząc brew.

– Ja jestem Marrokiem, Charles, i jeśli to dziecko zechce iść gdzie indziej, to jej to zapewnię.

Anna przysunęła się do Charlesa.

– Chciałabym zobaczyć Montanę – rzekła.



CZĘŚĆ 2



Prolog

**Północno-zachodnia Montana,
góry Cabinet, październik**

Nikt nie wiedział lepiej od Waltera Rice'a, że jedynym bezpiecznym miejscem jest miejsce z dala od ludzi. Bezpiecznym dla nich. Kłopot w tym, że Walter wciąż ich potrzebował; potrzebował dźwięku ich rozmów i śmiechu. Wstydził się tego, ale czasami podkradał się do któregoś z obozowisk, żeby posłuchać głosów, udawać, że mówi do niego.

Częściowo właśnie dlatego leżał na brzuchu w poszyciu i igłach modrzewiowych, pod osłoną drzew, obserwując młodego człowieka, który zerwawszy gałązkę akantu, włożył ją w woreczku do plecaka i teraz zapisywał coś w notesie.

Walter nie obawiał się, że chłopak go zobaczy – Wuj Sam dopilnował, by Walter umiał się ukrywać i tropić niezauważony, a dekady samotnego życia w największej dziczy Stanów Zjednoczonych upodobniły go do tych niewidzialnych Indian z książek i filmów jego dzieciństwa. Jeśli nie chciał być zauważony, nikt by go nie dostrzegł, poza tym chłopak wiedział tyle o lesie, co kura domowa z przedmieścia. Nie powinien zapuszczać się sam w krainę grizzly – karmienie niedźwiedzi studentami nie było najlepszym pomysłem, jedzenie mogło im zasmakować.

Nie żeby w pobliżu znajdowały się jakieś niedźwiedzie. Podobnie jak Walter, czuły zbliżającą się burzę – za parę godzin

ten rejon miał pograć się w piekle nawałnicy. Rice czuł to w kościach, a obcy nie był na to przygotowany – nie miał na tyle dużego plecaka. O tej porze za wcześnie na zimową zawieruchę, ale w tej okolicy właśnie tak bywało. Widywał tu nawet śnieg w sierpniu.

Właśnie nadciągająca burza stanowiła główny powód, dla którego szedł za chłopakiem. Burza i niezdecydowanie, jak postąpić. Walter rzadko się wahał. Mógłby pozwolić dzieciakowi odejść. Nawałnica przyjdzie i zabierze jego życie, tak wygląda to w górach, w dziczy. To byłaby czysta śmierć. Gdyby tylko student nie okazał się aż tak młody. Walter w poprzednim swoim życiu widział tak wielu umierających chłopców, że powinien zobojętnieć, a jednak tego chyba było o jednego zbyt dużo.

Mógłby ostrzec turystę, lecz wobec takiej perspektywy wszystko się w nim buntowało. Dawno z nikim nie rozmawiał, na samą myśl język mu kołowaciał.

To byłoby zbyt niebezpieczne. Mogłoby wywołać te wspomnienia – już dawno żadne się nie pojawiło, ale czyhały tuż-tuż. Lepiej trzymać się z daleka, niż próbować ostrzec chłopca – i go zabić.

Nie. Nie może ryzykować tej odrobiny równowagi, ostrzegając obcego... Jednak nie wolno też pozwolić mu tak zginąć.

Pogrążony we frustrujących myślach, podążał za chłopakiem od kilku godzin, gdy ten, nieświadom niebezpieczeństwa, zagłębiał się coraz bardziej w dzicz, oddalając od najbliższej drogi. Przypięta do plecaka karimata wskazywała, że zamierzał spędzić noc w lesie, a to powinno oznaczać, że ma doświadczenia z naturą. Jednakże im dalej, tym jaśniejsze się stawało, że studenta wiodła jedynie złudna pewność siebie. To jakby oglądać Barbie na safari. Smutne to. Smutne.

Jak żółtodzioby w Wietnamie, wyprasowani, gotowi, żeby stać się mężczyznami, choć wszyscy wiedzieli, że są tylko mięsem armatnim. Przeklęty chłopak budził różne myśli, które Walter wolałby pozostawić odłogiem. Szedł już tak z dziesięć kilometrów, nie mogąc się zdecydować – pochłonięty rozważaniami nie dostrzegł niebezpieczeństwa, póki chłopak nie stanął nagle na środku szlaku jak wryty.

Gęste krzewy przesłaniały widok na to, co zatrzymało młodego turystę. Rice widział tylko górę jego plecaka, więc przeszkoda musiała być mniejsza. Tyle dobrze, że to nie łoś. Ze spotkania z niedźwiedziem, nawet grizzly – jeśli nie był wygłodniały (a z doświadczenia wiedział, że to rzadkość) – można próbować się wywinąć, ale łoś...

Walter dobył wielkiego noża, choć nie miał jeszcze pewności, czy w ogóle pomoże chłopcu. Jeśli to czarny niedźwiedź, śmierć przyjdzie szybciej niż podczas burzy, nawet jeśli będzie bardziej krwawa. A dobrze znał tutejsze niedźwiedzie, w przeciwieństwie do chłopaczka. Powoli przesunął się do przodu, nie czyniąc żadnego hałasu mimo suchych liści zaścielających ziemię. Gdy chciał poruszać się bezgłośnie, robił to bezgłośnie. Niski warkot obudził w Walterze falę lęku, która ogarnęła go, wypiętrzając poziom adrenaliny ponad warstwę ozonową. Nie słyszał tu takiego dźwięku, a znał dobrze drapieżniki żyjące na jego terytorium.

Jeszcze kilka kroków i już nic nie przesłaniało mu widoku.

Pośrodku szlaku stał pies, w każdym razie jakieś psowate stworzenie. W pierwszej chwili myślał, że to wilczur ze względu na umaszczenie, lecz z powodu dziwnych stawów zwierzę przypominało raczej niedźwiedzia. Poza tym Rice w życiu nie widział tak ogromnego wilka czy psa. Stwór miał chłodne spojrzenie zabójcy i niesamowicie długie kły.

Walter nie potrafił go nazwać, ale wiedział, co to. Pysk owej bestii odzwierciedlał jego najgorsze koszmary. Była tym, z czym

walczył w Wietnamie przez dwie zmiany – śmiercią. Ta walka należała do starego żołnierza, zaprawionego w bojach, skażonego śmiercią, a nie do niewinnego dzieciaka.

Wyrwał się z kryjówki jednym susem, robiąc jak najwięcej hałasu, by przyciągnąć uwagę bestii, i pognął w jej stronę, ignorując protesty stawów, zbyt starych już na bieganie. Ostatnią potyczkę stoczył bardzo, bardzo dawno, ale nie zapomniał jeszcze, jak to jest, gdy krew szybko tętni w żyłach.

– Uciekaj! – zawołał, mijając chłopaka, wykrzywiony dziko, pędząc na spotkanie z wrogiem.

Zwierzę mogłoby uciec. Nie spieszyło się z atakiem na młodzieniaszka, a czasami, kiedy ofiara szarżuje, drapieżca odchodzi. Jednakże Walter wątpił, by bestia należała do takich zwierząt – w jej oślepiająco jasnych, złotych oczach płonęła upiorna inteligencja.

Cokolwiek powstrzymywało ją od natychmiastowego zaatakowania uczniaka, nie miało podobnych wątpliwości wobec Waltera. Bestia rzuciła się na niego, jakby był całkiem bezbronny. Może nie była jednak tak mądra, jak uważała, albo dała się zwieść starczym wyglądem Rice'a, nie podejrzewając, co stary weteran może zrobić z nożem długim jak przedramię. A może podniecona ucieczką chłopaka, który wziął sobie radę do serca i gnał na złamanie karku, uznała Waltera za przeszkodę w zdobyciu świeżego, delikatnego mięsa.

Ale Rice nie był bezbronnym dzieckiem. Zdobył sztylet, zabijając pewnego generała – podkradł się do niego w mroku i zamordował tak, jak go uczono. Na ostrzu wygrawerowano jakieś zaklęcia, symbole, które dawno temu poczerniały jak cała reszta srebrnego noża. Choć była to broń egzotyczna i wymyślna, świetnie się spisywała, a teraz wbiła się głęboko w łapę przeciwnika.

Bestia była silniejsza i szybsza niż Walter, ale to on zadał pierwszy cios, okaleczając wroga, a to zmieniało równowagę sił.

Nie zwyciężył, lecz osiągnął to, co zamierzał. Odciągnął uwagę istoty i poważnie ją zranił. Przez to nie będzie mogła ścigać chłopaka, który jeśli był mądry, znajdował się już w połowie drogi do swojego samochodu.

Wreszcie potwór odszedł, kulejąc z powodu okaleczonej przedniej łapy i krwawiąc z kilkunastu ran, choć nie było wątpliwości, kto jest bardziej pokiereszowany. Walter widział niejedną śmierć, a specyficzny zapach z przebitego jelita podpowiadał, że jego czas nadszedł.

Ale chłopak uciekł. Może to choć w małym stopniu wynagrodzi śmierć tylu młodych ludzi, którzy polegli.

Rozluźnił mięśnie pleców i poczuł, jak sucha trawa i miękka ziemia uginają się pod ciężarem jego ciała. Ziemia chłodziła rozpaloną, spoconą skórę Rice'a, przynosząc mu ulgę. Oddanie życia w obronie nieznanego wydawało się właściwe, biorąc pod uwagę, że to śmierć innego obcego przywiodła go w to miejsce.

Powiał wiatr i Walterowi wydawało się, że spadła temperatura, choć takie wrażenie mogła też wywołać utrata krwi i wstrząs. Przymknął powieki, czekając cierpliwie, żeby śmierć, stary wróg, w końcu go zabrała. Nóż trzymał w ręku na wypadek, gdyby ból stał się nie do zniesienia. Od ran brzucha nie odchodzi się szybko i spokojnie.

Lecz to nie śmierć nadeszła w sercu pierwszej zimowej nawałnicy.



1

Chicago, listopad

Anna Latham usiłowała zniknąć w fotelu pasażera. Nie zdawała sobie sprawy, ile pewności siebie czerpała z bliskości Charlesa. Znała go ledwie półtora dnia, a całkiem zmienił jej świat... W każdym razie kiedy był przy niej.

Bez niego całe nowo zdobyte poczucie wartości wyparowało jak kamfora. Jego brak wytykał jej drwiąco, jakim tchórzem jest naprawdę. Tak jakby potrzebowała przypominania.

Zerknęła na kierowcę, który prowadził wypożyczony przez Charlesa samochód z nonszalancką lekkością, manewrując na niezbyt zatłoczonej, pokrytej gołoledzią drodze ekspresowej, jakby był rodowitym mieszkańcem Chicago, a nie przybyszem z dziczy Montany.

Ojciec Charlesa, Bran Cornick, przypominał studencika informatyki albo filozofii. Ktoś wrażliwy, łagodny i bardzo młody. Jednak ona wiedziała, że obce mu są wszystkie te cechy. Ojciec Charlesa był Marrokiem, tym, przed którym odpowiadały

wszystkie Alfy, a nikt wrażliwy czy łagodny nie przewodził Alfom wilkołaków.

Nie był także młody. Charles miał prawie dwieście lat, więc jego ojciec musiał być starszy. Zerknęła na niego kątem oka, usiłując dopatrzeć się podobieństwa ojca i syna, ale prócz kształtu dłoni i oczu byli całkiem różni. Co prawda Charles po matce wyglądał jak rdzenny Amerykanin, lecz przecież musieli mieć coś wspólnego, coś, co świadczyłoby, że Marrok jest takim typem człowieka jak Charles.

Rozum był gotów wierzyć, że Bran Cornick jej nie skrzywdzi, że nie jest taki, jak wilkołaki, które znała. Jednak ciało nauczyło się bać samców z jej gatunku. Im silniejsze, bardziej dominujące, tym większe prawdopodobieństwo, że mogą ją skrzywdzić. A przecież, bez względu na to, jak łagodny by się wydawał, nie było bardziej dominującego wilka nad Brana Cornicka.

– Nie pozwolę, by ci się coś stało – obiecał, nie patrząc na Annę.

Czuła własny strach, więc to jasne, że on również go czuł.

– Wiem – wydukała z trudem, zła, że pozwoliła się zmienić w takiego tchórza. Liczyła, że jej strach Bran składa na karb bliskiego spotkania z członkami stada, że boi się ich reakcji po tym, jak doprowadziła do śmierci ich Alfy. Miała nadzieję, że nie domyśli się, iż on także wzbudza w niej lęk. W zasadzie głównie on.

Uśmiechnął się lekko, ale już milczał.

Parking przed jej domem wypełniały obce auta. Między innymi lśniaca, szara furgonetka z pomarańczowo-białą przyczepą, na której wymalowano wielkiego manata. Napis pod spodem głosił, że Floryda to „Kraina manatów”.

Bran zaparkował, nie przejmując się, że blokuje wjazd. Wsiadając z samochodu, Anna zdała sobie sprawę, że też nie

musi się już przejmować, co powie właściciel kamienicy. Wyjeżdżała do Montany. Czy Montana to „Kraina wilków”?

Przed wejściem czekały cztery wilkołaki w ludzkiej formie. Jednym z nich był Boyd, nowy Alfa. Otaksował Annę spod oka. Natychmiast spuściła wzrok i ustawiła się tak, by Marrok odgradzał ją od stada.

Okazało się, że Bran wzbudza w niej jednak mniej lęku niż oni. Dziwne, bo dzisiaj akurat spoglądali na nią bez pożądania, które zazwyczaj budziło panikę. Wyglądali na wyciszonych i... zmęczonych. Wczorajsza śmierć Alfego przepełniała ich bólem. Ona także czuła stratę, ale ignorowała te emocje, przejęta bardziej fatalnym stanem Charlesa.

Jednakże w ich świadomości to Anna była przyczyną żałoby.

Powtórzyła sobie w duchu, że Leo zasługiwał na śmierć – zabił wiele osób sam i za pośrednictwem innych. Na szczęście nie będzie musiała już patrzeć na członków swojego stada. Postanowiła nie odzywać się do nich, licząc, że ją zignorują.

Problem w tym, że przyszli tu, by pomóc jej w wyprowadzce. Usiłowała temu zapobiec, lecz nie potrafiła długo sprzeciwić się Marrokowi. Zaryzykowała zerknięcie na Boyda, ale miał nieodgadnioną minę.

Wyjęła klucze i trzęsącymi się rękami zaczęła gmerać w zamku. Żaden z wilkołaków nie okazał zniecierpliwienia, jednak spieszyła się, czując na plecach ich palący wzrok. O czym teraz myślą? Wspominają, co jej robili? Ona nie. Absolutnie nie. Oddychaj, napominała się.

Jeden z mężczyzn poruszył się nerwowo i warknął podniecony.

– George!

Ostrzegawcze syknięcie Boyda uspokoiło wilkołaka natychmiast.

Anna wiedziała, że to jej strach drażni wilki. Musiała wziąć się w garść, a oporny zamek nie pomógł. Gdyby Charles był

przy niej, poradziłaby sobie ze wszystkim, ale ranny po kilkukrotnym postrzale, nie mógł przyjść. Bran powiedział, że Charles reaguje na srebro silniej niż przeciętny wilkołak.

– Nie sądziłem, że przyjedziesz – odezwał się Marrok, nie do niej, jak zakładała, bo przecież sam nakłonił ją, żeby zostawiła na chwilę Charlesa i zabrała się pakowania. Pewnie zwracał się do Boyda, bo to on odpowiedział:

– Miałem dzisiaj wolne.

Jeszcze do wczoraj Boyd był Trzecim. Teraz został Alfą stada zachodnich przedmieść Chicago. Stada, które opuszczała.

– Pomyślałem, że przyda się pomoc. Będzie szybciej – ciągnął.
– Thomas zgodził się zawieźć wszystko samochodem do Montany.

Wreszcie uporowała się z zamkiem i pchnęła skrzydło, lecz Bran nie spieszył się z wchodzeniem do środka, zatrzymała się więc, przytrzymując drzwi.

– Jak wygląda sytuacja finansowa waszej gromady? – zapytał.
– Podobno Leo twierdził, że potrzebował pieniędzy.

W głosie Boyda zadźwięczały nuty typowego dla niego niewesołego uśmiechu.

– Owszem, i to niemało. Utrzymanie Izabeli było drogie jak diabli. Nie stracimy posiadłości, ale to jedyna dobra wiadomość, jaką uraczył mnie księgowy. Zyskamy trochę pieniędzy ze sprzedaży biżuterii Izabeli, choć to będzie tylko część tego, co zapłacił za nią Leo.

Anna popatrzyła na Brana. Przesuwał uważnym spojrzeniem po wilkołakach niczym generał na inspekcji wojsk. Jego wzrok zatrzymał się na Thomasie. Anna przemogła się i także zerknęła na mężczyznę. Miał na sobie stare dzinsy z dziurą na kolanie oraz znoszone trampki, czyli mniej więcej to, co ona, z tym że u niej dziura znajdowała się na drugim kolanie.

– Czy podróż do Montany i z powrotem nie będzie kolidowała z twoją pracą? – zapytał Bran.

– Nie, proszę pana – odpowiedział Thomas cicho, nie podnosząc oczu. – Jestem budowlańcem, a to martwy sezon. Ugadałem się z szefem, dał mi dwa tygodnie wolnego.

Bran wyjął książeczkę czekową i wykorzystując plecy jednego z wilków w roli blatu, wypisał czek.

– To na wydatki związane z podróżą. W Montanie odbierzesz zapłatę za transport.

Na twarzy Thomasa odbiła się ulga, lecz nic nie powiedział.

Bran przekroczył próg, wyminął Annę i zaczął iść po schodach. Wystarczyło, że odwrócił się plecami, a mężczyźni zwrócili spojrzenia na dziewczynę. Zadarła brodę i zapominając o postanowieniu unikania prowokacji, popatrzyła im w oczy. Boyd miał nadal nieodgadnioną minę, Thomas stał ze spuszczoną głową, ale w twarzach George'a i Joshuy można było czytać jak w otwartej księdze. Mówiły jasno, czym jest dla nich Anna.

Obaj byli ludźmi Leo nie tylko z powodu przynależności do stada, ale też z przekonania. Mieli Annę za nic, a teraz winili za śmierć Alfę i gdyby mogli, zabiliby ją na miejscu.

Tylko spróbujcie, przekazała im Anna niewerbalnie i odwróciła się, nie opuszczając wzroku. Jako towarzyszka Charlesa stała w hierarchii wyżej niż oni wszyscy, mimo to w świadomości tak ich wilczej, jak i ludzkiej części nadal pozostawała tym, czym uczynił ją Leo.

Mimo ściśniętego żołądka i napiętych mięśni Anna starała się iść spokojnie aż na samą górę, pod drzwi mieszkania. Otworzyła zamki i przepuściła Brana, chcąc dobitnie pokazać, że przynajmniej ona ma dla niego respekt.

Bran przekroczył próg i zatrzymał się, omiatając spojrzeniem wnętrze. Wiedziała, co ujrzał – stół turystyczny, dwa zdezelowane krzeselka i rozkładany materac.

– Mówiłam, że sama sobie poradzę z pakowaniem – odezwała się Anna. Zdawała sobie sprawę, jak nędzny posiada dobytek,

ale chciała jakoś wyrazić bunt wobec milczącej dezaprobaty Brana. – Wystarczyło, żeby przyszli tylko poznosić pudła.

– Pakowanie i znoszenie nie zajmie nam nawet godziny – ocenił Marrok. – Boyd, ile wilkołaków mieszka w takich warunkach?

Boyd wyminął Annę, obrzucił wzrokiem mieszkanie i zasępił się. Nigdy tutaj nie był. Zerknął na Annę, poszedł do kuchni i otworzył zięjące pustką wnętrze lodówki.

– Nie sądziłem, że jest aż tak źle – mruknął i zwrócił się do Thomasa: – Jak u ciebie?

Wywołany wilkołak wszedł do środka i uśmiechnął się przepraszająco do nowego Alfya.

– Nie aż tak tragicznie, bo moja żona też pracuje. Mamy sporo opłat.

Thomas, podobnie jak Anna, stał na samym dole hierarchii stada, a jako żonaty nie brał udziału w „zabawach”, których przedmiotem stała się Anna, jednak nie sprzeciwiał się im również. Przypuszczalnie to więcej, niż można wymagać od uległego wilka, ale nie zmniejszało to jej urazy.

– Możliwe, że pięć, sześć – westchnął Boyd. – Zobaczę, co da się zrobić.

Bran wyjął portfel i wręczył mu wizytówkę.

– W przyszłym tygodniu skontaktuj się z Charlesem i ustaw spotkanie z waszym księgowym. W razie czego pomyślimy o pożyczce. Nie ma nic gorszego niż głodny, zdesperowany wilkołak na ulicach.

Boyd skinął głową.

Interesy z Marrokiem dobiegły końca i dwa pozostałe wilkołaki weszły do mieszkania. Przechodząc, George celowo trącił Annę. Odskoczyła gwałtownie, instynktownie otaczając się ramionami w obronnym geście. George obdarzył ją paskudnym uśmiechem.

– *Debilus non victoria* – mruknęła. Głupie zagranie. Zdała sobie z tego sprawę, jeszcze zanim wystrzeliła ku niej pięść George’a.

Uchyliła się, cios wymierzony w brzuch trafił w ramię. Impet aż ją obrócił. Mała przestrzeń nie pozwoli jednak na uniknięcie kolejnego razu.

Tyle że kolejnego nie było.

George leżał na podłodze na brzuchu, przyciskany do podłogi kolanem Boyda. Nie próbował nawet walczyć.

– Nie wolno jej tak – tłumaczył się pospiesznie. – Leo powiedział: żadnej łaciny. Sam wiesz.

Stało się tak dlatego, że Anna, zorientowawszy się, iż w stadzie nikt prócz Izabeli – przyjaciółki, jak sądziła – nie rozumie łaciny, uczyniła sobie z niej tajny język, którym mogła wyrażać sprzeciw. Leo nie od razu się zorientował.

– Leo nie żyje – rzekł Boyd cicho do ucha George’a. – Nowy Alfa, nowe zasady. Jeśli nie jesteś samobójcą, nie podniesiesz ręki na towarzyszkę Charlesa na oczach jego ojca.

– Głupek nie zwycięży? – odezwał się Bran, spoglądając na Annę jak na dziecko, które wyskoczyło z jakąś zaskakująco mądrą uwagą. – To raczej pseudołacina. Wymowa też kiepska.

– To wina ojca – wyjaśniła, rozcierając miejsce po uderzeniu. Jutro po sińcu nie będzie śladu, ale na razie bolało. – Miał zajęcia z łaciny na studiach i stąd te powiedzonka. *Interdum feror cupidine partium magnarum Europe vincendarum* to jego ulubione.

– Czasami czuję przemożną potrzebę podbicia lwiej części Europy? – zdumiał się Boyd. Najwyraźniej nie tylko Izabela rozumiała łacinę.

Anna przytaknęła.

– Mówił tak, jak dawaliśmy mu z bratem w kość.

– I to było jego ulubione powiedzenie, tak? – Bran obserwował Annę, jakby była ciekawym okazem owada... Ale

owada, który coraz bardziej mu się podobał.

– Mój brat był strasznym łobuzem.

Bran uśmiechnął się i Anna wreszcie doszukała się podobieństwa ojca i syna. Tak samo uśmiechał się Charles.

– Co mam z nim zrobić? – zapytał Boyd, wskazując brodą na George'a.

Bran spojrział na Annę, poważniejąc.

– Mam go zabić?

Zaległa cisza. Anna uświadomiła sobie, że po raz pierwszy nie ona jedna jest źródłem woni strachu unoszącej się w powietrzu. Wszyscy trzęśli się przed Marrokiem.

– Nie – skłamała. Pragnęła jak najszybciej spakować się, mieć to z głowy i już nigdy w życiu nie oglądać George'a i jemu podobnych. – Nie. – I tym razem powiedziała to szczerze.

Bran przekrzywił głowę, a jego oczy leciutko pojaśniały, złocąc się w ciemnym korytarzu.

– Niech wstanie – rozkazał.

Anna weszła do mieszkania jako ostatnia. Bran tymczasem zdejmował już pokrycie z materaca. Widok równy temu, jakby prezydent kosił trawnik przed Białym Domem albo wynosił śmieci.

Boyd zbliżył się do Anny, trzymając w wyciągniętej ręce czek, który zdjął z drzwi lodówki.

– Mamy wobec ciebie dług wdzięczności – powiedział. – Kiedy sprawy zaszły za daleko, żaden z nas nie mógł skontaktować się z Marrokiem. Leo nam zabronił. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile godzin wpatrywałem się w telefon, usiłując przełamać jego zakaz.

Zaskoczona Anna spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie od razu zorientowałem się, czym jesteś. – Uśmiechnął się gorzko. – Nie zwracałem na ciebie uwagi. Ze wszystkich sił starałem się nie zwracać na nic uwagi i nie myśleć. W ten sposób było mi łatwiej.

– Omegi to rzadkość – zauważył Bran.

Boyd nie spuszczał wzroku z Anny.

– Mało brakowało, a nie zauważyłbym, co Leo robi... Dlaczego zgotował ci takie piekło, choć przecież zazwyczaj szybko pozbywał się kłopotów. Znałem go naprawdę długo i wiem, że nigdy nie zgadzał się na takie traktowanie kogokolwiek. Widziałem, że sam się przed tym wzdryga. Tylko Justin znajdował w tym przyjemność.

Anna opanowała nerwowy dygot, przypominając sobie, że Justin także już nie żyje.

– Kiedy wreszcie zdałem sobie sprawę, że Leo nie może mieć pewności, czy go posłuchasz, że nie jesteś uległym wilkołakiem, tylko Omegą, było nieomal po wszystkim... – Westchnął. – Numer do Marroka dałem ci dwa lata temu, normalnie nie zwlekałabyś z tym tak długo. Dlatego ogromnie ci dziękuję i pokornie proszę o wybaczenie – zakończył, odwracając wzrok i odsłaniając gardło.

– Czy... – z trudem przełknęła ślinę – czy dopilnujesz, by już nigdy nikogo coś takiego nie spotkało? Nie byłam jedyna... – Nie patrzyła na Thomasa, ale i jego Justin uwielbiał dręczyć.

Boyd uroczyście przytaknął.

– Obiecuję.

Kiwnęła głową, co najwyraźniej mu wystarczyło, bo wzięwszy pudło od Joshuy, zabrał się do pakowania rzeczy w kuchni. Przynieśli tyle kartonów i taśmy, że wystarczyłoby na trzy mieszkania Anny.

Anna wzięła jedno z pudełek i włożyła do niego najpotrzebniejsze rzeczy. Starła się nie podnosić wzroku. Tak wiele się zmieniło, że nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

Była w łazience, kiedy zadzwonił telefon. Obdarzona zmysłami wilkołaka, słyszała całą rozmowę.

– Boyd? – Dzwonił jeden z nowych wilkołaków, Rashid, lekarz. Był wystraszony.

– Tak? Co się dzieje?

– Ten wilk w izolacie...

Mimo że Boyd stał w kuchni, dosłyszała rumor w słuchawce.

– To on... – wyszeptał Rashid histerycznie. – To on... Próbuje się wydostać. Roznosi pokój, wszystko rozwała, chyba uda mu się wydostać.

Charles.

Kiedy wychodziła, był półprzytomny, lecz spokojnie przyjął wiadomość, że wychodzi z jego ojcem. Najwyraźniej teraz coś się zmieniło.

Anna złapała pudło i omal zderzyła się w drzwiach z Branem.

Spojrzał na nią uważnie, jednak nie wydawał się zdenerwowany.

– Chyba musimy się zbierać – oświadczył spokojnie. – Nie sądzę, żeby zrobił komuś krzywdę, ale srebro działa na niego silniej niż na inne wilki i trudno przewidzieć, jakie wywoła efekty. Masz wszystko?

– Tak.

Bran rozejrzył się i jego wzrok padł na Boyda.

– Powiedz swoim, że będziemy najszybciej jak się da. Zapakujcie tu wszystko i posprzątajcie dokładnie.

Boyd przytaknął pokornie.

Bran odebrał Annie pudełko, wsadził pod pachę i w staroświeckim geście podał dziewczynie ramię. Oparła palce w zgięciu łokcia i dała się poprowadzić tak aż do SUV-a, choć miała ochotę zbiec na dół po kilka schodów.

Do Naperville, gdzie mieściła się siedziba stada, jechał, nie łamiąc przepisów, ale też nie marnując ani sekundy.

– Większość wilkołaków nie byłaby w stanie wydostać się z izolacji – powiedział łagodnie. – Jest porządnie zbrojona, a pręty są ze stopu srebra. Ale Charles jest nieodrodnym synem swej matki. Ona nigdy nie pozwoliłaby, żeby zatrzymało ją coś tak przyziemnego jak jakieś druty czy pancerne drzwi.

Anna nie zdziwiła się, że Bran dokładnie wie, jak zbudowana jest izolatka gromady.

– Czy matka Charlesa była czarownicą? – Anna nigdy nie miała do czynienia z żadną czarownicą, lecz słyszała o nich. A odkąd sama stała się wilkołakiem, wierzyła w magię.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie. Nie do końca. Nie wiem nawet, czy uprawiała magię w pełnym tego słowa znaczeniu. Saliszowie postrzegają świat inaczej niż my. Nie dzielą go na magiczny i niemagiczny. Naturalny i nadnaturalny. Czymkolwiek jednak była, jej syn to odziedziczył.

– Co będzie, jeśli Charles się wydostanie?

– Najlepiej, żebyśmy dotarli tam, zanim to się w ogóle stanie – tak brzmiała jego jedyna odpowiedź.

Zjechali z drogi ekspresowej i natychmiast zwolnili zgodnie z ograniczeniem prędkości. Jedyną oznaką niepokoju, jaką wykazywał Bran, było bębnienie palcami o kierownicę.

Kiedy wreszcie dotarli do posiadłości, Anna wyskoczyła z samochodu i pobiegła do domu. Marrok, choć wcale się nie śpieszył, jakimś cudem dotarł do wejścia pierwszy i otworzył przed nią drzwi.

Wpadła do holu i skacząc po trzy schody, popędziła do piwnicy. Brak jakichkolwiek hałasów nie był dobrym znakiem.

Normalnie izolatka wyglądała jak jeden z pokoi gościnnych w piwnicy, tyle że prowadziły do niej stalowe drzwi. Teraz na podłodze leżały płyty tynku, w ścianie ziała dziura przesłonięta nagimi prętami. Tapeta, którą wyklejono pomieszczenie, zwisała w strzępach, zasłaniając wgląd do środka.

Przed drzwiami stały trzy przerażone wilkołaki w ludzkiej formie. Wiedzieli, kto znajduje się w izolacie – przynajmniej jeden z nich na własne oczy widział, jak Charles, postrzelony dwukrotnie srebrnymi kulami, zabija Leo.

– Charles – odezwał się Bran strofującym tonem.

Wilk ryknął w odpowiedzi ogłuszająco. Chrapliwe wycie pobrzmiwało czystą, ślepą furiją.

– Śruby zaczęły się wykręcać z zawiasów. Same z siebie – powiedział zdenerwowany wilkołak, a Anna dostrzegła w jego dłoni wkrętak.

– Uhm – mruknął Bran spokojnie. – Wyobrażam sobie. Mój syn fatalnie reaguje na srebro, a na uwięzienie jeszcze gorzej. Możliwe, że lepiej dla was byłoby go w razie czego wypuścić. Albo i nie. Wybaczcie, że tak was z tym zostawiłem. Wydawało mi się, że jest w lepszym stanie. Chyba nie doceniłem wpływu obecności Anny.

Wyciągnął rękę do Anny, która stała u podnóża schodów. Bardziej niż ryki niepokoił ją mężczyźni. Korytarz piwniczny był wąski, nie chciała znaleźć się tak blisko nich.

– Podejź, Anno – zawołał ją Bran. Choć wypowiedziany łagodnym tonem, był to rozkaz.

Przemknęła obok wilkołaków ze wzrokiem wbitym w stopy. Gdy Bran wziął Annę za łokieć, Charles warknął, choć strzępy tapety zasłaniały mu widok na korytarz.

Bran uśmiechnął się, cofając rękę.

– Niech ci będzie – rzekł. – Tylko nie strasz jej bardziej.

Ryki ucichły natychmiast.

– Zabiorę wszystkich na górę, a ty z nim porozmawiaj. Gdy poczujesz się pewniej, wejź do niego. Poczekaj może tylko, aż przestanie warczeć.

Zostali sami. To szaleństwo, jednak od razu poczuła się bezpieczniej. Ulga, kiedy zniknął lęk, była obezwładniająca. Charles krążył w izolatce, a ruch powietrza szeleścił tapetą. W szczelinie mignęło jego rude futro.

– Co się stało? – zapytała. – Przecież rano, jak wychodziłam, było wszystko w porządku?

W wilczej formie nie mógł jej odpowiedzieć, ale przestał warczeć.

– Przepraszam – ciągnęła. – Pakowaliśmy rzeczy w mieszkaniu, musiałam tam być. Chciałam zabrać kilka ubrań i innych drobiazgów, bo wszystko dotrze do Montany dopiero za jakiś czas.

Uderzył w drzwi. Zbyt lekko, żeby je zniszczyć, wyraźnie domagał się, żeby weszła.

Zawahała się, ale przecież przestał warczeć. Wzruszyła w duchu ramionami i odemknęła drzwi. Był większy, niż zapamiętała, albo robił wrażenie większego przez te wyszczerzone kły. Z rany w tylnej łapie spływała krew, jednak wolniej niż z dwóch pozostałych, na żebrach.

Pokój, porządnie umeblowany, kiedy wychodziła, teraz przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. We wszystkich ścianach i suficie ziały dziury po wyrwanych kawałkach gipsu, a podłogę zaścielały strzępy materaca i kawałki wyszarpiętych z komody szuflad.

Aż gwizdnęła ze zdziwienia.

– A niech mnie...!

Przykuśtykał i obwąchał Annę od stóp do głów. Skrzypnęły schody, a wilk okręcił się w miejscu i stanął, warcząc groźnie, gotów bronić swojej towarzyszki przed intruzem.

Bran przysiadł na szczycie schodów.

– Spokojnie, nic jej nie zrobię – rzekł i zwrócił się do Anny: – Nie wiem, ile rozumie z tego, co się dzieje, ale myślę, że lepiej mu będzie w domu. Zawiadomiłem pilota, czeka na lotnisku.

– Myślałam, że wyjedziemy za kilka dni. – Anna poczuła, jak ściska jej się żołądek. Chicago było jej domem. – Muszę zadzwonić do pracy i zawiadomić Tima, żeby znalazł inną kelnerkę. Nie miałam czasu poinformować sąsiadki, co się dzieje. Będzie się martwiła.

– Muszę wracać dzisiaj. Jutro rano jest pogrzeb mojego przyjaciela. Miałem was tu zostawić, żebyście przyjechali później, ale to kiepski pomysł, zważywszy na stan Charlesa. Nie

dochodzi do siebie tak szybko, jak liczyłem. Trzeba go zabrać do domu i porządnie zbadać. Mam komórkę, możesz zadzwonić do Tima i tej sąsiadki?

Spojrzała na wilka, który zasłaniał ją, broniąc przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Nie po raz pierwszy tak się zachowywał. Poza tym, co miała zrobić? Zostać w chicagowskim stadzie? Może Boyd był lepszy niż Leo, ale i tak nie chciała należeć do jego gromady. Poglaskała Charlesa po karku. Nie musiała się nawet schylać – Charles był ogromnym wilczyskiem. Przesunął się, przyciskając do niej, jednak ani na moment nie spuścił ojca z oczu.

– Dobrze, zadzwonię.

Bran podał jej telefon. Musiała wyciągnąć rękę do granic możliwości, bo Charles nie zamierzał ustąpić nawet na centymetr, przez cały czas wpatrywał się chłodno w Brana. Ta nieustępliwość rozbawiła Annę, więc tym łatwiej przekonała Karę, że wyjeżdża na własne życzenie.



2

Po porannych przejściach Anna tym bardziej denerwowała się lotem do Montany. Miała po raz pierwszy podróżować samolotem i wyobrażała sobie, że to okropne przeżycie, a widok małej awionetki nie rozwiał jej obaw.

Bran zasiadł obok pilota, zostawiając im do wyboru sześć miejsc pasażerskich. Charles trącał Annę nosem, dopóki nie minęła pierwszego szeregu foteli i nie zajęła tego umieszczonego tyłem do kierunku lotu. Gdy już położył się wygodnie na podłodze, opierając łeb na jej stopach, odłożyła pudełko na sąsiednie siedzenie i zapięła pasy.

Nie spodziewała się przyjemnych doznań, szczególnie że Charles był w fatalnym nastroju. Chmurny, leżał sztywno u jej stóp, powarkując, kiedy samolot trochę podskakiwał.

Okazało się jednak, że podróż awionetką jest jak zabawa w podniebnym wesołym miasteczku. Spokojna niczym przejażdżka na diabelskim kole, ale z odrobiną ryzyka, które dodawało pieprzyku. Świadomość, że w każdej chwili mogą runąć na ziemię, przeszkadzała jej tyle, co obawy, że koło może

się urwać i spaść z konstrukcji. A do tego w żadnym parku rozrywki nie miałyby takich widoków.

Humoru nie popsuło Annie nawet podejście do lądowania na maleńkim lotnisku, nie większym niż parking pod hipermarketem. Zapięła pasy i przytrzymała pudło, żeby podczas schodzenia samolotu nie spadło na Charlesa. Potem tylko skupiła się na przekonywaniu żołądka, by pozostał na swoim miejscu. Uśmiechnęła się, kiedy koła odbiły się dwukrotnie, zanim samolot usiadł wreszcie i potoczył się po pasie.

Pilot wprowadził maszynę do hangaru mogącego pomieścić dwie awionetki. Druga część hali była pusta. Anna zabrała pudełko i wyszła za Charlesem z samolotu. Mocno kulał. Pozostawanie tak długo w jednej pozycji musiało pogorszyć jego stan. Mimo to cały czas trzymał się pomiędzy ojcem a nią.

Wysiadłszy, zaczęła trząść się z zimna. Kurtka, trochę za lekka na warunki panujące w Chicago, w Montanie okazała się na nic. Hangar nie był ogrzewany, z ich ust unosiły się obłoczki pary.

Nie zdając sobie sprawy, jak blisko stoi Charles, odwróciła się i uderzyła kolanem w jego ranę. Musiało boleć, choć tego nie okazał. Sam sobie był winien. Nie wpadłaby na niego, gdyby jej tak nie osaczał.

– Daj spokój – fuknęła. – Przecież twój ojciec mnie nie zaatakuję.

– Nie sądzę, żeby o to mu chodziło – zaśmiał się Bran. – Zawiozę cię gdzieś, gdzie nie będzie innych mężczyzn, wtedy się uspokoi.

Pilot, który stał nieopodal, dłubiąc coś przy samolocie, wyszczerzył radośnie zęby.

– W życiu nie widziałem, żeby staruszka tak wzięło. – Złajany spojrzeniem Charlesa, spuścił głowę, ale nie przestał się uśmiechać. – Ej, przestań mnie zabijać wzrokiem, przecież

dowiołem was na miejsce całych i w jednym kawałku. Było prawie tak dobrze, jakbyś sam pilotował, no nie?

– Dziękuję, Hank – powiedział Bran i zwrócił się do Anny: – Chodź, rozgrzejemy samochód, bo Hank musi zabezpieczyć maszynę.

Wychodząc z hangaru na pokrytą śniegiem płytę lotniska, wziął dziewczynę pod rękę. Charles warknął. Bran odwarknął, zirytowany.

– Dostyc tego. Nie robię zakusów na twoją ukochaną, jest ślisko.

Charles ucichł, ale szedł tak blisko, że Anna, nie chcąc go trącać, co chwilę wpadała na Brana. Bran podtrzymywał ją, rzucając Charlesowi spojrzenia spod zmarszczonych brwi, ale już nic nie mówił.

Jak okiem sięgnąć, hangar, lądowisko i ślady kół prowadzące do wozu były jedynymi oznakami cywilizacji. Góry robiły wrażenie – potężniejsze, ciemniejsze, o poszarpanych zarysach, całkiem inne niż łagodne wzniesienia z okolic, gdzie mieszkała. W powietrzu unosił się zapach dymu drzewnego, więc gdzieś niedaleko musieli być ludzie.

– Myślałam, że będzie tu ciszej. – Nie zamierzała się odzywać, ale hałas ją zaskoczył.

– To wiatr w drzewach. Poza tym zimują tu niektóre ptaki. Czasami, gdy chwyta mróz i powietrze jest nieruchome, cisza jest tak ogłuszająca, że aż dzwoni w kościach.

Dla Anny brzmiało to strasznie, ale w głosie Brana słyszała zachwyty. Zaprowadził ją na tył hangaru, gdzie stał szary, zaśnieżony pick-up z czteroosobową kabiną. Zdjął z paki miotłę i ostukał ją mocno, żeby pozbyć się śniegu.

– Wsiadaj – polecił. – Włącz silnik i ogrzewanie, kluczyki są w stacyjce. – Zmiotł śnieg z drzwi pasażera i otworzył.

Anna położyła pudło na podłodze i wdrapała się do kabiny. Przesunęła się bliżej kierownicy i przekręciła kluczyk,

a tymczasem Charles wskoczył za nią, przymykając łapą drzwi. W pierwszej chwili wzdrygnęła się, kiedy otarł się o nią mokrą sierścią, ale szybko poczuła ciepło jego ciała. Upewniwszy się, że silnik nie zgaśnie, przesunęła się na środkowe miejsce. Samochód mruzczał jednostajnie, a z nawiewów leciało coraz cieplejsze powietrze.

Odśnieżywszy z grubsza pick-upa, Bran wrzucił miotłę na tył i wskoczył za kierownicę.

– Hank powinien skończyć lada moment. – Zmarszczył czoło, widząc, że Anna drży z zimna. – Trzeba ci zdobyć jakieś porządne okrycie i buty. Aż dziw, że wytrzymałaś w zimie tylko w tym. Chicago też nie tropiki.

Kiedy mówił, Charles przepchnął się na środek, sadowiąc pomiędzy nimi. Nie mieścił się, więc częściowo położył się na kolanach Anny.

– Musiałam w pierwszej kolejności płacić czynsz i media – powiedziała obojętnie. – Rany, Charles, ważysz chyba tonę. Kelnerki nie zarabiają kokosów.

Drzwiczki trzasnęły i z tyłu rozsiadł się Hank. Zapiął pasy i chuchnął w ręce.

– Ten wiatr daje w kość.

– Niedługo będziemy w domu – powiedział Bran, ruszając. Jeśli istniała przed nimi jakaś jezdnia, była całkiem niewidoczna pod śniegiem. – Tylko najpierw podrzucimy Charlesa i jego towarzyszkę.

– Towarzyszkę? – Anna nie mogła widzieć miny pilota, ale zaskoczenie w jego głosie było bardzo wyraźne. – Nic dziwnego, że tak szaleje. No, chłopie, masz niezłe tempo. I jaka ślicznotka!

Ślicznotkę denerwowały uwagi wypowiedane tak, jakby jej nie było. Choć nie miała odwagi tego powiedzieć. Wyręczył ją Charles, odwracając łeb do tyłu i ukazując pilotowi ostre kły.

– Dobrze, już dobrze – zaśmiał się Hank. – Gratuluję, stary.

Dopiero teraz Anna uzmysłowiła sobie, że Hank nie pachnie wilkołakiem, a mimo to wie, czym jest Charles.

– Myślałam, że nie wolno nam mówić ludziom – zauważyła.

– Mówić? O czym? – zdziwił się Bran.

Zerknęła na Hanka.

– Czym jesteśmy.

– Och, toż to Aspen Creek – odezwał się pilot. – Tu wszyscy wiedzą o wilkołakach. Każdy tu jest małżonkiem, rodzicem lub dzieckiem wilkołaka. To terytorium Marroka, jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną.

Czy wychwyciła w tonie Hanka nutę sarkazmu? Zbyt krótko go znała, by stwierdzić to na pewno.

Dmuchające powietrze ogrzało się w końcu porządnie. Anna, grzana dodatkowo przez Charlesa, wreszcie zaczęła tajać.

– Myślałam, że wilkołaki nie mają rodziny, tylko stado – rzekła.

Bran spojrzał na nią przelotnie.

– Chyba czeka was długa rozmowa z Charlesem. Od jak dawna jesteś wilkołakiem?

– Trzy lata.

Zmarszczył brwi.

– Masz rodzinę?

– Ojca i brata. Nie widziałam się z nimi, odkąd... – Wzruszyła ramionami. – Leo powiedział, że muszę zerwać z nimi kontakty, w innym razie weźmie ich za zagrożenie dla gromady. – Czyli zabije.

Mars na obliczu Brana pogłębił się.

– Poza Aspen Creek wilkołaki nie mogą mówić o sobie nikomu poza partnerem. Partner musi wiedzieć dla własnego bezpieczeństwa. Ale nie ma zakazu kontaktów z rodziną. – I bardziej do siebie dodał: – Pewnie Leo cię odciął, obawiając się, że krewni chcieliby ci pomóc w tej sytuacji.

Czyli że mogła zadzwonić do bliskich? Już miała zapytać, ale zrezygnowała, postanowiwszy porozmawiać o tym z Charlesem.



Podobnie jak podróż samolotem, dom Charlesa okazał się całkiem inny, niż się spodziewała.

Ze względu na lesistą okolicę oczekiwała dużej chaty z bali albo budynku w stylu starej rezydencji, podobnego do siedziby stada w Chicago, jednak sadyba Charlesa nie przypominała ani jednego, ani drugiego. Posadowiona na zboczu wzgórza, wyglądała raczej jak posiadłość ranczera – rozłożyste, niskie, proste zabudowania w kolorach zieleni i szarości, a poniżej kilka ogrodzonych pastwisk dla koni.

Pomachała na pożegnanie odjeżdżającemu Branowi, ujęła mocniej sfatygowane podróżą i trochę mokre pudełko i weszła po schodkach. Charles nie odstępował jej na krok. Stopnie pokrywała warstewka białego puchu, ale widać było, że ktoś niedawno odgarniał śnieg. Dopiero przed drzwiami Anna zorientowała się, że nie zapytała Brana o klucz. Na szczęście drzwi otworzyły się, gdy tylko nacisnęła klamkę. Doszła do wniosku, że skoro w Aspen Creek wszyscy wiedzą o wilkołakach, nikomu nie przyjdzie na myśl włamanie lub kradzież. Mimo to takiemu mieszcuchowi jak ona nie mieściło się w głowie, że można wybrać się prawie na drugi koniec kontynentu i nie zamknąć porządnie domu.

Wszelkie rozważania na temat zamków zniknęły jak sen, kiedy drzwi stanęły przed nią otworem. Z zewnątrz dom wyglądał prościutko i przeciętnie, ale w środku...

Podobnie jak w jej mieszkanku, podłoga została zrobiona z drewna, jednak tu ciemniejsze i jaśniejsze klepki ułożono

w indiański wzór. Na środku salonu i w jadalni leżały perskie dywany. Pod jedną ze ścian królował ogromny kominek, piękny i widać często używany.

Pomiędzy drewnianymi regałami, bez wątplenia dziełami rzemieślnika, i wygodnymi kanapami rozmieszczono ręcznie wykonane stoliki klonowe i fotele. Całości dopełniał wielki olejny obraz sosnowego lasu, godzien muzeum, na pierwszy rzut oka bardzo cenny. Anna pomyślała, że musiał kosztować zapewne więcej, niż zarobiła w całym swoim życiu.

Już od progu dostrzegła otwartą kuchnię, gdzie lśniąca czerń granitowych blatów kontrastowała z dębowymi frontami rustykalnych szafek, których niedoskonałości wskazywały na ręczną robotę. Wykończenia ze stali nierdzewnej, zamiast stanowić stylistyczny dysonans, pasowały wręcz idealnie. Kuchnia nie była wielka, ale nie powstydziliby się jej żadna rezydencja.

Stała, ociekając topniejącym śniegiem wprost na wypastowaną posadzkę, i nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej pudełko tu nie pasuje. Gdyby miała gdzie pójść, odwróciłaby się i uciekła, lecz za plecami czekał na nią tylko śnieg i mróz. Poza tym, nawet gdyby jeździły tu taksówki, miała w portfelu cztery dolary, a na koncie jeszcze mniej. Tkwiący w kieszeni czek wystarczyłby na co najwyżej pół drogi do Chicago, pod warunkiem że udałoby jej się znaleźć najpierw bank, żeby go spieniężyć, a potem dworzec autobusowy, żeby kupić bilet.

Charles wyminął ją, wchodząc do domu, lecz przystanął, zorientowawszy się, że za nim nie idzie. Odwrócił się i popatrzył na dziewczynę.

Anna mocniej objęła swoje wilgotne pudełko.

A jeśli się rozmyślił?

– Przepraszam – wymamrotała ze spuszczonej oczami. Przepraszała za kłopot, za to, że nie była silniejsza, lepsza, że

nie była kimś. Poczwała na skórze falę mocy i poderwała głowę.

Charles leżał na podłodze, rozpoczynając przemianę.

Nie powinien tego jeszcze robić. Był za słaby, zbyt poważnie ranny. Zatrzasnąwszy biodrem drzwi, rzuciła pudełko i przypadła do niego.

– Co ty wyprawiasz? Natychmiast przestań!

Ale było już za późno. Nie odważyła się go dotknąć. Przemiana to bolesny proces i nawet najdelikatniejszy dotyk może przyprawić o jeszcze większe cierpienie.

– Do licha, Charles...

Mimo że już od tak dawna żyła jako wilkołak, nie lubiła patrzeć na przemianę – własną czy też cudzą. Widok powykręcanych kończyn był okropny, a w momencie, gdy mięśni i kości nie oblekała ani ludzka skóra, ani wilcza sierść, robiło jej się niedobrze.

W przypadku Charlesa przebiegało to inaczej. Wspominał, że dzięki magii matki tudzież temu, że urodził się wilkołakiem, wszystko trwało krócej, wyglądało też niemal pięknie. Za pierwszym razem obserwowwała jego przemianę z zachwytem.

Teraz niestety przemiana przebiegała powolnie i prawie tak strasznie jak jej. Nie zerwał opatrunków, wiedziała więc, że odpadając, sprawi Charlesowi dodatkowy ból. Podniosła się szybko i uważając, by go nie trącić, pobiegła do kuchni, żeby poszukać czegoś ostrego. W jednej z szuflad znalazła noże i nożyczki. Uznawszy nożyczki za bezpieczniejsze, porwała je i wróciła na miejsce.

Przecinała bandażę na wybrzusających się tkankach, nie zważając na warkoty, które wydawał, kiedy wpychała ostrze pod zaciskającą się tkaninę. Musiało bardzo boleć, ale i tak mniej, niż gdyby bandażę rozerwały się same.

Przemiana zwalniała z każdą chwilą, aż Anna przestraszyła się, że Charles utknie w połowie. Często miała koszmary, że nagle zostaje uwięziona w formie strasznej maskary: ni to

wilka, ni człowieka. Po jakimś czasie jednak na podłodze leżał człowiek.

Kiedy myślała, że już po wszystkim, na Charlesie zaczęło formować się ubranie. Oblekało go tak samo, jak wcześniej skóra tkanki. Nic szczególnego, zwykły T-shirt i dżinsy, jednak Anna oniemiała. Nie podejrzewała, że to możliwe. Uznała, że to prawdziwa magia.

Nie miała pojęcia, w jakim zakresie Charles potrafi używać prawdziwej magii. W ogóle nie wiedziała o wilkołaku prawie nic prócz tego, że przy nim jej serce biło szybciej i zanikał dręczący nieustannie lęk.

Zadrżała i nagle uświadomiła sobie panujący w domu chłód. Najwyraźniej Charles wyłączył ogrzewanie na czas nieobecności. Rozejrzała się i dostrzegłszy pled wiszący na oparciu bujanego fotela, przyniosła go. Ostrożnie, żeby wilkołaka nie urazić, okryła Charlesa kocem.

Leżał na boku bez tchu, a jego ciałem wstrząsały dreszcze.

– Charles? – Chciała dotknąć ramienia, ale powstrzymała się. Skóra po przemianie była niezwykle wrażliwa.

Pled zsunął się, a kiedy po niego sięgnęła, ujrzała z tyłu na koszulce szybko powiększającą się ciemną plamę. Zwykłe rany zasklepiłyby się podczas przemiany, jednak te skażone srebrem goiły się bardzo trudno.

– Masz apteczkę? – zapytała. Apteczka stada była wyposażona na tyle dobrze, by znaleźć w niej wszystko na wypadek średnio poważnych urazów, powszechnych podczas bójek, które wybuchały często podczas zgromadzeń wilkołaków. Charles powinien mieć zestaw pierwszej pomocy co najmniej tak samo porządny jak jej... jak chicagowskie stado.

– W łazience – wychrypiał.

Trafiła od razu. W dużym pomieszczeniu znajdowały się wolno stojąca wanna, kabina prysznicowa i umywalka na

wysokiej nodze. W rogu stała szafka. Apteczkę, a raczej aptekę, znalazła na dolnej półce.

Zwykle brązowawa skóra Charlesa była teraz szara, zaciskał z bólu szczęki, a oczy płonęły mu gorączką. Migotały w nich plamki, złote, takie jak kolczyk w jego uchu. Usiadł, zrzucając pled na podłogę.

– To było głupie – zbesztła go Anna, zła, że niepotrzebnie zadał sobie tyle bólu. – Przemiana jeszcze bardziej spowolni gojenie ran. I jeszcze zużyłeś energię, która pomogłaby ci szybciej wyzdrowieć. Daj, opatrzę cię, a potem zrobię coś do jedzenia. – Sama też była głodna.

Uśmiechnął się, ledwo, ledwo, i przymknął oczy.

– Dobrze – wychrypiał.

– Skąd bierzesz te ubrania? – zapytała, zabierając się do ostrożnego zdejmowania koszulki.

Gdyby nie to, że w Chicago pomagała lekarzowi rozebrać Charlesa i wiedziała, że jadąc do Montany nie miał na sobie nic prócz bandażu, pomyślałaby, że to te same rzeczy, w których paradował przed przemianą w wilka.

– Nie wiem.

Przetarte na kolanie spodnie miały metkę Levisa, a koszulka Hanesa. Anna zastanowiła się przelotnie, czy gdzieś tam nie biega teraz ktoś w bieliźnie.

– Super – stwierdziła, przeprowadzając skomplikowane machinacje, żeby delikatnie unieść T-shirt. – Łatwiej by było, gdybyś się nie ubierał.

– Przepraszam. Przyzwyczajenie.

Kula przeszła pierś na prawo od mostka. Rana wylotowa była znacznie większa. Człowiek po takim postrzale leżałby na oddziale intensywnej terapii, ale wilkołaki są twarde.

– Jeśli przyłożysz gazę, to przytrzymam ją z przodu – zaproponował. – Ty przyłóż drugą z tyłu, a potem umocuj całość bandażem weterynaryjnym.

– Weterynaryjnym?

– To te kolorowe, jakby elastyczne. Nie trzeba ich przyczepiać żadnymi haczykami. Pewnie będziesz musiała użyć dwóch, żeby mnie porządnie zabandażować.

Anna rozpakowała opatrunki i przyłożyła jeden do rany na piersi, starając się nie myśleć o dziurze na przestrzał. Przycisnęła gazę mocniej, niż ona śmiała. Potem zaczęła grzebać w apteczce w poszukiwaniu bandażu. Na samym spodzie znalazła kilkanaście zwitków. Były głównie brązowe i czarne, lecz kilka uderzało w oczy jaskrawymi barwami. Ponieważ była zła na Charlesa za niepotrzebną przemianę, wzięła dwa neonowo różowe.

Na ich widok roześmiał się, ale musiało zboleć, bo szybko zacisnął zęby i przez chwilę oddychał płytko.

– Brat mi je podrzucił – powiedział, kiedy najgorsze minęło.

– Czym mu tak dopiekleś?

– Kiedy uzupełniał apteczkę, twierdził, że akurat zostały mu tylko takie – uśmiechnął się Charles.

Zamierzała pociągnąć temat brata, ale wszelka ochota na przekomarzanki jej przeszła, kiedy zabrała się do opatrywania. Wystarczyło tych kilka minut, w ciągu których przygotowywała sobie bandaż, aby krew zalała mu plecy. Niepotrzebnie zdjęła mu wcześniej koszulkę.

– *Tarditas et procrastinatio odiosa est* – powiedziała do siebie, otwierając opakowanie gazików.

– Znasz łacinę? – zdziwił się.

– Nie, tylko sentencje. Ta ostatnia to teoretycznie Cynceron, ale twój ojciec twierdzi, że moja wymowa jest do kitu. Przetłumaczyć ci? – Draśnięcie pierwszą kulą, na ulicy niedaleko restauracji, kiedy ją osłonił, biegło ukośną, czerwoną, spuchniętą krechą ponad poważniejszymi ranami. Na pewno bolało i jeszcze trochę poboli, ale nie było groźne.

– Nie znam łaciny, za to mówię trochę po francusku i hiszpańsku. Do kitu?

– Taki był sens oceny Brana. – Tylko pogarszała całą sprawę, lepiej było wezwać lekarza.

– Wszystko w porządku – uspokoił Annę, zapewne zaalarmowany napięciem w jej tonie. – Zatamaj jedynie krwawienie.

Zabrała się z determinacją do dzieła, na początek przekładając Charlesowi przez ramię wilgotne od potu włosy.

Jeden gazik nie wystarczył, by przykryć ranę, posłużyła się więc dwoma, które następnie przytrzymała kolanem, po czym pochyliła się do przodu, by założyć bandaż. Bez słowa przycisnęła końcówkę w odpowiednim miejscu. Po chwili pierwsza warstwa była gotowa.

Sprawiała mu ból. Oddech miał płytki, urywany. Udzielanie pierwszej pomocy wilkołakom to niebezpieczne zajęcie. Ból mógł wyzwolić agresję i spowodować, że wilk straci kontrolę tak, jak stało się to z Charlesem rano. Tym razem jednak nie drgnął nawet, gdy owijała go bandażami. Zużyła dwie rolki, by opatrunek trzymał się na miejscu. Anna starała się nie myśleć o tym, jak dobrze jaskrawy róż wygląda na jego ciemnej skórze. Podziwianie piękna mężczyzny, który jest bliski omdlenia z bólu, wydawało jej się nie na miejscu. Gładka, jasnobrązowa skóra opinała twarde mięśnie i długie kości. Może gdyby nie pachniał tak dobrze, potrafiłaby zachować większy dystans.

Należał do niej. Do niej, podszeptowała ta część natury, która nie dbała o ludzkie konwenanse. Lęki, jakie Anna żywiła wobec zmian zaszłych ostatnio w jej życiu, nie dręczyły wilczej połówki. Wprost przeciwnie, jej wilczyca zdawała się nadzwyczaj zadowolona.

Podczas gdy Charles odpoczywał po jej nieudacznym działaniach pielęgniarzkich, przyniosła z kuchni ściereczkę i wytarła mu plecy z krwi.

– Teraz noga – zarządziła. – Trzeba pozbyć się tych spodni. Możesz je zniknąć tak, jak się pojawiły?

– Niestety. – Potrząsnął głową. – Choćbym nie wiem jak chciał się popisać, teraz nie dam rady.

Oceniwszy trudności procesu zdejmowania spodni, Anna sięgnęła po nożyczki. Były tak ostre, że z łatwością przecinały dżins. Po chwili Charles siedział w samych zielonych bokserkach.

– Mam nadzieję, że podłoga jest porządnie zabezpieczona – mruknęła, by rozproszyć trochę uwagę i oderwać myśli od rany. – Szkoda, żeby się zniszczyła.

Plamy burzyły piękny wzór drewna, na szczęście dywany leżały na tyle daleko, by uniknąć zakrwawienia.

Druga kula przeszła przez łydkę. Rana wyglądała gorzej niż poprzedniego dnia – była opuchnięta i czerwona.

– Nic jej nie będzie – zapewnił Annę, nadal obficie rosząc drewnianą posadzkę krwią. – W zeszłym roku położyłem cztery warstwy lakieru.

Różowy bandaż zużyła na tors, sięgnęła więc po kolejny zjadliwy kolorek, jaskrawozielony. Podobnie jak poprzedni, ten także świetnie współgrał z karnacją wilkołaka. Tym razem wystarczyły dwa gaziki i jedna rolka. Skończywszy, rozejrzała się po pobojuwisku. Podłoga, pled i strzępy ubrań były zaplamione krwią. Jej ubranie nie wyglądało lepiej.

– Zaprowadzić cię do łóżka czy posiedzisz tu kilka minut i poczekaś, aż się z tym wszystkim uporam?

– Poczekał.

Jego oczy przybrały wilczy, żółty kolor. Mimo porannej utraty kontroli, która tak przeraziła chicagowskie wilkołaki, później przez cały czas trzymał się w ryzach. Jednak Anna nie chciała wystawiać jego opanowania na większą próbę.

– Gdzie jest pralnia? – zapytała, wyciągając z pudełka rzeczy do przebrania.

– Na dole.

Nie od razu znalazła zejście do piwnicy. Przy kolejnej próbie otworzyła drzwi znajdujące się na krótkiej ścianie pomiędzy kuchnią a jadalnią, jak sądziła od spiżarni. Za nimi ujrzała schody.

Pralnia zajmowała niewielką część na wprost wykończonego pomieszczenia. Reszta służyła za siłownię. Ilość i jakość wyposażenia robiła wrażenie.

Anna wyrzuciła zużyte opatrunki i pocięte rzeczy, nalała zimnej wody do zlewu i zanurzyła w niej pled. Po przebraniu się dorzuciła także swoją odzież. Zabrała stojące obok suszarki wiaderko, złapała kilka szmatek i powędrowała na górę.

Nie zareagował, kiedy weszła. Miał przymknięte oczy, a na jego twarzy malował się spokój. Powinien wyglądać śmiesznie w samych majtkach, owinięty jaskrawymi bandażami, ale nie, wyglądał dla niej po prostu jak Charles.

Bez problemu umyła podłogę, wytarła do sucha, wrzuciła do wiaderka brudne szmatki i już miała udać się z powrotem na dół, gdy Charles złapał ją za kostkę. Zamarła, przestraszona, że stracił kontrolę.

– Dziękuję – powiedział w miarę spokojnie.

– Powiedziałabym, że nie ma sprawy, ale prędzej cię zabiję, niż będę pielęgniarzką na pełny etat.

Uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

– Dobrze, postaram się krwawić tylko w ostateczności – przyobiecał, puszczając dziewczynę.

Chwilę później przy wtórze szemrającej na dole pralki Anna zabrała się do odgrzewania znalezionej w zamrażarce burrito. Skoro jej burczało w brzuchu, on musiał umierać z głodu.

Nie znalazła kawy, ale w szafkach stała pitna czekolada i mnóstwo rodzajów herbat. Uznawszy, że lepiej zrobi im coś słodkiego, postawiła wodę na czekoladę.

Gdy wszystko było gotowe, przełożyła porcję na talerz, naląła do kubka czekolady i zniosła do salonu. Nie otworzył oczu, kiedy postawiła przed nim tacę, więc zostawiła go w spokoju i ruszyła na obchód.

Znalezienie sypialni okazało się łatwe. Dom, choć luksusowo wykończony i urządzony, nie był duży. Znajdowało się tu tylko jedno pomieszczenie z łóżkiem.

Fakt ten nieco Annę zaniepokoił.

Po chwili jednak zabrała się do ścielenia. Widmo uprawiania seksu nie było bliskie, bo w tym stanie Charles nie nadawał się na taką gimnastykę. Wilkołactwo, poza kilkoma innymi rzeczami, nauczyło Annę ignorować przeszłość, nie myśleć za wiele o przyszłości i żyć teraźniejszością. Sprawdzało się, o ile ta ostatnia była w miarę do zniesienia.

Była zmęczona i czuła się nieswojo. Zrobiła więc to, czego nauczyła się przez ostatnie kilka lat – zaczerpnęła trochę siły z zasobów wilczycy. Nie na tyle dużo jednak, by inny wilk to wyczuł, wiedziała więc, że z odbicia w lustrze spoglądały na nią jej własne brązowe oczy. Mimo to czuła wilczycę tuż pod skórą. Wykorzystywała ją w chwilach, kiedy jej ludzka część nie radziła sobie z rzeczywistością. Teraz też poczuła przypływ energii, a zmartwienia się oddaliły.

Wyglądziła dłonią zieloną pościel – Charles chyba lubił zieleni – i wróciła do salonu.

Siedział z otwartymi oczami, a zawartość naczyń zniknęła. I to tyle dobrego. Wzrok miał zamglony, twarz bladą, a rysy napięte i wyostrome.

– Chodź, położysz się – powiedziała, stojąc jeszcze dość daleko. Lepiej nie zaskakiwać rannego wilkołaka, nawet takiego, który ledwie siedzi.

Kiedy kiwnął głową, podeszła do niego. W ludzkiej formie był duży i ciężki, prawie o głowę wyższy od niej. Gdyby musiała, mogła go wziąć na ręce i zanieść, jednak byłoby to niezręczne,

a przy tym sprawiłoby mu dodatkowy ból. Na szczęście wystarczyło pomóc wstać, a potem, podpierając ramieniem, zaprowadzić do sypialni.

Bliskość nie pozostawiała Anny obojętną. Pachniał samcem i samicą. Poddała się temu, pozwalając swojej wilczycy rozkoszować się wywoływanym przez Charlesa poczuciem bezpieczeństwa, sama unosząc się na fali ukontentowania bestii.

Po drodze nie wydał ani jednego dźwięku, choć w napięciu jego mięśni wyczuwała ogrom cierpienia. Bił od niego żar, chyba miał gorączkę. Denerwowała się, bo nigdy nie widziała wilkołaka w takim stanie.

Z sykiem usiadł na łóżku. Anna pomyślała przelotnie, że resztki krwi, które zostały na bokserkach, zaplamia pewnie pościel. Charles ledwie się trzymał. Przed przemianą było z nim o wiele lepiej. Niby taki stary, a taki nierozsądny.

– Czemu nie zostałeś w wilczej postaci? – burknęła, zła.

Podniósł na nią oczy, z których wyzierał wilk.

– Chciałaś odejść, wilk nie potrafiłby ci tego wybić z głowy.

Przeszedł przez to wszystko, bo obawiał się, że go zostawi?

Jakie to romantyczne... I głupie.

Wywróciła oczyma.

– I gdzie niby miałabym iść? – fuknęła zniecierpliwiona. – A poza tym mało brakowało, a wykrwawiłbyś się na śmierć. Wtedy to i tak nie miałyby znaczenia.

Celowo spuścił wzrok.

Gest ten ze strony tak dominującego wilka, że nawet ludzie rozstępowali się, gdy przechodził, zaparł Annie dech w piersiach.

– Ojciec zabrałby cię, gdzie tylko byś chciała – powiedział łagodnie. – Myślałem, że w razie czego przekonam cię, żebyś została, jednak przeliczyłem się z siłami.

– Głupek – oświadczyła cierpko.

Popatrzył na nią, a cokolwiek ujrzał, sprawiło, że się uśmiechnął. Jednak jego ton pobrzmiewał powagą.

– Tak, straciłem dla ciebie głowę – odparł na jej zarzut.

Zaczął się kłaskać, więc szybko go podtrzymała, pomagając delikatnie opuścić się na materac.

– Chcesz się położyć na bok?

Potrząsnął głową i zagryzł wargi. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak bardzo bolesne jest kładzenie się w takim stanie.

– Może zadzwonię po kogoś? – dopytywała się. – Po lekarza albo twojego ojca?

– Nie, nie. Prześpię się i będzie lepiej.

Spojrzała na Charlesa sceptycznie.

– Jest tu w okolicy jakiś lekarz? Albo ktoś o wiedzy medycznej większej niż moja? Na przykład dziesięcioletni harcerz?

Charles błysnął uśmiechem. Surowe piękno towarzysza rozgrzało serce Anny aż do bólu.

– Mój brat jest lekarzem, ale siedzi teraz w Tri-Cities, w Waszyngtonie. – Zawahał się. – Chociaż może i nie. Możliwe, że przyjechał na pogrzeb.

– Pogrzeb? – powtórzyła Anna, jednocześnie przypominając sobie, że właśnie z powodu pogrzebu przyjaciela Bran musiał tak szybko wracać z Chicago.

– Jutro – powiedział, ale Anna nie bardzo wiedziała, co ma na myśli. Nie pragnęła również za bardzo szczegółów na temat samego pogrzebu czy zmarłego, dlatego zmilczała. Charles też się nie odzywał, założyła więc, że zasnął. – Nie bądź zbyt ufna, Anno – rzekł nagle.

– Słucham? – Zaskoczona, przyłożyła Charlesowi dłoń do czoła, z ulgą stwierdzając, że gorączka nie rośnie.

– Jeśli postanowisz przyjąć propozycję ojca co do pomocy przy wyjeździe stąd, pamiętaj, że motywy jego działania są rzadko proste. Nie dożyłby takiego wieku i nie zdobyłby tego, co ma, gdyby był prostym człowiekiem. Będzie chciał cię

wykorzystać do własnych celów. – Charles otworzył powieki, spoglądając na dziewczynę złotymi oczyma. – To dobry człowiek, ale twardo stoi na ziemi, a rozsądek podpowiada mu, że mając Omegę, nie musiałby już nigdy zabić żadnego ze swoich przyjaciół.

– Jak tego, którego pogrzeb odbędzie się jutro? – upewniła się. Tak, właśnie coś takiego przeczuwała.

Niemrawo przytaknął.

– W jego przypadku nie mogłabyś pomóc, nikt nie mógł nic zrobić, ale możliwe, że przy innym...

– Twój ojciec nie pozwoli mi odejść, tak? – Czyżby została uwięziona?

– Nie, to nie tak – zaprzeczył, wyczuwając niepokój Anny. – Nie kłamał, mówiąc, że ci pomoże, jeśli będziesz chciała stąd wyjechać. Na pewno tak zrobi. Tyle że spróbuje namówić cię, byś pojechała tam, gdzie miałyby z ciebie pożytek. Ale nie martw się, nie zatrzyma cię wbrew woli.

Anna spojrzała na Charlesa i poczuła, jak jej wilczyca się uspokaja.

– Ty też nie zatrzymywałabyś mnie, gdybym chciała odejść.

Nie uchwyciła nawet ruchu jego rąk, poczuła tylko, że nagle ściska ją za przeguby. Jego ciemnozłote oczy pojaśniały.

– Na twoim miejscu nie liczyłbym na to, Anno – powiedział chrapliwie.

Powinna się przestraszyć. Był większy, a szybkość tego gestu została obliczona właśnie na zastraszenie. Nie bardzo rozumiała tylko, po co to zrobił, chyba że chciał mieć całkowitą pewność, że Anna pojmie jego intencje. Jednakże tkwiąca tuż pod powierzchnią wilczyca nie pozwalała jej się bać. Charles należał do niej i nie skrzywdziłby jej, tak samo jak ona nie potrafiłaby skrzywdzić jego.

Pochyliła się, opierając czołem o jego czoło.

– Znam cię – rzekła. – Nie oszukasz mnie. – Siła własnego przekonania uspokoiła ją. Może nie знаła go długo, w zasadzie bardzo krótko, ale pod pewnymi względami wiedziała o nim więcej niż on sam.

Roześmiała się niespodziewanie. Miała nadzieję, że nie sprawiło mu to bólu.

– Jakim cudem Leo przekonał cię, że jesteś uległym wilkiem?

Biciem, gwałtami – spojrzała na blizny na nadgarstkach, za które trzymał ją Charles. Użyła srebrnego ostrza i gdyby nie była tak niecierpliwa, gdyby zaczekała, aż zostanie sama w domu, udałoby jej się odebrać sobie życie.

Leo próbował ją złamać, bo nie była uległym wilkiem, była czymś całkiem innym. Nie chciał, żeby się o tym dowiedziała. Charles wyjaśnił, że jej miejsce jest zupełnie poza hierarchią stada. Nie jest ani dominująca, ani uległa. Jest Omegą. Cokolwiek to oznaczało.

Dłoń Charlesa powędrowała ku twarzy Anny. Wziął ją pod brodę i uniósł, żeby widzieć jej oczy.

– Anno? Anno, przepraszam... Nie chciałem...

– To nie twoja wina. Wszystko w porządku. – Otrząsnąwszy się ze wspomnień, dostrzegła, że wygląda na coraz bardziej zmęczonego. – Musisz się przespać.

Przyjrzał się jej bacznie, kiwnął głową i puścił nadgarstki.

– W jadalni jest telewizor. Jak chcesz, możesz też posurfować po sieci. Komputer stoi w gabinecie. Poza tym...

– Też jestem padnięta. – Może wytresowano ją, by chodziła z podkulonym ogonem, ale nie była głupia. Jej znękaną umysł potrzebował snu, by poradzić sobie z tymi wszystkimi wydarzeniami. Przeprowadzka z wielkiego miasta do dziczy była najmniejszą ze zmian. Za to przemiana z uległej, bezwartościowej istoty w cenną Omegę i towarzyszkę, choć nie wiedziała za bardzo, co to oznacza, okazała się czymś

potężnym. Nie wątpiła, że to zmiana na lepsze, ale nie umniejszało to szoku.

– Mogę spać tutaj? – zapytała neutralnym tonem, nie chcąc, aby pomyślał, że się narzuca. Terytorium należało do niego, lecz jej wilczyca nie miała ochoty zostawiać go w tym stanie samego.

Ta potrzeba bliskości była Annie obca. Dziwna i niebezpieczna, zupełnie jakby tylko czyhała, by ją pochłonąć bez reszty – albo przemienić w kogoś innego. Była jednak zbyt zmęczona, by z tym walczyć, a nawet zastanawiać się, czy w ogóle chce z tym walczyć.

– Oczywiście – powiedział i to wystarczyło.



Zdawał sobie sprawę, że Anna ma rację. Potrzebował snu.

Kiedy wyszła z łazienki, miała na sobie flanelową koszulę i sprane spodnie od pizamy. Położyła się obok niego, przytuliła i natychmiast zapadła w sen. Był wycieńczony, ale nie chciał stracić choćby sekundy z tego niespodziewanego daru losu, jakim było trzymanie jej w ramionach.

Nie wiedział, co o nim myśli. Zanim został postrzelony, zamierzał poświęcić więcej czasu na zaloty i dać się lepiej poznać, zdobyć jej zaufanie, a nie tak gwałtownie wyrywać dziewczynę z jej miejsca.

Ta mina, kiedy weszła do domu... Mruknęła cicho, więc rozluźnił uścisk. Przemiana pogorszyła jego stan i przysporzyła mu większych cierpień, a w ludzkiej formie zdrowienie będzie przebiegać wolniej, lecz nie mógł pozwolić sobie na utratę Anny. Ta rana mogłaby się nigdy nie zagoić.

Była twarda, silna. Przetrwała wszystko, co zgotował jej Leo, i wyszła z tego cało. Choć twierdziła, że nie ma dokąd iść, miał pewność, że gdyby nic nie zrobił, uciekłaby. Znużenie i ból,

skutki przemiany, były niczym w porównaniu do tego, co zyskał. Czekał na nią tak długo i nie zamierzał ryzykować jej straty.

Z jednej strony czuł się dziwnie, leżąc we własnym łóżku z kobietą, z drugiej jednak miał wrażenie, jakby zawsze przy nim była. Należała do niego. Położyła mu dłoń na piersi, dokładnie w miejscu rany, ale zignorował ból, ciesząc się innym, tym wynikającym z ogromnego szczęścia.

Należała do niego.

Słowa Marroka napływały do umysłu Charlesa ciepłymi falami. *Pogrzeb zaczyna się o dziewiątej rano. Daj znać, jeśli miałbyś nie przyjść. Przyjechał Samuel. Będzie chciał obejrzeć twoje rany.*

Bran nie posiadał prawdziwych zdolności telepatycznych. Potrafił wysyłać wiadomości, ale nie docierały do niego żadne odpowiedzi. Samuel twierdził, że dawniej Bran nie potrafił nawet tego, ale rozwinął w sobie te umiejętności po tym, kiedy został Alfą.

Potrzebuję cię...

Głos odpłynął, a Charles wiedział, że ostatniego zdania nie miał już usłyszeć. A w każdym razie ojciec nie chciał, by je usłyszał.

Charles nigdy nie kwestionował ojcowskiej wiary w Boga ani też dziadkowej w duchy, ponieważ sam kultywował obie. Bóg rzadko do niego mówił, choć czasem zsyłał mu ostrzeżenie albo obdarzał siłą czy spokojem. Duchy, acz mniej pomocne, były bardziej wymagające i Charles szybko nauczył się rozpoznawać, kiedy któryś go szturcha.

– Przepraszam – szepnął do Anny, sięgając po telefon, który na szczęście znajdował się blisko. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Charles wybrał numer komórki ojca.

– Nie dasz rady przyjść. Pogorszyło ci się? – Bran bez patrzenia na wyświetlacz wiedział zwykle, kto dzwoni,

a w przypadku Charlesa już dawno przestał tracić czas na zbędne uprzejmości.

– Nie jest źle, tato. – Anna poruszyła się lekko, budząc. – Dzwonię, bo chyba chcesz mi coś powiedzieć?

– Gdybym wiedział, że twoja matka jest córką szamana, nigdy bym się z nią nie związał – odezwał się Bran po chwili milczenia. Mawiał tak, odkąd stało się jasne, że Charles odziedziczył pewne talenty po matce. Charles uśmiechnął się. Ojciec nawet nie próbował kłamać, wiedząc, że w przypadku wilkołaków na nic się to nie zda. A tym bardziej w przypadku synów. Nawet w rozmowie telefonicznej. – No dobrze – ustąpił. Był wyraźnie sfrustrowany, stąd w jego tonie pobrzmiwały ostre nuty. – W puszczy w górach Cabinet zamordowano myśliwego. Kilka dni temu, na sam koniec sezonu polował na jelenia. Został rozdarty na strzepy. Dostałem cynk od naszego człowieka w leśnictwie. Jutro informacja znajdzie się w gazetach. Oficjalnie to atak grizzly.

– Wilk samotnik?

– Możliwe. Albo ktoś chce pokazać, jak kiepskim pomysłem są plany ujawnienia istnienia wilkołaków.

Leżąca u boku Charlesa Anna zamarła. Przebudziła się już całkiem i słuchała.

– Puszcza gór Cabinet jest tuż za naszym płotem, wiadomo było, że się o tym dowiem – ciągnął Bran. – W Montanie od kilkunastu, chyba nawet dwudziestu lat nie mieliśmy żadnych obcych samotników. – Żaden nie był na tyle głupi, by zapuszczać się na prywatne terytorium Marroka. – Strażnicy mają też inne zgłoszenie. Jakiś miesiąc wcześniej, nieopodal miejsca, gdzie znaleziono myśliwego, młody turysta natknął się na potwora. Chłopak twierdził, że istota, która wyszła z lasu, miała szpony, kły i ryczała na niego. Założyli, że to puma, choć chłopak upierał się, że rozpoznałby pumę. Był oburzony i zajęło im trochę, zanim przekonali go do zmiany zeznań.

– I po czymś takim chłopak żyje i opowiada swoją historyjkę?
– Charles poczuł, jak Anna sztywnieje, zrozumiałwszy powody, sprecyzował swoją wątpliwość bardziej dla niej niż dla ojca. – Samotnik nie zostawiłby chłopaka przy życiu po takim spotkaniu.

Już dawno nie musiał zabijać niewygodnych świadków. Wystarczył brak wiary w zjawiska paranormalne, a tu, na północno-zachodnim wybrzeżu sprawę ułatwiały legendy o Wielkiej Stopie.

– Chłopak mówił, że z krzaków wyskoczył jakiś stary szaleniec z nożem i kazał mu uciekać – wyjaśnił Bran. – Młody posłuchał i wziął nogi za pas.

Charles milczał przez chwilę, przyswajając informację.

– Stary wariat przypadkiem znalazł się na drodze wilkołaka czającego się na dzieciaka? Żaden człowiek nie powstrzymałby wilkołaka.

– Nie twierdzę, że to ma sens – oświadczył Bran sucho. – Poza tym nie wiemy, czy to był wilkołak. Nie przywiązywałem do tego wagi do czasu tego zabójstwa. Ale ten sam rejon, dwa wypadki?

– A ten ostatni? Jesteś pewien, że to wilkołak?

– Powiedziała mi o tym Heather Morrell, a ona potrafi odróżnić ofiarę niedźwiedzia od ofiary wilkołaka. – Heather była człowiekiem, lecz wychowała się w Aspen Creek.

– No tak. Więc mam się tym zająć? Tyle że to za kilka dni, bo muszę się pozbierać. – Nie chciał także zostawiać Anny. – Możesz wysłać tam kogoś innego? – Potrzebny byłby ktoś niezwykle dominujący, żeby opanować zbuntowanego samotnika.

– Nie chcę posyłać nikogo na śmierć.

– Poza mną. – Charles także potrafił być oschły.

– Tak – potwierdził obojętnie Bran. – Jednak nie możesz jechać tam w tym stanie. Samuel przyjechał na pogrzeb, przy

okazji może to sprawdzić.

– Nie możesz wysłać tam Samuela. – Odpowiedź była natychmiastowa i stanowcza. Wewnętrzny sprzeciw okazał się zbyt ostry jak na zwykły instynkt. Czasami duchy pomagały Charlesowi trochę w podejmowaniu decyzji.

Tym razem ojciec czekał na wyjaśnienia, a Charles usiłował tymczasem sprecyzować, dlaczego wysłanie na miejsce Samuela to taki zły pomysł. Nie spodobała mu się odpowiedź, która w końcu się nasunęła.

– Z Samuelem musi być coś nie w porządku, skoro przyjechał z Teksasu – powiedział wreszcie.

– Ma myśli samobójcze – potwierdził Bran wprost. – Wysłałem go do Mercy, może przy niej się otrząśnie. To dlatego wysłałem cię do Chicago, a nie do Waszyngtonu.

Biedna Mercy, biedny Samuel. Charles musnął palcami ramię Anny. Dzięki Bogu, dzięki wszystkim duchom, że w jego przypadku ojciec nigdy nie bawił się w swatkę. Spojrzał na Annę i do głowy przyszło mu jeszcze jedno: dzięki Bogu, że to on pojechał do Chicago, a nie Samuel.

Duchy zareagowały na te dziękczynienia, wtrącając się jeszcze bardziej.

– Samuel jest twardy – powiedział, przedzierając się przez natłok obrazów podsuwanych mu przez siły nadprzyrodzone. – Ale przede wszystkim jest uzdrowicielem, a myślę, że w tej sytuacji należy wysłać kogoś innego. Pojadę. Potrzebuję kilku dni, ale pojadę. – Niepokój dręczący go od chwili kontaktu telepatycznego z ojcem zniknął. Czuł, że podjął słuszną decyzję.

Bran wprost przeciwnie.

– Albo mi się wydaje, albo dostałeś wczoraj trzema srebrnymi kulami. A dzisiaj rano straciłeś nad sobą panowanie.

– Dwoma – sprostował Charles. – Trzecia to draśnięcie. A z moją równowagą już wszystko w porządku.

– Niech Samuel cię zbada, a potem wrócimy do tej rozmowy – stwierdził ojciec i rozłączył się nagle. Jednak w głowie Charlesa jeszcze raz rozbrzmiał jego głos: *Nie chcę stracić obu synów.*

Charles odłożył słuchawkę i zwrócił się do Anny:

– Pytaj.

– Bran, Marrok, zamierza ujawnić istnienie wilkołaków? – mówiła cicho, jakby bała się wypowiedzieć coś tak nie do pomyślenia.

– Uważa, że i tak wie o tym już zbyt wiele niewłaściwych osób. W erze komputerów i nauki coraz trudniej nam się ukryć. Tato uważa, że jeśli nas ujawni, łatwiej mu będzie kontrolować przepływ informacji. Woli zrobić to sam, niż czekać, aż uczyni to wróg lub jakiś gadatliwy kretyn.

Annie ulżyło, bo poczuł, jak się odpręża.

– No to robi się ciekawie.

Roześmiał się, przytulił ją i nareszcie zapadł w sen.



3

Aspen Creek okazało się prawdziwym miastem. Może nie zabójczo miejskim miastem, ale znajdowała się w nim stacja benzynowa, hotelik i dwupiętrowy ceglano-kamienny budynek opatrzony tabliczką „Szkoła”. Za szkołą, ukryty pomiędzy drzewami, widoczny tylko z parkingu, stał stary kościół. Gdyby nie wskazówki Charlesa, nie zauważyłaby go.

Anna zaparkowała zielonego pick-upa na miejscu przeznaczonym dla o wiele mniejszego samochodu. Nie miała wyjścia – nie znalazła innego. Po drodze nie widziała żadnych domów, ale pod kościołem stało wiele pick-upów i innych pojazdów terenowych.

Furgonetka Charlesa była starsza od Anny, ale wyglądała na zupełnie nową. Na liczniku miała ledwie osiemdziesiąt tysięcy kilometrów. Czyli wychodziło nieco ponad trzy tysiące na rok. Charles twierdził, że nie lubi prowadzić.

Zgasiła silnik i z niepokojem obserwowała, jak Charles wysiada z wozu. Wysokie podwozie nie sprawiło mu problemu. Plama na różowym bandażu nie powiększyła się od wczoraj, ale

Cornick nadal nie wyglądał najlepiej. Najbardziej martwiły ją lekkie wypieki.

Gdyby mieli spotkać się z jej stadem w Chicago, nie puściłaby go. Zbyt wiele wilków chętnie wykorzystałoby słabość Charlesa. A już na pewno odwodziłaby go od wyjścia bardziej uparcie niż rankiem.

Wyraziła swoje obawy ze wzrokiem wbitym w podłogę. Z doświadczenia wiedziała, że dominujące wilki nie lubią, kiedy podważa się ich sprawność, i źle na to reagują. Ostrożność zachowała raczej z przyzwyczajenia, bo nie bała się, że może ją skrzywdzić.

– Nie przejmuj się – zbył Annę. – Nikt nie odważy się mnie zaczepić. Nawet jeśli nie z moich, taki delikwent zginąłby z rąk ojca. A ja nie jestem wcale taki bezbronny.

Nie odważyła się ponownie podważyć jego osądu. Pozostało jej mieć nadzieję, że się nie myli.

I musiała przyznać, że rzeczywiście nie wygląda na bezbronnego. Szczególnie że opatrunki skrywał ciemny garnitur. To formalne ubranie w połączeniu z długim warkoczem było niezwykle frapujące. Oczywiście przy tak egzotycznie pięknej twarzy i wspaniałym, umięśnionym ciele we wszystkim wyglądałby oszałamiająco.

Miał o wiele więcej klasy niż ona. Musiała założyć dzinsy i żółtą koszulę, bo poza tym miała tylko kilka T-shirtów. Pakując się, nie brała pod uwagę uczestnictwa w pogrzebie.

Westchnąwszy, otworzyła ostrożnie drzwiczki, starając się nie zarysować lakieru stojącego obok subaru. Charles czekał na nią przed pick-upem. Kiedy do niego podeszła, zgiął łokieć w znajomym już, staromodnym geście.

Wzięła go pod ramię i dała się poprowadzić do ławki. Nie kulał, widziała jednak, że znajduje się pod obstrzałem spojrzeń usiłujących wyszukać najmniejszy ślad sztywności w nodze. Pokonując schody, zerknęła Charlesowi w twarz, ale nie mogła

z niej nic wyczytać poprzez maskę obojętności, którą przybrał jak zwykle przy ludziach.

W kościele wrzało jak w ulu. Wyławiała z gwaru pojedyncze słowa, lecz nic sensownego. W powietrzu unosił się zapach wilków, ale przyszło też wielu ludzi. Pod fasadą gniewu i urazy wyczuwała żal oraz smutek. Ławki w kaplicy były pełne, sporo osób stało nawet z tyłu. Kiedy weszli, wszystkie głowy odwróciły się ku nim, a oczy spoczęły na nieznajomej – jedynej, która miała na sobie dzinsy. I coś żółtego.

Mocniej przywarła do ramienia Charlesa. Zerknął na nią, po czym rozejrzał się wokół i naraz okazało się, że wszyscy jak jeden mąż mają niezwykle ważne sprawy, które odwróciły od niej ich uwagę. Podziękowała Charlesowi delikatnym uściskiem i sama rozejrzała się po kościele. Zbudowany na planie krzyża, o wysokim sklepieniu i ciemnobrązowej stolarce, przypominał trochę kościół kongregacyjny, do którego należała jej rodzina. Ambona znajdowała się na podwyższeniu, dokładnie na wprost przejścia, którym się posuwali. Za kazalnicą umieszczono kilka rzędów ławek zwróconych przodem do wiernych. Zbliżywszy się do ambony, Anna zrozumiała, że myliła się co do braku wolnych miejsc w kościele. Pierwsza ławka po lewej stronie była prawie pusta. Zajmował ją tylko Bran.

Pomijając czarny garnitur, wyglądał, jakby czekał na autobus, a nie pogrzeb. Siedział swobodnie, z rozłożonymi ramionami i łokciami na oparciu. Wyciągnięte do przodu nogi skrzyżował w kostkach. Wpatrywał się albo w barierkę, albo w przestrzeń. Jego oblicze nie zdradzało więcej niż mina Charlesa, a w przypadku Brana, który, jak zdążyła zauważyć, miał zwykle żywą mimikę, oznaczało to coś nienaturalnego.

Biło od niego osamotnienie. Anna przypomniała sobie, że całe to miasteczko żałobników przybyło, aby pożegnać człowieka zabitego właśnie przez Marroka. Przyjaciela, jak wspomniał.

Charles warknął, a Bran przecknął się i spojrzał na nich. Uniesienie brwi ożywiło jego nieruchomą twarz.

– No co? Chyba nie sądziłeś, że będą mi wiwatować? – powiedział, wskazując im miejsce obok siebie.

Charles okręcił się tak gwałtownie, że Anna nagle znalazła się z nim twarzą w pierś. Nie patrzył jednak na nią, a na zebranych, którzy znów nie wiedzieli, gdzie podziąć oczy. Jego moc przetoczyła się falą po świątyni, a gwar ucichł jak nożem uciął.

– Głupcy – powiedział wystarczająco głośno, by słyszano go w całym kościele.

– Daj spokój, bo poumierają ze strachu – zaśmiał się Bran. – Nie jestem politykiem i dopóki robią, co im każę, nie obchodzi mnie, co o mnie myślą.

Charles zrezygnował po chwili i usiadł. Anna zajęła miejsce pomiędzy nim a Marrokiem.

Gdy tylko się odwrócił, poziom hałasu wrócił do poprzedniego stanu. Atmosfera była tak ciężka, że z trudem się oddychało, a Anna czuła się jak outsider.

– Gdzie Samuel? – zapytał Charles, spoglądając na ojca ponad jej głową.

– Właśnie idzie – odparł Bran, nawet nie patrząc. Jednak i Anna, i Charles odwrócili głowy.

Idący środkiem kościoła mężczyzna był prawie wzrostu Charlesa. Rysy odziedziczone wyraźnie po ojcu, w jego przypadku ostrzejsze, sprawiały, że nie wyglądał tak młodo, jak Marrok. Anna uznała, że jest pociągający, choć na pewno nie tak przystojny jak Charles.

Mimo niedbale przyciętych brązowych włosów wyglądał bardzo schludnie. W jednej ręce niósł stary futerał na skrzypce, w drugiej granatową, dżinsową kurtkę.

Dotarłszy na sam przód, odwrócił się, obrzucając obecnych jednym spojrzeniem. Kiedy przeniósł je na Annę, uśmiechnął

się z tą osobliwą słodyczą, której echo widziała na obliczu Charlesa. Dzięki temu uśmiechowi Anna przejrzała przez powierzchowne różnice, dostrzegając ukryte podobieństwa. Tkwiły one raczej w mimice i kształcie czaszki niż zewnętrznych rysach.

Samuel usiadł obok brata, roztaczając wokół siebie świeży zapach śniegu i wyprawionej skóry.

Uśmiechnął się szerzej i już zaczynał coś mówić, ale powstrzymała go zapadająca w tylnych ławkach cisza.

Ku ambonie zmierzał niespiesznie pastor, odziany w staromodną sutannę. Pod pachą niósł bardzo starą Biblię. Kiedy dotarł na sam front, wszyscy umilkli.

Wyraźnie widoczny wiek świadczył, że pastor nie był wilkołakiem. Jego postawa i prezencja sprawiły, że powitalne: „Witam wszystkich i dziękuję, że przybyliście towarzyszyć naszemu drogiemu przyjacielowi w jego ostatniej drodze” zabrzmiało niezwykle uroczyście. Troskliwie położył Biblię na pulpicie, delikatnie otworzył tłoczoną, skórzaną okładkę i wyjął zakładkę.

Czytał piętnasty rozdział Pierwszego Listu do Koryntian. Ostatnie zdania wyrecytował, nie patrząc w tekst. „Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?”

Zawiesił głos, potoczył wzrokiem po wiernych, podobnie jak wcześniej Charles, a potem zaczął mówić zwyczajnym tonem:

– Niedługo po naszej przeprowadzce tutaj Carter Wallace przyszedł do mnie o drugiej nad ranem, żeby potrzytać za rękę moją żonę, która przejmowała się bardzo pierwszym porodem naszej goldenki. Nie policzył za wizytę domową, mówiąc, że czułby się jak żigolo, biorąc pieniądze za przytulanie pięknej kobiety.

Po tych słowach zszedł z podwyższenia i usiadł na stojącym z boku ozdobnym krześle. Wśród ławek rozległo się szuranie

i skrzywienie drewna i z jednego z rzędów wyszła na środek starsza kobieta, prowadzona pod ramię przez mężczyznę o jasnokasztanowych włosach. Kiedy przechodzili, Anna poczuła od mężczyzny zapach wilkołaka.

Kobieta potrzebowała dobrych kilku minut, by dotrzeć do podwyższenia i pokonać schodki. Była tak malutka, że znalazłszy się za amboną, musiała stanąć na podnóżku. Wilkołak podtrzymywał ją przez cały ten czas.

– Carter przyszedł do naszego sklepu jako ośmioletni chłopiec – rzekła cichym, drżącym głosem. – Dał mi piętnaście centów, a gdy zapytałam, za co to, on odrzekł, że kilka dni wcześniej był u mnie z Hammondem Markhamem i Hammond ukradł batonik. Zapytałam, dlaczego to on, a nie Hammond przynosi pieniądze, a on odparł, że Hammond o niczym nie wie. – Roześmiała się i otarła łzę z oka. – Następnie zapewnił mnie, że to pieniądze Hammonda, a nie jego, i oświadczył, że wybrał je ukradkiem ze świnki kolegi.

Eskortujący staruszkę wilkołak ujął ją za rękę i ucałował pomarszczoną dłoń. Potem, nie zważając na protesty, wziął ją na rękę i zaniósł z powrotem na miejsce. Okazało się, że byli małżeństwem, a nie babką i wnukiem.

Anna zadrżała, nagle wdzięczna losowi, że Charles jest wilkołakiem jak ona, a nie człowiekiem.

Potem z ławek wychodzili kolejni ludzie, opowiadali historyjki albo odczytywali wersety z Biblii. Wielu płakało. Zmarły Carter Wallace, a raczej doktor Carter Wallace, bo najwyraźniej był tutejszym weterynarzem, był ceniony i kochany.

Charles wyciągnął nogi i pochylił głowę. Siedzący obok niego Samuel z nieobecną miną skrobał wytarte już miejsce na skórzanym futerale.

Anna w zadumie zastanawiała się, na ilu pogrzebach już byli, ilu przyjaciół pochowali. Już wcześniej, próbując popełnić

samobójstwo, przeklinała swoje niestarzejące się, samouzdrawiające ciało. Na widok napięcia Charlesa, nerwowości Samuela i smutnego zacięcia Brana pomyślała, że istnieje wiele powodów, dla których nieśmiertelność jest przekleństwem.

W jej głowie zrodziło się więcej pytań. Czy Charles miał kiedyś żonę? Ludzką kobietę, która starzała się, podczas gdy on pozostawał młody. Jak to będzie, gdy jej znajomi z dzieciństwa zgrzybieją, a ona nigdy nie ujrzy w lustrze siwego włosa?

Zerknęła na Charlesa. Miał dwieście lat, a jego brat i ojciec byli jeszcze starsi. Musieli przeżyć wiele pogrzebów.

Z zadumy wyrwało ją nerwowe poruszenie wśród wiernych. Podniósłszy głowę, ujrzała idącą przejściem dziewczynę. Na oko nie wyglądała na osobę, która mogłaby wzbudzać takie podniecenie. Choć znajdowała się jeszcze zbyt daleko, by wyłowić jej zapach spośród tak wielu, coś nieokreślonego wyraźnie wskazywało, że jest człowiekiem.

Kiedy dziewczyna weszła na podest i spoglądając spod rzęs na wiernych, zaczęła kartkować Biblię, sala ucichła w napiętym wyczekiwaniu.

Wreszcie odnalazła szukany ustęp i wodząc palcem po kartce, zaczęła czytać:

– „Albowiem to jest opowiadanie, któreście słyszeli od początku, abyście jeden drugiego miłowali. Nie jako Kain, który był ze złośnika i zabił brata swego. A dlaczego go zabił? Iż uczynki jego złośliwe były, a brata jego sprawiedliwe”.

– To Shawna, wnuczka Cartera – mruknął Charles wyjaśniająco. – Oj, będzie się działo.

– Nie przykładała się do nauki – skomentował Samuel szeptem, acz z nutką humoru. – Można było znaleźć apostoła o bardziej ostrym języku.

Dziewczyna odczytała jeszcze kilka wersów, po czym spojrzała wprost na Marroka, który w odpowiedzi podniósł na

nią wzrok. Anna nie poczuła nawet iskry magii Alfy, lecz dziewczyna wytrzymała może pół sekundy, zanim spuściła oczy.

– Wyjechała do szkół – szepnął Charles tak cicho, że nikt poza Anną, nawet inny wilkołak, nie potrafiłby go usłyszeć. – Jest młoda, gniewna i już dawno buntowała się przeciw władzy, jaką w Aspen Creek dzierży tata. Jeszcze zanim doktor Wallace podjął fatalną w skutkach decyzję, by zostać wilkołakiem. Aczkolwiek wywlekanie tego na pogrzebie jest niewybaczalne.

Wszystko stało się jasne. To napięcie, gniew ludzi. Doktor przeszedł Przeistoczenie, ale nie udało się, więc Bran został zmuszony go zabić.

Marrok wspominał, że Carter był jego przyjacielem. Patrząc na nieruchome oblicze Brana, Anna pomyślała, że nie ma chyba wielu, których może nazywać swoimi przyjaciółmi.

Pod wpływem impulsu sięgnęła i ujęła Marroka za nonszalancko zwisającą dłoń. Zamarła, zorientowawszy się, co zrobiła, ale było za późno. Bran złapał jej rękę i ścisnął tak mocno, że aż zaboląło. Gest ten zaprzeczał jego swobodnej pozie.

Po chwili uścisk zelżał.

Stojąca na mównicy Shawna podjęła z goryczą, której nie zgasił przegrany pojedynek woli:

– Dziadek umierał, miał raka kości, a Marrok namówił go na Przeistoczenie. Dziadek nigdy nie chciał zostać wilkołakiem, ale słaby, chory poddał się perswazji. – Dla Anny jej wypowiedź brzmiała niczym wyuczona na pamięć i ćwiczona przed lustrem. – Dziadek posłuchał przyjaciela. – Nie spojrzała już na Brana, lecz nawet Anna, która nie знаła zmarłego, nie miała wątpliwości, o kim mówi. – Koniec końców, zamiast umrzeć od choroby, zginął z rąk Brana, który stwierdził, że dziadek nie jest wystarczająco dobrym wilkołakiem. Może dziadek uważałby, że to lepsza śmierć. – „Ale ja nie”, choć niewypowiedziane, zawisło

w powietrzu i dzwoniło jeszcze, gdy Shawna zeszła z podwyższenia.

Anna nastawiła się, że znienawidzi dziewczynę, jednak gdy ta przechodziła obok z wojowniczo zadartym podbródkiem, zrobiło jej się żal na widok czerwonych, opuchniętych oczu.

Wyczuwając kotłujące się w Charlesie emocje, Anna przez chwilę myślała, że jej towarzysz zerwie się na równe nogi i zabierze głos, jednak to Samuel powstał z ławki i zostawiwszy futerał, wszedł spokojnie na podest.

Jakby nieświadom atmosfery, zaczął opowiadać o młodziutkim Carterze, który uciekł matce i zaszedł kawał drogi w głąb lasu, nim ojciec go znalazł stojącego oko w oko z rozwścieczonym grzechotnikiem. Ojciec, wilkołak, zabił węża, a Carter wpadł w szal.

– Nigdy nie widziałem go tak rozzłoszczonego – mówił Samuel z uśmiechem. – Był przekonany, że gad jest jego przyjacielem, a stary Henry, ojciec Cartera, był zbyt wstrząśnięty, by przekonać syna, że to nieprawda. – Samuel zawiesił głos, poważniejąc. – Shawny nie było w mieście, gdy całe zdarzenie miało miejsce, więc trzeba wybaczyć jej nieprawdziwe zarzuty. Mój ojciec uważał, że Carter nie powinien przechodzić Przeistoczenia, że ma zbyt miękkie serce, by egzystować jako wilkołak. Powiedział to i jemu, i nam. – Mównica zaskrzypiała złowieszczo, gdy Samuel się oparł, więc zdjął ręce z pulpitu. – Ja niestety wziąłem stronę Gerry'ego i razem, jego syn i jego lekarz, przekonaliśmy Cartera, że Przeistoczenie jest dobrym pomysłem. Mój ojciec, zdając sobie sprawę, że proces u tak chorego człowieka niesie ze sobą ogromne ryzyko, wziął Przeistoczenie na siebie. I udało mu się przeprowadzić wszystko do końca. Jednakże miał rację, doktor nie potrafił ani zaakceptować, ani też kontrolować swojego wilka. Gdyby to nie był Carter, zginąłby już w lutym, wraz z innymi, którym się nie udało. Ale Gerry, a do niego należało to

zadanie, nie chciał się z tym pogodzić. A Marrok nie chciał robić tego bez jego zgody. – Odetchnął i spojrział na wnuczkę zmarłego. – Carter omal nie zabił twojej matki, Shawno. Leczyłem ją po tym ataku i mogę z całą mocą stwierdzić, że ocalił ją łut szczęścia, a nie jakiś ludzki odruch Cartera. Sama możesz ją o to zapytać. Jak człowiek, który życie poświęcił służbie innym, zniósłby świadomość, że zabił własną córkę? Słyszałem, że to właśnie ona poprosiła Marroka, żeby wziął na siebie obowiązek, którego nie mógł wykonać jej brat. W tamtym czasie wilk Cartera przejął kontrolę i sam Carter nie mógł o to poprosić. Więc nie, to nie Marrok namówił Cartera na Przeistoczenie, on wkroczył jedynie na scenę, by posprzątać bałagan, jaki się zrobił.

Skończywszy, Samuel potoczył wzrokiem po kościele, a głowy obecnych pochylały się ulegle. Na koniec skinął i zajął z powrotem miejsce obok Charlesa.

Kilkoro następnych przemawiających nie patrzyło na Marroka i jego synów, ale według Anny tym razem kierował nimi wstyd, nie tłumiony gniew, jak jeszcze kwadrans wcześniej.

Na koniec podniósł się ponownie pastor.

– Mam tu list, który Carter dał mi kilka tygodni temu – rzekł.
– Kazał go otworzyć po jego śmierci, której nadejście, bez względu na przyczynę, przeczuwał. – Duchowny otworzył kopertę i założył okulary. – „Drodzy przyjaciele” – zaczął. – „Nie rozpaczajcie po moim odejściu. Ja nie czuję żalu. Wydarzenia ostatniego roku przekonały mnie, że mieszanie się w boskie plany to kiepski pomysł. Odchodzę, by dołączyć do mojej ukochanej żony, i czynię to z ulgą i radością. Mam jednak jedno ostatnie życzenie. Bran, stary bardziej, proszę cię, abys zaśpiewał coś na moim pogrzebie...”



W kościele zaległa całkowita cisza. Charles czuł aktualnie do zmarłego niechętną sympatię. Poczciwy Carter, typowy uzdrawiacz, jak Samuel. Wiedział, co go czeka, wiedział, jak wszyscy to przyjmą, włączając Marroka. Widząc, że ojciec, co do niego niepodobne, jest całkiem zaskoczony, podniósł się i podał mu rękę. Bran nie przyjął pomocy, ale puścił dłoń Anny i wstał. Anna rozprostowała rękę, jakby sprawdzała, czy nie boli.

– Spodziewałeś się czegoś takiego? – zapytał brata, wskazując futerał, kiedy obaj szli za Branem na podest. Gdyby wiedział, zabrałby ze sobą jakiś instrument, a tak został oddelegowany do rozstrojonego pianina.

Samuel pokręcił przecząco głową.

– Nie, po prostu planowałem coś zagrać, a nie przemawiać. – Potem, otwierając futerał, dodał głośniejszym głosem: – Co chcesz zaśpiewać, tato?

Charles spojrzał na ojca, ale nie mógł nic wyczytać z jego twarzy. Zbyt wiele pogrzebów, pomyślał, zbyt wiele śmierci przyjaciół.

– „Simple Gifts” – rzekł Bran.

Charles usiadł do pianina, a Samuel dostroił skrzypce. Kiedy skinął głową, Charles zaczął przygrywkę do utworu Shakera. Pomyślał, że to świetny wybór. Nieprzesadnie smutna, nie bardzo religijna, i pasowała do Cartera Wallace’a, który był prostym człowiekiem. Poza tym znali ją wszyscy trzej.

*'Tis the gift to be gentle, 'tis the gift to be fair,
'Tis the gift to wake and breathe the morning air,
To walk every day in the path that we choose,
'Tis the gift that we pray we will never never lose.*

Gdy ucichły nuty drugiej linijki, Charles zdał sobie sprawę, że pasuje także do ojca. Choć Bran był wyrafinowanym człowiekiem, pragnienia i potrzeby miał całkiem proste – chciał tylko, by jego ludzie pozostali żywi i bezpieczni. Potrafił być bezwzględny, żeby osiągnąć ten cel.

Charles zerknął na Annę, siedzącą samotnie w ławce. Miała przymknięte oczy i poruszała ustami, śpiewając bezgłośnie wraz z Branem. Charlesa zżerała ciekawość, jak śpiewa i czy ich głosy by współgrały. Nie wiedział, czy w ogóle śpiewa, ale wspominała, że pracowała przez jakiś czas w sklepie muzycznym. To tam spotkała wilkołaka, który ją Przeistoczył.

Otworzyła oczy, napotykając jego wzrok. Wrażenie było tak silne, że dziwił się, iż jego palce nadal poruszają się po klawiaturze.

Należała do niego.

Gdyby Anna знаła siłę jego uczuć, uciekłyby stąd z krzykiem. Nie przywykł do odczuwania takiej zaborczości ani do tego dzikiego szczęścia, jakie zamieszkało w jego sercu wraz z jej pojawieniem się. Wulkan emocji popychał Charlesa na granicę utraty kontroli, dlatego zmusił się, by skupić na muzyce. Muzykę rozumiał.



Anna z trudem powstrzymywała się od nucenia. Gdyby widownię stanowili wyłącznie ludzie, nie przejmowałaby się, ale wokół znajdowało się zbyt wiele istot o słuchu tak dobrym jak jej.

Jedną z rzeczy, której nie znosiła w wilkołactwie, był rewelacyjny słuch, przez który musiała zrezygnować ze słuchania wielu wykonawców. Wyławiała każdą nutę fałszu, każde zakłócenie w nagraniach. Za to ci, których muzyką mogła

się jeszcze cieszyć... Bran miał czysty głos, o głębokiej barwie. Jego śpiew brzmiał tak zachwycająco, że aż przeszywał ją dreszcz i włoski jeżyły się na karku.

Kiedy ucichła ostatnia nuta, mężczyzna siedzący za Anną pochylił się i nieomal muskając ustami jej kark, szepnął:

– Widzę, że Charles przywiózł sobie do domu zabaweczkę. Ciekawe, czy się podzieli... – W głosie słychać było lekki akcent.

Anna odsunęła się najdalej jak mogła i podniosła wzrok na Charlesa. Ten jednak akurat zamykał klapę pianina i stał do niej tyłem.

– I co, zostawił cię jak owieczkę między wilkami – wymruczał mężczyzna. – Ktoś tak delikatny powinien mieć przy sobie mężczyznę, który ceni dotyk. – Położył Annie dłonie na ramionach, próbując odwrócić ku sobie. Nie bacząc na pogrzeb i zebranych ludzi, wyrwała się gwałtownie. Nie zamierzała już nigdy więcej pozwolić, by dotykano ją wbrew woli. Zerwała się na równe nogi i odwróciła do wilkołaka, który odchylił się na oparcie, spoglądając na nią z uśmiechem. Siedzący obok niego ludzie odsuwali się pospiesznie. To pragnienie zachowania dystansu świadczyło o wilkołaku prawdziwiej niż błąkający się po ustach uśmiech.

Anna musiała w duchu przyznać, że mężczyzna jest piękny. Miał regularne, szlachetne rysy twarzy i skórę, jak Charles, barwy nagrzanego słońcem drewna tekowego. Nos i ciemne oczy wskazywały na bliskowschodnie pochodzenie, ale akcent na Latynosa – Anna miała świetne ucho do akcentów. Mógł być w jej wieku, wyglądał na dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, lecz w głębi swojego jestestwa Anna czuła, że jest bardzo, bardzo stary. Uderzyła ją też tkwiąca w nim gwałtowność, nuta szaleństwa.

– Zostaw Annę w spokoju, Asil – powiedział Charles, kładąc ręce na ramionach swojej towarzyszki, tam gdzie przedtem

nieznajomy. – Jeśli będziesz ją zaczepiał, rozerwie cię na strzępy, a resztki rzuci krukowi na pożarcie.

Anna oparła się o pierś Charlesa, chłonąc ciepło, zaskoczona prawdziwością jego słów. Jej pierwszą reakcją nie był jak zwykle strach, a gniew.

Asil roześmiał się chrapliwie, wzruszając nerwowo ramionami.

– Świetnie – powiedział. – Świetnie. Ktoś w końcu powinien. – A potem cały jego humor wyparował, a w twarzy odbiło się znużenie. Potarł skronie. – Już niedługo – rzekł, patrząc poza swoich rozmówców. – Mówiłem ci, że sny powróciły. Śnię o niej prawie co noc. Trzeba to zrobić szybko, zanim będzie za późno. Dzisiaj.

– Dobrze, Asil. – W głosie Brana słychać było zmęczenie i pustkę. – Ale nie dzisiaj. I nie jutro. Wytrzymasz jeszcze trochę.

Asil odwrócił się do zebranych, którzy w milczeniu obserwowali całą scenę, a potem przemówił dźwięcznie, głośno:

– Macie tu prawdziwy dar, osobę, która wie, co należy zrobić, i to robi. Macie tu dom, miejsce, do którego zawsze możecie wrócić, bezpieczną przystań i to wszystko dzięki niemu. Ja musiałem opuścić moją Alę i przybyć aż tutaj, bo mój przywódca pozwoliłby mi zapaść się w szaleństwo bez miłości. – Uczynił gest, jakby splotał przez lewe ramię. – Słaba miłość jest zdradliwa. Gdybyście wiedzieli, co czuję, co czuł Carter Wallace, rozumielibyście, jakim błogosławieństwem jest Bran Cornick i to, że potrafi pozbawić życia kogoś, kto nie powinien żyć.

W tym momencie do Anny dotarło, o czym mówi. Wilkołak prosił Brana o śmierć.

Wiedziona impulsem odsunęła się od Charlesa, przyklękła na ławce i chwyciła Asila za przegub ręki, którą trzymał na

oparciu.

Syknął, zaskoczony, ale nie cofnął dłoni, a aura dzikości, szaleństwa zbladła. Spojrzał na Annę zdumiony, błyskając białkami, a jego źrenice rozszerzyły się tak, że z tęczówek pozostał tylko cieniutki okrąg.

– Omega – szepnął z zapartym tchem.

Charles przysunął się, ale nie odciągnął Anny. Zimne ciało pod jej palcami rozgrzewało się powoli. Wszyscy stali jak urzeczeni, a Anna, choć wiedziała, że wystarczy cofnąć dłoń, by przerwać to zaklęcie, nie chciała tego robić.

Asil otrząsnął się ze stuporu, skóra wokół jego oczu i ust straciła napięcie. Na twarzy pojawił się smutek, który pogłębił się, a następnie skrył przed ciekawskimi obserwatorami pod maską obojętności. Wilk wyciągnął rękę i mimo ostrzegawczego warknięcia Charlesa dotknął delikatnie policzka Anny.

– Jest tu więcej darów losu, niż sądziłem. – Uśmiechnął się lekko, jednocześnie wargami i oczyma. – Za późno już dla mnie, *mì querida*. Nie marnuj swojego daru na takiego starucha jak ja. Ale dziękuję za tę chwilową ulgę. – Popatrzył na Brana. – Nie dzisiaj, nie jutro i może też nie pojutrze. Widok Charlesa, tego zatwardziałego samotnika, złapanego w sidła Amora, to coś, na co warto popatrzeć. Może być zabawnie.

Wyzwolił rękę i błyskawicznie ujął dłoń Anny, po czym zerknąwszy spod oka na Charlesa, złożył na niej pocałunek. Już bez słowa odwrócił się i nie spiesząc się ani nie ociągając, opuścił kościół.

– Uważaj na niego – ostrzegł Charles, nie był zły.

Ktoś odchrząknął. Anna odwróciła głowę i napotkała wzrok pastora. Uśmiechnął się do niej, a potem popatrzył na wiernych. Nie wydawał się stropiony przerwą w ceremonii. Może przywykł do tego, że wilkołaki często w czymś przeszkadzają. Anna poczuła żar na policzkach, usiadła na ławce, żałując, że

nie może zapaść się pod ziemię. Właśnie przerwała pogrzeb człowieka, którego nawet nie znała.

– Czas kończyć – rzekł pastor. – Pozostawmy tu za sobą żałobę, a kiedy wyjdziemy, pamiętajmy, żeby wieść dobre życie i nie zamykać na nikogo serca. Pochylmy głowy w modlitwie.



4

Północno-zachodnia Montana, góry Cabinet, październik

Walter nie miał pojęcia, jakim cudem przeżył atak bestii, tak jak nigdy nie rozumiał, dlaczego przetrwał dwie tury w Wietnamie, podczas gdy zginęło tam tylu jego towarzyszy. Może w obu przypadkach miał szczęście? A może los trzymał dla niego coś w zanadrzu.

Na przykład kolejne trzydzieści lat samotniczego życia w puszczy.

Jeśli jednak sam fakt przeżycia był dziwny, to cała reszta zupełnie nie mieściła się w głowie. Pierwsze, co zauważył, to brak bólu w zaatakowanych artretyzmem stawach. Przestała mu też dokuczać stara rana biodra. Nie odczuwał także chłodu.

Znacznie dłużej trwało, zanim uświadomił sobie, że jego włosy i broda odzyskały dawny kolor – to dlatego, że nie posiadał lustra.

Właśnie wtedy zaczął dostrzegać inne dziwne rzeczy. Stał się szybszy i silniejszy niż kiedykolwiek. Jedynymi ranami, które

nie zaleczyły się z taką samą niesamowitą prędkością, jak ta na brzuchu, były te w jego duszy.

Nie rozumiał, co się z nim dzieje, aż do poranka po pierwszej pełni, kiedy to ocknął się, czując w ustach posmak krwi. Dalsze jej ślady znalazł pod paznokciami i na nagim ciele. Obudzona wspomnieniami świadomość tego, co zrobił, czym się stał, uderzyła Waltera z krystaliczną wyrazistością. Zdał sobie sprawę, że stał się wrogiem, i załkał nad utratą resztki człowieczeństwa.

Aspen Creek, Montana

Otoczona troskliwie ramieniem Charlesa, Anna podążyła do wyjścia za tłumem wiernych. Ich czwórka zatrzymała się na chodniku, czekając, aż na parkingu zrobi się luźniej. Kilka wychodzących z kościoła osób przypatrywało się Annie ciekawie, lecz nikt jej nie zaczepił.

Wkrótce zostali prawie sami, nie licząc Samuela, który uśmiechał się co prawda łagodnie, ale jednocześnie mierzył ją bacznym spojrzeniem szarych oczu.

– A więc to ty jesteś tym bezpańskim szczenięciem, które mój brat postanowił zabrać do domu. Myślałem, że będziesz wyższa.

Trudno było się obrazić za te słowa, bo nie zostały wypowiedziane w intencji urażenia jej. Tyle dobrze, że nie nazwał Anny suką.

– Tak – odpowiedziała, starając się nie wiercić i powstrzymując chęć paplania. Właśnie tak zwykle reagowała, kiedy była zdenerwowana.

– Anno, to Samuel, mój brat. Samuelu, poznaj Annę – Charles dokonał oficjalnej prezentacji.

Najwyraźniej jednak Samuel uznał, że to mało.

– Doktor Samuel Cornick – rzekł. – Starszy brat i dręczyciel Charlesa. Miło cię poznać, Anno...

– Latham – dokończyła, żałując, że nie jest w stanie dodać czegoś błyskotliwego.

Obdarzył ją uroczym uśmiechem, który jednak, jak zauważyła, nie ocieplił jego spojrzenia.

– Witaj w rodzinie. – Poglądził Annę po głowie, pewnie po to, by zirytować Charlesa.

Który nie przejął się zbyt.

– Przestań flirtować z moją towarzyszką – rzucił tylko.

– Zachowujcie się, dzieci – zbeształ ich Bran. – Samuelu, mógłbyś zabrać Charlesa do przychodni i rzucić okiem na jego rany? Mam dla niego zadanie, jednak jeśli szybko nie wydobrzeje, będę musiał znaleźć zastępstwo. Odnoszę wrażenie, że nie zdrowieje tak szybko, jak powinien.

– Jasne, żaden problem – zgodził się Samuel i patrząc na Annę, dorzucił: – Choć to może trochę potrwać.

Anna nie była głupia. Wiedziała, że Samuel chce porozmawiać z bratem na osobności. A może to Bran chciał porozmawiać z synem, a Samuel miał mu to umożliwić?

Charles także zrozumiał aluzję.

– Weź pick-upa i jedź do domu – polecił dziewczynie łagodnie. – Tata albo Samuel mnie potem odwiozą.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się do niego. Nie ma powodu czuć się urażoną, powiedziała sobie w duchu. Odwróciła się gwałtownie i ruszyła do furgonetki.

Miała co robić. Chciała przemyśleć kilka spraw w samotności, bez Charlesa, którego obecność rozpraszała.



Charlesa rozżłościł pośpiech i wyraźna ulga, z jaką Anna wsiadała do samochodu. Udało mu się jednak opanować irracjonalną złość na Samuela, który z takim wdziękiem się jej

pozbył. Wiedział, że brat działał na polecenie ojca. Charles zawsze wiedział, kiedy kontaktują się z ojcem niewerbalnie, zdradzała to mina Samuela.

Samuel odczekał, aż Anna odjedzie kawalek, i dopiero wtedy przerwał milczenie.

– Zabiłeś wilka, który ją skrzywdził?

– Tak, nie żyje. – Charles nie mógł oderwać wzroku od oddalającego się pick-upa. Nie podobało mu się, że Anna odjeżdża sama. Był pewien, że nie ma się o co martwić, bo nikt nie tknie dziewczyny, wiedząc, że należy do niego, a dzięki przedstawieniu, które urządził Asil, nikt w mieście nie miał co do tego wątpliwości. Nawet osoby nieobecne na pogrzebie, jak na przykład towarzyszka ojca, która w ten sposób określiła swoją postawę wobec całej sprawy, dowiedzą się o wszystkim w ciągu godziny. Mimo to nie podobało mu się, że Anna pojechała do domu. Wcale a wcale.

– Charles? – Łagodny głos brata przywołał go do rzeczywistości.

– Właśnie dlatego chciałem, żeby zostawiła nas samych – mruknął Bran. – Widzisz, jaka zaszła w nim zmiana? To samo było wczoraj, gdy zostawiliśmy go w siedzibie stada. Anna jest Omegą i myślę, że jej bliskość może maskować symptomy. Podejrzewam, że nie usunęli całego srebra.

– Kiedy oberwał?

– Przedwczoraj, trzykrotnie. Pierwsza kula tylko go drasnęła, dwie pozostałe przeszły pierś i łydkę. Wszystkie srebrne.

Charles stał ze wzrokiem przyklejonym do tylnego zderzaka furgonetki, która właśnie brała łagodny zakręt, wjeżdżając na drogę prowadzącą do domu.

– Jest bardziej wrażliwy na zatrucie srebrem niż... Charles!

Silne ręce chwyciły mężczyznę i odwróciły, a Bran zwrócił ku sobie jego twarz, przytrzymując syna wzrokiem skuteczniej niż brat siłą fizyczną.

– Muszę iść – oświadczył swojemu Alfie ze ściśniętym gardłem. Nie mógł myśleć, nie mógł tu zostać. Musiał chronić Annę, nieważne, że sam jest słaby.

– Czekaj – rzucił Bran, a polecenie opasało Charlesa niczym stalowe cumy, kotwicząc w miejscu mimo przemożnego pragnienia, żeby podążyć za samochodem. – Samuel musi cię obejrzyć. Wyślę do niej Sage, dobrze?

Dotyk ojca, jego głos i coś jeszcze pomogło mu pozbierać myśli. Stracił nad sobą panowanie.

Zamknął oczy, skupiając się na dotyku Marroka, i odczekał, aż jego wilk się uspokoi i pozwoli mu jasno myśleć.

– Znów to się stało, tak? – zapytał, choć nie potrzebował potwierdzenia. Odetchnął głęboko i kiwnął głową. – Może być Sage.

Ona nie skrzywdzi Anny, obroni ją podczas jego nieobecności. Utrzyma z daleka innych samców. Uspokoił się jeszcze bardziej, ale obserwował bacznie, jak ojciec dzwoni do Sage, i słuchał każdego słowa. Dopiero upewniwszy się, że Anna nie będzie sama, pozwolił zabrać się Samowi do przychodni. Bran jechał za nimi swoim humvee.

– Tata mówił, że musiałeś zabić Gerry’ego – zagaił do brata. Gerry, syn doktora Wallace’a, był odpowiedzialny za skrzywdzenie wielu osób, a nawet śmierć kilku z nich. Do zbrodni popchnęły go desperackie próby wynalezienia specyfiku, który umożliwiłby ziszczenie zawilego planu zmuszenia dobrego doktora do zaakceptowania nowej, podwójnej natury. Gerry nie przejmował się stratami, jakie powodowała jego *idée fixe*.

Samuel przytaknął ponuro.

– Nie pozostawił mi wyboru.

Nawet zaprzątnięty myślami o ukochanej i zdekoncentrowany palącym bólem źle gojących się ran,

Charles usłyszał, czego brat nie wypowiedział głośno. Sam ubrał tę myśl w słowa.

– Zastanawiasz się, ilu ludzi będziemy musieli zabić w obronie ojca? Ilu będziemy musieli skrzywdzić i zniszczyć?

– Tak – wyszeptał Samuel. – Zabijaliśmy, zabijamy. Wilkołaki i niewinnych ludzi, dla dobra naszego ojca. Czym różnimy się w tym od Gerry’ego? Dlaczego my mamy prawo z tym żyć, a on nie?

Jeśli Bran wysłał Samuela do Tri-Cities, by Mercy wyleczyła go z melancholii, to plan spalił na panewce. Charles toczył wewnętrzną walkę, żeby oderwać myśli od ukochanej, żeby pomóc jakoś bratu. Bez bliskości Brana koncentracja przychodziła z większym trudem, niż powinna.

– Pod rządami ojca stado jest bezpieczne i znajduje się pod kontrolą. Bez jego przywództwa zapanowałby chaos, struktury rozpadłyby się, jak w przypadku europejskich wilkołaków, a to spowodowałoby śmierć wielu ludzi. Co by się stało, gdyby plan Gerry’ego się powiódł? – zapytał Charles. Sage zajmie się Anną. Nie ma powodu, by płonęła w nim tak nieodparta potrzeba znalezienia się przy niej.

– Gerry liczył, że jego ojciec podporządkuje sobie wilki i pokona Marroka – mruknął Samuel. – Skąd wiemy, czy nie miał racji? Może rzeczywiście w ten sposób ocaliłby swojego ojca. Dlaczego niby to miałyby być gorsze niż to, co robimy za każdym razem, gdy nasz posyła nas z zadaniem wyeliminowania kogoś?

– A jeśli nawet Gerry miał rację, jeśli wszystko potoczyłoby się zgodnie z jego przewidywaniami, jeśli Carter naprawdę potrzebował tylko bodźca, by zaakceptować swojego wilka, i jeśli, z pomocą narkotyku Gerry’ego, zdołałby zabić naszego ojca i przejąć władzę... – dywagował Charles. – Wiesz, doktor był dobrym człowiekiem, ale czy myślisz, że byłby dobrym Marrokiem?

– Masz rację – westchnął Samuel po chwili. – Carter nie był wystarczająco dominujący, żeby utrzymać przywództwo. Stado pograżyłoby się w chaosie walk o władzę, a w zamieszaniu Gerry pozbywałby się wilków, atakując jak szakal, z ukrycia. – Samuel zaparkował przed przychodnią, ale nie otworzył drzwiczek. – A czy ty nie zabiłbyś dla ojca? Nawet jeśli nie służyłoby to przetrwaniu stada w tym kraju? Czy czyn Gerry’ego jest aż tak godny potępienia?

– Złamał prawo – oświadczył Charles. Wiedział, że dla brata świat nie jest czarno-biały. Samuel, w przeciwieństwie do Charlesa, nigdy nie był zmuszony akceptować rzeczywistości taką, jaka była. Dlatego Charles szczególnie uważnie wybrał argument. – Zabijał niewinnych. I to nie dla dobra stada, a w imię iskry nadziei na pomoc ojcu. – Uśmiechnął się, bo nasunęła mu się idealna odpowiedź. – Gdybyśmy, ja czy ty, zabili niewinną osobę, nie w imię dobra stada, a dla ojca, sam by nas pozabijał.

Samuelowi wyraźnie ulżyło.

– No tak, tak, masz rację.

– Lepiej ci? Wiesz już, że walczysz po stronie aniołów?

– Powiem ojcu, że nazwałeś go aniołem – uśmiechnął się Samuel ze znużeniem w chwili, gdy obok zaparkował humvee.

Wysiadłszy z samochodu, Charles wzruszeniem ramion zbył rozbawione spojrzenie, które Bran posłał mu ponad maską.



Samuel włączył światła w przychodni i ruszył w stronę jednego z gabinetów.

– No, staruszkule, zobaczmy te twoje dziury po kulach – zaczął wesoło, lecz zasepił się, widząc, z jakim trudem Charles usiłuje zdjąć marynarkę. – Czekaaj. – Sięgnął do szuflady, wyjął nożyczki

i roześmiał się na widok miny brata. – Ej, to tylko garnitur, wiem, że stać cię na kupno innego.

– Przymiarki – zazgrzytał zębami Charles. – Cztery przymiarki, czyli cztery podróże i cztery pobyty w mieście, żeby na własne życzenie cię kłuli i szarpali. Dziękuję, ale nie. Tato? Czy możesz kazać swojemu synowi i jego nożyczkom, żeby trzymali się z daleka? I pomóż to zdjąć, proszę.

– Odlóż nożyczki, Samuelu – powiedział Bran. – Skoro chłopakowi udało się założyć garnitur, to damy radę go zdjąć bez totalnych zniszczeń. Przestań warczeć, Charles.

Kilka chwil później Charles siedział już bez marynarki, za to spocony i uspokajany przez Brana. Koszulę zdjęli już bez jego udziału.

Na widok różowego bandaża Samuel aż prychnął rozbawiony.

– Rozumiem, że nie ty go wybierałeś?

– To Anna.

– Chyba lubię tę twoją małą wilczycę. Może jest trochę płochliwa, ale w razie czego nie brak jej odwagi. Postawiła się Asilowi bez mrugnięcia, a już ktoś, kto śmiał obandażować cię na różowo...

Samuel urwał, gdy rozwinąwszy bandaż, zdjął opatrunek i zobaczył rany, wlotową oraz wylotową. Przyłożył nos do rany, poniuchał i wreszcie opatrzył Charlesa, tym razem znacznie mniej oryginalnym bandażem.

Charles z rozbawieniem uzmysłowił sobie, że wolał ten różowy, bo zakładała go ona.

– Mało brakowało, braciszku – ocenił Samuel. – Rana jest czysta i goi się nie najgorzej. No, ściągaj teraz portki. Chcę zobaczyć tę nogę, na którą tak usilnie nie kuląłeś.

Charles nie lubił się rozbierać, chyba było w nim zbyt wiele Indianina. Do tego wzdragał się przed pokazywaniem ran. Nie

chciał, by ktokolwiek widział jego słabość, nawet brat czy ojciec. Chcąc nie chcąc jednak, niechętnie zsunął spodnie.

Samuel marszczył brwi, jeszcze zanim rozciął zielony bandaż. Powąchawszy ranę, cofnął się gwałtownie.

– Kto cię opatrywał?

– Stado z Chicago ma swojego lekarza. – Nie istniało wielu medyków-wilkołaków. Jak do tej pory, w zasadzie tylko Samuel. Ten z Chicago należał do nowych wilków Leo, a jego obecność trzymano w tajemnicy przed Marrokiem. Zapach krwi i widok ran skutecznie odwracał uwagę wilkołaka od leczenia, choć u brata podobnej reakcji nie zauważył.

– Konował – warknął Samuel. – Na kilometr śmierdzi srebrem.

– Nie, tylko kiepsko wyuczony wilkołak – sprostował Charles. – Żaden z nowych wilków Leo, łącznie z Anną, nie wie, do czego służy nos. Założę się, że nawet nie przyszło mu do głowy, by wąchać za srebrem.

– Pewnie w dodatku opatrywał cię z duszą na ramieniu – powiedział Bran z kątką, do którego się wycofał. – Nie jesteś potulnym pacjentem.

– Wskakuj na stół – polecił Samuel. – Muszę trochę pogrzebać ci w nodze. Tato, pomóż mu.

Bolało bardziej niż sam postrzał, ale Charles nie ruszał się, kiedy Samuel sprawdzał ranę w poszukiwaniu resztek srebra. Pot spływał mu po twarzy i tylko dotyk ojca pomagał powstrzymać się od ataku bądź przemiany.

Usiłować nie patrzeć, co robi Samuel, lecz ciężko było tak całkiem zignorować lekarską relację na żywo. Gdy brat płukał ranę solą fizjologiczną, wszystkie mięśnie w ciele napięły się w proteście i nie mógł zdławić syknięcia. Po: „Sorry, stary, ale jeszcze trochę zostało” musiał zacisnąć zęby i nastawić się na kolejną porcję manipulacji chirurgicznej. Nie mógł pozwolić sobie na krzyki, nie udało mu się jednak powstrzymać cichego

skowytu, gdy Samuel wstrzykiwał następną porcję soli, a następnie sapnięcia ulgi, gdy brat zaczął zakładać bandaż, co sygnalizowało koniec tortur.

Podczas gdy Charles nadal leżał, odzyskując umiejętności oddechowate, Samuel zwrócił się do Brana:

– Nie zamierzam tu zostać, tato.

Charles, zapomniawszy o bólu, przyjrzał się twarzy brata. Samuel robił wrażenie osoby, która nie powinna zostawać sama. Ojciec pewnie także zdawał sobie z tego sprawę – lepiej rozumiał ludzi niż Charles.

Bran nie odezwał się, tylko okręcił powoli na obrotowym stołku.

Wreszcie to Samuel przerwał milczenie, co niewątpliwie było celem postawy Marroka.

– Nie mogę zostać. Zbyt wielu tu ludzi, którzy zbyt wiele oczekują. Nie chcę należeć do stada.

Bran nie przestawał kręcić się na stołku.

– To co zrobisz?

Samuel uśmiechnął się przelotnie, a Charlesowi serce ścisnęło się na widok tego grymasu, za którym nie kryły się żadne emocje. To, co działo się z bratem, kiedy odszedł, zmieniło go, i Charles obawiał się, że może to być nieodwracalna zmiana.

– Pomyślałem, że wrócę do Tri-Cities i podręcę jeszcze Mercy – mówił swobodnie, ale był wyraźnie spięty, co pokazywało, jak bardzo mu na tym zależy.

Może ostatecznie ojciec nie oszalał, popychając ku sobie Samuela i Mercy. Choć Charles wiedział z doświadczenia, że miłość nie jest ani łatwa, ani kojąca. Ale może Samuel nie potrzebował czegoś łatwego i kojącego.

– Co na to Adam? – zapytał niechętnie. Mercy mieszkała w Tri-Cities, w Waszyngtonie, leżącym na terytorium gromady dorzecza Kolumbii. Przywódca tego stada, Adam Hauptman, nie

mógł równać się z Samuelem, a był Alfą od tak dawna, że łatwo nie oddałby steru w niczyje ręce.

– Rozmawiałem z nim już – zapewnił ich Samuel pospiesznie.

– I nie ma nic przeciwko oddaniu swojego stada? – Charles nie potrafił sobie tego wyobrazić. Może w przypadku innego wilka – tak, ale na pewno nie w przypadku Adama.

Samuel odprężył się trochę i uśmiechnął.

– No co ty, stary, nie zamierzam przejmować jego stada. Będę przebywał na jego terytorium jak zwykły wilk samotnik. Powiedział, że nie ma problemu.

Marrok dokładał starań, by zachować neutralny wyraz twarzy, a Charles wiedział, co gnębi ojca. W ciągu dwóch ostatnich lat, od powrotu z Teksasu, Samuel nie raz potrzebował wsparcia stada, by zachować równowagę, a wilk samotnik nie ma oparcia w gromadzie.

Samuel, podobnie jak Bran, był stary. Tak zaawansowany wiek niósł ze sobą dla wilkołaków niebezpieczeństwo. Wydawało się, że ta kwestia nie dotyczy Samuela, dopóki nie wrócił ze swej samotni, w której spędził ostatnie dziesięć lat.

– Oczywiście nie wie – podjął Samuel – że zamierzam wprowadzić się do Mercy.

Charles przypomniał sobie nagle, że mała kojocica wpadła w oko Adamowi.

– Więc Mercedes postanowiła ci wybaczyć?

– Mercy? No co ty?! – Samuel uniósł brwi aż pod linię włosów, przynajmniej na chwilę z jego oczu zniknął cień. – Mercy nie odpuszcza, póki nie wyrówna rachunków. Oczywiście, że mi nie wybaczyła.

– Więc jakim cudem zgodziła się, żebyś z nią zamieszkał?

– Jeszcze się nie zgodziła – rzekł Samuel konfidentycznie. – Ale się zgodzi. – Najwidoczniej miał jakiś sprytny plan i cieszył się na samą myśl tak bardzo, że oczy pojaśniały mu dawną

radością. Ojciec także to ujrzał i Charles wiedział, że to pomogło mu podjąć decyzję.

– Dobrze – zgodził się tak po prostu. – Dobrze. Jedź. Tak chyba będzie najlepiej.

Cokolwiek przeżywał Samuel, przyjazd do Aspen Creek nie polepszył jego stanu. Może Mercy będzie miała więcej szczęścia. O ile nie postanowi go zatłuc. Tudzież udusić Brana za to, że ją podstępnie wystawił.

Charles, który miał dość leżenia na brzuchu w samej bieliźnie, usiadł i zamarł, przeczekując dzwonienie w uszach, które omal nie zmusiło go do przyjęcia ponownie pozycji horyzontalnej.

– I jak? – zapytał Samuel, wracając do roli lekarza.

Charles przymknął oczy, zastanawiając się przez moment.

– Już nie mam ochoty wyrwać drzwi i uciec, choć niewykluczone, że to tylko dlatego, że przestałeś się nade mną znęcać.

– Ach, wiesz, w razie czego mogę się poznać jeszcze trochę.

Charles popatrzył na niego bykiem.

– Czuję się już dobrze, dziękuję. – Był obolały, ale miał się znacznie lepiej niż w ciągu ostatnich dwóch dni, od postrzału. Zastanawiał się, dlaczego zatrucie srebrem wyzwoliło w nim tak silną potrzebę chronienia Anny. Nigdy wcześniej nie czuł nic podobnego.

– No dobrze – zwrócił się do ojca Samuel. – Nie jutro i nie pojutrze, ale Charles jest silny i niegłupi, a teraz, po pozbyciu się resztek srebra, będzie zdrowiał tak szybko jak zwykle. W środę powinien już wydobrzeć na tyle, że nieznajomi nie zauważą, że coś z nim nie tak, więc żaden idiota nie napadnie na niego, chcąc wykorzystać okazję. Ale jeśli miałbyś wysłać go do zrobienia porządków z jakimś stadem, jeszcze przez paręnaście dni musisz mu dawać wsparcie.

Charles spojrział na ojca, oczekując decyzji. Nie uśmiechało mu się bieganie po puszczy w górach zimą. Ten rejon nie był szczególnie gościnny dla turystów. Mimo to zdawał sobie sprawę, że poradzi sobie najlepiej ze wszystkich, których mógłby wysłać tam Bran, nawet jako rekonwalescent, szczególnie jeśli nie była to kwestia zdziczałego wilka samotnika, a zamach na terytorium Marroka.

Wreszcie Bran się namyślił.

– Bardziej zależy mi na tobie niż na czasie. Poczekamy ten tydzień.

– A co z Asilem? – zapytał Charles. – Bez względu na wysiłki wielebnego Mitchella, Samuela i samego doktora Wallace’a stado jest wzburzone. Jeśli będziesz musiał zabić go teraz, nie przejdzie to bez echa.

Bran uśmiechnął się nieznacznie.

– Wiem o tym. Asil przyszedł do mnie miesiąc temu, skarżąc się na koszmary i prosząc ponownie o skrócenie tych mąk. Normalnie przejąłbym się tym bardzo, ale to przecież Maur.

– A co mu się śni? – zaciekał się Samuel.

– Jego nieżyjąca towarzyszka. Została zamęczona na śmierć. Asil nie chce o tym mówić, lecz wiem, że czuje się winny jej śmierci. Podróżował, kiedy to się stało. Twierdził, że kiedy przystał do naszego stada, sny przestały go dręczyć, jednak w zeszłym miesiącu pojawiły się na nowo. Budzi się zdezorientowany i czasami nie tam, gdzie się kładł.

Niebezpiecznie zostawiać samemu sobie wilka tak silnego jak ten Maur, pomyślał Charles.

– Myślisz, że można z nim poczekać? – zapytał Samuel.

Bran uśmiechnął się szeroko.

– Myślę, że tak. Teraz mamy Omegę, to pomoże. – Popatrzył na młodszego syna i jego uśmiech poszerzył się jeszcze bardziej.

– Nie martw się, Charles, Anna nie odejdzie do niego, choćby nie wiem, co Asil wygadywał, żeby cię rozdrażnić.

Tym razem Marrok uśmiechnął się naprawdę.



Anna uznała, że salon Charlesa, choć bogato urządzone, jest przytulny i ciepły. Jedyłą jego wadą było to, że to nie jej dom. Włóczyła się niespokojnie po pomieszczeniach, aż w końcu została w sypialni. Usiadła w kącie, podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi. Nie chciała płakać. Była po prostu głupia – nawet nie wiedziała, dlaczego jest taka smutna.

Jednak czuła się urażona, że ją tak odesłali, a jednocześnie, kiedy wsiadała do samochodu, ogarnęła ją fala ulgi.

Wilkołaki i przemoc, wilkołaki i śmierć stanowiły takie połączenie jak chleb i masło. Tutaj chyba nie było tak tego widać, jak w Chicago, ale i tu, i tam żyły te same potwory.

To nie ich wina, tych tutaj. Starali się po prostu żyć, jak się dało najlepiej z tym przekleństwem, które obracało je w bestie. Nawet Charlesa. Nawet Marroka. Nawet ją. Wilkołaki musiały postępować według zasad, a to czasami oznaczało pozbawienie życia przyjaciela dla dobra ogółu. Człowieczy partnerzy starzeli się, podczas gdy wilkołaki zachowywały młodość. Wilki takie jak Asil starały się ściągnąć na siebie atak innych, ponieważ pragnęły umrzeć... lub zabijać.

Westchnęła nierówno. Wiele osób ocalałoby, gdyby ktoś wcześniej zabił Leo i jego towarzyszkę. Ona zaś kończyłaby teraz studia z teorii muzyki, a nie... Właściwie co?

Musiała znaleźć pracę, zajęcie, które da jej cel i zagwarantuje jakieś inne życie poza tym wilkołaczym. Kelnerowanie dawało jej znacznie więcej niż tylko wypłatę. Trudno się nad sobą użalać po ośmio- czy dziesięciogodzinnej zmianie, bez przerwy na nogach. Wątpiła jednak, że znajdzie tu wakat kelnerki.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Zerwała się, energicznie przecierając twarz, ale nie poczuła wilgoci na policzkach. Dzwonek rozległ się ponownie, więc pobięła otworzyć. Cóż za ironia, dopiero co pragnęła mieć chwilę dla siebie, a teraz cieszyła się, że ktoś jej przeszkadza.

Najpierw dostrzegła stalowoszarego lexusa, ale jej uwagę szybko przykuła stojąca na ganku kobieta. Miała dobroduszną, przyjazną twarz i długie jasne włosy zaplecione we francuski warkocz.

Nos podpowiedział Annie, że kobieta jest wilkołakiem.

Nieznajoma uśmiechnęła się, wyciągając rękę.

– Jestem Leah – przedstawiła się. – Żona Marroka.

Anna szybko uściśnęła jej dłoń.

– Może zaprosisz mnie do środka? Porozmawiamy – zaproponowała Leah serdecznie.

Anna wiedziała, że Charles nie lubi macochy – a także samolotów, samochodów i komórek. Poza tym nie było powodu, dla którego miałyby się bać gościa. A tym bardziej nie wpuścić, co mogłoby zostać poczytane za obrazę.

– Proszę – powiedziała uprzejmie, dając Leah wejść.

Małżonka Marroka przeszła energicznie obok Anny, zatrzymując się dopiero w salonie, gdzie zaczęła rozglądać się, jakby znalazła się tu po raz pierwszy. Anna zaniepokoiła się, czy nie popełniła błędu, wpuszczając kobietę do domu. Może Charles nie życzył sobie jej odwiedzin? Nie umiała inaczej wytłumaczyć sobie tego zainteresowania wystrojem wnętrza.

Chyba że to oglądanie stanowiło tylko element gry, mającej pokazać, kto tu ma władzę, i uświadomić Annie, że jest mniej interesująca niż mebel. Po chwili Anna uznała, że w grę wchodzi ta druga opcja – pokój był zbyt mały na tak długie oglądanie.

– Nie tego się spodziewałam – mruknęła wreszcie Leah, zatrzymując się przed wiszącą na ścianie gitarą, dziełem lutnika. Instrument wisiał na tyle daleko od kominka, by ciepło

mu nie zaszkodziło, i mógłby być wzięty za ozdobę, gdyby nie zużyty od grania gryf.

Anna nie odezwała się i nie ruszyła spod drzwi.

Leah odwróciła się, a na jej twarzy nie było już śladu po dobroćliwości czy uprzejmości.

– Musiało go nieźle przypilić. Taki kawał drogi do Chicago, a tam wpadł na byle co, niestanowiące żadnego wyzwania. Powiedz mi, siadasz i prosisz na jego rozkaz?

Złośliwość tego ataku wskazywała na sprawę osobistą, na pewno wykraczała poza chęć pokazania miejsca słabszemu wilkowi. Leah, choć była żoną Marroka, kierowała najwyraźniej zazdrość. Czyżby to za mało i pragnęła także Charlesa?

Drzwi otworzyły się, do środka wraz z falą chłodu i zapachem francuskich perfum wkroczyła druga nieznajoma. Wysoka, szczupła jak modelka, wyglądała niezwykle kosztownie. Miała złote pasemka na brązowych włosach, kości policzkowe podkreślone złotym pyłem i ten sam kosmetyk nieco mocniej nałożony na powiekach wspaniałych, niebieskich oczu.

Anna poznała ją, kobieta była na pogrzebie. Piękna i niezwykle efektowna – tej kombinacji trudno nie zauważyć i nie zapamiętać. Nowo przybyła zamknęła za sobą, zdjęła kurtkę narciarską i rzuciła ją nonszalancko na najbliższe krzesło. Nadal miała na sobie czarną spódnicę i sweter, w których występowała na ceremonii.

– Daj spokój, Leah. „Siadasz i prosisz”? Doprawdy, moja droga, stać cię na więcej. – Mówiła niskim, głębokim głosem z południowym akcentem. – Wybacz to gwałtowne wejście – zwróciła się do Anny – ale odniosłam wrażenie, że potrzebujesz ratunku przed naszą królową suką.

– Wyjdź, Sage. Nie masz tu czego szukać – rozkazała Leah ostro, choć nie wydawała się oburzona obelgą.

– Ach, kochana – zaszczębiotała Sage słodko – jakże bym chciała, ale niestety, mam rozkazy od szefa, szczebelek wyżej niż ty. – Niebieskie oczy otaksowały Annę. – Ty jesteś tą Charlesową Anną. Nazywam się Sage Carhardt. Wybacz, że wpadłam z takim hukiem, lecz wierz mi, cokolwiek uszczęśliwia Charlesa, staje Leah kołkiem w gardle, bo nasz Alfa bardzo kocha swoich synów.

– Zamknij się – warknęła Leah. Przez salon przetoczyła się fala mocy, spychając Sage dwa kroki do tyłu.

Dziwne, Anna gotowa była przysiąc, że Sage jest bardziej dominująca z tych dwóch... Nagle uświadomiła sobie, że ta fala energii miała posmak Marroka. Kobieta zajmuje w hierarchii miejsce zależnie od swojego towarzysza. Anna słyszała o tym, jednak do tej pory nie sądziła, że ta magia działa naprawdę.

– Ty – Leah spojrzała na Annę – siadaj na kanapie. Porozmawiamy za chwilę.

Roztropny wilkołak posłuchałby, pomyślała Anna z żalem. Kobieta, którą była jeszcze tydzień temu, skuliłaby się, usiadła i czekała, co przyniesie jej los. Anna – towarzyszka Charlesa, Anna-Omega, Anna pozostająca poza hierarchią stada zadarła bojowo podbródek.

– Dziękuję, postoję. A ty lepiej sobie idź. Możesz przyjść, jak będzie mój... – Już trzy lata Anna była wilkołakiem, ale nazwanie Charlesa towarzyszem nie mogło przejść jej przez gardło, a jej mężem też nie był. – Kiedy będzie Charles. – Chwila zawahania odarła wypowiedź z zamierzonej mocy.

Sage rozpromieniła się zachwycona.

– No właśnie, Leah, może przyjdiesz, jak Charles będzie w domu. Och, chciałabym to zobaczyć.

Leah nie zwracała na nią uwagi. Zaskoczona, spoglądała na Annę spod zmarszczonych brwi.

– Siadaj, powiedziałam. – Mówiła nisko, a jej głos pobrzmiwał mocą, która znów prześliznęła się po Annie, nie

wywierając na niej wrażenia.

Anna także ściągnęła brwi.

– Mówiłam już, że wolę stać. – Nagle coś przyszło jej do głowy i nim ugryzła się w język, chlapanęła: – Sage widziałam na pogrzebie, ale Marrok był sam. Dlaczego z nim nie przyszłaś?

– Niepotrzebnie w ogóle tam szedł – wybuchła Leah. – Najpierw zabija Cartera, a potem udaje, że go oplakuje? Nie udało mi się powstrzymać go przed pójściem na ten pogrzeb. Nigdy mnie nie słucha. Tylko synowie się dla niego liczą, a ja jestem jedynie namiastką jego pierwszej miłości, tej nieporównanie pięknej, pełnej poświęcenia indiańskiej suki. Nie mogę go powstrzymać, trudno, ale na pewno nie będę go wspierała. – Zanim skończyła, po policzku spływała jej łza. Otarła oczy, patrząc na Annę ze zgrozą. – O Boże. O Boże. Jesteś jedną z nich. Powinnam wiedzieć, powinnam się była domyślić, że Charles sprowadzi coś takiego na moje terytorium.

Wybiegła w chmurze zimna i trzaskającej mocy, zostawiając Annę w totalnym osłupieniu.

– Och, zapłaciłabym majątek za taki pokaz. – Uśmiech nie schodził z twarzy Sage. – Och, kochana, tak się cieszę, że Charles cię przywiózł. Najpierw Asil, teraz Leah. Zaraz zrobi się tu ciekawie.

Anna wytarła spocone dłonie o spodnie. Leah zachowywała się bardzo dziwnie, zupełnie jakby musiała mówić wbrew własnej woli.

Przełknęła ślinę, usiłując przywołać na twarz spokojny, miły wyraz.

– Może się czegoś napijesz?

– Chętnie – zgodziła się Sage. – Choć znając Charlesa, nie ma tu nic sensownego. Zrób mi herbaty, a ja opowiem ci o sobie. Potem ty opowiesz o sobie.



Charles musiał pozwolić ojcu pomóc sobie przy wsiadaniu do humvee.

– No tak – powiedział Bran z cichym pomrukiem, który świadczył, jak bardzo się martwił. – To cię nauczy szybciej się uchylać.

– Przepraszam – powiedział Charles, potulnie sadowiąc się na fotelu pasażera.

– Uhm. – Bran zamknął delikatnie drzwiczki. – Żeby mi to było ostatni raz.

Charles zapiął pasy. Przeżyłby prawdopodobnie wypadek, ale ojciec prowadził tak, że pasy umożliwiały po prostu pozostanie na siedzeniu.

Palący ból po oczyszczeniu rany zniknął, jednak Charles nie czuł się jeszcze najlepiej. Mimo że zjadł zupę, którą Samuel odgrzał w kuchence mikrofalowej, był słaby jak mucha.

Brat wilk niepokoił się, chciał znaleźć jakieś ciemne, bezpieczne miejsce, żeby do siebie dojść.

– Naprawdę zgodzisz się, żeby Samuel został samotnym wilkiem? – zapytał, kiedy ruszyli. Marrok był zaborczy i terytorialny, pozwalanie na odejście komuś, kto do niego należał, nie leżało w jego naturze. Ostatnim razem Samuel nie pytał o pozwolenie, po prostu zniknął. Kilka lat trwało, nim Charles zdołał go odszukać.

– Jestem tak zadowolony, że Samuel znalazł coś, co chce robić, że pomógłbym mu szantażem, gdybym musiał.

– A nie pomogłeś? – Charles lubił Adama, Alfę z Tri-Cities, lecz dziwiło go, że Marrok nie musiał zastosować nacisku, by uzyskać jego zgodę. Niewiele wilków wpuściłoby na swoje terytorium samotnika tak dominującego jak Samuel.

– Jeszcze nie musiałem – rzekł w zamyśleniu Bran. – Ale może będę musiał pomóc mu trochę z Mercedes. Nie była zachwycona, kiedy wysłałem z nią Samuela.

– Samuel odtaje przy Mercedes.

– Mam taką nadzieję. – Bran zabębnił palcami o kierownicę. – Podoba mi się ta twoja Anna. Wygląda na delikatną i nieśmiałą, jak kwiatek, który może się złamać na ostrzejsze słowo, a potem nagle robi coś takiego jak z Asilem.

Charles wcisnął się w oparcie, gdy brali oblodzony zakręt, wjeżdżając na drogę prowadzącą na tyły domu.

– Żałuj, że nie widziałeś Anny w akcji z wałkiem. – Uśmiechnął się, usiłując ukryć satysfakcję w głosie. Czuł się coraz lepiej. Przestało mu dzwonić w uszach i wróciła kontrola. Trochę jedzenia, snu i będzie prawie jak nowy.

– Wejdiesz? – zapytał raczej z uprzejmości.

– Nie. – Bran pokręcił odmownie głową. – Odeślij też Sage. Będzie chciała porozmawiać, ale potrzebujecie z Anną trochę czasu dla siebie. Dziewczyna była dość spięta pod koniec pogrzebu.

Charles spojrzał na ojca uważnie.

– Myślałem, że to reakcja na sam pogrzeb. I taką liczbę nieznajomych.

– Nie, chodziło o coś więcej.

Charles przebiegł w myślach końcówkę ceremonii, jednak nie potrafił wyłuskać ze wspomnień niczego, co mógłby zauważyć ojciec.

– Nic nie zauważyłem.

– Na pewno zauważyłeś – uśmiechnął się Bran kpiąco. – Przecież była jakaś przyczyna twojego zachowania po jej odjeździe.

– Chodzi o Asila? – Jeśli to Asil zdenerwował Annę, może Charles rozwiązałby jego problem sam, odciążając ojca.

Bran, śmiejąc się, potrząsnął głową.

– Powtarzam ci, że potrafię wkładać ludziom myśli do głowy, ale nie umiem ich wyciągać. Nie mam pojęcia, co gryzie Annę. Sam ją o to zapytaj.

Jakimś cudem dotarli do domu bez przygód. Charles wysiadł z samochodu i nogi się pod nim ugięły. Mało nie upadł na śnieg.

Ojciec obserwował go bacznie, lecz nie zaproponował pomocy.

– Dzięki. – Charles nienawidził być słaby, nienawidził, gdy ktoś próbował go niańczyć. No chyba że Anna.

– Wejź do środka, zanim się wywrócisz – rzekł tylko Bran. – W ten sposób najlepiej mi podziękujesz.

Albo pomogło trochę ruchu, albo może zimno, jednak nogi przestały mu się trząść i po paru krokach szedł już prawie normalnie.

Bran zatrąbił dwa razy i odjechał w chwili, gdy dłoń Charlesa spoczęła na klamce.

Sage i Anna siedziały naprzeciw siebie w jadalni, każda z kubkiem w dłoni. Jednak nos powiedział Charlesowi wyraźnie, że Anna miała też innego gościa.

Głupio mu było, gdy ojciec wysyłał do Anny Sage, ale zapach Leah utwierdził go w przekonaniu o przydatności manii prześladowczej. Leah szybko wykonała swój pierwszy ruch. Sage urwała w pół zdania i obrzuciła wilkołaka spojrzeniem.

– Fatalnie wyglądasz, Charlie. – Poderwała się, pocałowała Charlesa w policzek i odłożyła kubek do zlewu.

– Dzięki – powiedział sucho.

Uśmiechnęła się.

– Idę, zostawiam was samych, gołąbeczki. Anno, nie pozwól mu się więzić w tej jaskini. Zadzwoń, to zrobimy sobie babski dzień, pojedziemy na zakupy do Missoula albo coś. – Przemknęła ku drzwiom, na pożegnanie klepiąc lekko Charlesa po ramieniu.

Anna pociągnęła łyk herbaty i obdarzyła go spojrzeniem swoich ciemnych, niezgłębionych oczu. Spięła rano włosy, a jemu brakowało jasnobrązowych kosmyków, opadających na jej twarz.

– Nazwała cię Charliem – powiedziała.

Uniósł brwi.

Niespodziewany uśmiech opromienił twarz Anny.

– Jakoś to do ciebie nie pasuje.

– Szczęściara. Jest jedyną, której nazywanie mnie tak uchodzi na sucho.

Anna wstała.

– Chcesz herbaty? Albo coś do jedzenia?

Charles, głodny przez całą drogę do domu, teraz poczuł, że raczej wolałby pospać. Nie chciało mu się nawet przejść korytarzem.

Zabrała swój kubek do kuchni, a potem włożyła oba do zmywarki. Poszedł za nią.

– I co powiedział twój brat?

– Że w ranie w łydce zostało srebro. Wyczyścił wszystko.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Nie było miło...

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc tak eufemistyczne określenie.

– Niezbyt.

Podeszła i wsunęła mu ramię pod pachę, żeby się na niej wsparł.

– Chodź, bo ledwie stoisz. Zaprowadzę cię do sypialni, zanim się wywrócisz.

Nie przeszkadzała mu pomoc Anny. Mogłaby nawet nazywać go Charliem, jeśli miałyby na to ochotę. Byle tylko czuł ją tak blisko przy boku.

Pomogła mu też się rozebrać. Nie założył z powrotem marynarki, więc poszło łatwiej. Kiedy usiadł na łóżku, opuściła

rolety, zaciemniając pokój, i zabrała się do okrywania go kołdrą.

– Zostaniesz ze mną? – zapytał, chwytając Annę za rękę. Był zbyt zmęczony na rozmowy, nie chciał jednak, żeby została sama z tym czymś, co dostrzegł Bran.

Skamieniała, a fala zapachu strachu wystawiła na ciężką próbę całe opanowanie, które odzyskał, pozbywszy się srebrnej trucizny. Nie miał jednak z czym walczyć poza jej demonami, powściągnął więc gniew i czekał na reakcję Anny. Był gotów puścić jej rękę, ale tylko wtedy, gdyby próbowała się wyrwać.

Nie bardzo wiedział, dlaczego tak się wystraszyła, przecież przespali w jednym łóżku całą noc. Domyślił się dopiero, gdy popatrzyła na ich ręce. Ktoś ją w ten sposób łapał za nadgarstek, i to nie raz, pomyślał. Znow zalała go fala wściekłości, ale wtedy Anna obróciła dłoń, nakrywając nią jego rękę.

– Dobrze – przystała trochę schrypniętym głosem.

Po chwili puściła jego rękę i usiadła na łóżku, aby zsunąć buty. Położyła się w ubraniu, spięta i sztywna.

Odwrócił się plecami do Anny, żeby upewnić ją, iż nie zamierza na nic naciskać. Z rozbawieniem musiał się przyznać przed sobą, że poprosił dziewczynę o pozostanie nie tylko dla jej dobra. Czuł się lepiej, wiedząc, że jest przy nim, bezpieczna. Zasnął, wsłuchując się w jej oddech.



Pachniał wspaniale, a kiedy jego ciało odprężyło się we śnie, poczuła, że i ją opuszcza napięcie. Nie była co prawda ranna, ale zmęczona śmiertelnie. Zmęczona byciem na świeczniku, zmęczona zastanawianiem się, co ma dalej robić, i zamartwianiem się, czy aby nie trafiła z rynnny pod inną rynnę.

Dręczyło ją tyle pytań. Na przykład dlaczego jego macocha zareagowała na nią tak dziwnie i o co chodziło z Asilem. Nie zapytała, bo Charles wyglądał tak, jakby miał zasnąć natychmiast, gdy przyłożył głowę do poduszki. Co też się stało.

Popatrzyła na przegub, ale nie znalazła tam żadnych nowych siniaków. Nie zrobił jej krzywdy. Nie wiedziała, dlaczego pochwycenie ją za rękę wywołało taką panikę – większość z tego, co przeżyła za sprawą Leo, jej wilczyca skrzętnie skrywała przed człowieczą częścią, jednak ciało Anny zapamiętało miażdżący uścisk kogoś, kto na nią krzyczał, robił krzywdę, a ona, uwięziona, nie mogła uciec.

Z sercem walącym jak młot poczuła zbliżającą się przemianę. To wilczyca gotowała się, by ją chronić. Wciągnęła głęboko powietrze, wdychając zapach Charlesa, który omył ją falą, uspokajając wilka. Charles nigdy by jej nie skrzywdził, oboje byli o tym przekonani, i ona, i jej wilk.

Po chwili zebrała się na odwagę i wsunęła pod kołdrę. Ponieważ się nie obudził, przybliżyła się, pokonując sprzeciw ciała, które usiłowało napominać, że Charles jest dużo od niej silniejszy i może ją skrzywdzić.

Wilki, z tego, co podsłuchiwała, uwielbiały dotyk. Mężczyźni w stadzie w Chicago dotykali się znacznie częściej niż zwykli heteroseksualni ludzie. Jednakże bliskość z innym wilkołakiem nigdy nie sprawiała Annie przyjemności ani nie przynosiła spokoju.

Zawsze mogła wezwać na pomoc swoją wilczycę, jak zeszłej nocy, a potem wtulić się w Charlesa i z każdym oddechem wciągać w siebie jego zapach. Jednakże uznała, że skoro Charles śpi, to dobry moment, żeby przepracować kilka problemów. Wilczyca stanowiła natychmiastowe i doraźne rozwiązanie, lecz Anna chciała móc dotykać Charlesa bez tego.

To łóżko wszystko utrudniało. Przez nie czuła się bezbronna i zbliżenie się do pleców Charlesa kosztowało ją więcej wysiłku.

Asil sugerował, że Charles także nie lubi dotyku. Anna zastanawiała się dlaczego. Nie cofał się, gdy go dotykała, wprost przeciwnie.

Przesuwała dłoń, aż poczuła miejsce, gdzie pościel była rozgrzana ciepłem jego ciała. Dotknęła palcem, a jej ciało napięło się i zeszywniało ze strachu. Była zadowolona, że Charles śpi i nie widzi, jak cofa dłoń i zwija się w kłębek. Ze wszystkich sił powstrzymywała drżenie, bo nie chciała, żeby zobaczył ją taką – tchórza.

Pomyślała, że żywienie nadziei jest znacznie trudniejsze niż pogrążanie się w rozpacz.



5

Anna metodycznie przeszukiwała szafki, wiedząc, że Charles obudzi się głodny. Na szczęście dom był zaopatrzony, jakby w każdej chwili groziło mu oblężenie. Zastanawiała się przez chwilę nad jakąś włoską potrawą – w kuchni włoskiej czuła się całkiem swobodnie – nie wiedziała jednak, czy Charles w niej gustuje. Uznała, że gulasz będzie bezpieczniejszym wyjściem.

Zamrażarka w piwnicy była wyładowana mięsem popakowanym i dokładnie opisanym. Wybrała gulasz z jelenia i położyła na blacie do rozmrożenia. Nie jadła nigdy jeleniny, ale doszła do wniosku, że gulasz to gulasz.

W lodówce znalazła marchew, cebulę i selera. Potrzebowała jeszcze tylko ziemniaków. Nie było ich w lodówce ani na blacie, ani też na lodówce, ani pod zlewem.

Ktoś tak dobrze zaopatrzony jak Charles musiał mieć gdzieś ziemniaki. Chyba że ich nie znosił. Kuciała z głową w szafce, podśpiewując cicho: „Gdzie się podziały tamte ziemniaki”, gdy rozdzwonił się telefon. Poderwała głowę, uderzając się o kant blatu.

Aparat stał w sypialni, rozmasowała więc bolące miejsce i czekała, aż Charles odbierze. Lecz telefon dzwonił i dzwonił.

Anna wzruszyła w duchu ramionami i zaprzęła węch do poszukiwania ziemniaków. Charles wytknął jej, że za mało używa nosa. Okazało się jednak, że nawet jeśli ziemniaki są w domu, ich zapach maskują przyprawy i owoce.

Tym razem rozdzwonił się aparat wiszący na ścianie. Był to stary telefon, bez wyświetlacza. Anna patrzyła na niego niepewna, co robić. Po dziesięciu dzwonkach postanowiła jednak odebrać.

– Słucham?

– Anna? Daj mi Charlesa, proszę – w słuchawce rozległ się głos Brana.

Anna zerknęła na zamknięte drzwi sypialni i zmarszczyła brwi. Skoro nie obudziły go wcześniejsze hałasy, potrzebował jeszcze snu.

– Charles śpi, może mu coś przekażę?

– Obawiam się, że w tym wypadku tak się nie da. Obudź go, proszę, muszę z nim porozmawiać osobiście.

„Proszę” było tylko uprzejmym dodatkiem. Do rozkazu.

Anna odłożyła słuchawkę na bok i poszła obudzić Charlesa. Drzwi sypialni otworzyły się jednak, zanim do nich dotarła. Charles zakładał spodnie i bluzę.

– To tata?

Kiedy przytaknęła, poszedł do kuchni i podniósł słuchawkę.

– O co chodzi?

– Mamy tu problem – usłyszała Anna. – Potrzebuję cię i... zabierz Annę ze sobą. Jak najszybciej się da.

Bran potrzebował Charlesa, swojego egzekutora, zabójcy. Charles bardzo często narażał życie dla swego ojca, a ona będzie musiała do tego przywyknąć.

Nim Charles się rozłączył, Anna już zakładała kurtkę. Charles zniknął na moment w sypialni i wyszedł, trzymając w ręku

skarpety oraz buty.

– Pomożesz mi? – zapytał. – Mam jeszcze problemy ze schylaniem się.



Prowadziła jak ktoś, kto nigdy nie jeździł po oblodzonych drogach. I może tak właśnie było. Z drugiej strony siedziała przecież rano za kierownicą i prowadziła normalnie, a warunki nie były lepsze.

Najwyraźniej to, co dręczyło Annę, nadal tkwiło zadrą w jej boku. Wyczuwał niepokój dziewczyny, lecz nie wiedział, jak się zachować.

Gdyby nie obolałe zebra, przejąłby kierownicę, musiał jednak zadowolić się dawaniem jej wskazówek. Kiedy tyłem pick-upa zarzuciło przy skręcie na podjazd, a Charles uwiesił się mocniej uchwytu, Anna zwolniła do żółwiego tempa. Przed wejściem parkował wojskowo zielony samochód na rządowych tablicach. Służby leśne. Powód, dla którego ojciec ich wezwał, musiał mieć coś wspólnego ze zdziczałym samotnikiem w puszczy. Może znaleziono kolejne ciało?

Anna zaparkowała za zielonym samochodem.

– Czujesz? – zapytał, kiedy wysiadła z wozu i podeszła do niego.

Przechyliła głowę, próbując rozpoznać zapach.

– Krew?

– Świeża. Nie drażni cię?

– Nie. A powinna?

– Gdybyś nie była Omegą, poczułabyś głód.

Spojrzała na niego uważnie.

– Owszem, zrobiłem się głodny – odparł na niezadane pytanie. – Ale żyję już tak długo, że nie robi to na mnie

wielkiego wrażenia.

Nie zawracał sobie głowy pukaniem – ojciec musiał słyszeć, jak podjeżdżają. Za wonią krwi podążył jak po sznurku prosto do sypialni.

W równo zawiniętych bandażach rozpoznał rękę brata, natomiast leżącego na łóżku pacjenta widział po raz pierwszy. Mężczyzna był człowiekiem. Siedząca przy łóżku Heather Morrell trzymała go za rękę.

Kiedy wchodzili, podniosła głowę. Charles ujrzał w jej oczach błysk lęku, ale nie zrobił nic, by ją uspokoić. Strach był nieodłączną i niezbędną częścią jego roli, pomagał Charlesowi skutecznie wykonywać obowiązki egzekutora Marroka. Poza tym przed rozmową z ojcem i poznaniem faktów nie mógłby kobiety w żaden sposób pocieszyć.

– Gdzie Marrok? – zapytał.

– Czeka na ciebie w gabinecie.

Wychodził, kiedy zawołała go cicho po imieniu.

Zatrzymał się.

– Jack to porządny człowiek – szepnęła.

Spojrzał przez ramię. Wpatrywała się w niego intensywnie. Mógł zapytać, co ma na myśli, ale najpierw musiał porozumieć się z ojcem.

Anna nie odezwała się, lecz wyczuł narastające w niej napięcie, które świadczyło, że wychwyciła niedopowiedzenia. On sam zgadywał, że dalsze losy towarzysza Heather, Jacka, stoją pod znakiem zapytania.

Skinąwszy głową, skierował się do gabinetu. Anna podążyła za nim.

W kominku płonął ogień. Zły znak. Ojciec rozpalał tylko w chwilach wielkiego zmartwienia. Bran siedział na podłodze po turecku i wpatrywał się w płomienie.

Charles zatrzymał się w progu, ale Anna wyminęła go i zbliżywszy się do kominka, wyciągnęła dłonie do ognia. Nikt

nie przerwał milczenia.

Wreszcie Bran podniósł się z westchnieniem i obszedł Charlesa dookoła. Stając przed nim, zapytał:

– Jak się czujesz?

Rana na nodze paliła, nie mógłby jeszcze biegać, ale choć nie mógł okłamać ojca, nie musiał wyliczać wszystkich bolączek.

– Lepiej. Co się dzieje?

– W tym tygodniu zabiłem już kogoś, chociaż tego nie chciałem. Nie chcę robić tego ponownie.

– Ten Jack od Heather musi zginąć? – Czy ojciec chciał wyznaczyć to zadanie Charlesowi? Zaniepokojony zerknął na Annę, która skuliła ramiona, przybliżając się do ognia. On także nie chciał w tym tygodniu nikogo zabijać.

Bran wzruszył ramionami.

– Nie. A nawet jeśli, zajmę się tym. Mam nadzieję, że da się tego uniknąć. Pracuje razem z Heather. Brał udział w akcji poszukiwawczej. W puszczy w Cabinet zaginął kolejny myśliwy. Ich grupę zaatakował wilkołak. Nie ma co do tego wątpliwości. Heather przy tym była. Strzeliła do niego i odpędziła. Od ostatniego ataku nosi przy sobie srebrne kule. Powiedziała, że po drodze tutaj Jack od czasu do czasu odzyskiwał przytomność. Powiązał wtedy ich napastnika z martwym myśliwym.

– Przywiozła go tu, bo został Przeistoczony?

– Myślała, że tak, jednak Samuel stwierdził, że nie. Rany nie są aż tak rozległe i nie leczą się szybko. – Uczynił jeden z tych gestów, w których robieniu był dobry. Ten oznaczał: „Nie znam się na tym, zostawiam opinię specjalistom”. – Większym problemem niż rany jest utrata krwi. Heather, usłyszawszy opinię Samuela, cały czas żałuje, że go tu wiozła.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – Świadomość, że Anna wszystko słyszy, nie dawała Charlesowi spokoju. Z jednej strony bardzo chciał ukryć przed nią te sprawy, prawdę o tym, jak

wygląda ta część jego życia. Z drugiej, nie chciał budować swojej relacji z ukochaną na półprawdach i tajemnicach. Poza tym Anna sama dobrze wiedziała, jak paskudne mogą być niektóre sprawy.

Bran usiadł na krześle i oparł się z westchnieniem.

– Jeśli strażnik leśny, człowiek szanowany i doświadczony, ogłosi wszem wobec, że zaatakował go wilkołak, ludzie się tym zainteresują. A zanim Heather zamilkła na dobre, powiedziała mi jeszcze, że Jack jest prostolinijny. Jeśli uzna, że ludziom grozi niebezpieczeństwo, rozgłosi to na lewo i prawo, nie przejmując się, jak nieprawdopodobnie to zabrzmii.

Charles wymienił z ojcem spojrzenia. W innym momencie nie przejmowałoby się groźbą ujawnienia. Zajęliby się kłopotliwym wilkołakiem, a bez kolejnych ofiar pożar, który wznieciłby strażnik, nie miałby pożywki. Jednakże Marrok uważał, że zbliża się chwila, kiedy będą musieli wyjawic swoje istnienie. Przewidywał, że stanie się to w ciągu kilku najbliższych miesięcy. W tej sytuacji nie mogli pozwolić sobie na złą prasę.

Pragnąc dać sobie czas na przemyślenie kwestii i zadecydowanie, czy jest dobre wyjście z sytuacji, zapytał:

– Jakim cudem go stamtąd wyciągnęła? – Charles znał puszcę i góry. O tej porze roku większość szlaków została już zasypana albo dawała się przebyć tylko na czterech łapach. Heather nie była wilkołakiem, nie dałaby rady wynieść z lasu mężczyzny ważącego więcej niż ona.

– Wezwała wuja. Tag go ściągnął.

Ach. To dlatego Bran był tylko zadumany, a nie zasepiony, jak zwykle, gdy miał do załatwienia coś nieprzyjemnego.

Charles uśmiechnął się lekko. Ulżyło mu.

– A niech go! – Heather, kobieta czterdziestotrzyletnia, była dla niego dzieckiem, w końcu pamiętał, jak się urodziła. Dla swojego wuja tym bardziej. – A więc jeśli postąpisz właściwie

i wyeliminujesz tego szanowanego niewinnego, czeka cię bunt?
– Tag był niezwykle opiekuńczy w stosunku do „swoich”, a uratowanie życia okazało się wystarczającym powodem, by uznać strażnika za swojego. Jeśli Bran postanowiłby zabić rannego, najpierw miałyby do czynienia z Tagiem. Dzięki Bogu.

Bran westchnął ciężko.

– Byłbym spokojniejszy, gdyby to nie oznaczało wysyłania ciebie w tym stanie za zdziczałym wilkiem. Jestem przekonany, że po pozbyciu się zagrożenia i pokazaniu, że owszem, napastnik był potworem, ale przede wszystkim zbrodniarzem, Jack powstrzyma się przed nerwowymi ruchami, gdy się ujawnimy. Lecz musisz się pospieszyć. Trzeba zabić tego wilka, zanim Jack wydobrzeje i będzie chciał wracać do domu.

– Nie możesz wysłać w góry kogoś innego? – zapytała Anna cicho.

Bran potrząsnął głową.

– Trzeba to załatwić szybko i po cichu. I ostatecznie. Tylko Charles jest w stanie mieć ludzkie władze, jeśli coś pójdzie źle.

– Uśmiechnął się nieznacznie. – I tylko w jego przypadku mogę być pewny, że nie przyłączy się do tego samotnika i nie zacznie zjadać ludzi.

Charles popatrzył na ojca spod oka. Bran mógł to ująć jakoś... oględniej.

– Tamten wilk nie jest przypuszczalnie bardziej dominujący ode mnie, więc nie wyprowadzi mnie w pole ani nie podporządkuje – wyjaśnił Annie. – A w razie gdyby coś poszło nie tak, dysponuję odrobiną magii, która pozwoli mi ukryć dowody. Nie mam jej tyle, co czarownica, ale nie przysyłają nam tu techników kryminalnych z supernowoczesnych laboratoriów.

– To plus żaden inny wilkołak w Aspen Creek nie mógłby urządzić takiego polowania bez skutków ubocznych. – Bran odwrócił się do Anny, która nadal wpatrywała się w ogień. –

Łowy na istotę inteligentną są bardziej uzależniające niż gonienie za królikami podczas pełni. Aspen Creek, prócz innych, pełni również funkcję azylu dla wilków z problemami lub dla tych, u których można się ich spodziewać. Wilkołaki zdolne do zapolowania na pobratymca i zachowania zdrowych zmysłów są na tyle silne, by poradzić sobie w dzikim świecie. Takich nie muszę trzymać przy sobie.

– Więc wszystkie wilkołaki w twoim stanie są psychopatami?

Charles nie umiał stwierdzić, czy Anna ironizuje, czy nie. W zasadzie, gdyby tak o tym pomyśleć, jakieś ziarnko prawdy w tym tkwiło...

Bran roześmiał się, odrzucając w tył głowę.

– Nie wszystkie, moja droga. Ale na pewno nie są w stanie poradzić sobie z czymś takim. Gdybym uważał, że narażam życie Charlesa, wysłałbym tam kogoś innego. Ale on, choć będzie się kiepsko czuł i trudniej mu będzie wykonać zadanie, jest jedynym, który tak dobrze zna puszcę górską. I ranny czy nie, da sobie radę z każdym wilkiem.

– Chcesz go tam wysłać samego?

Charles nie wyłowił niczego szczególnego w głosie Anny, lecz Bran popatrzył zaintrygowany.

– Niekoniecznie. – Naraz na jego twarzy pojawił się wyraz, jaki przybierał, gdy znalazł w końcu satysfakcjonujące rozwiązanie kwestii, która go dręczyła. Charles nie zdążył na czas zorientować się, co chodzi ojcu po głowie, i powstrzymać go. – Możesz jechać z nim.

– Wykluczone – zaprotestował Charles stanowczo, choć z narastającą świadomością, że już za późno na protesty.

Bran zignorował go zupełnie.

– To nie będzie wycieczka dla przyjemności. Góry są nieprzyjazne, a ty jesteś dziewczyną z miasta.

– Jestem wilkołakiem – sprostowała, zadzierając dumnie podbródek. – Chyba dam sobie radę w lesie, nie uważasz?

– Ona nie ma nawet porządnego ubrania, butów, rękawic! – warknął Charles trochę rozpaczliwie. Wiedział, że ojciec podjął już decyzję, nie rozumiał tylko, dlaczego tak mu na tym zależy. – O tej porze roku trzeba będzie zakładać rakiety śnieżne, a Anna nigdy ich nie używała. Będzie mnie opóźniała.

Bran potrafił zrobić minę, jeśli chciał.

– Bardziej niż dziura w nodze? – Skrzyżował ramiona na piersi i zakołysał się na piętach. Dostrzegł opór Charlesa, bo przeszedł na walijski. – Potrzebuje czasu, żeby poukładać sobie to, co jest między wami. Nie ufa do końca ani tobie, ani mnie. Tutaj jest zbyt wiele osób, które zrobią dużo, by działać jej na nerwy. – Bran nie mówił nigdy o swojej towarzyszce, ale Charles wiedział, że właśnie do Leah odnosi się ostatnia uwaga. – Anna musi cię poznać, a z tobą to niełatwe. Zabierz ją ze sobą, pobędziecie razem parę dni, dobrze jej to zrobi.

– Co jej dobrze zrobi? Że będzie świadkiem, jak zabijam innego wilkołaka? – odparł Charles w języku ojca. Wiedziała, kim jest, ale nie zamierzał wykluwać jej tym oczu. Przywykł, że budzi lęk, lecz nie chciał, by i Anna się go bała. – Na pewno dzięki temu mi zaufa.

– Możliwe. – W głosie ojca słychać było stanowczość, która wskazywała, że obrał już kurs i nie zamierza z niego schodzić, a każdy, kto stanie mu na drodze, zostanie zmieciony niczym kręgle.

Charles nie lubił występować w roli kręgla. Wpatrywał się w ojca bez słowa.

Stary bard uśmiechnął się tylko.

– Dobrze – ustąpił Charles. – Niech będzie.

– Nie będę cię spowalniała – stwierdziła dumnie Anna.

Poczuł, jakby grzmotnęła go w brzuch. Wbrew intencjom udało mu się ją zranić. Nie posiadał daru wymowy, ale i tak podjął próbę załagodzenia nieporozumienia.

– Nie chodzi o to, że mogłabyś mnie spowalniać. Tata ma rację, z tą nogą nie będę bił rekordów prędkości. Tyle że to nic przyjemnego. Nie w tych górach o tej porze roku.

Nie chciał, by Anna widziała, jak znowu zabija. Czasami wszystko szło dobrze, dochodziło do walki, jak w przypadku Leo. Ale bywało, że płakali i błagali Charlesa o darowanie życia. A on i tak musiał im je odebrać.

– W porządku – powiedziała Anna, lecz napięcie w głosie świadczyło, że nie udało mu się wynagrodzić przykrości. Nie mógł jednak okłamywać dziewczyny, mówiąc, że chce, by z nim pojechała. Nie chciał. I mimo iż wiedział, że jej umiejętności wyczuwania kłamstwa są jeszcze w powijakach, nie chciał okłamywać swojej towarzyszki. – Rozumiem – ciągnęła ze wzrokiem wbitym w ziemię. – To nie będzie niedzielna wycieczka.

– Zadzwońię do sklepu, żeby dla was otworzyli – rzekł Bran. Nie dało się stwierdzić, co myśli, ale na pewno uparł się nie pomagać Charlesowi. – Kup jej wszystko, czego może potrzebować.

Charles poddał się i z ulgą przeniósł uwagę na coś, w czym był dobry.

– Powiedz im, że będziemy za godzinę – zwrócił się do ojca. – Najpierw muszę porozmawiać z Heather i Tagiem. Wyjedziemy rano.

– Weźcie humvee – zaproponował Bran, zdejmując kluczyk z breloczka. – Zajedziecie dalej niż twoim pick-upem.

Proszę, proszę, a teraz to pomagasz, pomyślał Charles z goryczą. Bran nie potrafił czytać w myślach, lecz lekkie drgnięcie kącików powiedziało Charlesowi, że ojciec celnie odczytał jego minę.



Charles nie był zaskoczony, że Heather na nich czeka. Stała przy drzwiach pokoju gościnnego ze spuszczonym wzrokiem, opierając się o ścianę. Nie podniosła głowy, kiedy się zbliżyli.

– Zabiłam Jacka, przywożąc go tutaj, prawda? – odezwała się.

– Tag wrócił już do domu? – zapytał Charles.

Heather podniosła oczy, próbując wyczytać coś z jego twarzy.

– Powiedział, że chwilowo ma dość zapachu krwi, i poszedł na dół oglądać telewizję.

– Twojemu Jackowi nic nie będzie – rzekła Anna najwyraźniej zniecierpliwiona małomównością Charlesa. – Charles i ja pojedziemy w góry i zajmiemy się wilkołakiem, który go zaatakował. Mamy nadzieję, że to wystarczy, żeby twój przyjaciel się uspokoił i nie narobił szumu w mediach.

Heather przypatrywała się Annie przez chwilę.

– Dzięki Bogu jest tu ktoś, kto nie zachowuje się tak, jakby każdy okruch informacji był cenniejszy od złota. Ty pewnie jesteś tą chicagowską Omegą Charlesa.

Anna uśmiechnęła się, jednak Charles dostrzegł, że musiała włożyć w to trochę wysiłku.

– Wilki są tajemnicze, czyż nie? Ale jeśli cię to uspokoi, to raczej sprowadzenie tego drugiego wilkołaka, Taga, zachwiało równowagę.

Heather zerknęła na Charlesa kątem oka, a ten od razu wiedział, że właśnie to chciała osiągnąć, wzywając wuja na pomoc. Mimo to w jej głosie brzmiała szczerść, kiedy mówiła:

– Tylko on przyszedł mi na myśl. Wiedziałam, że pomoże mi, nie zadając zbędnych pytań.

Taki właśnie był Tag.

– Damy radę porozmawiać z Jackiem? – zapytał Charles.

– Odzyskuje i traci przytomność, a teraz po prostu śpi – wyjaśniła Heather.

Mężczyzna był nieco starszy od Heather. Twarz miał bladą i ściągniętą. Natychmiast gdy się ocknął, pokój wypełnił się

zapachem bólu.

Ciekawe, pomyślał brat wilk na widok rannego zwierza. Jedzenie prawie na talerzu.

Charles nigdy nie wiedział, czy jego wilk żartuje, czy jest poważny. Nie było to istotne, bo Charles i tak nie pozwoliłby mu nigdy zjeść człowieka. Z lekkim niepokojem stwierdził, że w tej chwili jego wilk jest tak gdzieś pomiędzy. Zepchnął go w głąb.

– Jestem Charles – przedstawił się rannemu ponad ramieniem Heather. – Jestem wilkołakiem. Nie zamierzam go pożreć, Heather – dodał do zasłaniającej przyjaciela kobiety.

Heather odsunęła się, choć wyraźnie miała ochotę zostać blisko i chronić Jacka.

– Dlaczego nas zaatakowałaś? – wyszeptał mężczyzna.

– To nie ja – wyjaśnił Charles. – Zapytaj Heather, powie ci. Dopiero co usłyszeliśmy o zdziczałym wilku. Nie mogłem jechać za nim od razu, bo zostałem ranny i ojciec chciał, żebym trochę wydobrzał. Myśleliśmy, że skoro sezon polowań już się skończył, nic się nie stanie, jeśli poczekamy kilka dni.

– Ranny?

Charles zacisnął zęby, powściągając wilka, bardzo niezadowolonego z podnoszenia koszuli i pokazywania ran. Draśnięcie było bardzo wyraźne, a zapach krwi oznaczał, że opatrunek przesiąknął.

Ani Jack, ani Heather nie stanowili zagrożenia dla Charlesa, ale niewiele znaczyło to dla wilka, który wiedział jedno – okazywanie słabości jest niebezpieczne. Lecz niezwykle istotne było, by Jack zrozumiał, dlaczego czekali. Jeśli miał się powstrzymać z rozpętanem burzy medialnej, musiał uwierzyć, że w normalnych okolicznościach wilkołaki są w stanie skutecznie załatwiać swoje sprawy we własnym zakresie.

– Draśnięcie po kuli – ocenił Jack.

– Dwie trafiły – dodał Charles, opuszczając koszulę.

– Jack był policjantem – wyjaśniła Heather. Miała odwróconą głowę, nie patrzyła na niego, za co Charles był jej wdzięczny.

– Musiałem rozwiązać pewien problem w Chicago.

– Powinieneś się wyleczyć – szepnął Jack.

Charles pokręcił głową.

– Teraz nie mam na to czasu. Wilkołak polujący na ludzi to priorytet. – Popatrzył na Heather. – Zaatakował niesprovokowany?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie wiem tak do końca. Po prostu wyskoczył z krzaków i rzucił się na nas. Zdziczałego wilka można sprowokować na wiele sposobów. Może ustala sobie terytorium albo pilnuje czegoś lub kogoś? Ale ledwie go drasnęłam, a uciekł.

– W takim razie możliwe, że poluje – uznał Charles. – Tym bardziej nie mamy czasu, bo wkrótce znajdzie sobie inną ofiarę.



Anna zeszła z Charlesem na dół w poszukiwaniu wuja Heather, Taga. Schody prowadziły do wąskiego korytarzyka. Po obu stronach widziała rząd ciężkich, stalowych drzwi zaopatrzonych w sztaby, gotowe w każdej chwili do zaryglowania.

Jedne z drzwi były zaryglowane. Lokator zamkniętego pomieszczenia hałasował bardzo, dopóki nie zaczęli iść korytarzem. W pewnej chwili ucichł całkowicie, a Anna wyczuła, że słucha ich kroków.

Mogłaby pociągnąć Charlesa za język, o co w tym chodzi, ale jego mina nie zachęcała do zadawania pytań. Nie umiała powiedzieć, czy Charles jest na nią zły, czy tylko zadumany. Tak czy owak, nie miała ochoty go zaczepiać. I tak już go

wystarczająco rozdrażniła. Zaczęła nawet żałować, że tak upierała się przy towarzyszeniu mu w podróży.

Tyle że to oznaczałoby, że poszedłby sam, ranny, żeby zmierzyć się z jakimś nieznanym, zdziczałym wilkołakiem. Bran uważał co prawda, że syn potrafi o siebie zadbać, ale nie było go z nimi wczoraj, gdy Charles siedział zbyt obolały, by ruszyć się bez pomocy.

A gdyby tak Charles uznał, że jej nie chce? Co wtedy?

Drzwi na samym końcu korytarza nie wyglądały tak groźnie, nie posiadały zamków ani zasuw. Jednakże kiedy się zbliżyli, do ich uszu dobiegł odgłos wybuchu.

– A niech mnie! – krzyknął ktoś z żywym uznaniem.

Charles wszedł bez pukania.

W pierwszej chwili Anna ujrzała ogromny ekran telewizyjny połączony z różnymi płaskimi, czarnymi pudełkami za pomocą sieci tęczowych kabli, lecz jej uwagę błyskawicznie przykuło coś innego. Na oparciu kanapy, rozwalony niczym gigantyczny kot, leżał potężny mężczyzna. Słowa „potężny” i „gigantyczny” pasowały do niego jak ulał.

Charles był wysoki, ale Colin Taggart musiał przewyższać go o dobre kilka centymetrów. Również w ramionach był szerszy. Mimo chłodu miał na nogach sandały, założone na grube wełniane, znoszone, lecz czyste skarpety. Luźne spodnie niknęły już w pół uda pod farbowanym w węzélki T-shirtem. Włosy zaś, koloru intensywnie rudego, przypominały splątanań końską grzywę. Kręciły się i zwijały tak, że fryzurę można było uznać za niedokończone dredy lub całkowity brak fryzury spowodowany brakiem grzebienia. Całość spięta została dużą, zaplamioną atramentem gumką.

Nie było go na pogrzebie, pomyślała Anna. Na pewno by go zapamiętała. Prawdopodobnie w tym czasie właśnie pomagał siostrzenicy.

Jasna cera i piegi w połączeniu z ostrymi rysami twarzy sprawiały, że równie dobrze mógł mieć na czole wytatuowane „Irlandczyk”. Pachniał dziwnym kadzidłem, które tłumilo przyjemną, acz trudną do zidentyfikowania woń ziemi. Wyglądał dziesięć, piętnaście młodszej od swojej siostrzenicy, a jedynym podobieństwem, jakie ich łączyło, była przejrzysta szarość oczu.

Tag obrzucił wchodzącego Charlesa przelotnym spojrzeniem, dokończył oglądać scenę wybuchu, po czym zapauzował film.

– Hm, nie czuję śmierci – odezwał się zaskakująco wysokim głosem. Nie był to sopran, ale tak potężny mężczyzna powinien wydawać z siebie głęboki bas. Jego głos brzmiał bardziej jak klarnet. Amerykański klarnet, bo akcent miał godny prezentera telewizyjnego.

– Jeśli przyjaciel Heather umie trzymać język za zębami, może spać spokojnie – powiedział Charles. – A my o świcie ruszamy na polowanie. Byłbym wdzięczny, gdybyś załatwił dla mnie parę spraw.

Anna uświadomiła sobie, że swobodna poza była tylko przykrywką. Mężczyzna usiadł, zsunął nogi z kanapy i wstał z lekkością oraz gracją *danseur noble*.

Wyprostowany, zajmował więcej miejsca w niewielkim pokoju niż reszta. Anna odruchowo cofnęła się o krok, lecz żaden z mężczyzn nie pokazał po sobie, że to zauważył.

Tag uśmiechnął się, jednak nie spuszczał baczego spojrzenia z Charlesa.

– Dobrze. Skoro na razie nie zamierzasz zabić mojego małego przyjaciela, ja na razie chętnie ci pomogę.

– Musicie dokładnie z Heather określić miejsce ataku. Najlepiej na mapie. Może uda jej się też zaznaczyć lokalizację poprzedniego ataku i tego nieudanego na turystę. – Charles rzucił Annie przez ramię beznamiętne spojrzenie, po czym

znów zwrócił się do Taga. – A potem wstąpi do Jenny i załatwi mi coś do ubrania, coś, w czym się pocila.

Oczy rudowłosego wilkołaka zwięzły się.

– Chcesz zrobić tę sztuczkę z zapachem? Harrison nosi mniej więcej twój rozmiar. Wziąć coś od niego?

– Byłoby świetnie. Spotkamy się za dwie godziny u mnie. Przynies mapę i ubrania.

– Bran nie zabije faceta Heather. – Było to stwierdzenie, choć zawierało nutkę niepewności.

– Na pewno nie teraz. – Charles wzruszył ramionami. – Nie, jeśli nie wpadnie mu do głowy coś głupiego.

Według Anny nie brzmiało to uspokajająco, ale Tag wydawał się zadowolony.

– Jasne. W takim razie u ciebie za dwie godziny.



Charles zaparkował humvee przed domem, pewnie dlatego, że samochód nie zmieściłby się w garażu. Kiedy wysiadł z wozu, poruszał się sztywno i kulał, ale gdy Anna próbowała zabrać pakunki z zakupami, tylko rzucił jej spojrzenie. Uniosła ręce w geście poddania, pozwalając Charlesowi wnieść wszystko do domu samemu.

Odkąd wyszli z gabinetu ojca, nie powiedział do niej nic osobistego.

– Może powinieneś zabrać ze sobą kogoś innego – powiedziała, odgrodziwszy ich wreszcie od mroźnego powietrza. – Inny wilkołak mógłby ci lepiej pomóc.

Charles odwrócił się i wbił spojrzenie w Annę. Nie spuszczać wzroku, zdjął powoli rękawice. Popatrzyła w ciemne oczy, odwracając się dopiero po paru sekundach.

– Nie zabieram pomocników, kiedy muszę kogoś zabić – rzekł po chwili. – Im więcej wilków, tym większa szansa, że coś pójdzie nie tak.

Zdjął okrycie i przewiesił niespiesznie przez oparcie kanapy.

– Ten wilkołak zabija ludzi. Możliwe, że został podstawiony, że komuś zależy na dywersji tak starannie opracowanego planu ojca, żeby nas ujawnić. Brałem to pod uwagę, ale nie sądzę, żeby o to chodziło. Trzeba bardzo zdesperowanej osoby, żeby wybrać się w góry Cabinet o tej porze roku, skoro Missoula czy Kalispell są i bardziej dostępne, i przyciągnęłyby więcej uwagi. Włóczenie się po puszczy zimą to duży wysiłek i ryzyko. Gra niewarta świeczki jak na zaplanowane działanie czy chłodnego zabójcę. Dlatego uważam, że to zdziczyły wilk. Ktoś, kto nie bardzo wie, co robi, i stara się trzymać w ukryciu. Niebezpieczny, jak zdążył udowodnić, ale nie jest to ktoś, z kim nie dałbym sobie rady.

– Zrobię, jak będziesz chciał – zwróciła się Anna do podłogi. Czują się głupio i było jej ogromnie przykro, że nie chciał, by mu towarzyszyła. – Postaram się nie wchodzić ci w drogę.

– Gdyby nie ojciec, nawet nie przyszłoby mi na myśl, żeby cię zabrać. A to byłby błąd.

Ostatnie słowa całkiem ją zaskoczyły. Podejrzewając, że źle go zrozumiała, popatrzyła z uwagą. Uśmiechał się z zakłopotaniem.

– Myślę, że nawet wilkołak zasługuje na szansę. Zdziczyły wilk ukrywający się w tej puszczy musi być naprawdę na krawędzi i prawdopodobnie jest w tej sytuacji taką samą ofiarą, jak martwy myśliwy czy ten Jack. Ale nawet gdyby się okazało, że to tylko wpływ księżycy i stracił nad sobą panowanie, idąc tam sam, musiałbym go zabić. A sama spójrz, co dzisiaj udało ci się zrobić z Asilem. Jeśli będziesz przy mnie, może uda nam się oszczędzić tego wilka, dać mu drugą szansę.

Zastanowiła się przez chwilę, lecz wydawało się, że mówi poważnie.

– Nie jesteś na mnie zły? Nie uważasz, że powinnam trzymać buzię na kłódkę?

Podszedł do niej i pocałował. Kiedy się odsunął, serce Anny waliło jak młotem, i to nie ze strachu. Widziała też, jak mocno i szybko pulsuje mu żyła na szyi. Pachniał mocno mrozem i śniegiem.

– Nie – wymruczał. – Nie chcę, żebyś była cicho. – Przesunął palcem po krawędzi jej zuchwy. – Chodź, zrobimy coś do jedzenia, zanim Tag przyjdzie.

Choć nie czuł się dobrze i sam mówił, że kiepsko gotuje, zabrał się do zrobienia gulaszu, który zaczęła przed telefonem Brana. Wysłał Annę po ziemniaki, które, jak się okazało, trzymał w piwnicy pod schodami w wielkim worze, ale poza tym zajął się wszystkim sam.

Obserwowała go, a euforia, którą wywołał pocałunek, bledła. Patrzyła na mężczyznę, który przywykł do samotniczego życia, który zawsze liczył tylko na siebie. Nie potrzebował jej, ona zaś była całkiem od niego zależna.

Mięso dusiło się w garnku, Charles włączył więc telewizor, aby umilić im czas oczekiwania. Był to jedyny odbiornik, jaki Anna widziała w domu. Radosna kobieta na ekranie, wymalowana jaskrawą szminką, poinformowała, że nazajutrz będzie chłodniej. Charles usiadł przy dębowym stole naprzeciwko Anny.

– Lokalna – wyjaśnił. – W każdym razie w miarę lokalna. Missoula i Kalispell.

Anna sama nie wiedziała, dlaczego nie pozwoliła telewizji wypełnić czasu.

– Twój ojciec powiedział mi, że powinnam porozmawiać z tobą o skontaktowaniu się z moją rodziną – zaczęła, gdy prezenterka przedstawiała raport ze sprzedaży

bożonarodzeniowej: sprzedaż detaliczna stacjonarna obniżyła się w porównaniu do zeszłego roku, internetowa wzrosła.

– A coś się u nich dzieje?

– Nie wiem. Zerwałam z nimi kontakt tuż po Przeistoczeniu.

– Nie rozmawiałaś z bliskimi od trzech lat? – zdumiał się, marszcząc brwi, ale twarz szybko mu się wygładziła, a w oczach błysnęło zrozumienie. – Nie pozwalał ci.

Anna przyglądała się Charlesowi przez chwilę.

– Powiedział, że każdy człowiek, który się o nas dowie, zostanie zabity. I że utrzymywanie kontaktu z rodziną będzie stanowiło usprawiedliwiony powód do ich wyeliminowania. Po tym wykorzystałam sytuację, obraziłam się na szwagierkę za jakąś bzdurę i od tamtej pory z nimi nie rozmawiałam.

– Idiota. Ale dlaczego miałyby... Hm, pewnie Leo obawiał się, że rodzina ostro zareaguje, dowiedziawszy się, jak jesteś traktowana, i narobi zamieszania. Mam nadzieję, że jego obawy nie były płonne. Jeśli chcesz do nich zadzwonić, to śmiało. Chyba że wolisz się z nimi spotkać, to kiedy uporamy się ze wszystkim, polecimy do twojej rodziny z wizytą. Niektóre sprawy najlepiej wyjaśnić osobiście.

Ze ściśniętym gardłem usiłowała powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Przepraszam – wydukała.

Charles pochylił się ku Annie, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo na podjeździe zatrzymał się samochód, a kilka sekund później do domu niczym tajfun wpadł Tag. W jednej ręce trzymał papierową torbę, w drugiej mapę.

– Jesteście – przywitał się i pociągnął nosem. – Mam nadzieję, że wystarczy dla trzeciego? Przez to załatwianie waszych spraw nie zdążyłem nic zjeść.

– Częstuj się – rzekł Charles, trochę sztywno, bo Tag rzucił rzeczy i już stał w kuchni.

Po chwili brzęczenia naczyniami przyniósł trzy miski parującego gulaszu. Jedną postawił przed Anną, drugą przed Charlesem, a trzecią przy miejscu obok gospodarza. Kolejna wizyta w kuchni i powtórzył operację ze sztućcami i szklankami mleka. Podawał z taką wprawą, że Anna zaczęła podejrzewać, iż parał się kiedyś kelnerstwem.

Siadając, spoglądał na Charlesa. Obserwując Taga, Anna uzmysłowiła sobie coś, co już od dłuższego czasu rejestrowała podświadomie. Mimo swobodnego zachowania Tag czuł przed Charlesem respekt, bał się go, podobnie jak Sage mimo nazywania go Charliem. Nie bez powodu Leah, towarzyszka Brana, przyszła tu podczas nieobecności Charlesa. I jednak nie знаła domu. Anna oczywiście widziała lęk w oczach Heather, ale Heather była człowiekiem. Cała reszta była wilkołakami, a ich reakcje wyrażały się znacznie subtelniej, w mowie ciała, na przykład Tag cały czas rzucał na Charlesa baczne spojrzenia.

Tag pochłonął kilka łyżek gulaszu, siorbiąc przy tym tak, że matka Anny trzepnęłaby go po łapach, a następnie zwrócił się do Charlesa:

– Trzeba ją podkarmić. Leo nigdy nie dbał o dary, jakie otrzymywał.

– Nie otrzymał Anny w darze. Upolował ją sobie.

– Przeistoczył Omegę przemocą? – Tag aż zamarł.

Całą swoją postawą ukazywał zgrozę i niedowierzanie.

– Nie do końca. Znalazł ją, a potem nasłał na nią szaleńca.

– Trzeba prawdziwego świra, żeby zaatakować Omegę. Zabiłeś go? – Pytanie zostało zadane tonem zbyt niedbałym, by był naturalny.

– Tak.

– A Leo?

– Też.

– To dobrze. – Tag popatrzył na Annę, nie spoglądając jej w oczy, a potem wrócił do jedzenia.

– Przecież nie byłam jeszcze wtedy Omega, tylko człowiekiem
– zauważyła Anna.

Charles uśmiechnął się nieznacznie i zabrał do gulaszu.

– Urodziłaś się już jako Omega, podobnie jak mój ojciec zawsze był dominujący i groźny, nawet przed tym, jak został wilkołakiem. Wilkołactwo wydobywa pewne cechy, a czas je szlifuje.

– Jak to? To ona o tym nie wie? – zdziwił się Tag.

– Leo uznał, że niewiedza Anny pozwoli mu ją kontrolować.

Tag uniósł krzaczaste brwi.

– Nigdy nie lubiłem Leo, był jakiś taki pokręcony. Krzywdzenie uległego wilka sprawia dominującemu ból, instynkt każe nam je chronić. W przypadku Omegi działa jeszcze silniej. Jako człowiek byłaś jeszcze bardziej krucha niż teraz, bo mocniej drażniłaś te instynkty. Człowiek-Omega prowokuje szalonego, zięjącego żądzą mordy wilka do ataku.

Charles i Tag zdążyli wrócić do jedzenia, zanim Anna zebrała się na odwagę, by zanegować wypowiedź Taga.

– Żaden z mężczyzn w stadzie nie miał problemu z robieniem mi krzywdy.

Kiedy Tag porozumiał się spojrzeniem z Charlesem, Anna przypomniała sobie, że pod tą krzykliwą wesołością kryje się jednak wilk.

– Powinni mieć zahamowania – wyjaśnił Charles. – Gdyby Leo ich nie nakłaniał, nie popychał, zostawiliby cię w spokoju.

– Żaden mu się nie sprzeciwił? – zapytał Tag.

– Nie, wyeliminował wszystkie silniejsze wilki, a reszta była mu całkowicie podporządkowana.

– Na pewno go zabiłeś? – upewniał się rudzielec.

– Tak.

Wzrok Taga znów prześliznął się po Annie.

– To dobrze.

Po skończeniu posiłku Tag odsunął talerze i rozłożył na stole mapę. Anna zebrała naczynia i poszła do kuchni, by pozmywać, a Charles i Tag pochylili się nad mapą.

– Wszystkie ataki miały miejsce w promieniu kilkunastu kilometrów od jeziora Baree – mówił Tag, gdy Anna wróciła i zajrzała Charlesowi przez ramię. – Podobno gdzieś tam w okolicy stoi stara chata. Nie widziałem jej na własne oczy, ale o niej słyszałem.

– Wiem, gdzie to jest – rzekł Charles, stukając palcem w mapę. – Dobrze myślisz. To tu, rzut beretem od miejsc ataków. Chyba już z kilkanaście lat nie byłem w zimie nad Baree. To nadal najlepsza droga?

– Tamtędy dzisiaj jechałem. Potem trzeba skręcić tu. – Tag pokazał miejsce na mapie, ale Anna nie dostrzegła tam żadnej drogi.

– W porządku – zgodził się Charles. – A potem przejeździemy przez przełęcz Silver Butte.

– Pierwszy atak nastąpił tutaj. – Tag skierował palec nieco na lewo od jeziora. – Na letnim szlaku, kilka kilometrów od jeziora. Martwego myśliwego znaleziono tutaj, kilkaset metrów od brzegu. Pewnie przedostał się przez tę przełęcz, którą chcesz przebyć. W październiku były silne opady śniegu, więc stara przecinka już w sezonie łowieckim stała się nieprzejezdna. Na Heather i Jacka napadł tutaj, kilka kilometrów od miejsca, gdzie zostawili wóz. Ja dojechałem kilkaset metrów bliżej, a wasz humvee da radę kolejne kilkaset.

Charles zamruczał potakująco.

– Mogło być gorzej – podsumował. – Gdyby na przykład trzeba było przedostać się granią Vimy...

– Nie ma szans – zaśmiał się Tag. – Utknęlibyście tam do wiosny. Nawet w lecie nie chciałbym tam szukać wilka, a co dopiero zimą. Na szczęście akurat Baree to miejsce dla niedzielnych turystów, jak na Cabinet, oczywiście. – Spojrzał na

Annę. – Czyli na upartego da się tam dostać. Bo na grań Vimy o tej porze roku jedynie śmigłowcem. W niektórych miejscach, wyżej, zaspy mają grubo ponad cztery metry. Zobaczysz próbkę na graniach nad Baree. Lepiej trzymaj się spódnicy tego wilczyśka, inaczej będziemy musieli organizować kolejną wyprawę, tym razem w poszukiwaniu twoich resztek.

– Nie strasz jej – ofuknął go Charles.

Tag z uśmiechem odchylił się na oparcie.

– Ona wcale się nie boi. Prawda, gołąbeczko?

W ostatnim zdaniu usłyszała cień akcentu, irlandzkiego albo cockney. Miała dobre ucho, lecz nie aż tak, by wystarczyły jej dwa słowa.

– Heather musiała wyjść kawałek wyżej, żeby do mnie zadzwonić – zwrócił się rudzielec do Charlesa. – W górach zasięg jest słaby, miejscami wcale. Zaparkowałem tutaj. – Dzióbnął palcem płachtę. – Trochę pochodziłem, zanim znalazłem się w zasięgu. Najlepiej, jakbyście stanęli tu i zostawili telefony w wozie.

– Na wypadek gdyby to jednak nie był zdziczały samotnik? – Charles spojrzał ostro na rozmówcę.

– Nie tylko ty i Bran umiecie dodać dwa do dwóch – oświadczył Tag. – Jeśli to jakaś zorganizowana akcja, lepiej nie ułatwiać napastnikom życia, a teraz każda komórka ma wbudowany lokalizator.

– Nie zamierzałem zabierać telefonów. – Charles ponownie pochylił się nad mapą. – Wynikać by mogło, że Baree znajduje się w centrum jego terytorium, ale...

– Gdy spadnie śnieg, na wschód i zachód od jeziora nie kręci się zbyt wielu ludzi – zaczął Tag stanowczo. – Więc to może być równie dobrze kraniec jego terenu.

– Nie sędzę, żeby zapuszczał się na wschód – myślał głośno Charles. – Gdyby przebywał w tej dolinie, to naturalne ukształtowanie terenu narzucałoby mu terytorium właśnie

tam, może do jeziora Buck albo Wanless, ale Baree jest od doliny oddzielone wysokim pasmem. O tej porze roku prawie niemożliwe jest przebycie tego grzbietu, nawet w wilczej formie.

– W takim razie zachód.

Charles powiódł palcem ku kilku mniejszym jeziorkom.

– Tak, myślę, że od Baree skierujemy się na zachód, ku Niedźwiedzim Jeziorom, potem przez Iron Meadows i z powrotem przez tę górę do Vee. Jeśli się na niego nie natkniemy, będzie trzeba skrzyknąć całe stado.

– Musicie uważać, bo w rejonie Niedźwiedzich Jezior często spadają lawiny – ostrzegł Tag, ale Anna dosłyszała w jego głosie aprobatę.

Jeszcze trochę potrwało planowanie dokładnej trasy na cztery dni pieszej wędrówki, a kiedy skończyli, Tag wyprostował się, uczynił gest, jakby uchylał niewidzialnego kapelusza, i powiedział:

– Miło mi było panią poznać. – I nie dając Annie szansy na odpowiedź, wyszedł tak samo nieoczekiwanie, jak przyszedł.



6

S podobałaś mu się – stwierdził Charles, składając mapę.

– Z czego wnioskujeś?

– Nie odzywa się do osób, za którymi nie przepada. – Charles już otwierał usta, żeby jeszcze coś dodać, ale tylko uniósł głowę i spojrzał chmurnie na drzwi. – A ten czego tu chce?

W tej chwili Anna też usłyszała nadjeżdżający samochód.

– Kto to? – zapytała, ale Charles nie odpowiedział, wyszedł z salonu. Po chwili wahania Anna poszła za nim.

Charles otworzył gwałtownie drzwi. Na progu stał wilk, którego Anna poznała na pogrzebie. Asil. W ręku dzierżył bukiet kwiatów, głównie żółtych róż, gdzieś wśród nich przebłyskiwał fiolet kwiatków przypominających stokrotki.

Asil błyskawicznie przystosował się do niespodziewanej zmiany planowanego *entrée* i omijając wzrokiem Charlesa, obdarzył Annę czarującym uśmiechem. Wszystko stanowiłoby prawidłowe zachowanie wobec poirytowanego, silniejszego wilka, gdyby nie to, że Asil jawnie i bezczelnie wpatrywał się w Annę.

– Przyszedłem z przeprosinami – oświadczył. – To dla damy. – Dopiero teraz Anna miała okazję przyjrzeć mu się dokładnie. Gość był niższy od Charlesa o głowę, ledwie kilka centymetrów wyższy od niej. Choć skórę miał śniadą i podobnie jak Charles czarne włosy i oczy, odcień tej śniadości, a także rysy wskazywały na pochodzenie bliskowschodnie raczej niż indiańskie.

– Mojej damy – poprawił Charles wyraźnie i groźnie.

Asil uśmiechnął się promiennie, a wilk, który jeszcze sekundę wcześniej wзираł z jego oblicza, zniknął.

– Dla twojej damy, oczywiście. Oczywiście. – Wręczył kwiaty Charlesowi, po czym rzekł gładko: – Nie pachnie tobą. Stąd pomyłka. – Zerknął przebiegle na Charlesa, błysnął zębami w uśmiechu, po czym okręcił się na pięcie i pobiegł do samochodu, choć nie było w tym za grosz pośpiechu.

Annę zmroziła fala gniewu bijąca od Charlesa, zupełnie nie rozumiała, dlaczego ostatnie słowa Asila tak go rozwścieczyły.

Charles zamknął cicho drzwi i wyciągnął ku niej bukiet. Jednakże wyraźne napięcie w jego postawie sprawiło, że Anna schowała ręce za siebie i cofnęła się. Skoro kwiaty od Asila tak rozzłościły Charlesa, nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

W końcu Charles skupił wzrok na dziewczynie, a jego twarz ściągnęła się jeszcze bardziej.

– Nie jestem Leo ani Justinem, Anno. Weź te kwiaty. Są ładne i przyjemnie pachną, znacznie lepiej, niż zwykle pachną bukiety. Asil ma szklarnie, lecz bardzo rzadko ścina w nich kwiaty. Nie zrobiłby tego, gdyby nie był naprawdę wdzięczny za to, co uczyniłaś dla niego dzisiaj rano. A że mógł mnie przy okazji zygnać, to tylko wisienka na całym torcie. Naprawdę, weź je.

Słowom zaprzeczał bijący od niego zapach furii, a mimo iż Charles uważał, że nie umie korzystać z węchu, nauczyła się wierzyć nosowi bardziej niż uszom.

Nie zdołała spojrzeć mu w oczy, ale odebrała bukiet i poszła do kuchni, gdzie przystanąła, skonfundowana. Nie miała pojęcia, gdzie szukać wazonu.

Odwróciła się, słysząc stuknięcie na blacie. Charles stawiał właśnie na stole jedną z glinianych waz, które stały w salonie.

– To powinno być dobre – powiedział, a widząc, że Anna nie drgnęła, sam nalał do wazy wody. Bardzo powoli, tak, żeby jej nie wystraszyć, wziął od dziewczyny kwiaty, przyciął łodyżki i umieścił w wazonie, bardziej z pragmatyzmem niż artystycznym.

Anna potrzebowała chwili, by ochłonąć po nagłym ataku lęku i fali wstydu, który zalał ją na myśl o własnym tchórzostwie. Poza tym nie chciała pogorszyć sprawy jakąś nieodpowiednią uwagą. Albo nieodpowiednim gestem.

– Przepraszam – powiedziała, czując, że żołądek ma tak ściśnięty, iż z trudem oddycha. – Nie wiem, czemu jestem taka głupia.

Charles porzucił układanie kwiatów i powoli, dając Annie czas na cofnięcie się, ujął ją pod brodę i uniósł twarz.

– Znasz mnie raptem kilka dni – zaczął. – Nawet jeśli czasem czujemy coś innego. To zbyt mało czasu, by komuś zaufać. Nic się nie dzieje, Anno. Jestem cierpliwy. I nie zranię cię nigdy świadomie.

Podniosła wzrok, zamiast ciemnych z jego śniadej twarzy spoglądały na nią złote oczy. Jednak mimo bliskości wilka dotyk Charlesa był niezwykle łagodny.

– Taki jestem – mówił tak, jakby przeproszał za zachowanie wilka i swój wybuch. – Dla mnie to także nowość. – Uśmiechnął się przelotnie. Chłopięce zakłopotanie złagodziło ostre rysy. – Nie przywykłem do odczuwania zazdrości ani do takiej wybuchowości. Zatrucie srebrem na pewno ma w tym udział, ale to nie główna przyczyna.

Stali tak, on z dłonią pod jej brodą, ona, bojąc się poruszyć, by nie sprowokować wyzieraającego z oczu Charlesa wilka lub by

nie urazić go, jak wtedy, gdy się wzdrygnęła, kiedy ją dotknął. Nie miała pojęcia, na co Charles czeka.

Wreszcie przerwał milczenie.

– Ojciec powiedział mi, że coś cię gryzie, odkąd wyszłaś rano z kościoła. To przez Asila?

Odsunęła się w bok. Odjął rękę od jej twarzy, ale położył na ramieniu, a Anna nie potrafiła zdobyć się na kolejny krok, bo ten równał się utracie kontaktu. Pomyślała, że jeśli nie weźmie się w garść, on uzna ją za neurotyczkę.

– Nie, nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

– Osiem słów i dwa kłamstwa – westchnął. – Ech, Anno, muszę cię nauczyć, jak pachnie kłamstwo. Jak zobaczysz, zrozumiesz, że nie ma to sensu.

Kiedy zabrał rękę, omal nie popłakała się, straciwszy jego dotyk, mimo że jakaś jej część nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

– Wystarczyło powiedzieć, że nie chcesz o tym rozmawiać.

Zmęczona samą sobą, Anna potarła twarz, nadeła policzki i parsknęła jak koń. Wreszcie popatrzyła na niego.

– Fatalnie się czuję – wyjaśniła. – W zasadzie to nawet nie do końca wiem, co czuję i dlaczego tak jest. A o reszcie nie chcę jeszcze rozmawiać. – Ani nigdy. Z nikim. Była tchórzem, idiotką i wplątała się w sytuację, w której czuła się bezradna. Po powrocie z poszukiwań znajdzie pracę, a z pieniędzmi na koncie i konkretnym zajęciem odzyska kontrolę nad swoim życiem.

Przekrzywił głowę.

– Rozumiem. Zostałaś wyrwana ze znajomego otoczenia, rzucona pomiędzy całkiem obcych ci ludzi, pozbawiono cię zasad, które znałaś, straciłaś grunt pod nogami. Trzeba czasu, żebyś przywykła. Jeśli masz jakiegokolwiek pytania, pytaj śmiało. Jeśli nie chcesz rozmawiać o czymś ze mną, zawsze możesz zwrócić się do mojego ojca albo... Sage? Polubiłaś ją?

– Owszem. – Miała jakieś pytania? Złość na samą siebie skierowała się ku niemu, choć na pewno nie zamierzał traktować Anny jak dziecko. Chciał tylko pomóc. Nie jego wina, że ten uspokajający ton irytował ją strasznie, szczególnie iż wiedziała, że on sam jest jeszcze na coś zły. Polubiła Sage? Zupełnie jakby musiał organizować jej przyjaciół.

Była już zmęczona strachem i niepewnością. Charles chciał, żeby zadawała pytania. Nauczono ją nie pytać o nic – wilkołaki były tajemnicze, chroniły swoje sekrety, jakby te były na wagę złota. Dobrze więc.

– Co takiego powiedział czy zrobił Asil, że cię tak wyprowadził z równowagi?

– Groził, że będzie próbował mi cię odebrać.

Przebiegła w myślach rozmowę w progę, jednak nie potrafiła dopatrzeć się żadnej groźby.

– Kiedy?

– O tym, że jesteśmy parą, decyduje nie tylko to przyciąganie, które jest pomiędzy nami. Mówiąc, że mną nie pachniesz, dawał do zrozumienia, że wie, iż nie przypieczętowaliśmy związku, więc jesteś do wzięcia.

Zmarszczyła brwi, nadal nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

– Nie kochaliśmy się – wyjaśnił. – Poza tym istnieje coś w rodzaju formalnej ceremonii odbywającej się podczas pełni i cementującej naszą więź, zaślubiny. Bez tego Asil może się o ciebie starać, a ja nie mogę nic zrobić.

Kolejna rzecz, o której nie miała pojęcia. Gdyby miała dziesięć lat mniej, tupnęłaby teraz nogą.

– Jest jakiś podręcznik? – Straciła cierpliwość. – Coś, gdzie wszystkie te rzeczy byłyby spisane?

– Zawsze możesz taki napisać – zaproponował. Gdyby nie patrzyła na jego usta, nie dostrzegłaby drgnięcia kącików warg. Uważał, że jest śmieszna.

– Może tak zrobię – burknęła i odwróciła się. Z tym że nie miała gdzie odejść. Do jego sypialni?

Zamknęła się w łazience i puściła wodę, żeby zagłuszyć wszelkie dźwięki. Zamek w drzwiach jej nie wystarczał.

Popatrzyła na odbicie w lustrze, które zaczęło pokrywać się parą. Zamazane odbicie potęgowało wrażenie, że patrzy na obcą osobę, kogoś, kogo nienawidzi za niepewność, za tchórzostwo, kogoś, kto nadaje się tylko do kelnerowania. Nic nowego, Anna nienawidziła siebie od momentu, kiedy została przemieniona w... w to monstrum.

W dodatku żalosne monstrum.

Pod oczami ciemniały podkowy, a policzki miała blade. Na wspomnienie panicznego strachu, jaki ogarnął ją na widok wściekłości Charlesa, i na wspomnienie samej siebie, bezradnej, przeprasającej za wproszenie się na wyprawę, nienawidziła się jeszcze bardziej. Nie była taka, takie zachowanie nie leżało w jej naturze.

Charles nie był niczemu winny.

Dlaczego więc czuła do niego taką złość?

Wściekła, rozebrała się i weszła pod gorący tusz, czując ulgę, gdy ukrop przytłumił kipiące w niej emocje.

Odzyskawszy na moment jasność myśli, zrozumiała, dlaczego była tak podenerwowana pod koniec pogrzebu i czemu ten irracjonalny gniew kierował się szczególnie ku Charlesowi.

Dotąd nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo pragnęła być znowu człowiekiem. Wiedziała, że to niemożliwe, wiedziała, że nic nie jest w stanie cofnąć działania magii, któremu została poddana wbrew własnej woli. Świadomość ta nie gasiła jednak tęsknoty za człowieczeństwem.

Przez trzy lata żyła wśród innych potworów, była jednym z nich. A potem pojawił się Charles, tak inny od pozostałych. Rozpalił w niej nadzieję.

Jednak nie zasłużył sobie na jej gniew, bo przecież to nie jego wina, że gdzieś w głębi duszy zrodziło się przekonanie, że odchodząc ze stada, zostawia za sobą świat potworów.

Nie okłamywał jej. Otwarcie przyznał, że jest likwidatorem, działającym na zlecenie ojca, a ona nie miała powodu, by w to nie wierzyć. Widziała, jak walczy, widziała na własne oczy, jak zabija. Mimo to zdołała przekonać samą siebie, że w Montanie będzie inaczej. Że będzie żyła normalnie, jak człowiek, dzień po dniu, z wyjątkiem okresu pełni, a nawet i ten będzie inny tutaj, gdzie jest tyle przestrzeni i nikogo nie skrzywdzi.

Była głupia, że się tak łudziła. I wiedziała przez cały ten czas, że się łudzi.

I przecież Charles też nie był winny swojemu przekleństwu.

Łatwo było zrzucić furię i zniszczenie izolatki chicagowskiego stada na zatrucie srebrem. Jednakże dzisiejsza konfrontacja z Asilem dowiodła, że Charles nie różni się niczym od innych samców wilkołaków – jest tak samo agresywny, zaborczy i niebezpieczny.

Pozwoliła sobie uwierzyć, że takie zachowania były charakterystyczne tylko dla członków jej starego stada. Że rzeczy miały się tak przez to, co robili Leo i jego towarzyszka.

Wymarzyła sobie rycerza w lśniącej zbroi. Pragnęła, by objawił się i był głosem rozsądku pośród tego szaleństwa. Charles wpisał się w tę rolę idealnie. Znał jej pragnienia? Zrobił to wszystko celowo?

Pod strugami gorącej wody, które spływały po jej policzkach niczym łzy, z płataniny myśli wyłoniła się ostatnia kwestia, odpowiadająca na najsilniejsze lęki: oczywiście, że Charles nie wszedł w rolę rycerza celowo, po prostu taki był.

Był wilkołakiem tak dominującym, że bez wsparcia stada potrafił pokonać innego Alfę. Był zabójcą na zlecenie tak groźnym, że bano się go nawet w jego własnym stadzie. Mógł być taki, jak Justin – okrutny i pożądlivy.

Ale on, w przeciwieństwie do Justina, okazał się świadom tego szaleństwa, nieodłącznego ich naturze, i nie tylko umiał je okiełznać, ale także wykorzystać z pożytkiem. Naraz ujrzała przed oczyma scenę, gdy pięknymi dłońmi układa delikatnie kwiaty w wazonie, podczas gdy jego wilk pała żądzą mordy.

Charles był potworem. Był zabójcą na zlecenie Marroka. A ona nie da się znów omamić własnym wyobrażeniami. Na życzenie ojca Charles zabiłby Jacka bez zmrużenia oka. Zrobiłby to, wiedząc, że strażnik jest tylko niewinną ofiarą, że jest porządnym człowiekiem. Ale nie zrobiłby tego bez żalu. Widziała ulgę na jego twarzy, gdy Bran oświadczył, że znalazł rozwiązanie.

Ukrop ochłódł.

Umyła głowę, zachwycona, jak łatwo spłukuje się szampon. Tutejsza woda była znacznie bardziej miękka niż ta w Chicago. Nałożyła odżywkę, pachnącą ziołami i miętą. Tym samym pachniał Charles. Woda zaczynała być nieprzyjemnie chłodna.

Nie patrząc w lustro i starając odpędzić wszystkie myśli, skupiła się na rozczesywaniu splątanych włosów. Udało jej się opanować, osiągnąć stan niemyślenia. Ostatnio udoskonaliła tę sztukę do perfekcji. Nie chciała znów pokazać się Charlesowi jako przestraszona, marudna ona. Musiała trzymać swoje lęki pod kontrolą.

I знаła sposób, by to osiągnąć. Było to oszustwo, lecz wyjątkowo przyzwoliła sobie na to, bo ukrywając się w łazience, wyszła na idiotkę.

Obserwowała w lustrze, jak jej oczy przybierają srebrnoniebieski odcień, a potem na powrót brązowieją. Tyle i ani odrobinę więcej. Siła i pewność wilczycy otoczyły ją, napełniając spokojną akceptacją. Cokolwiek się stanie, przetrwa. Jak zawsze.

Jeśli Charles był potworem, to z konieczności raczej niż wyboru.

Założyła dzinsy i żółty T-shirt, a potem powoli otworzyła drzwi.

Charles stał oparty o przeciwległą ścianę. Gdyby nie oczy, wyglądałby jak uosobienie swobody, ale Anna nauczyła się wierzyć złotożółtej barwie wilczych ślepi.

Na odchodnym zerknęła jeszcze w lustro, sprawdzając kolor swoich tęczówek, a potem wyszła z łazienki.

– Uznałem, że powinienem opowiedzieć ci o Asilu – rzekł, jak gdyby nigdy nie przerwali rozmowy.

– Słucham. – Stanęła w progu, czując na plecach wilgoć pary.

Zaczął powoli, jakby niechętnie wypuszczał słowa spomiędzy zębów.

– Asil to nieprawdziwe imię, choć tak właśnie nazywa go większość ludzi. Inni nazywają go Maurem.

Zamarła. Niewiele wiedziała o własnym gatunku, słyszała jednak o Maurze. Wiadomo było, że lepiej z nim nie zaczynać.

Charles zmrużył oczy, widząc reakcję Anny.

– Jeśli istnieje wilkołak starszy od mojego ojca, to jest nim właśnie Asil.

Przerwał, czekając najwyraźniej, że Anna coś powie, więc wreszcie przełamała milczenie.

– Nie wiesz, ile lat ma Asil?

– Wiem. Asil urodził się mniej więcej wtedy, co Karol Młot, dziadek Karola Wielkiego, który pokonał Maurów w bitwie pod Tours. – Musiał zauważyć niezrozumienie na jej twarzy, bo dodał: – W ósmym wieku naszej ery.

– To znaczy, że ma...

– Jakieś tysiąc trzysta lat.

Teraz i ona oparła się o ścianę. Zauważyła u Asila brzemię wieku, lecz nie podejrzewała, że jest aż tak stary.

– A więc to wieku ojca nie znasz – wywnioskowała. Trzydzieści wieków to bardzo, bardzo dużo.

Wzruszył ramionami, jakby ta informacja nie miała dla niego znaczenia.

– Tata jest bardzo stary. – Odwrócił wzrok. – Asil przybył tu jakiś czas temu, czternaście, piętnaście lat, z prośbą, by ojciec odebrał mu życie. Na razie jednak zadowolili się obietnicą, że Marrok zrobi to, gdy uzna za konieczne, czyli gdy Asil straci zdrowe zmysły. – Charles uśmiechnął się lekko. – Asilowi nie przeszkadza, że ojciec jest jego Alfą, ale przeszkadza mu, że ja jestem bardziej dominujący. Stąd wnioskuję, że tata może być od niego starszy. Mój młody wiek stoi mu kością w gardle.

Anna potrzebowała chwili, żeby to wszystko przetrwać.

– A nie opowiadał o swoim Alfie z Europy? Hm, słyszałam o nim różne historie, ale nigdy o tym, że był Alfą. – O Maurze krążyło wiele opowieści. Był niczym bohater z legend albo też czarny charakter, należał do folkloru wilkołaczego.

– Przewodzenie stada wilkołaków to niełatwa sprawa – rzekł Charles. – To ogromna odpowiedzialność, masa obowiązków. Niektóre stare wilki nauczyły się ukrywać przed innymi swoją prawdziwą naturę i to jeden z powodów, dla którego Alfy nie chcą, by stare wilkołaki przyłączały się do ich stad. Asil jest bardzo dominujący. – Uśmiechnął się ponownie, ale tym razem przypominało to raczej krótkie wyszczerzenie zębów. – Kilka miesięcy od jego przybycia tutaj wtrąciłem się w jakąś sprawę, którą miał z jednym z naszych mieszkańców, człowiekiem. Nie spodobało mu się, gdy odkrył wtedy, że jestem od niego bardziej dominujący.

– Podporządkował się twojemu ojcu, bo jest starszy, a innym Alfom, bo tak naprawdę im się nie podporządkowywał, ale tobie... Nie dość, że tyle młodszy, to jeszcze nie jesteś Alfą.

Charles przytaknął.

– Dlatego tak mnie bodzie. Ja go ignoruję, a on naciska mocniej.

– O to właśnie chodziło dzisiaj? – Teraz Anna zrozumiała. – Wykorzystał mnie, żeby się dostać do ciebie.

Charles wilczym gestem przekrzywił głowę.

– Nie do końca. Maur miał towarzyszkę, stracił ją kilkaset lat temu. Zmarła przed moim narodzeniem, więc nie znałem jej osobiście, ale podobno była Omegą, jak ty. Nigdy o tym nie mówił, ani mnie, ani ojcu, więc to pogłoski. O Maurze krąży wiele historii i póki nie zobaczyłem, jak zareagował na ciebie na pogrzebie, wkładałem to pomiędzy bajki, jak całą masę innych opowieści o nim.

Ciepło po prysznicu już uleciało, a wilgoć przygnała chłód. Możliwe też, że Anna zadrżała na samo wspomnienie, jak spoglądał na nią stary wilk.

– Czemu ta reakcja kazała ci się nad tym ponownie zastanowić?

Charles przytaknął, z czego Anna wywnioskowała, że zadała prawidłowe pytanie.

– Ponieważ kiedy zorientował się, kim jesteś, przestał zaczepiać cię ze względu na mnie, a naprawdę się tobą zainteresował. – Charles odetchnął głęboko, jakby zbierał siły. – I dlatego przyniósł ci kwiaty. Dlatego gdy zagroził, że mi cię odbierze, wytrącił mnie z równowagi. Bo to nie są ciche przechwałki.

Postanowiła przemyśleć wszystko później, a teraz skupić się na rozmowie i uważać, żeby Charlesa nieumyślnie nie zdenerwować.

– Czemu powiedziałaś mi o Asilu? To miało być ostrzeżenie?

Odwrócił twarz, z której i tak nie dało się nic wyczytać.

– Nie. – Zawahał się, a potem dodał łagodniej: – Raczej nie. A tak to brzmiało?

– Nie – zaprzeczyła po chwili. Czuła niepokój, jakby pomiędzy tymi informacjami nie było tej najważniejszej,

niedopowiedzianej, a na wyciągnięcie ręki. Tego czegoś, co trzymało jego wilka tuż pod powierzchnią.

Nie zdążyła o to zapytać, sam powiedział. Nie patrząc na nią, szybko wyrzucając z siebie słowa.

– Chciał, byś wiedziała, że jeśli nie zechcesz połączyć się ze mną przed pełnią, możesz wybrać jego. – Prawie nie widziała twarzy Charlesa, ale dostrzegła drgnienie warg, cień gorzkiego uśmiechu. – I wiedział, że może zmusić mnie, bym ci to powiedział.

– A dlaczego mi to wszystko powiedziałaś? – zapytała cicho.

Odwrócił się do Anny.

– Masz prawo wiedzieć, że mimo iż jesteśmy dla siebie stworzeni, możesz mnie odrzucić.

– A ty możesz odrzucić mnie?

– Nie wiem. Nigdy nie słyszałem, żeby to odbywało się w ten sposób, na odwrót, jak w naszym przypadku. Mój brat wilk wybrał ciebie, wybrał twoją wilczycę, a ja podążyłem za nim. Ale mogę czy nie, to nie ma dla mnie znaczenia, bo ja, jako ja, chcę być z tobą.

Wilczyca pozwalała Annie jasno myśleć, ale też właśnie ona wybrała Charlesa i nie obchodziło jej, co Anna uważała na temat możliwości zdecydowania się na kogoś innego. Musiała zepchnąć wilczycę trochę w głąb, żeby wychwycić prawdziwy sens tego, co Charles chce jej powiedzieć.

– A czemu ja miałabym chcieć kogoś innego?

Czyżby prowokował, żeby dała mu kosza?

W gardle jej zaschło. Ona, i jako człowiek, i jako wilczyca, pragnęła Charlesa jak narkoman narkotyku, pragnęła tego, co zdawał się obiecywać – bezpieczeństwa, miłości, nadziei, własnego miejsca w życiu. Potarła nerwowo dłonie o dzinsy, próbując dać upust napięciu.

– Mam nadzieję, że nie zechcesz – wyszeptał. – Jednak musisz wiedzieć, jakie masz opcje. – Zacisnął ręce na udach.

Wyczuła ostry zapach czegoś, czego nie potrafiła zidentyfikować. Przeklęty Leo, okaleczył ją ignorancją. Oddałaby rękę, żeby wiedzieć, co Charles teraz czuje, żeby wiedzieć, kiedy mówi prawdę, a kiedy ją omija, by jej nie zranić.

Czekał na odpowiedź, a ona nie miała pojęcia, co powiedzieć. Wreszcie zdecydowała się na neutralne pociągnięcie tematu.

– Jakie opcje? – Czego Charles od niej chciał?

Neutralność okazała się kiepskim wyborem. Dwukrotnie zacisnął i rozluźnił pięści. Jego nozdrza poruszyły się nerwowo, gdy podniósł na nią jasnozłote oczy.

– Opcje – warknął tak nisko, że poczuła wibracje jego głosu w piersi – są takie, że Asil rozpuści wici, a ciebie opadną wilki gotowe z radością zaryzykować życie za szansę bycia twoim partnerem.

Trząśł się cały. Oparł się mocniej o ścianę, jakby się bał, że na nią skoczy.

Zawodziła go. Tracił panowanie, a ona nie pomagała mu odzyskać równowagi, nie wiedziała jak.

Wzięła głęboki oddech, usiłując odepchnąć dręczący ją niepokój. Nie tak zachowywał się mężczyzna, który chciałby poddać się bez walki o ukochaną. Zachowywał się jak mężczyzna, który pragnie postąpić honorowo – dał jej wybór – nie bacząc na to, ile może go to kosztować. Czyli wszystko w jak najlepszym porządku. Świadomość ta uspokoiła Annę, pozwoliła więc wrócić swojej wilczycy na miejsce i zaczerpnęła od niej pewności siebie.

Pomyślała, że Charles trzęsie się jak alkoholik na widok ginu, a wszystko dlatego, że chciał, by wiedziała, jakie ma możliwości, a jego wilk protestował, obawiając się stracić towarzyszkę. Zaiste, rycerz w lśniącej zbroi.

Jej wilczycy nie podobało się jego napięcie, chciała połączyć się z nim, związać ich więzami miłości tak mocno, by nigdy nie próbowali się rozdzielić.

– No, w takim razie... – zaczęła na tyle energicznie, na ile zdołała, biorąc pod uwagę wzruszenie znaczeniem tego, co właśnie usłyszała. Wymowa całej tej wymiany zdań sprawiła, że Annę otuliło poczucie ciepła i bezpieczeństwa, choć oczy piekły ją od wstrzymywanych łez, a głos brzmiał ochryple. – Dobrze, że możemy od razu zaradzić temu, by nikt nie wykorzystał żadnego niedopatrzenia.

Charles wpatrywał się w Annę przez chwilę, jakby potrzebował czasu, by zrozumieć jej sugestię. Jego źrenice rozszerzyły się nagle, a nozdrza zafalowały gwałtownie.

A potem odepchnął się od ściany i przypadł do Anny, przypierając ją z przerażającą siłą do framugi. Usta przesuwające się po jej szyi natrafiły na wrażliwe miejsce i Anna poczuła, jak przeszył ją piorun takiej rozkoszy, że aż ugięły się pod nią nogi.

Owiała ją fala silnego zapachu piżma i nagle została poderwana na ręce tak gwałtownie, że uderzyła nogą o drzwi. Nie poruszyła się, kiedy niósł ją przez korytarz. Widziała już wilki znajdujące się pod wpływem rui i nie przyszłoby jej do głowy inna reakcja niż potulne poddanie się.

Tyle że nie potrafiła powstrzymać się, żeby nie dotknąć zaczerwienionych policzków Charlesa, nie sprawdzić, czy w miejscu rumieńca jego skóra jest cieplejsza niż gdzie indziej. A gdy już dotykała twarzy, jej palce zsunęły się, muskając kącik ust, gdzie zwykle czaił się ten uśmieszek zdradzający skryty głęboko humor.

Odwrócił trochę głowę, chwytając zębami jej kciuk, na tyle mocno, by poczuła, ale nie tak, żeby zabolalo. Może, pomyślała, gdy uwolnił jej palec i skubnął delikatnie ucho, rozsyłając po jej ciele kolejne fale przyjemności, które wypalały szlaki kończące się w zaskakujących punktach, może to, co teraz czuła, to też ruja? Nigdy wcześniej nie doznała niczego podobnego.

Mimo że byli sami w domu, zamknął nogą drzwi, zanurzając ich w ciemnym ciepłe jego sypialni.

Ich sypialni.

Nie tyle położył Annę, co runął razem z nią na materac, wydając niecierpliwe dźwięki, bardziej wilcze niż ludzkie. A może to z jej gardła wyrywały się te odgłosy?

Pozbawił Annę spodni, rozdzierając je w pośpiechu, a ona nie była mu dłużna. Z zachwytem poczuła, jak sztywna tkanina poddaje się sile jej palców, a jeszcze większym wypełnił ją dotyk jego jedwabistej skóry. Pokryte twardymi odciskami dłonie drapały, choć usiłował być delikatny, układając Annę wygodniej bez konieczności odrywania się od niej.

Bliskość wilczycy sprawiała, że Anna nie czuła strachu. Wiedziała, że Charles nigdy by jej nie skrzywdził.

Akceptowała jego pożądanie, bo czuła to samo – jakby cały świat zbladł wobec dotyku Charlesa, jakby miała umrzeć, gdyby się odsunął. Lęk i chłód wobec seksu – bo nawet wilczyca nie potrafiła swoją zwierzęcą naturą zrobić więcej, niż pomóc jej przetrwać to, co jej zrobiono – rozwiały się tak, że nie zostało po nich nawet wspomnienie.

– Tak – wydyszał. – Już niedługo.

– Teraz – rozkazała ostro, sama nie wiedząc, o co go prosi.

Roześmiał się chrapliwie.

– Cierpliwości.

Los rozerwanej koszulki podzielił też stanik, a kiedy poczuła na nagiej skórze miękką flanelę, szarpnęła niecierpliwie koszulę Charlesa, odrywając guziki i mało go nie przyduszając w próbie pozbycia się przeszkody. Jej gwałtowność podsycała jego żar, bo przestał się powstrzymywać i uniósł jej biodra.

Syknęła, gdy wsunął się w nią, zbyt ostrożnie, zbyt wolno. Za karę, za tę zwłokę ugryzła go w ramię. Mruknął coś, co mogło być słowami, ale niekoniecznie. Jednakże dopiero upewniwszy

się, że jest gotowa, puścił wodze emocji, które powściągał od wizyty Asila.

Pierwsza fala przyszła nagle i była gwałtowna, ale idealna. Ledwie opadła, a zaczęli znowu. Tym razem narzucił spokojniejsze tempo i powstrzymywał Annę, kiedy go pospieszała.

Jeszcze nigdy nie czuła czegoś tak intensywnego, jak również takiego spokoju, jaki ogarnął ją później, przynosząc sen. Ostatnie, co pomyślała, to że mogłaby przywyknąć do takiego stanu.



W środku nocy obudził ją obcy dźwięk włączającego się pieca. Leżała w pewnej odległości od niego, widocznie odsunęła się podczas snu. Chrapał lekko. Odgłos ten, przypominający mruczenie, wywołał na twarzy Anny uśmiech.

Wyciągnęła ku niemu rękę i zamarła. A jeśli obudzi go i będzie zły, że zakłóca mu sen?

Wiedziała, wiedziała na pewno, że nie miałby nic przeciwko temu. Ale wilczyca, która pomogła Annie przejść przez to wszystko, co jej uczyniono, dzięki której mogła cieszyć się dotykiem ukochanego, spała. Anna zwinęła się w kłębek na skraju materaca, plecami do Charlesa. Ruch musiał go obudzić, bo przysunął się i otoczył ją ramionami, przyciągając do siebie. Ostre piknięcie, które wywołał jego gest, obudziło wilczycę.

Charles położył jej dłoń na brzuchu.

– Śpij.

Obecność wilczycy pozwoliła Annie cieszyć się bliskością Charlesa. Poczwała, jak pod wpływem ciepła rozluźniają się mięśnie i ogarnia ją spokój. Wreszcie ujęła go za przegub, przycisnęła do siebie mocniej i zapadła znowu w sen.



Obudził ją przed świtem.

– Dzień dobry – wymruczał jej do ucha.

Czuła się tak cudownie, że udała, iż jeszcze śpi.

Objął ją i przekręcił się dwa razy. Pisnęła, kiedy stoczyli się z łóżka, spadając na ziemię. Wylądowała na nim, pod biodrem poczuła wibrujący w brzuchu Charlesa bezgłośny śmiech.

– Tak się bawimy? To masz. – Zapominając o ranie, kuksnęła go palcami pod żebro.

– Ej, przestań – warknął z udawaną złością, łapiąc za rękę, żeby nie mogła go znów połaskotać. Był rozbawiony, więc nie zrobiła mu krzywdy. – Do roboty, kobieto, bo przez ciebie tracimy czas.

– Ha! – Pokręciła biodrami i oboje natychmiast poczuli, że w zasadzie nie miałyby nic przeciwko pewnej zwłoce w przygotowaniach. Powierciła się jeszcze odrobinę, po czym wyzwoliła z jego objęć. – Dzień dobry – odpowiedziała. – Masz rację, czas na nas. – Z tymi słowy wymknęła się z sypialni i pobiegła nago do łazienki.



Obserwował Annę z zachwytem, świadom tej iskry prawdziwego szczęścia, która rozjaśniała mu duszę. Już nie wyglądała na zmaltretowaną, a ta drobna pieśczoła, ten ruch biodrami powiedział mu, że Anna czuje się całkiem dobrze.

I to on to wszystko sprawił.

Kiedy ostatnio ktoś czuł się szczęśliwy dzięki niemu?

Wyciągnął się na podłodze, rozkoszując tą świadomością, póki poczucie obowiązku nie przypomniało mu o konieczności

wykonania zadania. Im szybciej wyruszą, tym szybciej wrócą i tym prędzej znów będą mieli czas na zabawę.

W związku z podjętą decyzją na początek obmacał rany. Nadal bolały i pewnie minie trochę czasu, aż w pełni odzyska siły, ale tak jak obiecał Samuel, czuł się o wiele lepiej. I to nie tylko z powodu Anny.

Ubrany, wyciągał z szafy sprzęt do wędrowek, myśląc przy okazji o konieczności opróżnienia części schowków dla Anny, kiedy dziewczyna wyszła z łazienki. Owinięta szczelnie w ręcznik, najwyraźniej straciła podczas wizyty w łazience większą część porannej nieskrępowanej radości.

Postanowił dać jej nieco przestrzeni.

– Ubierz się, a ja tymczasem zrobię śniadanie.

Przemknęła obok niego z oczami wbitymi w stopy, a gdyby nie miał tak dobrego słuchu, nie usłyszałby nawet nerwowego „dobrze”.

Zapach strachu natomiast nie wymagał tak czułego powonienia. Zamarł, taksując Annę uważnym spojrzeniem. Uklęka, skulona ulegle przed pudełkiem ze swoimi rzeczami.

Spróbował otworzyć ich więź, ale nie była silniejsza niż wczoraj czy w momencie, kiedy się spotkali po raz pierwszy.

Nigdy wcześniej nie miał towarzyszki, lecz wiedział, jak to powinno działać. Uczucie i pożądanie zbliżało ludzi, a o reszcie decydował wilk.

Skoro jego wilk bez wątpienia wybrał ją sobie, podobnie jak ludzka część jego natury, był przekonany, że miłość fizyczna przypieczętuje więź.

Przesunął wzrokiem po kręgach na krzyżu i ostro zarysowanych łopatkach – wyraźnych oznakach cierpienia, jakiego doznała, będąc członkiem stada Leo. Ale nie wszystko, przez co przeszła, pozostawiło tak wyraźne ślady – wilkołaki rzadko miawały blizny.

Otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał się, uznawszy, że pewne sprawy musi przemyśleć, zanim zacznie pytać. Nim postanowi, o co w ogóle pytać. I kogo.



Zjedli śniadanie, a Charles nadal nie był wiele bliżej odpowiedzi, których poszukiwał. Jednak pomimo roztargnienia uświadomił sobie z rozbawieniem, jak ogromną przyjemność sprawia mu widok jedzącej Anny, chociaż ani razu na niego nie spojrzała.

– Wyruszymy nieco później, niż zaplanowałem – oświadczył nieoczekiwanie, wkładając patelnię do zmywarki. – Chcę zlecić Heather parę spraw i muszę jeszcze z kimś się zobaczyć.

Anna nie wstała jeszcze od stołu, a jej milczenie mówiło samo za siebie. Była zbyt przestraszona, czy to nim, czy to tym, co działo się w nocy, by go wypytywać. Akurat w tym momencie było mu to na rękę. Nie chciał jej okłamywać, ale nie chciał też zdradzać, z kim planuje się spotkać.

– To mogę tymczasem pozmywać – zaproponowała.

– Dobrze – zgodził się i wycierając ręce, pocałował Annę w czubek głowy. Był to przelotna, pozbawiona namiętności pieszczota, która nie powinna dziewczyny wystraszyć, zaś brat wilk z zadowoleniem powitał ten gest zaznaczający jego przynależność do niej. Był jej, czy tego chciała, czy nie.

Heather zastał w domu ojca, gdzie spędziła noc w pokoju sąsiadującym z pokojem Jacka. Zaspana, wykonała kilka telefonów, zaproponowała parę zmian i zorganizowała wszystko ku jego zadowoleniu.

Po załatwieniu spraw z Heather zostało mu do zrobienia jeszcze jedno, odszukanie pewnej osoby. Na szczęście wiedział,

że pół do szóstej rano ludzie są dość przewidywalni i nietrudno ich znaleźć.



7

Asilowi śnił się dom – niewielki, ładny, wybudowany w miejscu o ciepłym klimacie, obsadzony przy wejściu wypielęgnowanymi drzewkami pomarańczy. Zatrzymał się przy ławce ustawionej tak, by podczas godzin najostrzejszego słońca osłaniał ją cień najokazalszego drzewka. Przesunąwszy palcem po niezdarnie zbitym oparciu, pomyślał z żalem, że nie miał czasu, by ją naprawić.

Mimo iż wiedział dobrze, co zaraz nastąpi, nie potrafił zmusić się, by zostać przy ławce, podczas gdy w domu była Sarai. Nie miał jej zdjęć ani nawet rysunków, które kiedyś sam zrobił, a które nie oddawały jej sprawiedliwości. Jego talenty malarskie były w najlepszym razie prymitywne. Tylko w snach miał okazję ujrzeć ją ponownie.

Zrobił krok i nagle znalazł się w głównej izbie. Na wpół pracownia, na wpół kuchnia, powinna zostać urządzona minimalistycznie i funkcjonalnie, lecz Sarai udekorowała ją wiszącymi koszami z kwiatami, a na płytkach podłogowych wymalowała motywy florystyczne, sprawiając, że pomieszczenie wyglądało przytulnie. Pod najdalszą ścianą stał

stół roboczy, przy którym jego towarzyszka z wprawą ucierała w moździerz cynamon.

Wciągnął powietrze przesycone aromatem przyprawy. Najbardziej lubił zapach Sarai i wanilii, ale Sarai i cynamon nie ustępował tamtemu wiele.

W jego oczach była najpiękniejszą kobietą na świecie, choć zdawał sobie sprawę, że nie każdy podzieliłby jego zdanie. Jej silne dłonie pokrywały zgrubienia, paznokcie miała krótko przycięte, a krótkie rękawy sukienki ukazywały umięśnione ramiona, wyćwiczone pracą i bieganiem w wilczej formie po okolicznych wzgórzach. Nos, którego szczerze nie znosiła, był długi i wyrazisty, z rozkosznym, małym guzkiem na końcu.

Asil wyciągnął rękę, lecz nie mógł jej dotknąć.

– Sarai?

Nie zareagowała, wiedział więc z całą pewnością, że będzie snił koszmar. Zaczął się miotać, chcąc wyzwolić się z niego, podobnie jak dzicy kuzyni złapani we wnyki, ale nie mógł jak oni odgryźć sobie łapy czy pozbyć się sideł, które go więziły. Musiał patrzeć bezradnie, jak wszystko dzieje się po raz kolejny.

Na wyłożonej kamieniem ścieżce przed drzwiami zadźwięczały podkowy. Sarai cmoknęła zniecierpliwiona – nie lubiła, gdy ktoś przeszkadzał jej w przygotowywaniu leków.

Mimo to odstawiła na bok moździerz i zdjęła fartuch. Zła czy nie, nie mogła pozwolić sobie na ignorowanie klientów. Liczył się każdy grosz, szczególnie w tak ciężkich czasach. Poza tym Sarai nie musiała bać się żadnych gości.

Żołnierz-człowiek nie stanowił zagrożenia dla wilkołaczycy, a kampania napoleońska przerwała inne, znacznie bardziej niebezpieczne działania wojenne. Nieliczne już w Europie rody, w których żyłach płynęła krew czarownic, wreszcie przestały walczyć między sobą, zmuszone w pierwszej kolejności chronić się przed niebezpieczeństwami całkiem niemagicznych bitew.

Nie miała się czym martwić, a nie słyszała rozpaczliwych ostrzeżeń Asila.

Drzwi otworzyły się i przez moment Asil widział oczyma Sarai.

Stojąca w progu drobnokoścista dziewczyna robiła wrażenie kruchej. Włosy, zwykle tworzące burzę loków, zostały zwinięte w węzeł, ta surowa fryzura sprawiała, że szesnastolatka wyglądała jeszcze młodziej. Podobnie jak Sarai miała ciemne włosy i oczy, ale w przeciwieństwie do wyrazistych rysów macochy jej były delikatniejsze, arystokratyczne.

– Mariposa, dziecko! – powitała ją Sarai. – Co robisz tak daleko od swoich? Wszędzie buszują żołnierze! Jeśli chciałaś przyjechać, trzeba było dać znać, wysłałabym po ciebie Hussana.

Już dwieście lat nikt nie nazywał Asila tym imieniem. Jego dźwięk ranił mu serce.

Usta Mariposy zacisnęły się odrobinę.

– Nie chciałam cię kłopotać. Nic mi nie grozi. – Nawet w snach Asila głos dziewczyny brzmiał dziwnie, obco, zimno. Jego Mariposa, jego motylek, zawsze żywy i szamocący się pomiędzy emocjami, w jednej chwili wpadający w gniew, w następnej radosny, posępny, a zaraz roześmiany.

Sarai zganiła ją wzrokiem.

– To niespokojne czasy, nikt nie jest bezpieczny. – Mimo połajanki objęła serdecznie dziewczynę, którą wychowała jak własne dziecko. – Wyrosłaś, niech na ciebie spojrzę. – Cofnęła się i potrząsnęła głową. – Nie wyglądasz najlepiej. Dobrze się czujesz? Linnea obiecała, że będzie o ciebie dbała... Ale w tych czasach...

– Czuję się dobrze, Sarai – rzekła Mariposa, jednak z jej głosem było coś nie tak, był zbyt obojętny i stanowczy. I kłamała...

Sarai zmarszczyła brwi, dotykając palcami ust.

– Czemu próbujesz mnie okłamywać? Ktoś cię skrzywdził?

– Nie – zaprzeczyła Mariposa cicho. Asil czuł gromadzącą się wokół niej moc, całkiem inną niż ta, którą posługiwała się, gdy po raz pierwszy posłali ją na nauki do ludzi dysponujących podobnymi talentami. Kiedyś magia Mariposy była dzika, gorąca, ta zaś energia emanowała mrokiem i chłodem, podobnie jak jej głos.

Mariposa uśmiechnęła się i przez ułamek sekundy Asil ujrzał w niej dziecko, którym kiedyś była, zamiast wiedźmy, którą się stała.

– Wiele nauczyłam się od Linnei. Także tego, co zrobić, by nikt nie mógł mnie już nigdy skrzywdzić. Ale potrzebuję twojej pomocy.

Dzwonek do drzwi wyrwał Asila ze snu, oszczędzając mu oglądania, jak umiera jego Sarai. Asil ocknął się, leżąc samotnie w łóżku przesyconym wonią strachu i rozpacz. Jego strachu i rozpacz.



Charles rozsiadł się wygodnie na huśtawce zainstalowanej na ganku domu starego wilka, usiłując wzorem przodków przywołać indiańską cierpliwość i zatracić się w czasie. Tak naprawdę nigdy opanował tej sztuki do perfekcji – dziadek zawsze narzekał, że za dużo w nim ducha ojca.

Wiedział, że Asil usłyszał dzwonek, bo z wewnątrz dobiegł go szum prysznic, ale nie łudził się, że wyświadczy mu uprzejmość i szybko otworzy, szczególnie o tak niehumanitarnej porze. Wyruszenie w góry opóźni się, lecz jego ofiara i tak nie była z tych, na które poluje się o świcie. Poza tym sprawa, z jaką przyszedł, była dla niego ważniejsza niż złapanie dziczatego odszczepieńca, nawet jeśli ten mordował ludzi.

Mało brakowało, a poszedłby poradzić się do ojca, powstrzymał go wydobywający się z sypialni zapach towarzyski Brana. Charles wyjątkowo nie miał nastroju na gierki, w które wciągała go Leah. Najpierw doprowadziłyby do tego, że zaczęłyby się zachowywać niegrzecznie, a wtedy ojciec musiałby interweniować, bo nigdy nie pozwalał, nawet swoim synom, na okazywanie braku szacunku towarzysze Marroka. A potem tak czy owak atmosfera nie sprzyjałaby już rozmowie.

Dlatego też przyszedł do jedynej poza ojcem osoby, która mogła wiedzieć, co się dzieje – dlaczego więź pomiędzy nim a Anną się nie utrwaliła. Do Asila, który był kiedyś związany z Omegą. Asila, który nie znosił go na równi z Leah, choć z całkiem innych powodów.

Brat wilk cieszył się na tę poranną rozmowę, spodziewając się albo zabawy, albo walki. Obie te rzeczy sprawiały mu przyjemność.

Charles westchnął, obserwując, jak dobywająca się z ust para rozwiewa się na zimnym powietrzu. Możliwe, że nic to nie da. Wahał się, miał ochotę dać im więcej czasu. Przecież to, że akurat w ich przypadku mieli za sobą tę powolniejszą, trudniejszą część procesu zacieśniania więzi, wcale nie oznaczało, że ta druga zadziała tak samo szybko.

Tyle że intuicja podpowiadała mu, że problem nie należy do tych, które może rozwiązać czas. A ktoś, kto był synem wilkołaka i szamanki, ufał intuicji.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Charles nie przestał bujać się na huśtawce. Spotkania z Asilem zazwyczaj rozpoczynały się swego rodzaju próbą sił.

Kilka minut później Asil przeszedł obok huśtawki, stanął przy barierce ganku i wskoczył na nią, wspierając się na poręczy bosą stopą. Druga zwisała swobodnie. Miał na sobie tylko spodnie, a wilgotne włosy szybko zaczęły sztywnieć na mrozie, jaśniejąc. Podobne jasne linie widniały na plecach. Asil był

jednym z niewielu wilkołaków, które miały blizny. Charles zdał sobie sprawę, że pręgi, ślady po pazurach innego wilkołaka, znajdują się w tych samych miejscach, co jego rany, tyle że u niego zrobiły to kule, nie szpony.

Asil był strasznym pozerem. Charles zastanawiał się, czy to celowe zachowanie, czy stary nawyk.

Gospodarz wpatrywał się w las za domem, nadal pogrążony w półmroku zimowego przedświt. Mimo że brał prysznic, Charles wyczuł zapach strachu i cierpienia. Przypomniał sobie słowa Asila z pogrzebu, że sny powróciły.

– Od czasu do czasu ojciec mógłby pilnować cię we śnie – mruknął.

Asil zaśmiał się chrapliwie, skłonił głowę i uszczypnął się w nos.

– Od tego mnie nie ustrzeże. Na to już za późno. To jak, co tu robisz o tej porze? – Uczynił teatralny gest, który szerokością objął porę roku i porę dnia jednocześnie.

– Chciałbym, żebyś opowiedział mi o Omegach – poprosił Charles.

Oczy Asila otworzyły się szeroko w parodii zdumienia.

– Czyżby kłopoty w raju? Tak szybko?

Charles przytaknął.

– Anna nic prawie nie wie o wilkołactwie, dobrze byłoby, gdyby choć jedno z nas miało rozeznanie, czym jest Omega.

Asil przyglądał mu się przez chwilę, udawana wesołość znikła.

– To temat na dłuższą rozmowę – rzekł w końcu. – Może wejdziemy do środka i napijemy się herbaty?

Charles, siedząc przy niewielkim stoliku, obserwował proces parzenia herbaty, któremu Asil oddawał się z zaangażowaniem godnym gejszy, do każdego gestu przykładając niezwykłą wagę. Cokolwiek mu się śniło, wytrąciło go z równowagi, pozbawiając ochoty na zwyczajne udawanie szalonego wilkołaka. Dopiero

teraz Charles pojął, jak wiele z zachowania Asila było jedynie komediancką grą. Prawdziwie poruszony Asil wykonywał aż nazbyt precyzyjne ruchy, poświęcał za wiele uwagi drobiazgom i robił dużo zamieszania w sprawach całkiem nieistotnych.

Nie czyniło to z niego istoty mniej groźnej czy mniej szalonej, ale tłumaczyło, dlaczego Bran nie skrócił jeszcze ostatecznie jego cierpienia.

– Nie da się tu zaparzyć porządnie herbaty – oświadczył Maur, stawiając przed gościem kruchą chińską filiżankę o złoconym rancie. – To przez wysokość. Woda nigdy nie jest wystarczająco gorąca. Najlepszą herbatę parzy się na poziomie morza.

Charles napił się herbaty, czekając, aż Asil wreszcie usiądzie.

– Więc? – zaczął stary wilk, zajmując w końcu miejsce naprzeciwko Charlesa. – Co chcesz wiedzieć o Omegach?

– Właściwie sam nie wiem. – Charles musnął palcem brzeg filiżanki. Teraz gdy już był na miejscu, ogarnęła go niechęć do wyjawienia swoich problemów z Anną, i to człowiekowi, który traktował go tak wrogo. Wziął się w garść. – Może powiedz mi na początek, czym różni się Omega od uległego wilka?

Asil uniósł brwi.

– No, skoro nadal uważasz swoją wybrankę za uległego wilka, czeka cię spora niespodzianka.

Charles nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Hm, w zasadzie to już mam za sobą.

– My, dominujące wilki, uważamy, że najważniejsza jest hierarchia, kto sobie podporządkowuje innych, a kto się podporządkowuje innym. Dominacja i uległość. Ale chodzi też o to, kto chroni innych, a kogo trzeba chronić. Uległy wilk nie jest bezbronny, w razie czego potrafi walczyć, potrafi zabijać tak samo, jak inni. Tyle że po prostu nie czuje żądzy walki, nie tak, jak wilki o charakterach przywódczych. Uległe wilki to skarb dla stada. Są celem istnienia gromady, utrzymują

równowagę. Po co istnieją dominujące? By chronić słabszych, a ochrona uległych członków stada daje nie tylko satysfakcję, jest wspaniała, bo uległy nigdy nie będzie wyczekiwał chwili, gdy jesteś ranny, żeby zaatakować i sprawdzić, czy aby na pewno jesteś od niego silniejszy. Uległym można ufać. Spajają stado, dając mu cel istnienia: ochronę słabszych. – Łyknął herbaty i prychnął. – Dziwnie to brzmi w języku angielskim, zupełnie jakby mówić o związkach natury erotycznej.

– Możesz mówić po hiszpańsku, nie ma sprawy – zaproponował Charles.

– Nie trzeba. – Asil wzruszył ramionami. – I tak wiesz o tym wszystkim, mamy tu uległe wilki. Wiesz, po co są.

– Kiedy spotkałem Annę, po raz pierwszy w życiu mój wilk zasnął.

Asil przeniósł wzrok z filiżanki na Charlesa, a w jego oczach nie było już nonszalancji.

– Tak – szepnął. – To właśnie to. Przy nich twój wilk może odpocząć, uspokoić się, wyciszyć.

– Ale nie zawsze się tak przy niej czuję.

Asil zaśmiał się, prychnając herbatą do naczynia, na które spojrział z wyrzutem, po czym odstawił.

– No ja mam nadzieję. Dla waszego dobra. Kto chciałby mieć towarzyszkę, która kastruje cię przez cały czas samą obecnością? Zamienia dominującego wilka w uległego? Nie, to nie mogłoby tak działać bez przerwy. – Otarł usta serwetką, poskładał ją i odłożył obok filiżanki. – Jak długo Anna jest wilkołakiem?

– Trzy lata.

– Hm, to znaczy, że działa instynktownie. Czyli, skoro nie czujesz ciągle jej wpływu, to albo ona czuje się przy tobie bezpiecznie, albo denerwujesz ją tak, że nie posiada już ani trochę spokoju, którym mogłaby się podzielić. – Uśmiechnął się wilczo. – Jak myślisz, która opcja? Ile osób nie boi się ciebie?

– To cię tak drażni? – zdumiał się Charles szczerze. – Ty się mnie nie boisz.

Asil zamarł.

– Oczywiście, że się ciebie boję.

– Brak ci zdrowego rozsądku, żeby się mnie bać. – Charles potrząsnął głową i wrócił do interesującego go tematu. – Czyli Omegi pełnią taką samą funkcję w stadzie jak uległe wilki, tylko bardziej, tak?

Asil roześmiał się, tym razem szczerze.

– Teraz powinienem zaprzeczyć, mówiąc, że jestem wystarczająco zdrowy na umyśle, żeby się ciebie bać?

Charles, znużony przepychankami, jedynie westchnął.

– Istnieje różnica pomiędzy uległym wilkiem i Omegą, czuję ją, lecz nie mogę uchwycić. Omegi nie słuchają nikogo prócz samych siebie. To już wiem.

– Omega posiada instynkty opiekuńcze równie silne jak te, które posiada Alfa, ale przy tym nie wykazuje agresji – powiedział Asil, niezadowolony, że Charles ściągnął go na poprzedni tor rozmowy. – Twoja Anna powiedzie cię w radosną pogoń, pilnując, by każdy w stadzie był szczęśliwy i bezpieczny od wszelkich zagrożeń.

To było to, już prawie uchwycił sens. Wilczyca Anny nie była agresywna... Była silna i opiekuńcza. Jak na tę wilczycę wpłynął sposób, w który Anna przystosowała się do bycia wilkołakiem i do nieustannego dręczenia?

– Cierpienie wzmacnia agresję dominującego wilka, zaś uległy się wycofuje – zaczęła, myśląc na głos. – A co dzieje się z torturowaną Omegą? – Gdyby nie skupił się tak na Annie, nigdy nie powiedziałaby tego w ten sposób przy Asilu.

Maur pobladł gwałtownie, pomieszczenie wypełnił silny zapach. Zerwał się na równe nogi, odtrącając krzesło i odpychając stolik tak mocno, że mebel zderzył się ze ścianą i przewrócił.

Charles wstał powoli i odstawił ostrożnie filiżankę na komodę.

– Wybacz, Asilu. Nie chciałem rozdrapywać starych ran.

Asil stał jeszcze przez moment, najwyraźniej na granicy wybuchu, a potem nagle napięcie mięśni zelżało, przygarbił się, jakby był śmiertelnie zmęczony, i bez słowa opuścił pokój.

Charles zabrał filiżankę i odłożył ją do zlewu. Zwykle nie był tak bezmyślny. Ukochana Asila zginęła zadręczona na śmierć przez wiedźmę, która z jej cierpienia uzyskała moc. Mimo że Asil zawsze działał mu na nerwy, a ostatnio doprowadził do granic wytrzymałości, wykorzystując do tego Annę, Charles nigdy nie posunąłby się do odwetu, przypominając mu tak bolesne chwile. Jednakże przeprosiny nie zmieniłyby niczego.

Wymruczał pod nosem błogosławieństwo dla tego domu, zaklęcie, którego nauczył go brat matki, i wyszedł.



Anna była zadowolona, że tym razem prowadził Charles. Obludzone drogi najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzały, choć samochód ślizgał się i kołysał tak mocno, że musiała wczepić się w uchwyt nad drzwiami.

Nie mówił zbyt wiele, odkąd wrócił ze spotkania ze strażniczką. Był zamyślony, jakby rozbawiony, troskliwy mężczyzna, obok którego obudziła się rankiem, gdzieś zniknął.

To jej wina.

Nie spodziewała się, że uczucia zaleją ją tak silną falą zaraz po tym, kiedy w trakcie prysznicu odesłała swoją wilczycę do spania. Obie potrzebowały oddechu po wysiłku zachowania kruchej równowagi przez tyle czasu i Anna była przekonana, że wilczyca zabierze ze sobą to ściskające uczucie niepokoju. Anna

nigdy nie czuła niczego podobnego do żadnego mężczyzny, napawało ją to lękiem i zakłopotaniem.

Długo stała pod prysznicem, jednak napięcie nie zelżało. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta jego pełnia szczęścia o poranku. Albo i nie. Tak silne uczucie do niego sprawiało, że czuła się bezbronna i obawiała się, że nie zdoła tego przed nim ukryć.

Wychodząc z łazienki, tak skoncentrowała się na próbie ukrycia przed Charlesem swoich emocji, że w pierwszej chwili nie zauważyła, jak jej zakłopotanie i strach podziały na niego. Teraz obawiała się, że wyciągnął z jej zachowania złe wnioski.

Zerknęła na jego nieobecny minę. Nie miała pomysłu, jak to odkręcić. Kiedy poruszyła głowę, poczuła zapach pożyczonego ubrania. Podniosła ramię, powąchała rękaw i zmarszczyła nos.

– Nie martw się, nie śmierdzisz – powiedział, nie odwracając wzroku od drogi.

– Nie, ale tak dziwnie pachnieć człowiekiem. Wcale się o tym nie myśli, dopóki zapach się nagle nie zmieni.

Przed wyjazdem Charles kazał Annie przebrać się w ciuchy przyniesione przez Taga, nieprany T-shirt i bluzę, a potem przesunął po niej rękami, w sposób nie całkiem pozbawiony zmysłowości zresztą, inkantując coś śpiewnie, nosowo w języku, którego nie знаła. Gdy skończył, pachniała jak kobieta, której odzież miała na sobie, on zaś jak mężczyzna-człowiek.

Wspominał, że po matce odziedziczył umiejętność posługiwania się magią. Annę zżerała ciekawość, co jeszcze potrafi, ale uznała, że niegrzecznie go wypytywać. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo używającego mocy i ten fakt wzbudzał w niej jeszcze większy podziw dla Charlesa. W stadzie w Chicago opowiadało się o ludziach korzystających z magii, ale nigdy nie przywiązywała do tego wagi. Dość jej było własnego wilkołactwa i tego, co się z nim wiązało.

Rozcapierzyła palce na udzie, rozciągając dłoń.

– Nie martw się – powtórzył dość łagodnie, lecz bez tej nuty uczucia, z jaką zwracał się zwykle do niej, a nie pierwszej lepszej autostopowiczki. Zauważyła tę zmianę rano.

Po obu stronach drogi wznosiły się ośnieżone góry, wyższe niż wieżowiec Sears Tower, chłodne i masywne jak siedzący obok niej mężczyzna. Zastanawiała się, czy taką ma właśnie minę, kiedy przystępuje do pracy. Może w ten sposób, zamykając się w sobie, nastawiał się na zabicie kogoś nieznanego, kto zagrażał bezpieczeństwu gromady? Może jednak nie ona była przyczyną jego zamyślenia.



Była nieswoja i wystraszona – i ze wszystkich sił starała się to ukryć. Asil powiedział, że wszyscy się go boją. Charles żałował, że nie wie, co zrobić, by to zmienić. To i całą resztę.

Od wyjścia od Asila przez cały czas obracał w myślach zaistniały problem – a raczej problemy, bo zaczynał uważać, że kwestie wynikają z tego samego. Przede wszystkim lęk Anny dzisiejszego ranka – bała się jego czy przestraszyła tego, że kochali się w nocy, czerpiąc z tego tak ogromną przyjemność? Był wystarczająco doświadczony, by wiedzieć, że na pewno osiągnęła rozkosz. I nie wydawało jej się to przeszkadzać, póki nie wyszła z łazienki. A skoro w domu nie czaiły się żadne potwory – poza nim – zmiana musiała zająć w niej samej.

Jednym z niebezpiecznych sygnałów wilczego szaleństwa były właśnie zmiany nastrojów, następujące bez wyraźnej przyczyny. Po tym można poznać, że bestia przejmuje kontrolę. Gdyby Anna nie była wilkołakiem już od trzech lat i gdyby nie była Omegą, pomyślałby, że właśnie wilk przejmuje nad nią panowanie.

A może prawda wyglądała odwrotnie? Jak mówił Asil, Omegi posiadały silny instynkt opiekuńczy, jak Alfę, może więc wilczyca rzeczywiście objęła w nocy stery?

Ojciec uczył nowe wilkołaki, że wilk jest ich nierozdzielną częścią przejawiającą się w popędach, nad którymi należy zapanować. Większości takie podejście służyło w okresie przejściowym. Naga prawda, że mają w głowie bestię, nie pomogłaby w opanowaniu się, niezbędnym do życia na tym świecie.

Ta bajka, z tego, co wiedział Charles, czasami bywała prawdą. Na przykład w przypadku Brana, który płynnie przemieniał się w wilka i z powrotem w człowieka. Większość jednak wilkołaków, które przetrwały Przeistoczenie, po jakimś czasie zaczynała traktować swoje wilki jako odrębne byty.

Charles natomiast w ogóle nie pamiętał, że w jego sercu mieszkają dwie dusze. Zwykle żyli z bratem wilkiem w idealnej harmonii, współpracując i wykorzystując swoje zalety do osiągnięcia wspólnego celu. Na zwykłe polowania wyruszał wilk, ale gdy trzeba było ścigać i zabić innego wilkołaka albo człowieka, robił to zawsze Charles.

Widował też czasem wilkołaki, u których dwa istnienia stawały się wręcz antagonistami, jak u doktora Wallace'a, jednak te wilkołaki nie przeżywały długo. Albo atakowały kogoś starszego, silniejszego, albo Charles musiał je zgładzić, bo nie panowały nad bestią.

W miarę upływu czasu wilkołaki uczyły się integrować obie części, większość życia wiodąc z człowiekiem u steru. Wilk dochodził do władzy tylko podczas pełni lub kiedy ogarniała je wściekłość... albo kiedy cierpiały. Dręczony dominujący natychmiast wypuszczał na wolność wilka. Krzywdzony uległy chował człowieka za bestią.

A w przypadku tak silnych instynktów opiekuńczych jak u Alfę przy całkowitym braku agresji? Może wilczyca Anny

znalazła jakiś sposób chronienia swojego człowieka w ciągu tych trzech lat molestowania? To wyjaśniałoby, dlaczego Leo nie udało się złamać Anny.

Może agresja, jaką wykazał się wczoraj, przestraszyła Annę i to wilczyca była z nim w nocy? Może dlatego ich ludzkie połówki nie związały się tak mocno, jak wilcze.

Tyle że mało prawdopodobne, by nie zauważył, że stery przejęła wilczyca. Nawet jeśli przeoczyłby zmianę koloru tęczęwek, nie przegapiłby różnicy w zapachu.

Charles był przekonany, że źródłem problemu jest coś, co zrobił Annie Leo albo ktoś inny.

Na pewno wiedział, że złość w tym przypadku nie pomoże, dlatego odsunął przyjemne wizje tortur, jakimi mógłby uraczyć Leo, i tak już martwego, i skoncentrował się na szukaniu rozwiązania.

Zawsze był lepszy w straszaniu niż uspokajaniu. Nie miał pojęcia, jak bez pogarszania sprawy zacząć rozmowę o dzisiejszym poranku, o nocy i o tym, że ich więź nie utrwaliła się jeszcze.

Jeśli sam sobie nie poradzi, będzie musiał zwrócić się po radę do ojca... lub, Boże uchroni, znowu do Asila. Jeśli przedstawi rzeczy jasno i wyraźnie, stary wilk może i go wyśmieje, ale na pewno nie zostawi Anny w tarapatach.

To oznaczało, że Charlesa czeka jeszcze jedno zadanie. Anna musi wiedzieć, że inne samce nadal będą przekonane, iż jest wolna. Nieświadomość była w tym wypadku bardzo groźna i dla niej, i dla innych, którzy znaleźliby się blisko podczas takiej próby odebrania mu ukochanej.

Poza tym Anna miała prawo wiedzieć, że nadal może wybrać innego. W każdym razie tak uważał Asil. Charles był przekonany, że gdy ich wilki się połączą, więź stanie się nierozzerwalna, ale z drugiej strony nie spotkał się nigdy z przypadkiem, by nastąpiło to przed związaniem się ludzkich

dusz. Może Anna znajdzie sobie kogoś, kto nie będzie jej przerażał tak, jak on.



Wnętrze samochodu stanowiło oazę. Podgrzewane, skórzane siedzenia i klimatyzacja wydawały się całkiem nie na miejscu pośród tych niekończących się łąki nieruchomych, zamarzniętych lasów.

Ciemne, prawie czarne pnie zimozielonych drzew kontrastowały z bielą śniegu. Gdzieniedzie od autostrady, którą jechali, biegły odnogi, widoczne bardziej dzięki przerwom pomiędzy drzewami niż śladom opon innych samochodów. Kiedy droga zmieniła się we wciśniętą pomiędzy strome zbocza białą nitkę, Anna zastanowiła się, czy autostrada to odpowiednie określenie.

– Nasza więź nie ustaliła się wczorajszej nocy – oświadczył Charles ni stąd, ni zowąd.

Spojrzała na niego, czując znajome łaskotanie paniki. Co to miało znaczyć? Czy zrobiła coś nie tak?

– Ale mówiłeś, że wystarczy, że... – Zabrakło jej słów. W zimnym świetle dnia każde brzmiałoby nieodpowiednio.

– Widać się myliłem – rzekł. – Myślałem, że skoro mamy najtrudniejszą część za sobą, to do utrwalenia więzi potrzebujemy tylko konsumpcji.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– I chyba lepiej się stało – rzucił gwałtownie.

– Dlaczego? – Nie wiedziała, czy będzie w stanie wydusić z siebie cokolwiek, ale we własnych uszach w jej głosie brzmiała ledwie ciekawość, ani śladu tego przytłaczającego lęku, który opadł Annę po jego słowach. Jednak ten udawany

spokój był niczym wobec całkowitej obojętności, którą udało się osiągnąć Charlesowi.

– Wiesz, nie chciałem cię tu zabierać, żebyś nie patrzyła, jak znów zabijam, i to kilka dni po poprzednim razie. Jednak robię to dla ojca już półtora wieku i nie sądzę, by miało się coś zmienić. Najlepiej będzie, żebyś zanim się zdecydujesz, zobaczyła mnie takim, jakim jestem. – Kierownica zatrzeszczała pod jego zaciśniętymi dłońmi, ale mówił cały czas spokojnie, z chłodną obojętnością. – W stadzie ojca jest wiele wilków, które całowałyby ziemię pod twoimi stopami. Wilków, które nie są zabójcami na zlecenie. – Wciągnął z sykiem powietrze i usiłował się uśmiechnąć, co skończyło się dziwnym grymasem ukazującym silne zęby. – I nie wszystkie są szalone.

Znowu próbował ją odepchnąć.

Spojrzała na jego pobielające knykcie i nagle odzyskała zdolność oddychania. Mówienie, że może wybrać kogoś innego, przychodziło Charlesowi z ogromnym trudem, cały ten wysiłek niszczył pozorny spokój, który udawało mu się zachowywać od śniadania. Na wspomnienie wczorajszego ataku zaborczej wściekłości poczuła, że jej serce zaczyna bić w normalnym rytmie. Pragnął jej, i to mimo tego głupiego porannego zachowania. A przecież da sobie z tym radę. Przecież nie będzie wiecznie zakłopotana tym, że tak bardzo go pragnie, prawda? Tydzień, dwa i powinno jej przejść. A po roku może nawet siła tego uczucia przestanie ją tak przerażać...

Uspokoiwszy się, obróciła się na wielkim siedzeniu humvee, żeby mieć na Charlesa dobry widok. O czym to on mówił, zanim dał jej wolną rękę do wyboru innego partnera?

Ach, o tym, że jest zabójcą.

– Wiem coś o zabójcach – powiedziała. – W stadzie Leo był nim Justin, pamiętasz go? On był zabójcą, mordercą. – Szukała odpowiednich słów, by jasno wyrazić myśli. – Ty jesteś ręką sprawiedliwości. – Nie, to brzmiało głupio...

– Inaczej nazwana róża pachnie tak samo... – rzekł, odwracając twarz.

Pociągnęła nosem, sprawdzając, czy uda jej się rozpoznać, co teraz czuje, ale dotarł do niej jedynie zapach dwojga obcych ludzi, których ubrania mieli na sobie. A może po prostu nie umiała używać zmysłu węchu? Możliwe też, że Charles potrafił świetnie kontrolować własne emocje.

Charles był troskliwym człowiekiem. Uważał na to, co mówił, dbał o swoich bliskich i nie tylko. Wystarczyła jedna noc i Anna nabrała co do tego pewności. Zależało mu. Zależało mu na niej, na ojcu i na strażniku Jacku. Poczwała, jak żołądek rozluźnia się, gdy złożyła kawałki wspomnień w cały obraz. Jak trudno, pomyślała, musi być komuś takiemu zabijać, bez względu na powody.

– Nie – stwierdziła stanowczo. Przed nimi roztaczał się widok na łańcuch sięgających nieba szczytów. Śnieżne czapy na wierzchołkach, nieskalane nierównościami roślinności, odbijały słońce tak mocno, że ich biel razila nawet przez przyciemnione szyby, budząc tęsknotę w jej wilczycy. To miejsce było rajem dla wilkołaków. Tu mogły biegać, ile dusza zapagnie. – Zabójca to ktoś, kto po prostu morduje – podjęła po chwili. – Ty masz zasady, nie zabijasz bez powodu, wymierzasz sprawiedliwość. Nie powinieneś nienawidzić się za to, że jesteś dobry w tym, co robisz.



Jej oświadczenie, szczególnie po fiasku poranka, całkiem go zaskoczyło. Popatrzył na nią, siedziała z przymkniętymi oczami i najwyraźniej drzemała. Ta sama Anna, jego Anna, która jeszcze pięć minut wcześniej się go bała. Zapadanie w sen nie było zwykłą reakcją po rozmowie o tym, że zabija ludzi.

Na drodze, którą się poruszali, widocznych było znacznie więcej śladów opon niż zwykle o tej porze roku. To prawdopodobnie przez grupy ratowników górskich, przeczesujących ten teren. Charles miał nadzieję, że nie natkną się na nich podczas swojej wędrówki.

Telefony, które na jego prośbę wykonywała dzisiaj Heather, miały sprawić, że po okolicy nie będą kręcić się wolontariusze i niewyszkoleni ratownicy amatorzy. Charlesowi zależało, aby zminimalizować straty, których mógł narobić zdziczały wilkołak.

Heather powiedziała strażnikom, że mężczyzna, którego poszukują, zaginął już dawno i pewnie i tak szukają tylko ciała, więc nie ma sensu narażać życia innych ludzi. Opowiedziała też o Jacku, choć za sprawcę ataku podała pumę, i dodała, że w tę okolicę nadciąga burza.

Tych kilku ratowników, którzy pozostali po tym meldunku w górach, skoncentrowało poszukiwania w miejscu oddalonym jakieś trzydzieści kilometrów na zachód od punktu, w którym napastnik ranił Jacka. Właśnie tam zaginiony mężczyzna zostawił samochód, daleko od terenów, na których pojawiał się wilkołak. Wszystkie te wysiłki dawały spore szanse, że nie natkną się na ratowników.

Jechali pod górę. Opony humvee ze skrzypieniem rozgniatyły śnieg, a silnik pojękiwał, pchając maszynę przez coraz głębsze zasy. Po lewej co jakiś czas błyskał zamarznięty strumień, choć w większej części był ukryty pod zaroślami zaścielającymi dno doliny. Po prawej, rozpięte na stalowych słupach, ciągnęły się przewody wysokiego napięcia. To właśnie konieczność obsługi linii sprawiła, że zrobiono w tym miejscu przecinkę i zbudowano drogę.

Z nawiewów wylatywało ciepłe powietrze. Wnętrze wozu stanowiło kontrast dla zimowego krajobrazu, który wydawał się wręcz nierzeczywisty w zderzeniu z ciepłem i wygodą kabiny.

Zwykle nie lubił, gdy coś oddzielało go od natury, ale tyle już najeździł się zimą na koniu i tyle mil przebył pieszo, że nauczył się doceniać wygodę jazdy samochodem i chciał dojechać nim najdalej jak się da.

Zbocze robiło się coraz bardziej strome, wóz zaczął podskakiwać na niewidocznych pod śniegiem wybojach. Charles zwolnił, a kiedy koła straciły trochę przyczepność, zwolnił jeszcze bardziej i włączył przycisk blokady mechanizmu różnicowego. Zmiana dźwięku obudziła Annę.

W pewnych momentach szerokość wozu była niewygodna. Charles musiał jechać jednym kołami po zboczach, żeby zmieścić się na drodze. Czując przechył, Anna zerknęła przez okno, po czym skuliła się na siedzeniu.

– Nawet jeśli się stoczemy, to pewnie nie zginiesz – pocieszył ją.

– Jasne – fuknęła. Uwielbiał ten jej pozbawiony lęku ton. A w każdym razie lęku przed nim. Żałował, że nie potrafi stwierdzić, ile w tym wilczycy, a ile Anny. – Po co miałabym się przejmować połamanymi i zmiażdżonymi kośćmi, skoro przecież nie umrę.

– Mogłem zabrać land rovera Taga. Jest prawie tak samo dobry, a dużo węższy od humvee. Tyle że bardziej trzęsie, ogrzewanie działa, jak chce, i nie jeździ tak szybko, jak trzeba.

– Myślałam, że będziemy w puszczy, na terenie chronionym. I że nie wolno tu wjeżdżać samochodami.

– Owszem, ale my jedziemy po drodze, więc wszystko w porządku.

– To ma być droga?

Roześmiał się, słysząc ironię w głosie Anny. Zrewanżowała się obscenicznym gestem.

Wspięli się na szczyt wzniesienia i zdołali przedrzeć pomiędzy drzewami jeszcze kilka kilometrów, aż trasa stała się całkiem nieprzejezdna. Na śniegu widniały ślady skuterów

śnieżnych – prawdopodobnie dotarli tu ratownicy – lecz większość śladów opon urwała się dobry kawałek wcześniej. Ostatnie kończyły się kilka metrów przed miejscem, gdzie stanęli. Prawdopodobnie tam właśnie dojechał Tag.



– Jak długo tu zostaniemy? – zapytała Anna, zakładając plecak.

– To zależy, ile nam zejdzie. Spakowałem zapasów na cztery dni. Będziemy szli stąd, zatoczmy pętlę i tutaj wrócimy. Jeśli nas przez ten czas nie znajdzie, przestaniemy udawać ludzi i sami na niego zapolujemy. – Wzruszył ramionami. – Mamy do przeszukania pół miliona hektarów, więc jeśli się ukrywa, trochę go poszukamy. Ale jeśli pilnuje swojego terytorium i uzna nas za ludzi, intruzów, on zapoluje na nas, czym oszczędzi nam masy czasu i wysiłku.



Anna była kilkakrotnie na wycieczkach z rodziną, kiedy mieszkała jeszcze w Wisconsin, ale w takiej głuszy pierwszy raz w życiu. Powietrze mroziło jej nozdrza, gdy wciągnęła je zbyt głęboko, a czubki uszu zaczerwieniły się od mrozu, zanim Charles naciągnął jej mocniej czapkę.

Spodobało jej się to.

– Nie możemy iść za szybko, skoro mamy udawać ludzi – pouczył ją Charles. Jednak tempo, które narzucił, było dla Anny całkiem szybkie.

Chodzenie w raketach śnieżnych okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała. Przywiązawszy je do butów Anny, Charles dodał, że stare bobrze ogony i niedźwiedzie łapy nie były tak

wygodne. Nowoczesne rakiety śnieżne należały najwyraźniej do tych udogodnień, które bardzo cenił.

Z trudem dotrzymywała Charlesowi kroku. Pomyślała, że skoro to ma być wolne tempo, to normalnie pewnie biega po lasach, nawet w ludzkiej formie. Rany najwyraźniej nie dokuczały mu wcale, a rankiem na opatrunkach nie dostrzegła świeżej krwi.

Oderwała myśli od powodu, dla którego mogła tak dobrze przyjrzeć się jego bandażom, ale i tak nie udało jej się powstrzymać ukradkowego uśmiešku. Tu, otoczona śniegiem, odgradzona kilkoma warstwami ubrań od wzbudzającej obawy bliskości, mogła lepiej docenić zalety.

A Charles posiadał wiele zalet. Wiedziała dokładnie, że pod kurtką kryją się szerokie barki i że jego skóra ciemnieje odrobinę tuż za uszami. Wiedziała, że jego zapach przyspiesza bicie jej serca, a ciężar kotwicy ją raczej, niż więzi.

Wędrując za plecami Charlesa, poza zasięgiem tych przenikliwych oczu, które widziały więcej, niż chciała pokazywać, mogła przyglądać mu się do woli.

Nawet w raketach poruszał się z gracją. Od czasu do czasu przystawał i rozglądał się, sprawdzając, czy nie dostrzeże jakiegoś nienaturalnego poruszenia, jak jej wyjaśnił. W puszczy jego wilk znajdował się tuż pod skórą. Poznawała to po sposobie, w jaki posługiwał się nosem, zatrzymując się, przymykając oczy i wietrząc. Poza tym z nią też porozumiewał się głównie gestami.

– Więcej zwierząt zobaczymy tutaj niż wyżej – rzekł, pokazując Annie obserwującego ich zza krzaków koziołka. – Zostają tu, gdzie nie jest tak zimno, jest mniej śniegu i więcej pożywienia.

I tyle powiedział przez długi czas, mimo że przystawał co jakiś czas, żeby dać jej coś do przegryzienia. Bez słowa wyciągał rękę z suszonym mięsem lub paczuszką liofilizowanych jabłek.

Kiedy odmówiła po raz kolejny, wsunął jej przekąskę do kieszeni.

Choć zwykle wolała rozmowę niż milczenie, nie chciała zakłócać panującej wokół ciszy. Atmosfera w górach wywoływała szacunek, a trudno byłoby mówić i dyszeć jednocześnie.

Po jakimś czasie nastrój stał się niesamowity – zabawne, biorąc pod uwagę, że była wilkołakiem. Nie spodziewała się, że drzewa będą robiły wrażenie tak ciemnych, a cień góry sprawiał, że pora wydawała się znacznie późniejsza niż w rzeczywistości.

Chwilami miała jakby *déjà vu*. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że wędrówka po puszczy przypominała jej chodzenie po chicagowskiej Pętli. Choć góry były znacznie wyższe od drapaczy chmur, nawiedzało ją podobne klaustrofobiczne wrażenie.

Widok jaskrawożółtego plecaka Charlesa, który podobnie jak jej neonowo różowy został wybrany ze względu na kontrastujące z naturą barwy, podnosił Annę na duchu. Nie tylko dlatego, że przedstawiał okrucieństwo cywilizacji, ale też dlatego, że mężczyzna, który go niósł, czuł się tu tak swobodnie, jak ona we własnym mieszkaniu. Natomiast czarna strzelba nie wyglądała przyjaźnie. Anna umiała posługiwać się pistoletem – ojciec nauczył ją strzelać, ale trzydziestkaósemka miała się tak do tej strzelby jak pudel do wilkołaka.

Pierwsze podejście wymagało od niej wysiłku, lecz w końcu metodą prób i błędów doszła do tego, jak najwygodniej iść w raketach. Wspinanie się na zbocze wymagało więcej energii, było wolniejsze, a po jakimś czasie poczuła wyraźnie ból w udach. Wszystko trwało godzinę, ale było warto.

Kiedy stanęli na szczycie, ponad drzewami, Anna znieruchomiała urzeczona widokiem rozciągającym się poniżej.

Dolinę, na której zbrocze się wspięli, wyściełała falująca biel poprzetykana ciemną zielenią. Obraz był niesamowity i... pusty.

– Wszędzie tu tak jest? – zapytała cicho.

Charles, który szedł pierwszy i zatrzymał się tylko dlatego, że ona przystanęła, obejrzał się przez ramię.

– Nie – powiedział. – Zarośla to zarośla i tyle. Na wiosnę zabiorę cię w Missions, powspinamy się trochę. Jeśli podoba ci się tutaj, tam się zakochasz.

Musiał ją obserwować, stwierdziła w duchu, skoro zauważył, jaką ma frajdę.

– W Missions widoki są jeszcze bardziej spektakularne niż tu – ciągnął. – Choć to droga przez piekło, jeśli chciałabyś je przebyć. Tylko w górę i w dół i znów w górę i nic pomiędzy. Tu też nie będzie łatwo. Kiedy zaczęli obejmować ochroną dzikie tereny, zostały już tylko te całkiem nieprzystępne. – Wyłowił z kieszeni baton muesli i podał Annie. – Masz, jedz. – Patrzył, jak ściąga rękawiczkę, odwija opakowanie i zaczyna żuć pokryte mączką świętojańską ciastko, i dopiero wtedy sam zaczął jeść.

– Zachowujesz się jak kwoka – prychnęła, sama nie bardzo wiedząc, czy złościć się, czy cieszyć.

– Gdybyś była człowiekiem, czułabyś, jak jest zimno – mruknął. – Teraz jest ledwo poniżej zera, ale nie lekceważ tej pogody. Potrzebujesz mnóstwo energii na ogrzanie ciała, a niewiele masz zapasów do spalania. Dlatego podczas tej wyprawy będę cię karmił ile wlezie. Lepiej po prostu przywyknij.



8

Wyjechaliśmy dużo później, niż początkowo planowałem – rzekł Charles. – Ale i tak mamy całkiem niezły czas. Jezioro Baree leży jakieś dwa kilometry stąd, lecz rozbijemy obóz tu, zanim się ściemni. Wiatr zrzucił z gałęzi większość śniegu, a gęste korony ochronią nas przed kolejnymi opadami.

Anna rozejrzała się z powątpiewaniem.

Roześmiał się na widok jej miny.

– Zaufaj mi, będziesz spała wygodnie. Gorzej będzie ze wstaniem rano.

Uspokoila się. Ucieszył się, że mu wierzy.

– A kiedy pójdziemy tam, gdzie zostali napadnięci Jack i Heather?

– Nie pójdziemy tam. Nie chcę, by znalazł się tam nasz zapach. Mamy wyglądać jak ofiary, nie śledczy.

– Myślisz, że to dla niego jakaś różnica?

Charles zdjął plecak i położył na głazie, który wystawał ze śniegu niczym grzbiet wieloryba ponad fale.

– Jeśli naprawdę jest samotnikiem broniącym terytorium, to nie. Natomiast jeśli jego celem jest narobienie problemów ojcu, nie zaatakuje ludzi, którzy mogliby zanieść światu wieść o tym, co robi.

Anna za przykładem Charlesa postawiła plecak na skałce. Charles wyjął z kieszonki na ramieniu paczkę rodzynek, postanawiając zapamiętać, że trzeba rano uzupełnić zapasy kieszeniowe. Anna z westchnieniem wzięła rodzynek, otworzyła i zaczęła żuć.

Charles wykorzystał, że zajęła się jedzeniem, i rozejrzał się po miejscu, które wybrał na obozowisko. Bliżej jeziora znajdowało się jeszcze lepsze, ale postanowił wykorzystać je następnego dnia po południu, dając Annie możliwość odpoczynku. Wiedział, że zmęczenie pieszą wędrówką nie da jej się we znaki od razu, a dopiero trzeciego lub czwartego dnia. Bywał już w górach z żółtodziobami, miał doświadczenie.

Najważniejszą zasadą górskich wędrówek była elastyczność. Dotarliby do tego dalszego miejsca przed zmrokiem, ale uznał, że ważniejszy od planu jest odpoczynek Anny.

Tu także spał już kiedyś – skała wyglądała dokładnie tak samo, jak dawniej. To było... Zastanowił się przez chwilę, lecz nie zdołał sobie przypomnieć. Krzewy przy skale jeszcze wtedy nie rosły, a po starej jedlicy, która osłaniała od wschodu, został tylko przewrócony pień. Trącił nogą zbutwiałe drewno, które rozsypało się po śniegu. Jakieś sto pięćdziesiąt, sto siedemdziesiąt lat temu.

Charles rozłożył na śniegu matę, ale nawet nie sięgnął po namiot. Dopóki pogoda pozwoli, nie zamierzał go rozkładać i narażać ich na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Nie używał namiotów, jeśli nie musiał, a nigdy z nich nie korzystał podczas polowania na coś, co i na niego mogło zapolować. Namiot tłumiał dźwięki, uniemożliwiał obserwację okolicy i w razie czego

krępował ruchy. Zabrał go dla Anny, lecz rozbić chciał tylko w ostateczności.

Resztki jedlicy okazały się zbyt wilgotne na opał, jednak w okolicy leżało wiele powalonych drzew. Wystarczyło pół godziny, żeby zebrać pokaźny zapas gałęzi z leżących w pobliżu dawnych królów puszczy.

Kiedy wrócił, Anna siedziała na głazie, a obok stały oparte rakiety. Charles pozbył się swoich i zabrał do rozpalania ogniska, świadom czujnych oczu śledzących każdy jego ruch.

– Myślałam, że Indianie rozpalają ogień, trąc patykami – powiedziała Anna na widok zapalniczki i podpałki w ręku Charlesa.

– Tak też potrafię, ale wolałbym coś zjeść przed jutrzejszym wieczorem. Zapalniczka i podpałka działają znacznie szybciej. – I znów jest wszystko w porządku, pomyślał. Zaczęło się, kiedy zasnęła w samochodzie. Potem podczas wspinaczki na zbocze czuła się przy nim coraz swobodniej. Aż w końcu nawet złapała go kilka razy za poję, żeby pokazać trop rosomaka, kruka obserwującego ich z pnia powalonej sosny i kicającego nieopodal białego zająca.

– Co byś zjadła? – zapytał, ułożywszy palenisko i wrzuciwszy garść śniegu do kociołka.

– Wszystko, byle nie batona. Już mnie szczęki od nich bolą.

– Co powiesz na kurczaka w sosie słodko-kwaśnym?



Wlał olej z saszetki i zamieszał, po czym podał Annie torebkę foliową. Zajrzała do niej nieufnie.

– Nie przypomina kurczaka w sosie słodko-kwaśnym – stwierdziła.

– Nie przejmuj się wyglądem, zdaj się na nos – poradził i zabrał się do jedzenia swojej porcji. Nie było to tak smaczne, jak wczorajszy gulasz, ale nie najgorsze jak na coś, co miesza się z wodą i je. – Uwierz, kurczak słodko-kwaśny nie wygląda przynajmniej jak psia karma.

Zajrzała do jego torebki.

– Blee. Czemu tak to robią?

– Liofilizuje się tylko małe kawałki mięsa – wyjaśnił, odsuwając torebkę, zanim wpadły do niej włosy Anny. – Jedz.

– Jak długo przetrwa to nasze zapachowe przebranie? – zapytała, sadowiąc się z powrotem na głazie.

Z zadowoleniem zauważył, że po pierwszym kęsie zabrała się do jedzenia niczym wygłodniały drwal.

– To nieistotne – powiedział pomiędzy kęsami. – Skoro i tak o tym rozmawiamy tak, że wilkołak może nas usłyszeć.

Otworzyła usta, żeby przeprosić, ale zamknęła je, marszcząc brwi. Przez moment zastanawiał się, czy trzeba podkreślić żart uśmiechem, lecz i bez tego złapała, że się z nią droczy.

Zbyła go machnięciem niezbędnika.

– Gdyby był tu w pobliżu jakiś wilk, wiedziałbyś o tym. A teraz odpowiedz.

Rzadko rozmawiał z kimś o swojej magii, nawet z ojcem. Brat wilk podpowiadał mu, że im mniej ludzi o tym wie, tym lepszą stanowi to broń. Jednakże co do Anny brat wilk nie zgłaszał żadnych obiekcji.

Przełknął kęs wołowiny.

– Nie wiem – przyznał. – Pewnie tyle, ile trzeba. No chyba że nadepnemy duchom na odcisk i te uznają, że raczej będą pomagać naszemu przeciwnikowi.

Przerwała jedzenie i zagapiła się na niego.

– Tym razem mówisz poważnie, tak?

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem czarownikiem i nie naginam rzeczywistości do własnej woli. Mogę tylko prosić o pomoc, a jeśli mój cel jest po drodze duchom, mogę liczyć na sukces.

Anna akurat włożyła porcję jedzenia do ust i teraz pospiesznie przełknęła, by zadać kolejne pytanie.

– Jesteś katolikiem czy...?

– Jestem jak ten osioł Balaama. Poza tym jako wilkołak wiesz sama, że na świecie istnieją różne byty, demony, wampiry, ghule i tak dalej. A skoro wiesz, że istnieją, musisz też uznać istnienie Boga. Bóg to jedyne wyjaśnienie, dlaczego zło nie opanowało jeszcze tego świata i nie wyeliminowało ludzi. To Bóg sprawia, że zło pozostaje w ukryciu, w cieniu. – Charles skończył jeść i odłożył niezbędnik.

– Osioł Balaama? – mruknęła Anna. – Ach! Osioł Balaama ujrzał anioła. Ty też widziałeś anioła?

– Tylko raz – uśmiechnął się Charles. – I nie do mnie przybył. Ale to robi wrażenie. – Dla niego było iskrą nadziei w najmroczniejszą noc. – Istnienie Boga nie wyklucza istnienia duchów.

– Czcisz duchy?

– A po co? – Nie był ani szalony, ani głupi, a trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby napraszać się duchom. – Tylko by mnie obarczyły dodatkową robotą, a już tej od ojca wystarcza mi aż nadto. – Widząc, że Anna nie bardzo rozumie, wyjaśnił: – Czasami pomagają w tym czy w tamtym, jeśli zwrócę się do nich o pomoc, jednak najczęściej to one chcą, by coś zrobić. A teraz nie ma już aż tylu ludzi, jak kiedyś, którzy je słyszą, to oznacza więcej pracy dla pozostałych. Mój ojciec daje mi zajęć dla trzech pracowitych synów, gdybym jeszcze do tego codziennie rozmawiał z duchami, nie miałbym czasu zawiązać sobie butów. Samuel dużo myśli nad tym, gdzie umiejscowić duchy w tradycji chrześcijańskiej, ale ja się tym nie przejmuję. –

Już myślał, że będzie musiał pogonić Annę do jedzenia, gdy dziewczyna ocknęła się z zamyślenia i sama wróciła do posiłku.

– A co robisz, gdy proszą cię o zrobienie czegoś złego?

Charles pokręcił głową.

– Duchy są generalnie przyjaźnie lub nieprzyjaźnie nastawione, a nie dobre i złe. – A ponieważ tak lubił się droczyć z Anną, dodał: – Prócz tych demonów mózgojadów, które czają się pomiędzy drzewami, czyhając na głupich turystów. Ale nie martw się, obronię cię przed nimi.

– Bałwan – ofuknęła kurczaka, choć bez złości.

Gdzieś w ciemności rozległo się wycie wilka. Bardzo daleko. Wilk czerwony, pomyślał Charles z uśmiechem. Jeszcze dwadzieścia lat temu nie było tu wilków, lecz ostatnio przybywało ich coraz więcej z Kanady. Ojciec martwił się, że w tych czasach nie ma już miejsca dla drapieżników, jednak uznał, że skoro ludzie pozwolili, by wilki wróciły na swoje miejsce, z czasem przywykną też do myśli o wilkołakach.



Walter znalazł odzianego w pomarańczową kamizelkę myśliwego, opartego o pień drzewa. Wyglądało na to, że mężczyzna spadł ze szlaku zwierząt, który wił się powyżej skrajem urwiska. Jedną nogę miał złamaną, ale zdołał się podczołgać kilka metrów. Prawdopodobnie zmarł z wychłodzenia już parę dni wcześniej.

To pewnie stąd obecność grup ratowników w górach. Myśliwy musiał się chyba zgubić, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie zpuściłby się tak daleko bez wsparcia. Miejsce znajdowało się tak daleko od drogi i przeszukiwanych przez ratowników terenów, że szanse na znalezienie ciała były nieomal zerowe. Do wiosny nie będzie już czego szukać.

Walter pomyślał przez chwilę o pogrzebaniu ciała, jednak zrezygnował. Musiałby przekopać się przez prawie dwa metry śniegu, a potem grzebać w zamarznętej ziemi. Poza tym nawet nie miał ze sobą łopaty. Martwy mężczyzna miał odpowiedni numer nogi, Walter zabrał więc buty, rękawiczki i parkę. Bez żalu zostawił pomarańczową kurtkę, natomiast porzucenie broni przyszło mu z trudem, choć ani nie miał dostępu do amunicji, ani też nie chciał zwracać na siebie uwagi wystrzałami.

Pochylił głowę i zmówił modlitwę. Nie była to szczególnie dobra modlitwa na tę okoliczność, ale nie pamiętał żadnej poza tą odmawianą przed snem w dzieciństwie. Jednakże skupił się na niej, bo to pozwalało mu zignorować tkwiącą wewnątrz bestię, która widziała w martwym człowieku mięso. Była głodna i nie obchodził jej gatunek mięsa.

Właśnie kończył modlitwę, kiedy zawył demon. Walter poczuł, jak w głębi piersi rodzi mu się odzew – wyzwanie. Zdławił jednak dźwięk. Wiedział, jak podchodzić zło... Na moment znów znalazł się na wojnie, kryjąc się w cieniach, podkradali się z Jimmym pod namiot dowódcy. Łkania wiejskiej dziewczyny głuszyły ich kroki.

Przez ułamek sekundy widział twarz Jimmy'ego, jak ten stał tuż przy nim, a w następnej chwili znów stał nad trupem nieznanego mężczyzny – zamarznętym ciałem, na którego szyi widniał ślad po jego nożu, dokładnie taki sam, jak wtedy na szyi dowódcy.

Dziewczyna nigdy nie powiedziała nikomu o tym, co się wydarzyło, choć Walter i Jimmy denerwowali się tym przez kilka tygodni. Mogli zabić ją także, ale wtedy nie byłiby lepsi od dowódcy. Oficjalny raport stwierdzał, że oficera zastrzelił snajper. Obsmiali z Jimmym trochę ten raport – mało który snajper używał noża.

Schylił się i podniósł ciało. Nie mógł go tak zostawić, bo odkryto by ranę. Postanowił przenieść je i zostawić z dala od ścieżek zwierząt.

Kilkaset metrów dalej złożył je pod krzewami mahonii. Obliznął usta, ze zdumieniem czując smak krwi. Zaskoczony ujrzał, że rana na ciele trupa jest czysta i lśni od śliny.

Chwyciwszy garść śniegu, otarł usta, rozdarty pomiędzy głodem a obrzydzeniem, choć wiedział, że nie mógł spróbować wiele, bo trup był porządnie zamrożony.

Odszedł tak szybko, jak się dało, nie biegnąc.



– Anno? – zawołał Charles, skończywszy spinać razem śpiwory.

Nie odpowiedziała. Zrzuciła buty i kurtkę i stała teraz bosą, ze skarpetkami w ręku, na nagiej skałce.

W innym miejscu pomyślałaby, że podziwia widoki, ale byli całkiem osłonięci drzewami. Nie tyle patrzyła przed siebie, co starała się nie spoglądać na śpiwory i na niego. Zaraz po jedzeniu zaczęła się znów zamykać.

Po zachodzie słońca temperatura spadła o kilka stopni. Było za zimno na to, by stać na bosaka i bez kurtki. Wilkołak czy nie, odmrożenia bolą tak samo.

Nie zamierzał jednak namawiać Anny do wejścia do śpiwora ani tym bardziej zmuszać. Zdjął buty, skarpetki schował do plecaka, z którego wyjął też parę czystych. Umieścił je w nogach śpiworów, żeby zagrzały się na rano.

Wydobył przezornie zapakowany dodatkowy koc, strzepnął i zarzucił sobie na ramiona, po czym podszedł do głazu i nań wskoczył. Nie było tam wiele miejsca, ale udało mu się stanąć z Anną ramię przy ramieniu.

– Moi kuzyni zalecali się do kobiet przy pomocy koców – powiedział, nie patrząc na dziewczynę. Nie odpowiedziała, rozprostowała tylko i podkurczyła palce u stóp. – To się nazywa przytul-kocyk – kontynuował. – Podchodzi się do wybranki i wyciąga ramię. – Przytrzymał kraniec koca i ramieniem otoczył barki Anny. – A potem okrywa się wybrankę kocem. Jeśli się nie uchyli, można ją przytulić. – Objął Annę, a ona przysunęła się do niego, aż mógł okryć ich oboje.

– Przytul-kocyk. – W głosie Anny pobrzmiwało rozbawienie, choć nadal była sztywna.

Wilczyca, pomyślał. Ale nie do końca. Nie wyczułby zmiany, gdyby nie zwracał szczególnej uwagi na zapach, a w tym pojawiła się wilcza nuta.

– Mój brat, Samuel, jest w tym znacznie lepszy ode mnie – powiedział, przesuwając się tak, żeby stała naprzeciwko niego.

Nabrała powietrza i wypuściła, w końcu się rozluźniając.

– Opowiedz mi, jak to jest z łączeniem się w pary?

Przygarnął Annę mocniej.

– Sam jestem w tym nowicjuszem.

– Nigdy nie miałaś towarzyszkę?

– Nie. – Wciągnął w płuca jej zapach, czując rozchodzące się w piersiach ciepło. – Ale coś tam wiem. Wygląda to podobnie jak u ludzi. Para pobiera się, a po jakimś czasie wilk akceptuje partnerkę.

– A jeśli nie?

– To nie i już. – Nie był za grosz tak optymistyczny w tym względzie, jak by się mogło zdawać po tonie. – Ja już dawno przestałem szukać, ale naraz spotkałem ciebie. – Uśmiechnął się na wspomnienie radosnego zaskoczenia, jakie wtedy poczuł. – Mój brat wilk wybrał sobie ciebie na towarzyszkę w chwili, gdy cię zobaczył, a ja mogę tylko przyklasnąć jego wyborowi.

– A gdybym ci się nie spodobała?

Westchnął, rozdmuchując Annie włosy.

– Nie byłoby nas tutaj. Nie chciałbym skończyć jak ojciec i Leah.

– On jej nie znosi?

– Nie. Chyba nie. Nie wiem. – Wzruszył ramionami. Jak to się stało, że o tym rozmawiają? – Nigdy nie mówił na ten temat, ani że jest dobrze, ani że jest źle, ale coś pomiędzy nimi nie gra. Raz tylko, dawno, dawno temu, wspomniał, że jego wilk uznał, że potrzebuje partnerki.

– To co poszło nie tak? – zapytała, rozluźniając się jeszcze bardziej.

Potrząsnął głową.

– Nie zamierzam wypytywać o to Marroka i tobie też nie radzę.

Anna nie ciągnęła tematu, już miała inne pytanie.

– Mówiłeś coś o ceremonii podczas pełni?

– Owszem. Odbywa się podczas pełni i służy przypieczętowaniu więzi. To coś jak ślub, ale bardziej osobiste. Jednocześnie odbywa się przyjęcie do stada. – Poczul, jak Anna zamiera. Ceremonia przyjęcia do stada i towarzyszące jej przyjęcie krwi i ciała Alfego mogły wydawać się przerażające, jeśli ktoś nie był na to gotów. A poza tym Leo, który wynaturzył tyle rzeczy, pewnie i tę przeprowadził źle. Charles stwierdził, że to nie najlepszy moment, by rozgrzebywać bolesną przeszłość, skoro zależy mu, aby Anna uspokoiła się i wsunęła z nim do śpiwora. – Jeśli będziesz chciała, zrobimy osobny ślub, w kościele. Będziesz mogła zaprosić swoją rodzinę.

Podniosła głowę, żeby na niego popatrzeć.

– Skąd wiesz, że nasza więź nie działa?

– To podobna magia do tej, która łączy stado. Niektóre wilkołaki ledwie ją wyczuwają. Magia stada pozwala Alfemu czerpać z sił wilków, żeby przydać mu sprawności lub przyspieszyć samoleczenie. Pozwala mu także panować nad wilkołakami i odnajdywać je w razie potrzeby.

Anna zeszywniała.

– I karmić się ich agresją? Chyba Izabela tak robiła. Lubiła, gdy wilki walczyły pomiędzy sobą.

– Owszem, to możliwe – przyznał Charles. – Choć nigdy nie widziałem, by ojciec robił coś takiego. Ale już wiesz, jak to działa?

– Tak. I więź pomiędzy towarzyszami jest taka sama?

– Na mniejszą skalę. Działa pomiędzy parą. Czasami pozwala znać miejsce przebywania towarzysza. Tata mówił, że pomiędzy nim a Leah właśnie na tym się kończy. Jednak czasami to dużo więcej. Jeden z wilkołaków z Oklahomy ma ślepą partnerkę. Kiedy są razem w jednym pomieszczeniu, ona widzi. Częściej przejawia się to umiejętnością dzielenia się siłami. I tym, co Alfie może dać stado.

W milczeniu czekał na kolejne pytanie.

– Stopy mi zmarzły – zauważył po chwili ciszy z jej strony.

– Przepraszam – szepnęła Anna. Charles pogładził ją kciukiem po policzku.

Zwykle unikał kontaktu fizycznego. Dotyk zanadto zbliżał do niego ludzi, a na to pozwolić sobie nie mógł, jeśli chciał być efektywnym likwidatorem problemów ojca. Przez to jego brat wilk był bardzo wygłodniały dotyku, a przy Annie Charles mógł zrezygnować ze swoich zasad. Była jego towarzyszką, nie skrzywdziłby jej nawet na żądanie ojca. Poza tym była Omegą i nie groziło jej szaleństwo. Prawdziwym jednak powodem pieśszoty, przyznał sam przed sobą, był cudowny dotyk jej skóry pod palcami.

– Nie od razu Rzym zbudowano – pocieszył ją. – Chodźmy spać – zaproponował, a kiedy poczuł, że się spina, dodał: – I tak jest za zimno na cokolwiek innego.

Zeszywniała jeszcze bardziej.

– To było kłamstwo, prawda?

Wtulił twarz w szyję Anny i zaśmiał się cicho.

– Szybko się uczysz. A gdybym powiedział, że jesteś na to zbyt zmęczona?

Odkrył się, owinął ją kocem, wziął na ręce i zeskoczył z głazu, uginając nogi, by zamortyzować lądowanie. Zapomniał przy tym o ranach, więc kiedy niósł Annę do obozowiska, łydka zaczęła rwać. Zignorował jednak ból. Rana w piersi też dawała się we znaki, kiedy Anna układała się przy nim w śpiworze, ale trzeba by było czegoś więcej niż kilku dziur po kulach, żeby zakłócić mu szczęście, gdy już trzymał Annę w ramionach.

Zasnęła na długo przed nim.



Zatrzymali się przy Baree, jedynym śladem obecności ludzi w okolicy były biegnące przez zamarznąta taflę głębokie linie po skuterze śnieżnym. Co prawda znajdowali się w puszczy, ale też w Montanie. Skutery nie przeszkadzały Charlesowi tak bardzo, jak motory crossowe, które niszczyły teren. Kilka lat wcześniej wpadł na paru takich i podążał za nimi aż do jeziora Wanless, gdzie zostawili maszyny i poszli popływać. Wracając, zastanawiał się, ile czasu zajmie im wyprowadzenie motorów bez świec zapłonowych.

Przedostanie się znad Baree do Niedźwiedzych Jezior było o tej porze roku bardzo trudne. Charles zaznaczył z Tagiem na mapie możliwą do przebycia trasę, ale jeśli okazałaby się zbyt ciężka, gotów był w każdej chwili ją zmienić. Zależało mu na tym, by zdziwały wilk ich zauważył i ruszył ich tropem.

Myślał jednak o tych śladach skutera na jeziorze. Większość gór Cabinet była niedostępna dla pojazdów śnieżnych, jeśli jednak chciało się dotrzeć tylko do Baree i wrócić – żeby znaleźć kilka ofiar i zdobyć wieści o zabójstwach wilkołaka – dałoby radę.

Zorganizowana grupa buntowników, chcąc zmusić Brana do zarzucenia planów wyjawienia istnienia wilkołaków, to nie to samo, co pojedynczy odszczepieniec i trzeba zareagować całkiem inaczej. Postanowił na wszelki wypadek mieć w głowie te ślady i przygotować się na spotkanie z grupą przeciwników.

Towarzystwo Anny okazało się czystą przyjemnością. Cieszyła ją wyprawa, mimo że rano miała nieco obolałe mięśnie. Nie narzekała na trudy wędrówki, choć teren był coraz trudniejszy i wymagał wytężonego wysiłku. Głównie milczała, zatem nic nie przeszkadzało mu wsłuchiwać się w odgłosy innych istot w lesie. Sam też był mało rozmowny, więc tym bardziej odpowiadało mu, że Anna nie papła. Obudziła się wypoczęta i spokojna i tak pozostało, dopóki nie dotarli do niewielkiej doliny.

Jej rosnącą nerwowość mierzył wolno zmniejszającym się dystansem pomiędzy nimi.

Kiedy wreszcie się odezwała, była tak blisko, że zahaczyła swoimi o tył jego raket.

– Przepraszam.

Rezultatem potknięcia był ból w łydce, ale nigdy by jej tego nie wytknął.

– Nic się nie stało. Co ci jest?

Widział, że rozważa, czy nie zbyć Charlesa kłamstwem, i odrzuca w końcu tę opcję.

– Trochę tu strasznie – wydusiła w końcu.

Charles rozumiał, o czym mówi. Wiele miejsc w górach budziło takie uczucia. Nie był pewien dlaczego, ale atmosfera tutaj była bardziej niesamowita niż zazwyczaj i zdecydowanie straszniejsza niż w górach, które przechodzili wczoraj.

Uwaga Anny sprawiła, że rozejrzał się baczniej na wypadek, gdyby wcześniej coś przeoczył. Nic jednak szczególnego nie dostrzegł, nic groźniejszego prócz ściany urwiska, która wznosiła się ponad nimi, rzucając cień na dolinę i porastające

jej zbocza zielono-czarne drzewa. Nie zamierzał jednak lekceważyć sił innych niż siły natury.

Duchy tych gór nigdy nie okazywały gościnności, nie tak jak te z Bitterroots czy Pintlers. Tutejsze nie lubiły intruzów.

Możliwe, że duchy w tej dolinie były bardziej aktywne, a możliwe, że coś się wydarzyło. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większej nabierał pewności, że to coś więcej niż gierki sił nadprzyrodzonych. Znajdowało się tu coś pod śniegiem, coś, co tkwiło tu od tygodnia, a może od setek lat, ale na pewno coś było.

– Jesteś wilkołakiem – przypomniał Annie. – Nie musisz się bać.

Prychnęła drwiąco.

– Nie bałam się potworów, póki nie stałam się jednym z nich. Teraz boję się własnego cienia.

Wychwycił w jej głosie autoironię i postanowił zareagować.

– Brednie! Uważam... – Urwał, kiedy do jego nozdrzy dotarł z początku lekki zapach. Odwrócił się, węsząc pod wiatr.

Anna zamarła, wpatrując się w Charlesa. Odczekał, aż zapach stanie się intensywniejszy. To, co za nimi szło, nie zamierzało się kryć.

– Co czujesz? – zapytał cicho.

Wciągnęła powietrze nozdrzami i przymknęła oczy.

– Drzewa, właścicieli tych ubrań i... – Znieruchomiała ponownie, wyczuwając to, co on. – Kota. Jakiegoś kota. Może to puma?

– Blisko. Ryś. Rozzłoszczony, ale nie stanowi dla nas zagrożenia.

– Super. A to...? – Tym razem ona urwała. – Co to?

– Martwy zając – ucieszył się. – Fajnie, że zaczynasz zwracać uwagę na to, co mówi ci nos. – Poniuchał jeszcze raz i zastanowił się. – A może to mysz, nie zając? Nie, raczej zając. To dlatego kręci się ten ryś, pewnie przerwaliśmy mu obiad. –

Charlesa zaskoczyła obecność rysia. Koty zwykle unikały takich miejsc. Czyżby przygnały go tu jakieś większe drapieżniki?

Anna pozieleniała trochę.

– Nie cierpię tej części mojej natury, przez którą robię się głodna, czując surowe mięso.

Nie przeszkadzał jej zapach krwi Jacka. Ale z drugiej strony dawno jej nie nakarmił, więc była głodna. Spalała mnóstwo kalorii, żeby utrzymać ciepło. Jednak głodna czy nie, to nie było miejsce na porządny posiłek. Najpierw musiał wyciągnąć Annę z tej kabały. Na razie więc wręczył dziewczynie paczkę krakersów z masłem orzechowym, po czym ruszył w drogę. Dzięki masłu orzechowemu miał pewność, że Anna zacznie korzystać ze swojej manierki, a martwił się, że za mało pije.

Szli, dopóki nie zostawili doliny za sobą, a wraz z nią niesamowitej atmosfery, co potwierdziło przypuszczenia Charlesa, że to robota duchów.

– Obiad – ogłosił, wręczając Annie baton i kawałek suszonego mięsa.

Przyjęła przekąski, omiotła ze śniegu pień powalonego drzewa i na niego wskoczyła.

– Wszystko było w porządku, dopóki nie doszliśmy do tej doliny. Teraz jestem zmachana i zmarznięta, a przecież dopiero pierwsza. Jak ludzie dają radę tak chodzić?

Usiadł obok niej, zabierając się do swojego kawałka mięsa. Był dużo smaczniejszy niż pemmikan, choć nie dawał tyle energii, bo zawierał dużo mniej tłuszczu niż tradycyjny prowiant dawnych Indian.

– Mało kto porywa się na coś takiego w zimie. Narzuciłem trochę zbyt ostre tempo, ale chciałem, żebyśmy jak najszybciej wyszli z tamtej doliny. Stąd twoje zmęczenie. – Zmarszczył brwi.
– Spociałś się? Masz suche skarpetki? Na wszelki wypadek zabrałem dodatkowe. Bo przepecone to prosta droga do odmrożenia. W tej sytuacji mogłabyś stracić palec.

Pomachała wiszącymi nad ziemią raketami.

– Myślałam, że wilkołaki są niezniszczalne, nieśmiertelne.

Wyraz twarzy Anny powiedział mu, że dziewczyna myśli o ciągach, które miały ją przemienić w coś, czym nie była.

– Może by i odrósł – rzekł, uspokajając brata wilka, który denerwował się, gdy Anna czuła się nieszczęśliwa. – Ale nie byłoby to najprzyjemniejsze.

– Super – podsumowała po chwili zastanowienia. – Skarpetki mam suche.

– Dobrze, ale gdyby coś, to mów.



Rakiety ważyły tonę. Rzuciła Charlesowi spojrzenie pełne wyrzutu – żartobliwe, ale i tak minę zrobiła tylko dlatego, że stał odwrócony do niej plecami. Rany i cała reszta, a jakoś nie robił wrażenia, żeby mu to przeszkadzało. Jedyne co, to może trochę kulał, gdy schodzili zboczem. Zwolnił, lecz to nie pomogło tak, jak na to liczyła. Gdyby nie obiecał, że niebawem rozbiją obóz na szczycie, na który właśnie się wspinali, padłaby na miejscu.

– Już niedaleko – pocieszył ją, nie odwracając się. Najwyraźniej jej ciężkie dyszenie wystarczyło, by domyślił się, jak bardzo jest zmęczona. – To przez wysokość. Niżej zawartość tlenu jest większa, więc teraz musisz szybciej oddychać, żeby to nadrobić.

Tłumaczył ją – od razu zeszywniała. Postanowiła wdrapać się na wierzchołek, nawet gdyby była to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Wbiła czubek rakiety, żeby uczynić kolejny krok, i zamarła. W oddali rozległo się przeciągłe wycie, od którego włoski na karku stanęły jej dęba.

– Co to? – zapytała.

Charles spojrział przez ramię z ponurym uśmiechem.

– Wilkołak.

– Gdzie?

– Jakies kilka kilometrów na wschodzie. Głos tu niesie bardzo daleko.

Zadrzała, choć nie miała powodu się bać. W końcu sama też była wilkołakiem. Poza tym widziała, jak Charles, i to ranny, zmiata z powierzchni ziemi jej byłego Alfę.

– Nic ci nie zrobi – uspokoił ją Charles. Nie odpowiedziała, lecz zauważył, że rysy po chwili jej miękną. – Jeśli przeszkadza ci, że poznaję po zapachu, co czujesz, możesz zacząć używać perfum. Zwykle to działa.

Anna pociągnęła nosem, znów jednak wyczuła tylko dwójkę obcych jej ludzi.

– Ty nie używasz żadnej wody kolońskiej.

Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

– To dziecinna sztuczka. Ja nauczyłem się po prostu kontrolować emocje. – A potem, żeby usunąć resztkę jej zeszywnienia, z nutą żalu dodał: – I szło mi całkiem nieźle, przynajmniej póki nie spotkałem ciebie.

Ruszył do góry. Anna podążyła za nim, zadumana. Kim była, że tak działała na tego mężczyznę? Dlaczego właśnie ona? Bo była Omegą? Nie miała pewności. Nie przy tym zawisłym w powietrzu żartobliwym stwierdzeniu.

Należał do niej.

Dla pewności liczyła na palcach. Jeszcze tydzień temu o tej porze obsługiwała klientów w restauracji Scorci, nie znała Charlesa i w życiu nie przeszła nawet kilku kroków w raketach śnieżnych. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że może całować mężczyznę i czerpać z tego przyjemność. A teraz przebijała się mozolnie przez mróz i śnieg z głupkowatym uśmiechem na twarzy, ścigając wilkołaka. A w każdym razie idąc za Charlesem, który ścigał wilkołaka.

Dziwne. I całkiem przyjemne. Były też i dodatkowe korzyści podążania za Charlesem. Na przykład widoki.

– Chichoczesz? – zapytał Charles głosem Spocka.

Zerknął na nią przez ramię, po czym wykonał skomplikowaną serię ruchów, jakiej wymagał obrót na raketach. Zdjął rękawiczkę, dotknął delikatnie jej nosa tam, gdzie umiejscowiły się piegi, a potem jego palce zsunęły się na dołeczek w lewym policzku.

– Lubię, jak jesteś radosna – rzekł poważnie.

Przestała się śmiać, ale nie opuściło jej uczucie ciepła w piersiach.

– Tak? – spytała przekornie. – To powiedz, że to naprawdę było ostatnie podejście i że na tej wielkiej płaskiej przestrzeni, na której stoimy, rozbijemy obóz, i że nie muszę już dzisiaj nigdzie chodzić.



Stała z miną jak kot, który dobrał się do śmietanki, a on nie miał bladego pojęcia, skąd u niej ten nastrój. A przecież znał tajniki ludzkich dusz. Miał wprawę, intuicję i nawet brat wilk czasem wykazywał się prawie empatią. A mimo to nie wiedział, dlaczego Anna stoi i przypatruje mu się z wesołymi iskierkami w oczach.

Schylił się, opierając czoło na jej czapce, wciągnął do płuc jej zapach, pozwalając, by ciepło otuliło mu serce. Zapach przełamał okowy, jakie nań nałożył, i owiał go niczym dym z sziszy. Woń ludzi zniknęła, ale zafascynowany bez reszty Anną, Charles nie potrafił się tym przejmować.

Powinien był przecież coś usłyszeć. Coś wyczuć. Zorientować się jakoś.

W jednej chwili stał przy Annie, w następnej leżał twarzą w śniegu, z czymś ciężkim – wilkołakiem, jak poinformował go z opóźnieniem nos – na plecach i Anną pod sobą.

Kły rozdarły mu kurtkę i plecak. Chwilowo zignorował wilkołaka i podźwignął się, chcąc dać Annie szansę ucieczki, wiedząc, że to dla niego ogromne ryzykowne posunięcie.

Anna wysliznęła się spod niego błyskawicznie, niczym asystentka magika, i posłuchała polecenia, żeby uciekać.

Napastnik w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Tak skupił się na rozrywaniu plecaka, że cały świat przestał dla niego istnieć. Oszalały samotnik, pomyślał Charles. Obłąd tak pomieszał mu zmysły, że nie puścił plecaka, choć miał szansę ponowić nieudany atak. Nie żeby Charles się nie ucieszył.

W ludzkiej formie Charles był bardziej podatny na zranienia, lecz dysponował prawie taką samą siłą jak w wilczej. Uwolniwszy spod siebie Annę, jednym ruchem rozerwał wiązania rakiet.

Srebrne paczuszki turystycznych posiłków rozsypywały się wokół niego niczym konfetti na weselu. Na widok tego Samuel pewnie rzuciłby od razu jakiś komentarz w stylu: „No proszę, śmieciowe żarcie zabija”.

Stęknąwszy z wysiłku, Charles podniósł się na nogi wraz z wczepionym w tkaninę plecaka wilkołakiem, który nagle odpadł, lądując na grzbiecie. Jeden kopniak i wilk odleciał kawałek, znajdując się teraz bliżej Anny.

Gorączkowo pozbywając się krępujących ruchy resztek plecaka, Charles uświadomił sobie niezwykłość tego ataku. Nawet całkiem szalony wilk nie rozszarpałby tylko i wyłącznie plecaka. Darł kłami i pazurami, a Charles nie był nawet lekko draśnięty.

Wilki zerwały się ze śniegu, jednak nie zaatakowały ponownie. Bał się. Podniósł na Charlesa wyzywające spojrzenie, ale wokół rozchodził się silny zapach strachu.

Był przerażony, lecz został na miejscu, pomiędzy Charlesem i Anną, jakby chciał jej bronić.

Charles przyjrzał mu się bacznie, zdumiony, bo po raz pierwszy spotkał się z czymś takim. Szare ubarwienie nie było czymś niezwykłym, ale wilk był wychudzony, chudszy nawet niż wilczyca Anny. Pachniał całkiem obco, nie dało się na nim wyczuć ani śladu zapachu stada. Jakby mieszkał w norze – jedlica, cedr, granit – i nigdy nie używał szamponu, mydła i żadnej innej rzeczy charakterystycznej dla życia w cywilizacji.

– Kim jesteś? – zapytał Charles.

– Kim jesteś? – powtórzyła Anna i wilk popatrzył na nią. Piekło i demony, Charles także. Gdy chciała, mogła przyciągnąć uwagę każdego wilka prawie tak skutecznie jak Bran, choć on robił to dzięki sile osobowości. Anna sprawiała, że wilk miał ochotę zwinąć się w kłębek u jej stóp i kąpać w spokoju, jaki roztaczała.

Charles dostrzegł moment, gdy wilk zorientował się, że nie ma tu żadnych ludzi, których trzeba chronić. Czuł falę gniewu i nienawiści, które zalewały obcego i które zniknęły, gdy zbliżył się do Anny, pozostawiając... zaskoczenie i zmieszanie.

A potem wilk rzucił się do ucieczki.

– Wszystko w porządku? – upewnił się Charles, ściągając pospiesznie ubranie. Mógł użyć do tego magii, ale nie chciał czerpać z mocy, która mogła mu się bardziej przydać później. Przeklęte bandaże utrudniły sprawę i sprawiły ból, kiedy rozrywał je na strzępy. Jedna z rakiet zaplątała się w sznurówkę, urwał więc sznurówkę.

– Tak, nic mi nie jest.

– Zostań tu – rozkazał w ostatniej chwili, nim brat wilk pozbawił go możliwości mówienia. Zadrżał, czując, jak wraz z kształtem rośnie w nim zew polowania, zniecierpliwiony, że przemiana trwa i trwa, a tamten wilk jest z każdą chwilą coraz dalej.

– Będę tu czekała – zapewniła go. A kiedy jego wilcza forma ustaliła się i ostatecznie zmaterializowała, dodała: – Nie zrób mu krzywdy.

Kiwnął łbem i smyrgnął pomiędzy drzewa. Nie zamierzał zabijać nikogo podczas tej wyprawy. Z pomocą Anny uda mu się opanować tego wilka.

Gdy zniknął w lesie, Anna zadrżała, jakby nagle ktoś zdjął z niej kurtkę, wystawiając na mróz i śnieg. Rozejrzała się nerwowo, zastanawiając, dlaczego cienie drzew wydają się mroczniejsze niż przed chwilą. Sosny, które minutę temu wyglądały jak zwykłe drzewa, teraz otaczały ją w posępnej ciszy.

– Jestem potworem, do cholery – powiedziała na głos.

Jakby w odpowiedzi wiatr ucichł, a nad lasem niczym koc zaległa głucha cisza. Była tak głęboka, że zdawała się żyć, choć nic nie poruszało się i nie wydawało żadnego dźwięku. Nawet małe ptaki, sikorki i kowaliki, zamilkły.

Obrzuciła drzewa groźnym spojrzeniem. Trochę pomogło, lecz wrażenie, że coś ją obserwuje, wzmagало się z każdą chwilą. Jej nos nie mówił nic, ale nie mówił też nic tuż przed atakiem obcego wilka. Natomiast teraz, kiedy intruz uciekł, system alarmowy Anny działał na najwyższych obrotach.

Bardzo użyteczne.

Myśl o wilku przypomniła jej dziwne uczucie, jakiego doznała w jego obecności. Widziała go jakby przez skórę, jakby mogła zajrzeć prosto w jego duszę, dzielić jego cierpienie, jego pragnienie. Wyciągając rękę i pytając, kim jest, kierowała się wewnętrznym przekonaniem, że wilk podejdzie do niej i odpowie.

Jego ucieczka przerwała to dziwne połączenie. Nie umiała sprecyzować do końca, co wyczuła w wilku, nie umiała tego opisać. Zupełnie jak ślepiec, który po raz pierwszy widzi barwy.

Jednak mogłaby przysiąc, że wilk zaatakował w jej obronie. I że starał się nie zrobić Charlesowi krzywdy.

Coś ją obserwowało. Powęszyła, lecz w powietrzu unosiły się tylko zapachy zwykłe dla gór i lasu.

Obeszła polankę, ale żadnym ze zmysłów nie wychwyciła nic szczególnego. Obeszła ją jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Uznawszy, że sprawdzanie po raz trzeci mija się z celem, postanowiła się uspokoić, zanim wpadnie w histerię i popędzi za Charlesem. Tak, na pewno wywarłaby na nim ogromne wrażenie.

Nie żeby zrobiła do tej pory cokolwiek, co wywarłoby na nim jakieś wrażenie.

Splotła dłonie na brzuchu, w którym zaczęła gniesć ją jakaś emocja. Nie umiała jej nazwać. A właściwie nie chciała. To mógł być gniew.

Przez trzy lata znosiła straszliwe traktowanie, bo złe czy nie, potrzebowała stada. Jej wilczyca go potrzebowała, nie umiała się bez niego obejść. Dlatego pozwoliła obedrzeć się z godności, pozwoliła Leo odebrać sobie władzę nad ciałem, pozwoliła, by oddawał ją innym jak dziwkę, niewolnicę.

Przez sekundę poczuła na twarzy oddech Justina, ciężar jego ciała, ból w nadgarstkach i pęknięcie nosa, który złamał starannie wymierzonym ciosem otwartej dłoni.

Krew kapnęła z wargi na nową kurtkę, a stamtąd spłynęła na śnieg. Zaskoczona, przyłożyła dłoń do nosa, ale wszystko z nim było w porządku, choć jeszcze przed chwilą czuła, jak pulsuje bólem, tak samo jak wtedy, gdy Justin ją uderzył.

A jednak krew tam była.

Schyliła się po garść śniegu i przyłożyła do twarzy, aż zimny okład zaczął nieprzyjemnie piec. Jeszcze raz sięgnęła do nosa i tym razem na palcach nie czerwieniła się już wilgoć, przestała krwawić. Pytanie brzmiało, dlaczego w ogóle zaczęła? I czemu tak nagle przyszedł jej do głowy Justin?

Może krwawienie z nosa to wina wysokości? Charles wiedziałby, czy to dlatego. Przetarła twarz czystym śniegiem i osuszyła strzępem plecaka. Dotknęła nosa, rękę miała nadal czystą, więc wszystko było już dobrze. Usiłowała zetrzeć plamę z kurtki, jednak wszystko rozmazała jeszcze bardziej.

Westchnąwszy, rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby wyrzucić zakrwawiony strzęp. Popatrzyła na swój plecak, który zdjęła przed rekonesansem polanki. Tkwił w pełnej, nieuszkodzonej chwale pośród torebek jedzenia, ubrań i resztek plecaka Charlesa.

Typowy facet, pomyślała Anna ze zniecierpliwieniem. Poleciał i zostawił całe sprzątanie kobiecie.

Pozbierała porozrzucaną odzież, otrzepała ze śniegu i upchnęła w swoim plecaku. Zmieściła tam też większość nieuszkodzonych zapasów, ale został jej śpiwór, reszta jedzenia i rakiety. Obrzuciła resztki Charlesowego plecaka ponurym spojrzeniem.

Nie przejmowałyby się tym, gdyby nie tkwili pośrodku terenu chronionego, gdzie nie wolno nic zostawiać. Przyjrzała się ruinie żółtego plecaka, lecz nie nadawała się do niczego. Broń też została uszkodzona. Nie знаła się na karabinach, wiedziała jednak, że muszą mieć przynajmniej prostą lufę, żeby działać.

Ucieszyła się niezmiernie, kiedy jeden ze strzępów okazał się płachtą, na której spali zeszłej nocy.

Rozkładając ją, poczuła coś osobliwego. Starła się nie pokazać po sobie, że coś zauważyła, udając, że jest całkiem pochłonięta układaniem pozostałych rzeczy na płachcie. Wszystkiego oprócz broni, która nawet z wykrzywioną lufą dawała poczucie bezpieczeństwa.

Ten, kto ją obserwował, stał w całkowitym bezruchu. I był człowiekiem.

Anna związała pakunek tak, żeby dało się go nieść. Kiedy układała go obok plecaka, usłyszała za plecami ruch pomiędzy

drzewami.

– Niezły bałagan – rozległ się przyjazny głos. – Co to było? Spotkanie z niedźwiedziem?

Anna odwróciła się do kobiety, jednak przyjazny głos jej nie zwiódł. Nieznajoma zbyt długo obserwowowała ją z ukrycia, by wzbudzić natychmiastowe zaufanie.

Podobnie jak Anna miała na nogach rakiety, w rękach trzymała kijki narciarskie. W twarzy błyszczały tylko ciemne, brązowe oczy, reszta kryła się pod szalikiem. Spod szarego nakrycia głowy wyłaniały się długie, ciemnobrązowe loki.

Anna wciągnęła nosem powietrze, lecz nie wyczuła nic prócz tego, co wcześniej, czyli że kobieta jest człowiekiem. Czy ludzki słuch był na tyle kiepski, by walkę dwóch wilkołaków wziąć za przypadkowe spotkanie z niedźwiedziem? Anna nie umiała tego ocenić.

– Tak, to niedźwiedź – rzekła, licząc, że uśmiech pokryje niepewność i zwłokę, z jaką odpowiedziała. – Przepraszam, jestem trochę zdenerwowana. Wychowałam się w mieście i nie przywykłam do oglądania matki natury w pełnej krasie, i to z takiej odległości. To był niedźwiedź, odstraszyliśmy go, tylko porwał nam... – Co skłoniłoby człowieka do pościgu za niedźwiedziem? – Pakunek z zapalniczką.

Kobieta zaśmiała się, odrzucając głowę.

– No jak pech, to pech. Nazywam się Mary Alvorado. Co robisz w tej głuszy w zimie, skoro mówisz, że jesteś z miasta i nie znasz tych terenów?

– A ja jestem Anna... Cornick. – Wydawało jej się, że najlepiej przedstawić się nazwiskiem Charlesa. Znów uśmiechnęła się niepewnie. – Jesteśmy małżeństwem od niedawna i jeszcze nie przywykłam do nowego nazwiska. A ty pewnie bierzesz udział w poszukiwaniach tego myśliwego, tak? Powiedziano nam, że nikt nie zapuszcza się tak daleko. Ja jestem żółtodziobem, lecz mój mąż zna te tereny.

– Tak, jestem z ekipy poszukiwawczej – potwierdziła Mary.

– Nie powinniście chodzić dwójkami? – zapytała Anna. Nie wiedziała tak naprawdę, jak to wygląda, ale wydawało jej się to naturalne. Jack i Heather chodzili razem.

Mary wzruszyła ramionami.

– Moja partnerka gdzieś tu się kręci. Pokłóciłyśmy się i poszła sobie, jak jej przejdzie, to mnie znajdzie. – Uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Ma babka charakterek.

Mary ruszyła ku Annie, lecz nagle stanęła i rozejrzała się wokół. Anna też coś poczuła. Jakby pomiędzy drzewami przeleciał wicher zła.

Rozległ się warkot.



9

Asil usuwał w szklarni przekwitłe kwiaty róż. Rośliny nie były tak wspaniałe jak te, które rosły w domu, w Hiszpanii, ale i tak bez porównania piękniejsze od tych hodowanych na sprzedaż, od których zaczynał. Jego hiszpańskie róże były rezultatem setek lat pieczołowitej hodowli. Wtedy, dawno temu, nie myślał o tym, ale teraz żałował, że je zostawił.

Jednak utrata kwiatów nie znaczyła nic w porównaniu z utratą Sarai.

Miał cichą nadzieję, że ktoś zajął się różami, ale stan, w jakim zostawił majątek, dawał nikłe szanse, że kwiaty przetrwały, zanim ktoś doszedł, co zrobić z domem. Jednakże przecież przez kilkadziesiąt lat, nim opuścił dom, wymieniał sadzonki z innymi hodowcami. Gdzieś w świecie istnieją pewnie rośliny z jego hodowli. Może jeśli Bran pomoże mu żyć jeszcze parę lat, postara się ich poszukać?

Ktoś zapukał energicznie do drzwi, po czym otworzył je bez czekania na zaproszenie. Nawet nie spojrzął na gościa. Sage nachodziła go w szklarni, odkąd wybudował swoją świątynię

dumania. Już dawno starłby z ziemi każdego, kto zakłócał mu spokój w jego samotni, ale usadzenie Sage było jak trzepnięcie szczeniaczka – nie zyskiwało się tym nic prócz poczucia winy.

– Halo! Halo! – zawołała, choć nos z pewnością powiedział jej, gdzie dokładnie Asil się znajduje.

Właśnie tak zazwyczaj się witała. Asil podejrzewał, że sprawdza w ten sposób, czy nie ma akurat napadu szału. Miał kilka takich epizodów zaraz po przyjeździe do Aspen Creek. Kiedy Sage zaczęła przychodzić, Asil pomyślał, że to Marrok ją przysyła, aby sprawdzić, na ile jest jeszcze przy zdrowych zmysłach. Jeśli tak, to był to przejaw rozsądku, a Asil dawno już przestał się zastanawiać nad powodem tych wizyt.

– Tu jestem – powiedział niegłośnie, wiedząc, że usłyszałyby nawet, gdyby szeptał, a on już dawno przestał udawać człowieka.

Nie podniósł głowy znad kwiatów, kiedy podeszła z tyłu. Ramy jego kanonów piękna poszerzyły się znacznie przez lata, a nawet gdyby nie, Sage i tak wpasowałyby się w nie bez reszty.

Sarai często trzepała go w głowę, kiedy oglądał się za inną, choć dobrze wiedziała, że nigdy by jej nie zdradził. Teraz kiedy jej nie było, prawie nie zwracał uwagi na inne kobiety.

Flirtowanie nie budziło w nim wyrzutów sumienia wobec nieżyjącej towarzyszki, ale tęsknił za jej żartobliwymi przejawami zazdrości. Oczywiście, mając okazję podrażnienia się z tym tak opanowanym Charlesem, z radością stawiał czoła wspomnieniom.

– Ojej, Asil, ty się uśmiechasz! Ktoś umarł? – Sage nie oczekiwała odpowiedzi, bo ciągnęła: – Masz coś dla mnie do roboty?

– Usuwam przekwitłe pąki – powiedział, choć widziała, co robi.

Czasami miał dość tych nic nieznaczących rozmówek, powielanych przez tyle setek lat. Był zmęczony ludźmi i ich

problemami, które nie zmieniły się od początków świata.

Ciekawiło go, jakim sposobem Bran udaje zainteresowanie drobnymi sprawami. A jednak, pomyślał Asil z gorzką autoironią, nie jestem tak znudzony życiem, skoro chwyciłem się koła, które rzucił mi Bran.

Jego opryskliwość odbiła się od niesłabnącej wesołości Sage. To właśnie cenił w Sage – nie musiał jej ciągle przeproszać za swoją huśtawkę nastrojów.

Zdjęła kurtkę i podeszła do sąsiedniego rzędka krzaków, zorientował się więc, że jest w nastroju do pogaduszek. W innym razie poszłaby pracować z drugiej strony, gdzie by sobie nie przeszkadzali.

– Co sądzisz o towarzyszce Charlesa? – zapytała.

Asil chrząknął z uznaniem. Dręczenie Charlesa sprawiało mu dziką radość i nie potrafił się temu oprzeć. Rzadko komukolwiek udawało się wytrącić Charlesa z równowagi. Poza tym Anna przypominała mu Sarai – nie z wyglądu, bo jego ukochana miała południową urodę, tak jak on, ale obie emanowały tym samym wewnętrznym spokojem.

– Mnie się podoba – paplała Sage. – Ma silniejszy charakter, niż można by się spodziewać, szczególnie po tym, jak jej Alfa przez lata ją maltretował.

– Maltretował Omegę? – Asil był wstrząśnięty.

– Całymi latami – przytaknęła. – Ten Leo to niezła sztuka. Wybił pół swojego stada albo dał to zrobić swojej zwariowanej towarzyszce. Kazał nawet jednemu ze swoich Przeistoczyć Annę wbrew jej woli. Nie rozumiem, czemu Charles nie wytłukł ich wszystkich. Przecież ani jeden nie stanął w jej obronie. Tak trudno było zadzwonić do Brana?

– Jeśli Leo im zakazał, to nie mogli skontaktować się z Branem – rzekł Asil nieobecny tonem. Znał Leo, Alfę z Chicago, i nawet go lubił. – Chyba że któryś okazałby się prawie tak dominujący jak Leo, a to mało prawdopodobne.

Leo był niezwykle silnym przywódcą i, Asil mógłby przysiąc, honorowym mężczyzną. Może Sage coś pomieszała? Usunął kilka brązowych kwiatów i zapytał:

– Nie wiesz, czemu Leo miałby się tak zachowywać?

Popatrzyła na niego ponad kwiatami.

– Chyba jego towarzyszka wpadła w szaleństwo. Zabiła z zazdrości wszystkie kobiety w stadzie, a potem poprzemieniała dla siebie oddział przystojniaków. Leo chyba liczył, że mając w stadzie Omegę, uspokoi Izabelę. Rzeczywiście, mniej lub bardziej, ale działało. Tyle że chcąc podporządkować sobie Annę, zmuszał ją do uległości gwałtem.

Asil poczuł zimny dreszcz. W kontekście niezwiązanej kobiety w stadzie słowo „gwałt” było znacznie gorsze niż „maltretowanie”. Termin „maltretowanie” zmienił wydźwięk przez lata, natomiast „gwałt” znaczył tyle samo, co gdy dorastał.

– W jakim sensie? – zapytał z trudem, przypominając sobie gniew, w jaki wpadł Charles, gdy przyniósł Annie kwiaty. Kiedy stał w progu, ponad ramieniem Charlesa mignęła mu twarz Anny. Czyżby to było przerażenie?

Niech szlag trafi jego talent do pchania się w tarapaty. Co on najlepszego narobił?

Sage wbiła palce w ziemię, najwyraźniej wspominając to, co sama przeszła, a co skłoniło ją do poszukiwania azylu w Aspen Creek na kilka lat przed jego przybyciem. Powinien przeprosić, że przywołał jej na myśl tamte mroczne chwile. Niezdarny, niezdarny Asil.

– A jak myślisz? – odezwała się w końcu stłumionym głosem.

– O Allachu... – westchnął cicho. Nigdy wcześniej nie udało mu się tak poruszyć Charlesa. A potem zostawił to biedne dziecko z efektami swojej zabawy, wychodząc z założenia, że każda Omega jest w stanie uspokoić swojego towarzysza. Nie zdawał sobie sprawy, że wcześniej tyle przeszła. Naprawdę

powinien nakłonić Brana do odebrania mu życia już dawno temu.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Sage.

– Muszę porozmawiać z Charlesem – stwierdził Asil, odkładając nóż. Po tylu latach uwierzył już, że jest nieomylny. Myślał, że chłopak zwleka ze skonsumowaniem związku, aż wyleczy się z ran, a on po prostu nie chciał ponaglać ukochanej.

Poranna wizyta Charlesa i te pytania oznaczały, że coś poszło nie tak... Naraz Asil zdał sobie sprawę, że Charles nie miał na myśli Sarai, wypytyując go, co dzieje się z dręczoną Omegą. Chodziło mu o Annę.

– To będzie dość trudne – oświadczyła Sage cierpko. – Zabrał Annę w góry Cabinet. Ścigają jakiegoś zdiczatego wilkołaka. I raczej nie złapiesz ich tam na komórcę.

– Zabrał ją w góry? – Asil spojrzał na Sage z niedowierzaniem, przypominając sobie, jak podczas pogrzebu Charles ukrywał utykanie. Dzisiaj rano wyglądało to lepiej, ale Asil i tak widział, że chodzi dość sztywno. – Przecież jest ranny.

– Uhm. Słyszałam, że oberwał w Chicago. Dostał trzy srebrne kulki. Ale w górach szaleje wariat i zabija ludzi. W tym tygodniu zamordował jednego i ranił strażnika, partnera Heather Morrell. Jeśli mamy się ujawnić, trzeba się go pozbyć, zanim zabije kogoś jeszcze. A kogo miał Bran posłać, jeśli nie Charlesa? Samuel się nie nadaje, nawet gdyby tu został, a rano pojechał z powrotem do Waszyngtonu. Mówi się, że to może być intryga wilkołaków z Europy, które sprawdzają, czy uda im się narobić dość zamieszania, żeby Bran zrezygnował ze swoich planów. Dlatego potrzebował silnego przewodnika.

Asila już dawno temu przestało zadziwiać, skąd Sage wie o wszystkim, co dzieje się w stadzie Marroka.

– Mógł wysłać mnie – oświadczył, nie myśląc nawet, co mówi. To, że Anna poszła z Charlesem, to chyba dobry znak?

W każdym razie istnieje szansa, że nie wyrządził żadnych poważnych szkód swoimi gierkami.

– Ciebie? – zdziwiła się Sage. – Tak myślisz? Bo ja nie bardzo po tym, co widziałam wczoraj w kościele.

– Mógł wysłać mnie – powtórzył. Wiedział, że Sage zaczyna podejrzewać, iż jego szaleństwo jest fingowane. Bran prawdopodobnie też tak uważał, skoro nie zabił go mimo piętnastu lat próśb. Wiecznie powtarzał: „Jeszcze nie czas”. Szkoda, że oboje się tak mylili. Szaleństwo Asila było bardziej podstępne, nie tak wyrazne i w efekcie mogło ich zabić.

Stanowił zagrożenie dla otoczenia i gdyby nie był takim tchórzem, zmusiłby Brana do rozwiązania problemu zaraz po przybyciu albo niedługo później.

Asil miał dług wdzięczności wobec Brana, a pozbycie się rozszalałego wilkołaka mogłoby stanowić choć część spłaty.

– Charles nie jest aż tak ciężko ranny – stwierdziła Sage pojednawczo. – Bez przesady.

A więc Charlesowi udało się ukryć przed wszystkimi swój stan zdrowia. Prawie przed wszystkimi. Asil potrafił sobie wyobrazić, ile musiało kosztować tego starego wilka przybycie do kościoła, gdzie miał taką widownię.

Odetchnął głęboko. Charles był twardy i lepiej niż ktokolwiek inny znał te góry. Nawet dla rannego samotny odszczepieniec nie będzie wielkim wyzwaniem. Da sobie radę. Wystarczy, żeby Asil przeprosił ich oboje, kiedy wrócą. Miał nadzieję, że nie wyrządził im trwałych szkód swoją bezmyślnością. Podkusiła go zazdrość. Zazdrość o ten spokój, który podarowała mu Anna i który przywołał tyle wspomnień...

Och, Sarai, byłabyś mną rozczarowana...

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział, podnosząc nóż i powracając do pielęgnacji kwiatów.

Tylko dlaczego europejskie wilki miałyby wysłać jednego wilkołaka? A może nie był sam? Może Charles będzie potrzebował pomocy...

Westchnął. Był temu chłopcu winien przeprosiny, które nie mogły czekać. Znając ich planowaną trasę, da radę ich wysledzić i sprawdzić, czy nie popsuł czegoś w więzi pomiędzy nim i jego towarzyszką.

– Muszę porozmawiać z Branem – oświadczył, rzucając ponownie sekator i ruszając do drzwi. Zamknąwszy wewnętrzną śluzę, wyszedł na zewnątrz. Zimne powietrze okryło Asila niczym płaszcz Królowej Śniegu. Kontrast pomiędzy suchym mrozem i wilgotnym gorącym szklarni był tak cudowny, że aż zaparło mu dech w piersiach. Słyszał, że Sage wyszła zaraz za nim, zakładając kurtkę, ale nie zatrzymał się.

– Nie wiem, czy to europejskie wilki – rzekł Bran spokojnie, wysłuchawszy niepochlebnego zdania Asila na temat wysyłania ранego Charlesa na przeciwnika nieznanego z zamiarów ani liczebności. A opinię swą Asil wyraził w słowach niezbyt dyplomatycznych, oględnie mówiąc. – Myślę, że to raczej zwykły szalenciec. Góry Cabinet są odizolowane i mogą przyciągać kogoś, kto nie może zaakceptować, czym się stał. Nawet jeśli to Europejczycy, to i tak jeden przeciwnik. Gdyby było ich więcej, Heather nie zdołałaby odstraszyć nawet tego jednego napastnika.

Przerwał, lecz Asil tylko skrzyżował ramiona na piersi, całą postawą dając do zrozumienia, że nadal uważa Brana za głupca.

Bran z uśmiechem wsparł się stopami o biurko.

– Charles nie jest przecież sam. Nawet gdyby było tam więcej wilkołaków, dwa, trzy, to dadzą sobie z Anną radę. Grupę składającą się z więcej niż trzech wyczułbym tak blisko Aspen Creek.

Rozsądne wyjaśnienie. Dlaczego więc Asil czuł narastający strach? Dlaczego intuicja podpowiadała mu, że wysłanie Charlesa w pościg za tym wilkołakiem było głupim posunięciem? I kiedy, zamiast o Charlesa, zaczął martwić się istotą, którą ścigali? Czyli tym wilkołakiem?

– Jak wyglądał ten wilkołak? – zapytał, przestępując z nogi na nogę. Pochłonięty myślami, nie przejmował się brakiem opanowania.

– Podobny do owczarka niemieckiego. Podpalany, z ciemnymi znaczeniami i siodłem. Plus białą łatką na przedniej łapie. Opisali go tak samo i ten uczeń, i Heather.

Drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie, do środka wpadła Sage.

– Czy...? O, widzę, że tu jest. Co się stało?

– Nic – uspokoił ją Bran. – Idź do domu, Asil. Masz odpocząć. Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem.

Asil, wychodząc, zderzył się z Sage. Już nie martwił się o Charlesa. Takie ubarwienie sierści mogło być powszechne wśród wilczurów, ale rzadko spotykane wśród wilkołaków.

Sarai tak wyglądała, podpalana, z ciemną łatą w kształcie siodła i białą na lewej łapie.

Zatopiony w myślach, przestał się kontrolować i przypadkiem urwał klamkę od swojego samochodu, przez co musiał wsiąść za kierownicę od strony pasażera. Nie pamiętał nawet drogi do domu – cały czas na pierwszy plan wybijała się potrzeba ukrycia się, silniejsza nawet od potrzeby posłuchu Alfie.

Nie wprowadził wozu do garażu, zostawiając na pastwę żywiołów, które targwały także nim samym. Wszedł do sypialni, otworzył szafę i wyjął z niej ulubioną koszulę ukochanej, wytartą i wypłowiałą. Nawet jego wrażliwy nos nie wyczuwał już zapachu Sarai, ale wystarczała mu świadomość, że tkanina dotykała kiedyś jej skóry. Nie miał po niej żadnej innej

pamiętki. Położył koszulę na poduszce i wśliznął się do łóżka, wtulając policzek w materiał.

Stało się, pomyślał. Wreszcie naprawdę oszalałem.

Niemożliwe, żeby to była jego Sarai. Nigdy nie zabiłaby nikogo bez konieczności. Poza tym nie żyła już od dawna. Sam ją znalazł, na długo po tym, jak zginęła. Podniósł jej z maltretowane ciało i obmył. Musiał je spalić z solą i wodą święconą, wiedząc, jak umarła, i nie chcąc dopuścić, by powstała z martwych. Zrobił to na wszelki wypadek, bo ani ród Mariposy, ani wiedźmy, do której posłali ją po nauki, nie należały do tych, które zajmowały się nekromancją.

Nie. To nie Sarai.

W żołądku czuł kamień, gardło miał ściśnięte, oczy piekły od łez, a zadawniony gniew burzył mu krew. Powinien był zabić wiedźmę, a nie uciekać. Lecz uciekł, nie mszcząc się za śmierć żony, bo bał się tego, czym stała się Mariposa. Bał się wiedźmy, która polowała na niego tak, jak wcześniej na Sarai.

Dopiero gdy nie miał już siły uciekać, gdy stało się jasne, że nie uda mu się jej zabić, jak zamierzał, przybył tutaj, aby umrzeć i nareszcie dołączyć do ukochanej. Ale Marrok, a potem jego róże sprawiły, że postanowił zaczekać.

Nie znalazła go tutaj. Może przestała w końcu szukać, zyskując moc tak wielką, że przestała go potrzebować. Może chroniła Asila siłą Marroka, tak jak chroniła całe stado.

Kiedy tak leżał, łapiąc oddech, w Maurze narastało przekonanie, że nadszedł na niego czas. Miłośnie poskładał koszulę i ruszył ku drzwiom z postanowieniem, że tym razem przekona Brana.

Nie udało mu się jednak otworzyć drzwi, nie potrafił zmusić się, by dotknąć klamki. Ryknął z wściekłości, ale na nic się to zdało. Nie mógł złamać rozkazu Brana, a w zamyśleniu nawet nie zauważył, że Alfa wydał mu prawdziwy rozkaz – do jutra ma tu zostać, nie opuszczając domu, który od tylu lat jest jego

azylem, samotnią i schronieniem, gdzie krył się przed morderczynią ukochanej żony.

W takim razie jutro. Uspokoił się trochę. Najpierw jednak naprawi to, co popsuł. Jutro pomoże Charlesowi ze zdziczałym wilkołakiem i opowie wszystko, co mogłoby chłopakowi się przydać w życiu z Omega. A potem skończy z tym wszystkim.

Omyła go fala ulgi tak wielka, że aż wywołała na twarzy uśmiech. Jeśli Bran nie będzie chciał zabić Asila, Charles po wczorajszym zrobi to bardziej niż chętnie.

Uspokojony, wrócił do łóżka. Świadomość bliskiego końca zdjęła mu z barków ciężar wieków. Dotknął starej tkaniny, wyobrażając sobie, że Sarai leży teraz koło niego.

Ból powoli odchodził, łagodzony myślą, że już niedługo będzie po wszystkim, już na zawsze wieczność zmieni się w ciemność i spokój. Na razie wypełniała Maura jedynie pustka. Zasnąłby, gdyby nie ciekawość, jego grzech główny, która kazała zastanawiać się, kim jest wilkołak, który waży się zabijać ludzi tuż przy granicy terytorium Marroka.

Asil aż jęknął, siadając gwałtownie.

Tuż pod nosem Marroka. Zabija, wygląda jak jego ukochana. Pod nosem Marroka czy Asila?

I te sny... Sny zawsze stawały się wyrazistsze, gdy wiedźma zbliżała się do niego.

Sarai mordująca ludzi? Potarł oczy. Sarai prawie nie polowała, nawet przy pełni. Poza tym Sarai nie żyła.

Mimo grozy świadomości, że wiedźma znajduje się tak blisko, odkrył w swym sercu nadzieję. Wiedział jednak, że Sarai jest martwa, tak samo jak wiedział, że Mariposa jakimś cudem skradła jego więź z towarzyszką.

A to powinno być niewykonalne dla wiedźmy. Wilkołaki utrzymywały swoją magię w tajemnicy przed innymi istotami. Gdyby ktoś dowiedział się, na czym polega, nawet gdyby tylko jeden ród odkrył, jak ją wykraść, takich wypadków byłoby

więcej, na pewno by o nich usłyszał. To musiał być przypadek, jakiś efekt uboczny czegoś innego, choć przez te wszystkie lata nie udało mu się dojść, dlaczego tak się stało. Podejrzewał jedynie, że może to być związane z nieśmiertelnością, którą Mariposa zyskała, zabijając Sarai.

Choć przez cały czas trzymał więź odciętą, nadal czasami czuł szarpnięcie. Tak samo jak wtedy, gdy Mariposa wypróbowała połączenie tego pierwszego dnia, zanim dowiedział się, co się wydarzyło.

Myślał, że to Sarai. Wyczuwał, że coś jest nie tak, ale zbyt duża odległość sprawiła, że nie mógł zrozumieć, co się dzieje. A potem obudził się pewnej nocy z twarzą zalaną łzami, choć nie pamiętał, co mu się śniło. Sięgnął do swojej ukochanej Sarai, a na drugim końcu odkrył obce szaleństwo.

Resztę drogi do domu przebył biegiem, nie ustając ani na chwilę przez dwa dni, trzymając połączenie zamknięte mocno, by nie dotknąć ponownie tej... obrzydliwości. A gdy znalazł Sarai martwą, gdy wyczuł w domu magię i Mariposę, wiedział, co zaszło.

Wiedźma zaczęła polować na Asila dwa miesiące później – do tej pory nie wiedział, czego od niego chce. Od niego, który uciekał przed pustką, który uciekał przed dzieckiem, co ledwie weszło w drugą dekadę życia. Uciekał, bo zabrała Sarai, więc mogła też zabrać i jego. A był zbyt stary, zbyt potężny, by pozwolić wiedźmie uczynić z siebie zabawkę, obojętnie, czy wykorzystalaby go żywego, czy martwego.

Jego Sarai nie żyła. Zgasił iskrę nadziei, która zapłonęła w sercu. Sarai nie żyła, ale może Mariposa znalazła sposób, by korzystać z jej wilczej formy, może używała iluzji?

Tak, to możliwe. Trzy ataki i dwie ofiary uszły z życiem. Ludziom rzadko udawało się umknąć kłom wilkołaka.

Miewał już do czynienia z czarną magią. Sarai była zielarką, to ona nauczyła go hodować rośliny pod dachem. Sprzedawała

swoje zioła czarownicom, dopóki pomiędzy rodami nie rozgorzała wendeta i nie stało się to zbyt niebezpieczne. Iluzje były powszechnymi zaklęciami wśród wiedźm. Nie słyszał natomiast, by iluzje potrafiły ranić, a tym bardziej pozbawiać życia. Jednakże podejrzania, że to Mariposa stoi za tymi atakami, przerodziły się w pewność. Kolejny powód, by odnaleźć Charlesa – musiał powiedzieć mu, z czym ma do czynienia.

Poza tym Asil nie może dopuścić, by kto inny staczał za niego jego bitwy, a jeśli to Mariposa, to Maur był celem.

Przymknął oczy, lecz niemal natychmiast je otworzył.

Robi z igły z widły. Przecież Bran mówił o odszczepieńcu w męskiej formie. Czyli Asil pozwala, by jego lęki ubarwiały obraz.

To nie wilkołak widział intruza, pisnął cienki głosik. Czy ludzie potrafiliby w takiej sytuacji rozróżnić płęć napastnika? Poza tym kobiety-wilkołaki spotykało się znacznie rzadziej, może więc Bran po prostu założył, że to osobnik płci męskiej?

Asil nie widział żadnej od pół wieku. Ani razu też, odkąd postawił nogę na tym kontynencie, nie poczuł zapachu wiedźmy. Starannie zacierał za sobą ślady i poprosił Brana, by utrzymywać jego obecność tutaj w sekrecie.

Poza tym jeśli to naprawdę Mariposa, jeśli przybyła tu za nim, to czemu po prostu nie pojawiła się w domu?

To nie ona... Czekał, aż przyjdzie fala ulgi. To pewnie nie ona.

Sarai utracił na zawsze. Zginęła przed dwoma wiekami, sam ją pochował. Nigdy nie słyszał, by iluzja mogła wyrządzić fizyczną krzywdę.

A może iluzją było ciało, które spalił? Odpoczywaj, nakazał mu Bran. Asil poczuł, jak wiotczeją mu mięśnie, mimo że w głowie nadal szalały myśli. Ustawił rzadko używany budzik na północ. Bran mógł mieć na myśli ranek, każąc mu zostać

w domu, ale nie sprecyzował tego, więc Asil mógł rozumieć to, jak chciał. A jutro mógł wyruszyć na poszukiwanie odpowiedzi.



Anna poruszyła się, zanim pomyślała. Mary, która wyciągnęła rękę, by ją złapać, trzymała w garści trochę jej włosów. Anna wyrwała się, stając pomiędzy człowiekiem a istotą czającą się pomiędzy drzewami. Wydawało jej się, że to wilkołak, ale wiatr był przeciwko niej, nie chcąc przynieść zapachu. Czyżby wilk, którego ścigał Charles, zawrócił?

Jednak potwór, który wynurzył się spomiędzy krzewów, był znacznie większy od spotkanego dzisiaj wilkołaka. Przypominał owczarka niemieckiego, tylko że ważył najmniej dwa razy więcej, miał długie kły i poruszał się bardziej jak kot niż pies.

Czyli były aż dwa wilkołaki.

A jeśli nawet więcej? Jeśli Charles ruszył za jednym i wpadł w pułapkę, otoczony przez grupę?

Wilkołak zignorował Mary, skupiając się całkowicie na Annie. W chwili, gdy rzucił się na nią, Anna też wystartowała. Rakiety śnieżne utrudniały ruchy, ale nie musiała biec daleko, a poza tym też była wilkołakiem.

Trzy susy i chwyciła za lufę leżącą na ziemi broń. Stanąwszy stabilnie, zamachnęła się na napastnika, przywołując doświadczenie czterech lat treningów softballowych i całą siłę wilkołaka.

Intruz nie spodziewał się po Annie takiej siły. Nawet się nie uchylił. Broń co prawda nie nadawała się już po tym ciosie do strzelania, ale rozległ się trzask łamanej kości i wilk przetoczył się po śniegu. Podnosząc się, zaskowyczał boleśnie.

Coś śmignęło obok Anny, z paszczy wilkołaka wyrwał się kolejny skowyt, a na jego biodrze wykwitła krew. Na śnieg

upadł niewielki kamień. Wilk popatrzył ponad ramieniem Anny, warknął i czmychnął pomiędzy drzewa. Anna nie pobięła za nim, lecz nie odrywała wzroku od miejsca, gdzie zniknął wilk.

– Nic ci nie jest, kotku?

Nogi ugięły się pod nią z ulgi na dźwięk głosu Charlesa. Miała nadzieję, że to on cisnął kamieniem, choć przecież mogła to zrobić także zagubiona partnerka Mary. Anna rzuciła na ziemię resztki broni i przypadła do Charlesa.

– Ej... – Objął ją stanowczo. – To tylko wielki pies, cholernie wielki pies. Już po wszystkim, nic się nie stało. – Choć było to przedstawienie dla człowieka, jego ramiona obejmowały Annę mocno, przyciskając do kurtki. Ciemnoczerwonej tym razem. O wiele bardziej pasowała do niego niż ta jaskrawa, która ucierpiała w starciu z wilkołakiem.

Dobrze, że potrafi wyczarować sobie ubranie po przemianie, pomyślała Anna przelotnie. Inaczej ciężko byłoby wyjaśnić, czemu gonił niedźwiedzia w stroju Adama.

– Niezły rzut – mruknęła, tłumiąc niestosowny chichot.

Udało jej się! Obroniła się przed potworem. Pokonała go. Była już bezpieczna, w ramionach Charlesa, a radosne podniecenie przesłoniło wszystko, co przed chwilą przeżyła. I to nie tylko obroniła siebie, ale także drugą osobę!

– Wujek nauczył mnie, jak byłem mały. Jeszcze lepiej idzie mi z procą. Każda broń dystansowa jest lepsza niż machanie na potwora popsutym karabinem. Kim jest twoja znajoma?

Anna westchnęła po raz ostatni, pociągając nosem, po czym odsunęła się, niechętnie rezygnując z ciepła Charlesa. Kobieta kuliła się przerażona pod drzewem.

– Mary, to mój mąż, Charles. Charles, to Mary...

– Alvorado – dokończyła kobieta drżącym głosem. – *Madre de Dios*, co to było?

Anna najwyraźniej uważała, że kobieta jest tylko zwykłą turystką lub ratowniczką górską. Na kurtce Anny widniała plama krwi, ale wydawało się, że to po zwykłym krwotoku z nosa, spowodowanym wysokością. Charles pogładził Annę po policzku, po czym przybrał minę zatytułowaną przez Samuela „stary, poczciwy Indianiec”.

Samuel twierdził, że ta jowialna mina napawa go lękiem, bo wie, co się za nią czai, lecz większości ludzi brakowało przenikliwości jego brata.

– Miło cię poznać. – Charles rozciągnął wargi w uśmiechu i pozwolił, by serdeczne iskry zapaliły się też w oczach, które zwrócił na kobietę.

Była mocno okutana, więc nie mógł jej się porządnie przyjrzeć, ale nie miało to znaczenia przy jego pamięci węchowej. Od razu wiedział, że nigdy wcześniej kobiety nie spotkał.

Pamiętał oczywiście, że w pobliżu czają się dwa wilkołaki, ale w pierwszej kolejności postanowił zająć się potworem, który był pod ręką.

Odstąpił od Anny, nieprzypadkowo przesuwając się tak, by stanąć pomiędzy ukochaną a nieznaną.

– Właśnie goniłem tego... – Przeklął się w duchu za nieuwagę, nie mógł przecież powiedzieć, że gonił wilkołaka. Nie żeby kobieta nie wiedziała, co właśnie stąd przepędzili, ale jeśli nie zdawała sobie sprawy, czym są on i Anna, nie zamierzał jej o tym informować. A jeśli nawet ich rozpoznała, cóż, nie chciał zdradzać, że i on ma świadomość jej przynależności do istot nadprzyrodzonych, posługujących się magią. Zamierzał ukryć przed nieznaną tyle, ile się dało. Zająknął się więc w pół słowa, ale zanim przerwa stała się wyraźna, na pomoc przyszła mu Anna.

– Głupiego niedźwiedzia – dokończyła, besztając Charlesa wzrokiem, jakby myślała, że zamierza dodać jakiś

nieparlamentarny epitet. Nie spodziewał się, że ma taki szybki refleks. – Odzyskałeś naszą zapalniczkę?

Ach, więc to było jego zadanie? Potrząsnął głową.

– Niestety. Wiesz, co mówią o prześcignięciu niedźwiedzia? Mają rację. A na dodatek rozerwał mi rakiety, więc brnąłem w śniegu.

Wilkołak, którego ścigał, był nieuchwytny. Najpierw podkradł się do nich niepostrzeżenie, a potem zniknął jak duch. W pierwszym wypadku mógłby obwinić za swoje roztargnienie Annę, choć nigdy wcześniej taka nieuwaga mu się nie przydarzyła. Jednak w sposobie, w jaki wilkołak rozpułnął się dosłownie w powietrzu, było coś niesamowitego.

Zgubiwszy trop, Charles nie tracił czasu na jego szukanie. Zawrócił, nie chcąc ryzykować bezpieczeństwa Anny. Wilkołak mógł zrobić pętlę i zaatakować dziewczynę ponownie. Chwilowo poddał się więc i wrócił. W sam czas, jak się okazało.

Mary Alvorado wyprostowała się, a potem zatoczyła, jakby straciła równowagę, i wsparła ręką na jego piersi. Poczul, jak jej zakłęcie spływa po jego osłonach.

Za to zapach furii Anny mógłby spopielić las. Czyżby okazała zazdrość? Sytuacja była zbyt groźna, by się rozpraszać, ale... Czy Anna nie zdawała sobie sprawy, że nie jest zainteresowany nikim innym poza nią?

– O tej porze roku nie powinno tu być niedźwiedzi – powiedziała kobieta drżącym głosem. Nie wiedział, czy zorientowała się, z kim ma do czynienia, czy nie.

– Niedźwiedzie nie przesypiają całej zimy bez przerwy – wyjaśnił Charles, jakby nie miał nic przeciwko dłoni Mary na swojej piersi. A miał. I miałyby nawet, gdyby nie wywoływała tych nieprzyjemnych dreszczy. Nie Pradawna, stwierdził. Nie duch ani ghul, jedno i drugie spotkał raz czy dwa. Coś bardziej ludzkiego. Nie czarownica, choć jego wilk zareagował podobnie. W takim razie jakaś zła istota. – Nie przechodzą pełnej

hibernacji. Czasami się budzą. Rzadko, ale można je spotkać nawet w samym środku zimy. Mieliśmy pecha, że wpadliśmy na jednego. Jednak ten pies, który się na was rzucił, był strasznie dziwny.

Mary nosiła na sobie zapach czarnej magii. A więc wiedźma, zła wiedźma. Niech to lichy. Wolałby zmierzyć się z oddziałem ghuli niż z wiedźmą.

– Może zdziczały pies? – podsunęła Anna, cedząc przez zęby.
– Słyszałam, że czasem tworzą stada, jak wilki.

– Za daleko jak na psy – rzekł Charles, nie odrywając oczu od wiedźmy. – Czasami można się natknąć na bezpańskiego psa w lesie, ale mało które domowe zwierzę przeżyłoby samo zimę w Montanie.

Dostrzegł jakiś ruch za wiedźmą i na moment zerknął w to miejsce, żeby zobaczyć ducha wyraźniej. Cień wilka wyszczerzył zęby i zniknął. Jakby Charles sam nie wiedział, że kobieta jest niebezpieczna.

Już czas wyjaśnić pewne sprawy – zanim zazdrość Anny przerodzi się w prawdziwe cierpienie.

Zrzucił swoją maskę i uśmiechnął się łagodnie do Mary. Nie była szczególnie bystra, bo nie zobaczyła zerkającego na nią brata wilka. No chyba że zauważyła, tylko lubiła odrobinę niebezpieczeństwa. W każdym razie przysunęła się bliżej i podniosła na Charlesa oczy.

– Ale te wyjaśnienia nie są potrzebne, prawda, Mary Alvorado? Bo dobrze wiesz, że to był wilkołak.

Z twarzy kobiety opadła maska obojętności. Gdyby nie wiedział, kim jest, wziąłby tę minę za zdumienie.

– Co? Przecież wilkołaki nie istnieją.

Wypadła z roli, usiłując spojrzeć mu w oczy – nie mogła tego zrobić. Jako kobieta przywykła do machania rękami na mężczyzn, zapomniała, żeby nie próbować tego z wilkołakiem.

Nie cofnęła się co prawda, ale widać było, że ma na to wielką ochotę.

– Naprawdę? W takim razie pewnie nie istnieją także wiedźmy – rzekł Charles miękko.

Zabrała wreszcie rękę.

– Kim jesteście?

– O nie. – Pokręcił głową. – Ty pierwsza. Kim jesteś?

– Ja? Szukam zaginionego myśliwego.

Z tego, co mógł stwierdzić, powiedziała prawdę. Zmarszczył brwi, szukając sposobu, by sprawdzić dokładniej tę prawdę.

– Żeby go uratować? – mruknął. – Czy wykorzystać do magii?

Uśmiechnęła się smutno.

– Raczej wątpię, żeby to było możliwe. Zaginął w lasach, gdzie grasuje oszalały wilkołak. Myślisz, że istnieje choć cień szansy, że myśliwy jeszcze żyje?

– Skąd wiesz o wilkołaku?

Zadarła wyzywająco brodę.

– Bo też dlatego tutaj jestem. – Prawda.

– Kim jesteś? I co wiesz o wiedźmach i wilkołakach?

Może rzeczywiście była tym, za kogo się podawała. Charles słyszał o wiedźmach, które pracowały dla różnych organów porządku publicznego. Wiedział też, że to, iż jest wiedźmą, nie znaczy wcale, że nie szuka zaginionego. Wiedźmy najmowały się do prywatnych zleceń i czasami, całkiem przez przypadek, mogły znaleźć się po stronie dobra.

Jednak odpowiedzi udzielała bardzo przemyślanych, poza tym Charles nie zamierzał lekceważyć ducha. Na pewno nie była sprzymierzeńcem. Duch pod postacią wilka był jego przewodnikiem – choć Charles uważał, że forma jelenia bądź zająca stanowiłaby element przewrotnej ironii. A to szczerzenie kłów nie musiało oznaczać, że wiedźma jest wrogiem, a tylko, że mu nie sprzyja.

– Możesz zostawić tego wilkołaka nam – rzekł. – To nie twoja sprawa.

– Owszem, moja – odparła spokojnie.

Prawda. Tym razem bez reszty. Ciekawe, czemu wiedźma twierdzi, że wilkołak to jej sprawa...

– Nie chcesz mi wchodzić w drogę – powiedziała łagodnie, jej ciepły oddech owiał jego twarz.

– Nie. – Cofnął się, kręcąc głową, lecz nie mógł sobie przypomnieć, czemu się sprzeciwia.

– Teraz moja kolej na zadawanie pytań. Ty będziesz odpowiadał.

Gdyby mógł, przeklinałby teraz swoją arogancję, która powstrzymała go przed złapaniem Anny i ucieczką jak najdalej od kobiety w tej samej chwili, gdy zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Teraz jednak mógł tylko czekać na pytania wiedźmy.



Charles nazwał kobietę wiedźmą, a ona nie zaprzeczyła. Anna nie miała wątpliwości, że to coś oznaczało, jednak nie wiedziała co. Czy ta wiedźma szła za nimi? Albo za wilkołakiem?

Jednakże dużo istotniejszą rzeczą było teraz dla niej zachowanie kobiety. Jeśli to babsko nie zabierze łap od Charlesa, Anna jej w tym pomoże, a niewykluczone, że będzie to pomoc bolesna, a nawet krwawa.

Chęć zrobienia kobiecie krzywdy zaskoczyła ją, a w tym czasie Charles zatoczył się, cofając od wiedźmy. Coś się wydarzyło, została naruszona jakaś równowaga. W powietrzu unosił się lekki zapach ozonu, całkiem jakby, mimo pory roku, zaraz miał rozbłysnąć piorun.

Włoski na karku Anny stanęły dęba – bardzo użyteczne ostrzeżenie. Jakby i bez tego nie zorientowała się, że coś jest nie tak. Szkoda, że te włoski nie powiedziały jej raczej, o co chodzi i jak ma zareagować.

– Szukam kogoś – odezwała się wiedźma, co zaskakujące, głosem czirliderki. – Nazywa się Hussan, choć może także używać imienia Asil albo Maur.

– Znam go – odpowiedział Charles niechętnie, jakby próbował dławić słowa.

– Ach, więc jesteś wilkołakiem – ucieszyła się wiedźma. – Należysz do stada Marroka? Asil też jest w Aspen Creek? Jest jednym z wilków Marroka?

Anna popatrzyła na Charlesa uważnie, choć nie wyglądało na to, że przeszkadzają mu pytania wiedźmy ani rozległość jej wiedzy.

Kiwnął tylko głową, cedząc jedno słowo:

– Tak.

Działo się coś bardzo złego. Anna przesunęła się w bok, czubek jej rakiety zadzwieczał na lufie zniszczonej broni.

Czarownica wymamrotała jakieś słowo i strzeliła palcami, a Anna nagle odkryła, że nie może się poruszyć.

Charles warknął groźnie.

– Cii, nie zrobiłam jej krzywdy – uspokoiła go wiedźma. – Nie zamierzam narażać się Marroкови, napadając któregoś z jego wilków. Bo zakładam, że ona też jest wilkołakiem? To wyjaśniałoby, jakim cudem tak mocno uszkodziła mojego strażnika. Mów. Jak najłatwiej będzie zwabić tu Asila?

– Asil nie opuszcza Aspen Creek. – Głos Charlesa trząśł się od gniewu.

Anna zagarnęła ten gniew dla siebie, wypierając alternatywę, czyli bezsensowną panikę. Wilczyca poruszyła się niespokojnie, a rzadko robiła to nieproszona. Jednak przetrzymywanie wbrew woli też jej się nie podobało.

Anna nie wiedziała nic o magii, nawet o tej, która dotyczyła stada. Leo zbył ją, mówiąc, że nie musi nic wiedzieć, a ona nie odważyła się zapytać ponownie. Nie wiedziała też, jakimi możliwościami dysponuje Charles, lecz była przekonana, że gdyby mógł coś zrobić, nie stałby spokojnie i nie odpowiadał na pytania więdźmy. Obawiała się bardzo, że jej ignorancja i głupota wiele ich będą kosztowały.

Gdy wilczyca poprosiła o przejęcie kontroli, Anna się zgodziła. Ona nie potrafiła nic poradzić w zaistniałej sytuacji, ale może wilzycy się uda.

Nie zaczęła się przemieniać, zmieniła się jej percepcja. Cienie cofnęły się, widziała teraz lepiej, wyraźniej, choć piękno i intensywność barw zgasły. Okazało się, że nie jest tak cicho, jak się Annie wydawało. W gałęziach drzew kryły się ptaki – słyszała szmery ich nówek na korze.

Najciekawszą jednak zmianą był widok świetlistej, żółtawo-zielonej nici oplatającej Charlesa. Anna nie mogła poruszyć głową, żeby zobaczyć swoją sieć, lecz dzięki wyczulonej skórze wiedziała, że i wokół niej istnieje kokon cienkich wiązek.

Gdyby niebezpieczeństwo groziło tylko jej, pewnie stałaby tak aż do wiosny. Wilczyca potulnie poddawała się biciu i gwałtom, dając Annie tylko siłę do przetrwania wszystkiego i możliwość ukrycia się, gdy traktowanie stawało się nie do zniesienia. W tym jednak wypadku chodziło też o jej towarzysza. Głuchy, wściekły warkot, tłumiony pod przeponą, utrudniał Annie oddychanie, ale ostrożność nakazywała wyczekiwać odpowiedniego momentu.

– Kogo przysłałby Marrok, gdybyś zginął? – zapytała więdźma.

Groźba sprawiła, że dławiony ryk gniewu rozległ się w głowie Anny, zagłuszając odpowiedź Charlesa. Furia zawrzała w niej, rozgrzewając do białości wiążące ją zaklęcie.

– Przybyłby osobiście.

Wiedźma odęła usta, jakby zastanawiała się, czy chciałaby tego, czy też nie.

Anna nie mogła przesunąć stóp, lecz siła wilczycy pozwoliła jej znieść ból spowodowany przeciwstawieniem się magii i poruszyć dłonią. Udało jej się pochwycić koniec nici, podobny do cumy, i okręcić wokół dłoni, a potem przyciągnąć do drugiej.

Nie mogła wpatrywać się długo w lśniące sznurki, bo oślepiały i przyprawiały o ból głowy, na szczęście nie musiała, bo wyczuwała dobrze magiczne linki.

Złapała cumę wolną ręką tuż u nasady, gdzie rozchodziła się w sieć, i pociągnęła. Spodziewała się, że cuma będzie trzymała albo się urwie, ale świetlista linka rozciągnęła się jak ciągutka, cieniejąc z każdym kolejnym szarpnięciem coraz bardziej.

Wiedźma zorientowałaby się pewnie, co Anna robi, gdyby na nią patrzyła, jednak całą uwagę poświęcała Charlesowi.

Anna pomyślała z ulgą, że dominująca osobowość odbija się nie tylko w hierarchii stada. Kiedy Charles wchodził do pomieszczenia, wszyscy patrzyli na niego. Jeśli dołożyć do tego niepozorny wygląd Anny i zupełny brak charyzmy, wiedźma musiałaby się wysilić, żeby skupić uwagę na niej zamiast na Charlesie. A Mary Alvorado nie podjęła tego wysiłku.

Anna przestała śledzić serię pytań i odpowiedzi, całe jestestwo poświęcając zadaniu. Nawet ciągutki rozciągają się w końcu tak, że się przerywają.

I rzeczywiście, cuma nagle się rozplynęła. Anna zamarła, lecz wiedźma nie zauważyła, że jej zaklęcie przestało więzić Annę.

I co teraz?

Anna przyjrzała się uważnie sieci oplatającej Charlesa.

Będzie musiała zrobić to błyskawicznie.

A wilkołaki dysponowały przecież niezwykłą szybkością.

Przyskoczyła do Charlesa, złapała cumę obiema rękami. Zaklęcie Charlesa było silniejsze, a trzymanie liny sprawiało cierpienie. Ból przenikał przez skórę aż do kości i rozlewał się

pulsującą falą, zwierając szczęki Anny. Czuła woń palącego się mięsa, lecz nie było czasu na certolenie się z sobą. Jedno silne szarpnięcie i cuma się zerwała.

Anna nie poprzestała na tym.

Chwyciwszy strzelbę, zamachnęła się, ciskając nią z całej siły w wiedźmę. Broń mocno uderzyła kobietę w twarz.

Anna spięła się do ataku, jednak Charles powstrzymał ją i popchnął przed siebie.

– Biegnij! – warknął. – Zejdź jej z widoku!



10

Anna szybko przekonała się, że bieganie w rakietach to czysty koszmar. Zahaczały o kamienie, o krzewy, dwa razy się przez nie przewróciła i tylko silna dłoń Charlesa uchroniła ją przed stoczeniem się ze zbocza. A przeskakiwanie przez powalone pnie było... interesującym doświadczeniem. Jednak Charles, który nie miał swoich rakieta, zapadał się w śnieg po kolana, więc i tak czuła zadowolenie, że jest, jak jest.

Nie byli przez to wolniejsi. Zdumiewające, jak skutecznym poganiaczem jest strach. Po pierwszym etapie panicznego gnania po zboczu, godzinami wspinali się ku wierzchołkom, aż Anna straciła całkiem poczucie czasu i kierunku. Skupiła się tylko na czerwonej kurtce Charlesa i szła za nim. Kiedy wreszcie zwolnił, byli w lesie całkiem sami.

Nie przerwał jednak ucieczki. Jeszcze przez godzinę zmuszał Annę do truchtu, ale uważniej już wybierał drogę, trzymając się miejsc, gdzie śnieg leżał płytszy i brak rakieta nie spowalniał ich tak bardzo.

Po tym, jak kazał jej uciekać, nie odezwał się już słowem. Anna uznała, że prawdopodobnie nie jest w stanie mówić, choć nie przez wiedźmę.

Jego oczy lśniły jasną żółcią, a zęby miał obnażone. Musiał mieć dobry powód, by pozostać w ludzkiej formie, choć kosztowało go to wiele wysiłku. Jej wilczyca spała, wycofawszy się tuż po pierwszej, gorączkowej fazie biegu, wilk Charlesa utrzymywał się na granicy przejęcia kontroli.

Annie cisnęła się na usta masa pytań. Niektóre dotyczyły świeżych obaw, na przykład: Czy wiedźma może ich dogonić, skoro człowiek by nie mógł? Czy użyje magii, żeby ich odnaleźć? Inne wynikały z ciekawości: Skąd wiedział, że to wiedźma? Czemu Anna mogła zobaczyć magię dopiero oczami wilczycy? Czy da się w inny sposób przełamać zaklęcie? Mimo upływu kilku godzin dłonie nadal ją piekły.

– Uważam... – rzekł Charles nareszcie, skracając długie, płynne kroki i zatrzymując się. Z zadowoleniem przyjęły to jej zmęczone nogi, a także nadwyrężone płuca. Charles też ciężko oddychał. – Uważam, że Asil powinien nam co nieco wyjaśnić.

– Myślisz, że ją zna? Jego ściga? – Anna żyła w przekonaniu, że wilkołaki znajdują się na samym szczycie łańcucha pokarmowego, ale widok pokonanego przez wiedźmę Charlesa wstrząsnął porządkiem jej świata. Gotowa była uznać, że tej wiedźmie nikt nie umknie.

– Nie wiem, czy Asil ją zna, nie widziałem jej w Aspen Creek. W czasie gdy tu przybył, musiałyby mieć nie więcej niż dziesięć lat. Ale skoro go szuka, to Asil pewnie zna przyczynę – wydyszał Charles, z trudem łapiąc oddech.

Szła obok niego w milczeniu, licząc, że pomoże mu ten spokój, który ponoć miała w sobie. Charles wyrównał oddech na długo, zanim ona przestała dyszeć, lecz odezwał się dopiero, kiedy oboje odsapnęli.

– Nie rozumiem, jakim cudem to zrobiła. Czułem się przy niej jak szczenię. – Jego głos podszyty był głuchym warkotem.

– Jak to? Myślałam, że więdźmy wlaśnie tak używają magii.

– Może na ludzi, ale jedyną osobą, która może kontrolować wilkołaka w ten sposób, jest jego Alfa. – Sapnął, zacisnął pięści i powiedział chrapliwym, nieswoim głosem: – A nawet mój ojciec nie jest w stanie uczynić ze mną czegoś takiego. Może mnie powstrzymać przed zrobieniem czegoś, ale nie może zmusić do działania wbrew woli. – Ze świstem wciągnął powietrze do płuc. – Może to nie jej sprawa, może sam zawiniłem? Nie słyshałem, jak podchodził nas tamten wilkołak. Zastanawiałem się nad tym, nie staliśmy pod wiatr, więc powinienem go usłyszeć, poczuć... Poza tym to niesłychane, że tak łatwo mnie zgubił.

W pierwszej chwili chciała pocieszyć Charlesa, jednak ugryzła się w język. W końcu lepiej znał się na magii i tropieniu. Dlatego postawiła na rozsądne argumenty.

– Przecież raptem parę dni temu zostałeś ranny.

Potrząsał głową.

– Nie, to nie to. Bywałem już ranny i nigdy nie powstrzymało mnie to przed tym, co musiałem zrobić. Zresztą zwykle rany wzmagają czujność, nie na odwrót.

– A te wilkołaki, których szukamy, są jakoś powiązane z więdźmą? – zapytała Anna. – Wiesz, skoro ona potrafi kontrolować ciebie, może tamte także. Może zrobiła coś takiego, żebyś ich nie wyczuł?

Wzruszył ramionami, lecz widziała, że go to dręczy. Poza tym znów odezwały się jego rany. Przyjrząwszy się uważniej, stwierdziła, że najbardziej dokuczają mu chyba noga. A to bieganie nie polepszyło też stanu klatki piersiowej.

– Może trzeba cię opatrzyć?

– Może. Poprosiłbym cię o obejrzenie ran, ale to nie ma sensu, bo wszystko, co mieliśmy, zostało na górze. Ojciec ma

w samochodzie porządną apteczkę, a wracamy do wozu, więc tam sprawdzimy.

Szła za nim, nie zobaczył więc jej zaskoczonej miny, z czego była zadowolona. Dominujące wilki nie poddają się tak łatwo.

– Nie będziesz jej ścigał?

– Raz już mnie zaskoczyła, a ja nie wiem, jak to zrobiła. Moje zaklęcia ochronne powinny umożliwić mi przełamanie zaklęcia wiedźmy. Nie było szczególnie zaawansowane. Wiem, bo już trzy wiedźmy próbowały na mnie takich czarów. Skoro nie wiem, jak to zrobiła, lepiej nie rzucać się do kolejnego starcia i ryzykować, że pokona nas, zanim ostrzeżemy ojca. Te dwa wilkołaki to mały problem w porównaniu do tej wiedźmy. Ojciec musi wiedzieć, co się dzieje, a może Asil będzie w stanie rzucić nieco światła na tę sprawę.

Annie chodziło coś po głowie, jednak dopiero po kilkunastu krokach kwestia wyklarowała się jej w myślach.

– Ale czemu tutaj? Szuka Asila, z tego, co mówiła, wynikało, że miała sporo informacji, że Maur może być w Aspen Creek. Była podniecona na wieść, że rzeczywiście tu jest, więc nie miała całkowitej pewności. Co więc robi tutaj, zamiast iść prosto do Aspen Creek, żeby sprawdzić swoje podejrzenia?

– Chciała nas złapać na przynętę. Ojciec miał rację co do tego, mylił się tylko, kto tu mieszka i dlaczego. Wiedziała, że wystarczy zabić paru ludzi, a Marrok zareaguje i wyśle w góry Cabinet kogoś, kogo ona będzie mogła wypytać. To bezpieczniejsze niż pchanie się do Aspen Creek, gdzie musiałyby stawić czoła ojcu.

– Myślisz, że oba wilkołaki należą do niej? – Już go o to pytała, ale nadal nie uzyskała satysfakcjonującej odpowiedzi. Nawiązała swego rodzaju połączenie z wilkołakiem, za którym pobiegł później Charles. Nie chciała, by okazało się, że jest on w zмовie z wiedźmą.

Tak jak za pierwszym razem, Charles wzruszył ramionami, skrzywił się z bólu i warknął ze złości.

– Nie wiem na ten temat więcej niż ty. – Zrobił kilka mozolnych kroków. – Raczej tak. Ten drugi raczej na pewno. Jesteś Omegą, więc normalny wilk pobiegłby za tym pierwszym.

– Zatrzymał się gwałtownie, zamierając na moment w bezruchu. – Uciekliśmy z polany tą samą drogą, co wilk, który cię zaatakował.

Potrzebowała chwili na zastanowienie, potem zgodziła się z Charlesem.

– Była tam ścieżka wiodąca przez krzewy.

– Widziałaś jakieś ślady? Krew? To był niezwykle silny cios, rana na łopatkę mocno krwawiła.

Zauważyłaby?

Przebiegła myślami ich ucieczkę. Charles pchnął ją przodem.

– Na pewno była krew w miejscu, gdzie stała, kiedy ją uderzyłam, i trochę tam, gdzie wbiegła pomiędzy drzewa. Ale kiedy opuściliśmy polanę, przed nami śnieg był dziewiczy, więc musiała pójść inną drogą.

Charles odwrócił się, stając twarzą w twarz z Anną. Usta miał ściągnięte z bólu, a z szarawego odcienia skóry Anna wywnioskowała, że jej towarzysz jest w dużo gorszym stanie, niż chciał to po sobie pokazywać.

– Ona?

– Ona. Wierz mi, widziałam ją z bardzo bliska i dokładnie.

– Ona – powtórzył. – Ciekawe. I jeszcze to specyficzne ubarwienie.

– Właśnie – potwierdziła Anna z zastanowieniem. – Wyglądała jak owczarek niemiecki.

– Typowo jak na owczarka niemieckiego, ale bardzo nietypowo jak na wilkołaka. Nigdy nie widziałem takiego, lecz o jednym słyszałem.

– Kto to?

– Towarzyszka Asila tak wyglądała.

– Przecież ona nie żyje. Myślisz, że jednak żyje i że pomaga wiedzmiem? I dlatego szukają Asila?

– Asil powiedział ojcu, że jego żona nie żyje, że osobiście spalił jej ciało i pogrzebał prochy. – Potem dodał: – Nikt nie mógłby okłamać ojca, nawet Asil. A to w połączeniu z brakiem śladów na śniegu jest jeszcze bardziej interesujące.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Przecież nie była duchem. Czułam, jak strzelba uderza w materię. A skoro towarzyszka Asila nie żyje, musi to być ktoś bardzo podobny.

– Nie wiem, czym była ta istota, lecz nie wierzę w takie zbiegi okoliczności – rzekł Charles i podjął wędrówkę.

– Myślałam, że większość wiedzmi to ludzie – odezwała się Anna po chwili, której potrzebowała na przeanalizowanie informacji.

– Owszem.

– Wobec tego nie są nieśmiertelne. Mówiłeś, że towarzyszka Asila zginęła kilkaset lat temu, a ta wiedźma nie jest starsza ode mnie. Może to wilk jest mózgiem?

– Nie wiem. – Charles przytrzymał gałąź, żeby nie uderzyła Anny. – Ale to dobre pytanie.

Zamilkł, rozpoczynając wspinaczkę na kolejne wzniesienie. Z daleka góry wyglądają prosto, jedno wejście pod górę i jedno zejście, w rzeczywistości trzeba wspinać się i schodzić wiele razy, a nadal nie dociera się do celu.

Musieli biec dłużej, niż sądziła, bo zaczął zapadać zmrok. Zadrzała.

– Charles?

– Mmm?

– Chyba mam mokre skarpetki. I nie czuję palców. – Kiedy się nie odezwał, przestraszyła się, że wziął to za marudzenie, dodała więc: – Ale to nic takiego, mogę iść. Daleko jeszcze do samochodu?

– Na pewno nie dotrzemy tam dzisiaj. Nie z przemarzniętymi palcami. Znajdę nam jakieś schronienie, nadciąga burza.

Anna zadrżała na samą myśl o burzy, a potem zaszczękała zębami.

Charles wziął ją pod rękę.

– Akurat dobrze się dla nas składa, że będzie burza. Słyszałem łamaną kość, kiedy uderzyłaś tę wilkołaczycę, więc jeśli nie jest duchem, gojenie trochę potrwa. Porządna śnieżycyca i wiatr zakryją tymczasem nasze ślady.

Zauważył coś powyżej i zaczęli się wspinać – przez jakąś wieczność, według Anny – aż dotarli na niewielką połąć połamanych drzew.

– Chyba mikrotornado na wiosnę – ocenił Charles. – Czasami się zdarzają.

Zbyt zmęczona, żeby mówić, przytaknęła tylko. Charles tymczasem obszedł miejsce i znalazł coś, co mu się spodobało – dwa wielkie pnie wsparte jeden na drugim, osłonięte z tyłu fałdem terenu, tworzyły jamę usłaną niezbyt zachęcającym dywanem śniegu.

– Nie mamy nic do jedzenia – mruknął ponuro Charles. – A ty potrzebujesz energii, żeby utrzymać ciepłotę.

– Mogę zapolować – zaproponowała Anna. Charles nie dałby rady tego zrobić, już od dłuższego czasu mocno utykał. Anna była tak zmęczona, że ledwie trzymała się na nogach, było jej też zimno, ale nawet w tym stanie czuła się lepiej od Charlesa.

Charles zaprotestował gwałtownie.

– Niech mnie piekło pochłonie, jeśli dam ci biegać samej po okolicy, kiedy nadciąga burza. Nie wspominając o wiedźmie i dwóch wilkołakach. – Uniósł głowę i wciągnął powietrze nosem. – Ha, o wilku mowa – powiedział cicho.

Anna też spróbowała coś wywęszyć, ale rozróżniła jedynie zapachy drzew, zimy i wilka. Ponowiła próbę.

– Możesz wyjść – warknął Charles do ciemności pomiędzy pniami. – Wiem, że tam jesteś.

Anna rozejrzała się, jednak nie dostrzegła nic alarmującego. A potem nagle drgnęła, słysząc skrzypienie śniegu pod butami. Spomiędzy drzew, dosłownie kilka metrów od nich, wyłonił się mężczyzna. Nie zauważyłaby go, gdyby się nie poruszył.

W nieznanym najbardziej rzucały się w oczy jego włosy. Nie nosił czapki, długie włosy w dziwnym rudozłotym odcieniu spływały splątane na plecy, zaś z przodu stapiały się z brodą, której nie powstydziliby się Hill tudzież Gibbons z ZZ Top.

Mężczyzna ubrany był w dziwaczną kombinację skór i łachmanów, dopełnionych nowiutkimi butami i rękawicami. W jednej ręce niośł tobolek, który Anna zrobiła z płachty, przez ramię przewieszony miał jej plecak.

Rzucił pakunki, które wylądowały w połowie drogi pomiędzy nimi.

– Wasze rzeczy – powiedział chrapliwie i niewyraźnie z silnym akcentem z Tennessee albo Kentucky. – Widziałem, jak poszczuła was bestią, a to znaczy, że jesteście jej wrogami. Skoro wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, pomyślałem, że przyniosę wam rzeczy. I może pogadamy.

To nie zapach powiedział Charlesowi o obecności mężczyzny, lecz inne drobne sygnały – zrywające się do lotu ptaki, szmer i wrażenie, że są obserwowani.

Dopiero kiedy nieznanomy wyszedł na otwartą przestrzeń, zawiął odpowiedni wiatr i Charles zidentyfikował jego zapach. Wilkołak.

Choć uczynił pokojowy gest, przynosząc ich rzeczy, i twierdził, że chce rozmawiać, język ciała mężczyzny wskazywał, że w każdej chwili gotów jest walczyć.

Ostrożnie, nie patrząc na nieznanomego i nie wykonując gwałtownych ruchów, które mogłyby go wystraszyć, Charles podszedł kilka kroków naprzód, żeby podnieść plecak Anny

i tobolek owinięty płachtą, który jak zakładał, zawierał rzeczy z jego rozdartego plecaka. Odwrócił się do wilkołaka plecami i ruszył z powrotem pod górę.

Nie było to głupie, jak by się mogło wydawać, bo nie spuszczał przy tym oczu z Anny, wypatrując na jej twarzy oznak ewentualnego ataku. Powróciwszy na miejsce, spokojnie oczyścił kawałek pnia ze śniegu i dopiero usiadł. Mężczyzna podszedł, ale zatrzymał się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżały pakunki.

– Tak, myślę, że rozmowa to dobry pomysł – rzekł Charles. – Zjesz z nami? – Popatrzył mężczyźnie prosto w oczy, dając do zrozumienia, że zaproszenie to dzieli tylko cienka granica od rozkazu.

Nieznajomy przestąpił nerwowo z nogi na nogę, jakby był gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Masz taki sam zapach jak ten demon – wychrypiał, po czym zerknął na Annę ukradkiem. – Ten, co tu zabija. Jelenie, wapiti, ludzi, a nawet niedźwiedzia.

Brzmiało to tak, jakby niedźwiedź poruszył go najbardziej.

– Wiem – kiwnął głową Charles. – Po to tu jestem. Zostałem wysłany, by się nim zająć.

Mężczyzna spuścił oczy, jakby nie mógł patrzeć już wprost na Charlesa.

– To coś... to coś... dopadło mnie. Zaraziło złem. – Cofnął się o krok niczym płochliwy jelen.

– Jak długo jesteś wilkołakiem? – zapytała Anna. – Ja od trzech lat.

Mężczyzna przekrzywił głowę, wsłuchując się w głos Anny, jakby wsłuchiwał się w muzykę. I na chwilę uspokoił się trochę.

– Dwa miesiące – wyręczył go Charles, kiedy stało się jasne, że zaczarowany Anną nieznajomy zapomniał mowy. Wiedział, co czuje mężczyzna. Niespodziewany spokój, jaki opadał na jego brata wilka, był równie zaskakujący, co uzależniający. Gdyby

zdarzyło mu się to po raz pierwszy, gdyby nie wiedział, co to jest, pewnie też nie zdołałby wydusić z siebie słowa. – Jesienią obroniłeś tego studenta przed wilkołakiem. Tak jak dzisiaj chciałeś obronić Annę, myśląc, że jej zagrażam.

Wszystko do siebie pasowało, choć jeszcze bardziej komplikowało kwestię, czym jest tamten wilkołak. Tylko wilkołak mógł zainfekować człowieka, a Charles był pewien, że ślad po tamtej istocie urywał się nagle w miejscu, gdzie zeszła im z pola widzenia.

Głos Charlesa wyrwał mężczyznę spod uroku Anny. Nieznajomy dobrze wiedział, kto tu jest niebezpieczny.

– Miałem pozwolić mu umrzeć. Temu dzieciakowi – przyznał mężczyzna, potwierdzając teorię Charlesa. – Nadciągała nawałnica, i tak by zginął, gdyby tu został. Góry należy szanować, inaczej pożrą cię na obiad. – Zawiesił głos. – Teraz też nadchodzi burza.

– To czemu nie pozwoliłeś, żeby tamten wilkołak go zabił? – zapytała Anna.

– No bo... – zaczął mężczyzna, wbijając wzrok w stopy – burza czy atak niedźwiedzia, to się zdarza, człowiek ginie... – Urwał, szukając właściwych słów, które uwypukliłyby różnicę.

– Ale wilkołak nie jest czymś naturalnym, nie należy tutaj – dokończył za niego Charles, pojmując wreszcie, dlaczego dał się tak podejść. Ubranie nieznajomego i w ogóle jego wygląd świadczyły, że żył tu już od bardzo dawna. Stąd do Charlesa nie dotarły żadne sygnały przed atakiem.

– To zło – szepnął mężczyzna. – I mnie też zmienił, w takiego samego potwora jak on sam.

Charles zareagował ułamek sekundy za późno, inaczej zdołałby przytrzymać Annę. Był bardzo zmęczony i całą uwagę skupiał na obcym. Zanim się zorientował, Anna ześlizgiwała się ze zbocza. Spieszyła się i dosłownie dwa kroki od ich nowego kompana jej rakiety śnieżne zamieniły się w narty.

Charles zmusił się do zostania na miejscu, obserwując, jak obcy mężczyzna łapie Annę za łokieć, ratując od zjechania na sam dół zbocza. Był prawie pewien, że nieznajomy nie stanowi zagrożenia dla Anny. Charlesowi udało się przekonać brata wilka, by pozwolił Annie w spokoju wykorzystać swe talenty do okiełzania wilka. W końcu po to właśnie ojciec ją tu przysłał.

– Nie jesteś wcale zły – zaprzeczyła.

Mężczyzna zmartwiał, trzymając Annę za rękaw, a po chwili słowa wylały się z niego, jakby coś przerwało tamy.

– Umieć rozpoznać zło. Walczyłem z nim i przeciw niemu, aż krew lała się wszędzie jak deszcz. Widzę ich twarze, słyszę krzyki, jakby to działo się teraz, a nie czterdzieści lat temu. – W miarę mówienia jego głos się uspokajał. Puścił Annę, podnosząc na nią wzrok. – Kim jesteś? – Padł na kolana, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. – Kim jesteś?

Jednak poruszył się zbyt gwałtownie i brat wilk miał dosyć. Charles, nie bacząc na rany, przypadł do Anny szybciej niż błyskawica. Na szczęście udało mu się utrzymać ręce z daleka od nieznajomego, bo w chwili, gdy znalazł się przy Annie, objęła go moc Omegi.

– Pogromczyni wilków – wyjaśnił chrapliwie, bo nawet magia Anny nie była w stanie całkiem wyzwolić go od zaborczego gniewu. – Łagodzicielka.

– Nazywam się Anna Cornick. – Lubił, jak te słowa łagodnie wypływały z jej ust. Smakowały czystą prawdą. Wiedział, że należy do niego, a brat wilk jak za dotknięciem różdżki uspokoił się, zadowolony. Dlatego też nie powstrzymał Anny, gdy sięgnęła ręką, by dotknąć obcego. – To Charles, mój towarzysz. A ty kim jesteś?

– Walter. Walter Rice. – Ignorując Charlesa, jakby ten nie stanowił żadnego zagrożenia, Walter przymknął oczy i zakołysał się lekko. – Nie czułem się tak od czasu... Od przed

wojną. Wydaje mi się, jakbym mógł zasnąć. Jakbym mógł spać i nie śnić.

Charles podał mu rękę.

– Chodź, zjemy coś.

Walter zawahał się, ale spojrzawszy na Annę, przyjął pomoc Charlesa i wstał.



Mężczyzna, który przedstawił się jako Walter Rice, jadł, jakby od dawna nie miał nic w ustach. Co było możliwe. Od czasu do czasu przerywał jednak jedzenie, by zerknąć na Annę z nabożną czcią.

Siedzący pomiędzy nimi Charles musiał stłumić uśmiech – co też czynił ostatnio częściej niż przez całe życie, zanim poznał Annę. Jej zakłopotanie tymi gestami uwielbienia było nad wyraz zabawne. Charles miał nadzieję, że sam nie patrzy na Annę w ten sposób, a przynajmniej nie wśród ludzi.

– Ja nic takiego nie robię – poskarżyła się torebce z gulaszem.

– Nie prosiłam się, żeby być Omegą. To coś, jak urodzić się z brązowymi włosami.

Myliła się, lecz Charles nie chciał wprowadzić jej w jeszcze większe zakłopotanie, sprzecząc się z nią o coś, czego możliwe, że wcale nie chciał usłyszeć. Jeśli nawet nie całkiem, to w większości nie miała racji. Podobnie jak u dominujących osobników, na fenomen Omegi składała się głównie osobowość. A, jak lubił mawiać ojciec, charakter dziedziczy się tylko w niewielkiej części, częściowo kształtuje go wychowanie, ale głównie jest wynikiem ważnych wyborów życiowych, jakie się podejmuje.

Anna nosiła w sobie spokój i dzieliła się nim – o ile nie była przestraszona, zdenerwowana lub nieszczęśliwa. Część tej

mocy była ściśle związana z wilkołactwem, które wzmacniało efekt jej magii, ale większość miała źródło w niej samej, w harcie ducha, który sprawiał, że tak, a nie inaczej zachowywała się w szczególnych sytuacjach. To dzięki temu okazała współczucie Asilowi, który chciał ją przestraszyć, i dlatego nie zostawiła Waltera na chłodzie i głodzie. To były świadome wybory.

Człowiek stawał się Alfą, nie rodził nim. Tak samo działo się w wypadku Omegi.

– Kiedyś – odezwał się Walter – po szczególnie koszmarnym tygodniu siedziałem na drzewie, obserwując wioskę. Nie pamiętam, czy mieliśmy chronić mieszkańców, czy ich szpiegować. W pewnej chwili z jednego z domów wyszła dziewczyna i zaczęła wieszać pranie, dokładnie pod moim drzewem. Miała może osiemnaście, dziewiętnaście lat i była zdecydowanie zbyt szczupła. – Wzrok Waltera powędrował od Anny do Charlesa i z powrotem do jedzenia.

Tak, wiem, że jest jeszcze chuda, ale karmię ją dopiero od kilku dni, pomyślał Charles.

– W każdym razie – podjął stary wiarus – kiedy ją obserwowałem, czułem, jakby przede mną działo się coś magicznego. Z kosza wyciągała mokry zwój, strzepywała go, o tak, a one prostowały się i wisały równiutko jak żołnierzyki. Miała szczupłe przeguby, ale silne ręce i zwinne palce. Te koszule nie śmiały się im sprzeciwić. Kiedy odeszła, miałem ochotę iść i zapukać do jej drzwi, żeby podziękować. Przypomniała mi, że gdzieś tam istnieje normalny świat, gdzie ubrania są czyste i wszystko ma swoje miejsce. – Zerknął znów na Annę. – Pewnie byłaby przerażona, gdyby jakiś ubłocony amerykański żołnierz stanął w progu i dziękował Bóg wie za co, nawet jeśli zrozumiałaby, co mówię. A robiła przecież tylko to, co zawsze. – Zawiesił na moment głos. – Ale i tak powinienem

był jej podziękować. Dzięki niej przetrwałem ciężkie chwile wtedy i parę razy później.

Zapadło milczenie. Charles nie wiedział, czy Anna zrozumiała, o czym mówił Walter, ale on owszem. Anna była jak ta kobieta. Przypominała mu zimowe wieczory, kiedy siedzieli przy ciepłym kominku, a ojciec grał na skrzypcach. Czasy pełni szczęścia, czasy, kiedy świat był uporządkowany i bezpieczny. Nie zawsze tak bywało, ale ważne, by pamiętać, że są takie chwile.

– Więc mieszkasz tu już jakiś czas? – zapytał.

Niezbędnik Waltera znieruchomiał na chwilę, a sam Walter spojrzał na Charlesa podejrzliwie. W końcu prychnął i potrząsnął głową.

– W sumie to i tak nie ma już znaczenia. Stare dzieje. – Włożył do ust kolejną porcję jedzenia, pogryzł i przełknął. – Gdy wróciłem z wojny do domu, wszystko wydawało się w porządku. Byłem trochę nerwowy, ale nic poważnego mi się nie działo. Aż zaczęło. – Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zrezygnował i znów trochę podjadł. – To chyba jeszcze jest dla mnie ważne. W każdym razie zaczęły mnie nachodzić wspomnienia z wojny, działo się tak, jakbym tam znów był. Słyszałem odgłosy, czułem smaki, zapachy, okazywało się jednak, że wystrzał to rura wydechowa, a stukot to rąbanie drewna u sąsiada. I takie tam. Wyniosłem się od rodziny, nie chciałem unieszczęśliwiać ich jeszcze bardziej. Pewnego dnia podszedł mnie wrogi żołnierz. To przez mundur... Zraniłem go, może nawet więcej... – Ostatnie wykrztuszone zdanie było kłamstwem. Walter popatrzył na stopy, parsknął i podniósł wzrok na Charlesa. Tym razem zaczął mówić spokojnie, opanowanym głosem człowieka, który popełnił w życiu wiele złego. Tak jak Charles. – Zabiłem go. A kiedy już był martwy, zorientowałem się, że to nie żołnierz Wietkongu, tylko listonosz. Wtedy zrozumiałem, że stanowią poważne zagrożenie dla

otoczenia. Chciałem zgłosić się na policję, ale na posterunku... Policjanci też noszą mundury, prawda? Obok posterunku znajdował się dworzec autobusowy. Niedługo siedziałem w autobusie do Montany. Byłem w Montanie raz czy dwa z ojcem, na kempingu, i wiedziałem, że to dobre miejsce, by uciec od ludzi. Tutaj są małe szanse, bym kogoś skrzywdził.

– Mieszkasz tu już tyle lat? – Anna podparła brodę ręką, a Charles zauważył, że ma dwa złamane paznokcie. Rozejrzał się, sprawdzając, gdzie ma rękawiczki. Leżały obok niej.

Walter przytaknął.

– Dzięki Bogu, potrafię polować. Nie miałem broni palnej, ale co tam, kiedy byłem w dżungli, broń często nie działała. Nauczyłem się radzić sobie bez niej.

Wyciągnął skądś nóż o ostrzu tak długim jak jego ramię i przyjrzał się mu badawczo. Charles zastanawiał się, skąd Walter wydobył sztylet. Niewielu potrafiłoby go wyjąć tak szybko, obojętne, wilkołak czy nie.

Walter spojrzał spod oka na Annę, a potem znów na sztylet, jednak Charles zdawał sobie sprawę, że to współczucie w głosie Anny skłoniło go do zbagatelizowania trudu przetrwania w tym miejscu.

– Nie było tak źle. Zimy są ostre, ale wiem, gdzie stoi jedna stara chata. Pomieszkuję tam, gdy robi się ciężko.

Niejednen Walter uciekł w góry, pomyślał Charles. Dwadzieścia lat wcześniej było kilka miejsc, gdzie zaszywały się całe grupy złamanych mężczyzn. Większość weteranów wróciła do siebie i do cywilizacji już lata temu, inni umarli tutaj.

Przed tą wyprawą nie uwierzyłby, że ktoś tu żyje. Góry Cabinet nie były życzliwe ludziom. Charles, za każdym razem, gdy tu przebywał, czuł, że coś spycha go z obranej ścieżki. Te góry nie były miejscem dla ludzi, również tych, którym towarzyszył brat wilk. Nawet w dawnych czasach traperzy

i myśliwi omijali te rejony, wybierając łagodniejsze oblicza przyrody.

Jednak człowiek, który spędził tu trzydzieści lat, mógł nie być już intruzem. Możliwe, że góry zaakceptowały go jako przynależną im część.

Charles spojrział w zierzające niebo i pomyślał, że może człowiek, który mieszkał w Cabinet tak długo, stał się ulubieńcem duchów. Duchów, które potrafiły ukryć go nawet przed wyczulonymi zmysłami Charlesa.

Po skończonym posiłku Walter wytarł niezbędnik śniegiem i oddał Charlesowi.

– Dziękuję, nie jadłem tak od... bardzo dawna.

A potem, jakby wykorzystał już cały zapas słów, oparł się o pień i przymknął oczy.

– Co wiesz na temat wilkołaka, który cię zaatakował? – zapytał Charles.

Walter wzruszył ramionami.

– Przyszli jesienią – zaczął, nie otwierając oczu. – Przyjechała terenówka. Zajęli moją chatę. A potem zostałem przemieniony... Chodziłem za nim. Nie zauważyłem niczego, zanim napadł na tego chłopaka. Gdybym był szybszy tamtego dnia, może udałoby mi się go zabić... Gdybym był wolniejszy, może sam bym zginął. Dobrze, że srebro szkodzi wilkołakom. – Walter westchnął ciężko, otworzył oczy i wyciągnął długie ostrze z pochwy na przedramieniu. Tym razem Charles zobaczył, jak to robi, natomiast nie mógł sobie przypomnieć, kiedy Walter schował sztylet. – Ten stary nóż parzy mnie teraz, kiedy go czyszczę. – Spojrział na swoje ręce. – Myślałem, że nie żyję. Zraniłem demona, mocno, widzicie? W ostrzu jest srebro. Ale potwór poszarpał mnie, zanim uciekł.

– Jeśli zaatakowany przez wilkołaka człowiek jest bliski śmierci, sam zamienia się w wilkołaka – wyjaśniła Anna cicho.

Nadal tego żałowała? Charlesa znów ogarnęła żądza mordy, miał ochotę zabić ich wszystkich, Leo, jego towarzyszkę, całe stado z Chicago – a jednocześnie był wdzięczny losowi, że jego ukochana jest wilkołakiem i nie zestarzeje się ani nie umrze tak, jak żony jego brata.

Brat wilk poruszył się niespokojnie i ucichł, tak jak Walter.

– Ten wilk, który cię zaatakował, wrócił do ciebie po Przeistoczeniu? – zapytał Charles.

Zwykle gdy wilkołak kogoś przemieniał, przez jakiś czas wracał do nowego wilka. Samuel mówił mu, że podejrzewa jakiś genetyczny imperatyw, każący upewnić się, że nowy, pozbawiony kontroli wilkołak nie ściągnie na siebie uwagi.

Walter potrząsnął głową.

– Jak mówiłem, to ja ją wyśledziłem, po pierwszej pełni. Ją i tę kobietę. Czym ona jest? Bo na pewno nie człowiekiem. Widziałem, co robiła... Próbowwała mnie przyzwać po tym, jak się przemieniłem. Nie wiedziałem, czym jest, tylko że jej zapach jest zły, jak tej bestii. Z początku myślałem, że ona i bestia to jedno, ale potem zobaczyłem je razem.

Padło już od godziny, teraz wielkich, białych płatów było coraz więcej, przyklejały się do rzęs i włosów. Charles uspokoił się odrobinę na myśl, że śnieg zasypuje ślady.

– Czy widziałeś kiedyś tę wilczycę w ludzkiej formie? – Charles nie wiedział, jak wyglądała towarzyszka Asila, ale opis by pomógł.

– Nie – zaprzeczył Walter. – Może jej w ogóle nie ma?

– Może – zgodził się Charles, poddając się wewnętrznemu przekonaniu, że tamten dziwny wilkołak nie jest tym, czym się wydaje. Uciekali, więc niewykluczone, że przeoczył trop, jednak ufał podszeptom instynktu, który tym razem szeptał bardzo wyraźnie.

Popatrzył na Waltera. Dwa miesiące, a już panował nad sobą na tyle, by przerwać atak, zorientowawszy się, że Anna jest

wilkołakiem, nie ofiarą. Potrafił się kontrolować dużo lepiej niż większość nowych wilkołaków.

– Radzisz sobie niezwykle dobrze, jak na kogoś, kto dopiero co przeszedł Przeistoczenie. Szczególnie że nikt ci nie pomógł – zauważył.

Walter rzucił Charlesowi ponure spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

– Już od dawna trzymam na smyczy bestię, która we mnie siedzi, od wojny. Teraz wyrosły jej kły i pazury, ale bestia to bestia. Muszę bardzo uważać, jak wtedy, kiedy na was napadłem. Gdy jestem wilkiem, lubię smak krwi. Gdybym poszarpał ciebie, nie plecak... No, nie byłoby tak łatwo. – Zerknął na Annę, jakby obawiał się, co sobie o nim pomyśli.

Anna popatrzyła z niepokojem na Charlesa. Czyżby martwiła się o Waltera?

Na myśl o tym, że mogłaby stanąć przeciwko niemu w obronie innego mężczyzny, w piersiach Charlesa zrodził się głuchy warkot. Nie dopuścił, by sięgnął gardła. Kiedy wilk się uspokoił, powiedział:

– Jak na kogoś, kto jest wilkołakiem od dwóch miesięcy i nie ma żadnej pomocy, twoje panowanie nad sobą jest niezwykle. – Popatrzył bezpośrednio na Rice'a, który spuścił wzrok. Walter był na pewno dominującym wilkiem, lecz nie na tyle, by przyszło mu do głowy wyzwanie Charlesa. Ale mało który wilk był tak pewny i silny. – Myślałeś, że Annie grozi niebezpieczeństwo, tak?

Walter uczynił ruch, który przesunął trochę prymitywnie pozszywane skóry, tworzące jego okrycie.

– Nie wiedziałem, że też jest wilkołakiem, dopóki nie znalazłem się między wami.

– Jednak co do mnie nie miałeś wątpliwości?

– Tak – przytaknął Walter. – To ten zapach. Przyzywa mnie. Tyle lat żyłem samotnie, teraz jest coraz trudniej.

– Wilk potrzebuje stada – wyjaśnił Charles. Sam nigdy nie potrzebował innych wilków, lecz wiedział, że większość ma bardzo silny instynkt stadny. – Możesz iść z nami do domu – zaproponował.

Stary żołnierz znieruchomiał, a choć nadal wpatrywał się w stopy, całą uwagę skupił na Charlesie.

– Nie czuję się dobrze między ludźmi... Ten hałas... Nadal jeszcze... Tu nie ma znaczenia, gdy czasem zapominam, że to puszcza, nie dżungla.

– W takim razie będziesz tam pasował – stwierdziła Anna kpiąco, lecz uśmiechnęła się ciepło, kiedy na nią popatrzył. Charles obserwował, jak Walterowi czerwienieją uszy. – W stadzie ojca Charlesa jest mnóstwo wilków, które nigdzie indziej nie pasują.

– Stado ojca jest bezpiecznym azylem – potwierdził Charles. – Ojciec dba o to. Anna ma rację, jest w nim sporo wilków, które nie mogłyby żyć nigdzie indziej. Jeśli za jakiś czas będziesz chciał się przyłączyć do innego stada, ojciec pomoże znaleźć ci odpowiednie. A jeśli nie dasz rady żyć z innymi, będziesz mógł tu wrócić jako wilk samotnik. W każdym razie kiedy już zrobimy porządek z tą wiedźmą i jej wilkołaczką.

– Wiedźmą? – Walter poderwał głowę.

– Witaj w naszym świecie – westchnęła Anna. – Wiedzmy, wilkołaki i inne nocne potwory.

– Co chcecie z nimi zrobić?

– Wiedźma powiedziała, że szuka Asila, jednego z wilków ojca, postanowiliśmy więc zejść i porozmawiać z nim – wyjaśnił Charles.

– A ze mną? – Walter dotknął przedramienia w miejscu, gdzie kryła się pochwa z nożem.

– Musisz iść ze mną do ojca – oświadczył Charles. – Jeśli nie pójdziesz po dobroci, przyśle mnie po ciebie i zaprowadzę cię tam siłą.

– Myślisz, że uda ci się zmusić mnie, żebym poszedł do twojego ojca? – zapytał Walter cicho, groźnie.

– No wspaniale! – fuknęła Anna, najwyraźniej na Charlesa, który nie miał pojęcia, czemu się na niego złości. Przecież ojciec nie pozwoli mieszkać zdziczałemu wilkowi tuż pod swoim nosem. Najpierw musi go poznać, osobiście, a dopiero wtedy zdecyduje, czy nadać mu status samotnika.

Ale Anna patrzyła już na Waltera.

– A czego ty byś chciał? Zostać tutaj? Sam? Może lepiej iść z nami. Zorientujemy się, co i jak, a potem możesz przyjść tu z nami i rozprawić się z czarownicą, co ty na to?

Charles uniósł brew. Anna odpowiedziała mu uniesieniem obu.

– Ten wilkołak go skrzywdził – stwierdziła stanowczo. – My reprezentujemy interesy stada, ale dla Waltera to sprawa osobista. – Spojrzała na mężczyznę. – Prawda?

– Zło musi zostać zniszczone – oświadczył Rice. – Inaczej zagarnie wszystko, czego dotknie.

– No właśnie – kiwnęła głową Anna, jakby stwierdził coś oczywistego.



Anna nie sprzeciwiła się, gdy Charles oświadczył, że będą spać w wilczych formach, ale poczuła, jak na samą myśl ściska ją w żołądku.

Zaczynała przywykać do sypiania z Charlesem, lecz obecność drugiego wilka płoszyła ją, bez względu na to, z jaką rewerencją ją traktował. Jednak gdy słońce zaszło i temperatura obniżyła się znacznie, uznała, że Charles ma rację i nie mają dużego wyboru z jednym śpiworem.

Odeszła kawałek od mężczyzn i przemieniła się, drżąc z zimna, boso na śniegu. Wcześniej próbowała stanąć pod drzewem, gdzie ziemia była pozbawiona białej okrywy, ale ktokolwiek nazwał jodły drzewami szpilkowymi, wiedział, co robi.

Chłód nałożył się na ból przemiany, która zrobiła się tak nieprzyjemna, że Annie zatańczyły plamy przed oczyma. Starła się łapać powietrze jak najciszej, więc po policzkach popłynęły jej łzy, kiedy stawy i kości wykręcały się i rozciągały, ciało przybierało inny kształt, a skóra pękała, stając się sierścią.

Trwało to bardzo, bardzo długo.

Po wszystkim leżała przez chwilę nieszczęśliwa, zmęczona, z nosem w śniegu.

Przy okazji stwierdziła, że nawet zimno ma zapach.

Po chwili, kiedy cierpienie zaczęło mijać, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od zeszłej nocy, gdy spała w bezpiecznych ramionach Charlesa, jest jej ciepło. Gdy ból stał się całkiem znośny, wstała i przeciągnęła się, rozcapierzając pazury jak kot. Kręgi z chrzęstem powskakiwały na swoje miejsca.

Nie miała ochoty wracać tam i kłaść się obok nieznanego. Wilczyca nie obawiała się samców, wiedziała, że nie są tacy jak tamci, ale też nie była zachwycona perspektywą dotykania kogoś innego poza Charlesem.

Bardzo blisko, lecz poza polem widzenia wilk-Charles wydał cichy odgłos, coś pomiędzy szczeknięciem a piskiem. Anna strząsnęła z siebie śnieg, poruszyła łapami, by przestawić się na tryb czworonożny, i dopiero wtedy wzięła w zęby ubranie i ruszyła z powrotem. Charles podbiegł do niej, chwycił jej buty z włożonymi do środka rękawiczkami i powiódł ku miejscu, które wybrał na nocne legowisko.

Walter czekał na nich przy tymczasowym schronieniu. Na jego widok Anna uświadomiła sobie, że nie tylko ona jest

poruszona wizją spania nos w ogon z obcymi. Walter wyglądał żałośnie, skulony, z podkurczonym ogonem.

Charles zastrzygł uchem, każąc mu wejść pod pnie, a potem popchnął do środka Annę. Odłożywszy jej buty tak, żeby nie nasypał się do nich śnieg, wszedł za nimi, kładąc się przy wejściu, żeby w razie czego móc ich bronić. W norze nie było wiele miejsca, nawet gdy Walter skurczył się całkiem z tyłu.

Kiedy Anna ułożyła się obok niego, zatrzęsł się nerwowo. Biedactwo, pomyślała. Tyle lat żył sam, a teraz nagle musi przystosować się do sytuacji wymagającej zachowania stadnego. Jego cierpienie natychmiast odsunęło na bok jej własne lęki. Zatraskana, wyciągnęła się, kładąc pysk na futrzastym karku Charlesa. Uspokoiała się, odprężyła z nadzieją, że pomoże w ten sposób Walterowi.

To prawdziwe stado, pomyślała, chłonąc ciepło dwóch wilków. Charles pilnujący wejścia do kryjówki, dysponujący wyostrzonymi zmysłami, gotów w każdej chwili stanąć w ich obronie. Drugi wilk też dowiódł swojej odwagi i determinacji. Annę ogarnęło poczucie bezpieczeństwa. Tak bardzo różniło się to od jej pierwszej gromady.

Walter jeszcze długo leżał spięty, nieruchomy jak głaz, ale w końcu i on ułożył się wygodniej. Anna nie zasnęła jednak, dopóki nie sapnął, zadowolony, i nie położył pyska na jej biodrze.



11

Charles nie spał, choć jego towarzysze zapadli już w sen. Ból w ranach wyraźnie wskazywał, że przeforsował się dzisiaj i jeśli nie będzie rozsądny, nie uda mu się dotrzeć do samochodu. Ale to myśl o wiedźmie najskuteczniej odganiała od niego senność.

Nigdy nie doznał czegoś podobnego. Nakaz posłuszeństwa owijał go warstwami, aż wreszcie nie mógł sprzeciwić się wiedźmie i musiał odpowiadać na jej pytania. Sam był zbyt dominujący, by poddać się cudzej woli, lecz słyszał, że właśnie tak to wygląda. Wszystko się zgadzało. Gdyby już nie był przekonany, że ojciec dogłębnie poznaje kandydatów na przewodników poszczególnych stad pozostających pod jego władzą, zanim pozwoli im stać się Alfami, teraz pozbyłby się wątpliwości. Uczucie, że ktoś posiada nad tobą tak nieprzemogłą władzę, napawało przejmującą grozą, nawet gdy darzyło się tę osobę zaufaniem.

Jego podziw dla odwagi uległych wilków w ojcowskim stadzie wzrósł o kilka stopni.

Gdyby Anna nie rozproszyła uwagi wiedźmy i nie przerwała zaklęcia... Wciągnął gwałtownie powietrze do płuc, a Anna pisnęła cicho, uspokajając go nawet przez sen.

Kiedy już na spokojnie, a w każdym razie spokojniej, mógł wrócić myślami do tamtej chwili i zastanowić się nad sposobem działania zaklęcia, nadal nie potrafił dojść, w jaki sposób wiedźma była w stanie wykorzystać jego... jego więź ze stadem.

Ojciec powinien jak najszybciej dowiedzieć się, że istnieje wiedźma zdolna włamać się do magii stada. Z tego, co wiedział, nigdy wcześniej nic podobnego nie miało miejsca. Jedynie ból i świadomość, że musi się oszczędzać, bo i jego ciało nie jest niezniszczalne, powstrzymywały go od rzucenia się pędem do samochodu. Najważniejsze to ostrzec ojca.

Gdyby nie Anna... Skąd w ogóle wiedziała, co robić?

Poza magią wypływającą z przynależności do stada niewiele wilkołaków posiadało jakieś moce. Mógłby przysiąc, że Anna nie stanowi wyjątku. Znał jej zapach na wskroś, nigdy nie pachniała najmniejszą nutką magii. Gdyby ich więź była pełna, mogłaby czerpać z jego mocy...

Podniósł łeb i wyszczerzył zęby. Anna nie połączyła się z nim jeszcze, ale wilczyca owszem. Słyszał, jak przyzywa bestię, kiedy wiedźma unieruchomiła dziewczynę zaklęciem, ale uznał, że to i tak nic nie da. I jakże się mylił. Wilczyca zaczerpnęła jego magii, by przełamać zaklęcie, a Anna nie została jeszcze oficjalnie przyjęta do stada Marroka, więc skoro wiedźma wykorzystała więź stadną, podziałało tylko na niego.

Z zamyślenia wyrwał go cichy dźwięk, ledwo słyszalny przez wycie wichru. Coś poruszało się między drzewami. Mimo że intruz znajdował się w bezpiecznej odległości od ich kryjówek, Charles nadstawił uszu i czekał, aż wiatr przyniesie mu zapach. Jeśli to wiedźma, to rany nie rany, zgarnie swoje pisklaki i rzuci się do ucieczki.

Jednak to ktoś inny wyłonił się spomiędzy drzew, przystając na otwartej przestrzeni, żeby Charles mógł mu się dobrze przyjrzeć. Asil. Charles powoli wypełził z nory. Anna westchnęła niespokojnie, ale była tak zmęczona, że się nie obudziła. Charles odczekał, aż jej oddech się wyrówna, i dopiero wtedy ruszył ku nowo przybyłemu.

Przez te wszystkie lata, odkąd przyłączył się do stada Marroka, Asil nigdy nie opuszczał Aspen Creek. Charlesowi nie spodobało się, że ten pierwszy raz nastąpił właśnie tu i teraz. Podejrzewał, że wobec tego Asil coś wie i to coś nie uprości mu życia. Poza tym był zły, że nie jest w stanie ukryć utykania.

Charles rzadko się popisывał, tym razem jednak zrezygnował z powściągliwości. Przyzwał swoją magię i idąc, przemienił się. Bolało, ale martwił się, że cierpienie spowodowane gwałtowną przemianą odbije się na jego twarzy lub wzmoże utykanie. Gdyby był silniejszy, a duchy przychylniejsze, może udałoby mu się nawet wyczarować nowe rakiety. Na szczęście wiatr zmiatał sporo śniegu z otwartego terenu i Charles, pomimo trwającej śnieżycy, nie zapadał się za głęboko.

Asil uśmiechnął się pod nosem na widok przedstawienia, które zafundował mu Charles, lecz szybko spuścił wzrok. Charlesowi, choć nie zwiódł go ten pozorny pokaz uległości, który nie współgrał z postawą reszty ciała Asila, w tym momencie to wystarczyło.

– Jak nas znalazłeś? – zapytał przyciszonym głosem.

Pytanie było o tyle ważne, że znajdowali się całkiem gdzie indziej, niż powinni, idąc trasą wybraną przy pomocy Taga. Czyżby popełnił jakiś głupi błąd, który pozwolił Asilowi ich wysledzić? Niecodzienne zdarzenia, których doświadczył w ciągu ostatniej doby, zachwiały jego poczuciem pewności siebie. To plus ból w nodze wzmogło niechętny stosunek do starego wilka.

Asil stał swobodnie, ukryte pod kurtką ramiona nie wykazywały oznak napięcia.

– Z wiekiem nabieramy różnych umiejętności, prawda? Twój ojciec potrafi przemawiać do wilków, prosto do ich głów, bez względu na to, jak daleko by się nie znajdowały. Ja zaś potrafię zawsze znaleźć innych członków mojego stada. Gdybyście nie uciekali jak wystraszone zające, dogoniłbym was już kilka godzin temu.

– Po co tu przyszedłeś? – wycedził Charles, zgrzytając zębami. Wcale nie był zły o te „wystraszone zające”. Wcale a wcale.

Wpadanie w złość w obecności Asila nigdy nie wychodziło na dobre. Ten egocentryczny, arogancki Maur obracał ten gniew przeciw oponentowi, dodając do niego sporą dawkę upokorzenia. Charles co prawda nigdy nie stał się ofiarą Asila, ale widział nie raz, jak Asil potrafi kąsać. Nie przeżyłby tak długo, gdyby nie był podstępny drapieżcą.

– Muszę cię przeprosić – rzekł Asil, podnosząc głowę tak, by Charles ujrzał w jego oczach szczerą. – Sage opowiedziała mi, przez co przeszła Anna. Gdybym wiedział, z czym musicie się zmagać, nie robiłbym wam dodatkowych kłopotów.

– Nie mamy przez ciebie żadnych dodatkowych kłopotów – powiedział Charles, nie wątpiąc, choć to niesamowite, że Asil naprawdę tak uważał.

– To dobrze. Jeśli ty lub twoja wybranka potrzebowalibyście pomocy, jestem do waszej dyspozycji. – Asil spojrzał w stronę pnia, pod którym spali Anna i Walter. – W ramach ekspiacji pomyślałem, że może przydam wam się w sprawie tego zdziczałego wilkołaka. Jednak widzę, że macie wszystko pod kontrolą.

Charles uniósł brwi ze zdumienia. „Pod kontrolą” nie było określeniem, jakiego użyłby, opisując ostatnią dobę.

– Pozory mylą. Może wiesz, dlaczego szuka cię wiedźma?

Twarz Asila skamieniała, jego ciało również.

– Wiedźma?

– Pytała konkretnie o ciebie. – Charles potarł czoło, bo prędzej umarłby, niż pomasował na oczach Asila bolącą pierś. – A może wiesz, jakim cudem przejęła więź stada ojca i wykorzystała ją, przejmując nade mną kontrolę silniej, niż ojcu kiedykolwiek się to udało?

– Wiedźma? – powtórzył Asil. – Tutaj?

Charles uprzejmie przytaknął.

– A może skoro nie o niej, wiesz może coś na temat wilkołaczycy powiązanej z nią w jakiś sposób? I przy okazji mającej umaszczenie takie samo, jak twoja towarzyszka...

Urwał, bo Asil, nadal osłupiały, padł przed nim na kolana. Nie jakby klękał, ale jak gdyby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa. Tak samo, jak wcześniej stało się w przypadku Waltera, tyle że tym razem nie zostało to spowodowane niespodziewanym działaniem talentu Anny.

Buchnął na niego zapach gwałtownych emocji Asila, ale nie dał rady wyłowić z nich nic konkretniejszego poza cierpieniem i grozą, które zdecydowanie dominowały w tej burzy.

– Czyli to jednak ona – wyszeptał Asil. – Liczyłem, że umarła, że odeszła na wieki. Nawet kiedy usłyszałem opis tego wilkołaka, miałem nadzieję, że to ktoś inny.

To właśnie dlatego Charles nie wierzył w zbiegi okoliczności.

– Znasz tę wiedźmę?

Maur spojrzał na swoje ukryte w czarnych rękawicach dłonie i zagłębił je w śniegu. Zamknął oczy i zadrżał. Kiedy uniósł powieki, tęczówki połyskiwały złotem.

– To ona. Ukradła ją, i teraz nie będzie mogła ukryć się przede mną, tak samo jak ja nie mogłem ukryć się przed nią tutaj.

Charles odetchnął głęboko, przywołując na pomoc cały swój zapas cierpliwości.

– Co ukradła? I kim jest „ona”?

– Przecież wiesz. To ona zabiła moją Sarai. – Podniósł ręce i potarł śniegiem czoło. A potem dodał tę straszliwą część: – A kiedy ją zabiła, ukradła naszą więź.

Rzeczywiście, Charles wiedział. Podobnie jak wiedział każdy, kto słyszał opowieści o Maurze – że więź Asila i jego towarzyszkę obdarowała ich empatią.

Nie powiedział nic głupiego typu: „Jesteś tego pewien?”, choć w życiu nie słyszał o czymś podobnym. Natomiast fakt połączenia z wiedźmą, złą wiedźmą, więzią empatii... Nawet nie umiał sobie wyobrazić okropności czegoś takiego. Nic dziwnego, że Asil prosił Brana o śmierć.

– Ta wiedźma wygląda prawie jak nastolatka, a Sarai zginęła dwa wieki temu...

Asil spuścił głowę i wymamrotał:

– Przysięgam, nie sądziłem, że mnie tu znajdzie. Blokady i zabezpieczenia twojego ojca działały przez tyle lat... Jeśli by nie działały, zmusiłbym go do zabicia mnie już pierwszego dnia, kiedy przeniosłem się do Aspen Creek. – Przełknął z trudem ślinę. – Niepotrzebnie pozwoliłem, by przyłączył mnie do stada. Jeśli wykorzystana więź stadną, to mogła dostać się do niej tylko przeze mnie, przez naszą więź partnerską.

Charles zamarł, zastanawiając się, że może Maur naprawdę jest szalony, tak jak twierdzi. Bo jeśli nie, to wiedźma stanowi dużo większe zagrożenie, niż sądził.

Z ciemnego oblicza Asila spojrzały na niego wilcze ślepia.

– Powiedz mi o tej wilczycy, która wyglądała jak moja Sarai – poprosił stary wilk z rozpaczą.

– Nie znałem twojej towarzyszkę – rzekł Charles, łagodniejąc – ale wilczyca towarzysząca wiedźmie jest duża, nawet jak na wilkołaka, i ubarwiona niczym owczarek niemiecki, ciemne znaczenia i siodło. I na lewej przedniej łapie ma białą łatę.

– Na dwóch skrajnych palcach – warknął Asil, zrywając się nagle, bez ostrzeżenia, rozwścieczony do żywego. – Jak śmie

wykorzystywać formę Sarai do swych ohydnych iluzji?!

Charles skrzyżował ramiona na piersi. Lada moment będzie musiał usiąść, bo z bólu zaczęło kręcić mu się w głowie.

– To nie iluzja, Asilu. No chyba że iluzja może przekazywać likantropię. Ten odszczepieniec to jej pierwsza ofiara. Zaatakowała go, obronił się i Przeistoczył przy pierwszej pełni.

– Co? – zbladł Asil.

– Jest w niej coś dziwnego – ciągnął Charles. – Tylko czasem jest materialna. Anna zraniła ją, a ta uciekła, jednak gdy tylko zniknęła nam z pola widzenia, ślad krwi się urwał.

Asil przestał oddychać.

– O co chodzi?

– Przecież one wszystkie wyginęły – szepnął Maur.

– Kto?

– Wiedzmy, które wiedziały, jak... Nie doceniliśmy Mariposy...

– Mariposa? Motyl?

Noc sprawiła, że oczy Asila wydawały się czarne.

– Nie jestem czarownikiem.

Dziwaczna odpowiedź na zadane pytanie. Charles przyjrzał się Asilowi bacznie.

– Ale żyjesz od bardzo, bardzo dawna. A Sarai była zielarką, uzdrowicielką, prawda? Musisz wiele wiedzieć na temat czarów. I wiesz, czym jest ta wilczyca.

– Mariposa jest wiedźmą. Wychowaliśmy ją z Sarai jak córkę – rzekł Asil krótko. – Pochodziła ze znanego nam rodu wiedźm. Zresztą Sarai, jako zielarka, знаła większość rodzin wiedźm z Hiszpanii, zaopatrywali się u niej. Pewnego dnia u progu naszego domu pojawił się druciarz. Była z nim Mari. Miała wtedy osiem, może dziewięć lat. Później dowiedzieliśmy się, że matka Mariposy posiadała tylko tyle mocy, by ochronić przed śmiercią z rąk wrogiego klanu jedynie najmłodszą córkę. Reszta rodziny, rodzice, dziadkowie, rodzeństwo zginęli. Druciarz znalazł dziewczynkę błąkającą się pośród ruin domu

i pomyślał, że może się nią zajmujemy. Wiedział, że Sarai handlowała z jej rodziną. – Asil odwrócił się z westchnieniem i utkwiał wzrok w leżącej w dole ciemnej dolinie. – To były ciężkie czasy dla nas w Europie. Zaledwie kilka wieków wcześniej inkwizycja zebrała krwawe żniwo, a kiedy tamto się skończyło, wiedźmy zaczęły walczyć o władzę. Tylko Napoleon je powstrzymał, inaczej wybiłyby się do nogi.

– Tak, słyszałem o tym. – Jedynym rodem z zachodniej Europy, który przetrwał masakrę, byli Torvalisi, którzy połączyli się z Cyganami. Tu i ówdzie czasem rodziły się utalentowane dzieci w rodzinach zwykłych śmiertelników, ale rzadko kiedy posiadały nawet jedną dziesiątą mocy niegdysiejszych czarownic. A czarownice ze Wschodu i krajów Orientu nigdy nie stworzyły takiego porządku dynastycznego.

– Trzymały swoje zaklęcia w tajemnicy i w końcu każdy ród zaczął się w czymś specjalizować. Rodzina Mariposy stała się jedną z potężniejszych. – Zawahał się. – Ale ona była małą dziewczynką, a to zaklęcie było najpotężniejsze w ich rodzie. Trudno uwierzyć, że zawierzyli je dziecku.

– Co to za zaklęcie?

– Mówiono, że jej rodzina ma własnych strażników, bestie, które patrolowały ich ziemie i zabijały w ich obronie, lecz nigdy nie jadły i nie piły. Krążyły plotki, że robią je z żywych istot. Mieli menażerię – westchnął Asil. – Jak wiesz, tak potężnego zaklęcia nie da się stworzyć bez krwi i śmierci.

– Myślisz, że wasz motylek rzucił takie zaklęcie na twoją towarzyszkę?

Asil wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mogę tylko gdybać. Pewnego razu Mariposa powiedziała mi, to było niedługo przed tym, jak wysłaliśmy ją na nauki do innej wiedźmy, że czuje się bezpiecznie tylko przy mnie i Sarai. – Zawiesił głos, a potem podjął posępnie: – Kiedy to się stało, byłem w Rumunii. Śniłem o tym, że Sarai jest

dręczona, pożerana. Jej serce stanęło, do płuc przestało napływać powietrze, ale żyła, spalając się w bólu i mocy. Śniłem, że Mariposa pożera moją ukochaną, aż nie zostało z niej już nic. Sarai umierała bardzo długo, lecz krócej, niż trwała moja podróż z Rumunii, bo gdy przekroczyłem próg naszego domu, nie żyła już od jakiegoś czasu. – Patrzył na las, jednak przed jego oczyma przesuwwały się wydarzenia, które przeminęły bardzo dawno temu. – Spaliłem jej ciało i zakopałem prochy. Zasnąłem w naszym wspólnym łóżku, a gdy się ocknąłem, Mariposa czekała na mnie, w mojej głowie, w miejscu przeznaczonym tylko dla Sarai. – Westchnął, zgarnął trochę śniegu i odrzucił na bok. – Nie byłem Sarai, nie zwiódła mnie jej młodość. Poza tym czułem jej szaleństwo. Wiedziałem, że Mariposa zapragnęła i mnie, więc uciekłem. Do Afryki. Odległość pomogła osłabić więź. Już wtedy zorientowałem się, że jeśli była zbyt blisko, mogła zmusić mnie do wszystkiego wedle swojej woli. – Otworzył usta i przez chwilę dyszał jak zmęczony wilk. – Latami oczekiwałem, aż umrze, a ona żyła i żyła... – Asil objął się ramionami, odwrócił i spojrzał na Charlesa. – Myślę, że to efekt uboczny tego, co uczyniła Sarai, że ukradła nieśmiertelność Sarai tak samo, jak ukradła naszą więź. Za diabła nie wiem, dlaczego to zrobiła, i jedno, i drugie, ale jeśli chciała stworzyć istotę, taką, jak robiła to jej rodzina, to wszystko do siebie pasuje. Na oczach Mariposy zginęła cała jej rodzina, patrzyła na śmierć swojej matki, chroniącej ją przed czarem, który miał zniszczyć jej dom i wszystkich bliskich.

Charles wyczuł w głosie Asila współczucie, więc postanowił skonfrontować go z rzeczywistością.

– I dlatego zabiła twoją żonę, kobietę, która ją chowała, która jej broniła, opiekowała się nią. Zadawała jej cierpienie, zadnęła na śmierć, żeby zrobić sobie z niej strażnika. – Zła wiedźma, podpowiadał Charlesowi instynkt. Zła wiedźma. A zła

wiedźmy są wszystkie takie same, co do jednej. – A teraz ściga cię, pewnie chce zrobić z tobą to samo.

– Tak – szepnął Asil. – Za długo już uciekałem.

Charles znów potarł czoło, tym razem dlatego, że poczuł zbliżający się ból głowy.

– Dlatego uznałeś, że podasz się Mariposie na tacy. Z widelcem.

Asil stłumił śmiech.

– Tak, tak to może wyglądać. Lecz zanim mi o niej powiedziałaś, byłem przekonany, że moje podejrzenia to czcze wymysły. – Jego uśmiech zgasł. – Cieszę się, że tu jestem. Jeśli Mariposa ma w posiadaniu choćby cząstkę Sarai, muszę ją powstrzymać.

– Zastanawiałem się, czy nie ściągnąć tu Brana – rzekł Charles. – Choć widzę, że to chyba nie najlepszy pomysł.

Asil się zasepił.

– Kto silniej dominuje, ty czy ja? – zapytał Charles.

Oczy Asila, ciemne podczas rozmowy, rozbłysły jasno.

– Wiesz, że ty.

Charles patrzył na Maura, dopóki bursztynowe oczy nie odwróciły się w geście uznania jego wyższości.

– W takim razie jakim cudem wiedźma może, używając twojej więzi ze stadem, kontrolować mnie?



Anna rozpoczęła przemianę, kiedy tylko Charles poszedł rozmawiać z Asilem. Bardziej niż kłów i pazurów potrzebowała w tej sytuacji języka. Asil umiał wyprowadzić z równowagi Charlesa, a ten nie uspokoił się jeszcze po spotkaniu z wiedźmą.

Nie pamiętała o obecności Waltera, dopóki nie klęczała już, zdyszana, naga i marznąca. Miała trzy lata, żeby przywyknąć

do nagości wśród obcych, lecz nigdy jej się to nie udało.

Zerknęła na Waltera, ale on miał odwrócony łeb i wpatrywał się intensywnie w pień drzewa. Prawdziwy dżentelmen.

Przestawszy się nim przejmować, wciągnęła na siebie zimne ubranie. Spieszyła się, czując narastający gniew Charlesa wobec Asila. Asil naraził Marroka i jego stado. Martwiła się tym bardziej, że ani Asil, ani Charles nie zdawali sobie sprawy, jak blisko krawędzi znajduje się Charles. Dziwne, że ona o tym wiedziała.

Już w butach i kurtce Anna wytoczyła się z legowiska i wstała. Nie zakładała rakieta, było jeszcze bardzo wcześnie. Spojrzała na księżyc – kilka dni do pełni. Po raz pierwszy nie poczuła skręcającego niepokoju na myśl o pełni. Z Walterem przy nodze ruszyła do Charlesa i Asila.

To, że ani jeden, ani drugi nie zauważyli ich nadejścia, uznała za bardzo zły znak.

– A może czerpie moc Marroka, jak Leah? – zapytała.

Obaj popatrzyli na nią i Waltera zaskoczeni. Charles był wyraźnie niezadowolony, że nie zwrócił na nich uwagi wcześniej. Asil – dziwne, miał przemoczone dzinsy – bardziej przejął się Walterem, który położywszy uszy, szczerzył na niego kły.

Anna położyła Rice'owi dłoń na karku i rozpoczęła prezentację:

– Asil, to Walter. Walter, to Asil, ten, o którym ci opowiadaliśmy.

Asil popatrzył na Rice'a bykiem. Walter natychmiast pokazał jeszcze więcej zębów.

– Przestańcie – przerwała im Anna z nadzieją, że posłuchają. To fatalny moment na walkę o dominację, a nowy wilk zawsze na początku potrzebował trochę czasu, żeby ustalić sobie miejsce w stadzie. Ciekawe tylko, że Walter od razu nie uznał

Asila za silniejszego. – Nie wiemy, co nas czeka, potrzebujemy każdego w jak najlepszej kondycji.

– Walter uratował człowieka przed kłami wiedźmiej wilczycy i sam został Przeistoczony – rzekł Charles. – Zgodził się nam pomóc.

Mógł ująć to inaczej. Anna opiekuńczym gestem dotknęła łba Waltera. Zamiast zlekceważyć nowego wilka, Charles jasno dał do zrozumienia, że ten znajduje się pod jego ochroną i jest wartościowym członkiem ich oddziału.

Anna była z tego bardzo zadowolona, ale nie chciała znów, żeby Charles starł się z Asilem, dlatego skierowała ich uwagę gdzie indziej.

– Czy Mary... Mariposa mogłaby czerpać moc Marroka poprzez więź stadną? – ponowiła pytanie.

Charles przestał piorunować wzrokiem Asila.

– Tak, czułem tak, jakby to była moc ojca. Ale on nie może mnie tak przytrzymać.

– Potężna wiedźma może kontrolować każdego wilkołaka, za którym nie stoi stado – oświadczył Asil ponuro. – Zabrania tego prawo czarownic, lecz jest to możliwe. Jednym z problemów, które mieliśmy z Sarai, wychowując Mariposę, było to, że dziewczynka naginała ludzi do swojej woli, zmuszając ich do robienia różnych rzeczy, na przykład zabijania zwierząt domowych. A przecież miała dużo czasu, żeby zyskać jeszcze więcej siły. Myślę, że dzięki temu, że pośrednio przeze mnie jest członkiem stada, może łączyć własną moc z mocą twojego ojca.

Anna nie potrafiła domyślić się implikacji, jakie niosły ze sobą te przypuszczenia, ale mina Charlesa mówiła, że to fatalne wieści.

– To co, idziemy do Marroka czy nie? – zapytała Anna. – Przecież nawet jeśli nie powinien tu przyjeżdżać, to trzeba mu powiedzieć, prawda?

Charles zastygł w bezruchu.

– Jak myślisz, co Bran zrobi, kiedy mu o tym wszystkim powiemy? – zastanowił się Asil.

Charles nie odpowiedział.

– No właśnie, tak też myślałem... – westchnął Asil. – Przybiegnie tutaj, a nas odeśle do domu. I nieważne, że to byłaby najgłupsza rzecz na świecie. Zawsze chroni swoich i podobnie jak wszyscy, jest absolutnie przekonany o swojej niezniszczalności. Bardzo cierpi przez to, że musiał zabić doktora Wallace'a, i na pewno przez długi czas nie zaryzykuje życia nikogo, na kim mu zależy. A już na pewno nie syna.

– Żadna wiedźma nie byłaby w stanie kontrolować Marroka – oświadczył Charles, jednak Anna wyłowiła nutkę wątpliwości w jego głosie. Może sam zwrócił na nią uwagę, bo dodał łagodniej: – Musimy sami się tym zająć.

Asil uniósł nagle twarz pod wiatr, przymknął oczy i znieruchomiał.

Charles obrócił się błyskawicznie w stronę legowiska. Anna także, lecz nic nie dostrzegła. Nie od razu.

Zdawała się stapać ze śniegiem i wiatrem. Jej sierść mieniła się srebrem, złotem i cieniem. Zamarli, wpatrzeni w wilczycę, która stała ze wzrokiem utkwionym w Asila. Trwało to kilka sekund, po czym zeskoczyła z pnia i zaczęła podchodzić powoli, piszcząc cicho i lekko machając ogonem.

Asil ruszył ku niej, Charles szarpnął go do tyłu.

– Sarai? – wychrypiał Maur, nie próbując się nawet wyrwać.

Wilczyca spuściła łeb i podwinęła ogon w klasycznej pozycji uległości. Zaskomlała znowu. Walter warknął groźnie, zasłaniając sobą Annę, ale wilkołaczyca wiedźmy zwracała uwagę tylko na Asila.

Nagle pisnęła błagalnie, żałośnie, po czym odwróciła się i umknęła. Anna śledziła ją wzrokiem, nie zauważyła więc, że Asil wyrwał się z uchwytu Charlesa i popędził za wilczycą, która tak bardzo przypominała jego towarzyszkę.

Charles nie pobiegł za nimi, obserwował, jak para znika pomiędzy drzewami.

– Nie za dobrze, prawda? – mruknęła Anna.

– Nie – odmruknął ponuro Charles.

– Co teraz? Pójdziemy za nimi?

– Nie. – Charles popatrzył na Waltera. – Nie musimy, prawda? Wiedźma nadal mieszka w tej starej chacie, tak?

Walter szczerknął potakująco.

– Nie powiemy o niczym Marrokowi? – Znow zerwał się wiatr i Anna zadrżała. – To na pewno rozsądne? Może twój tata ma na usługach czarownicę, która mogłaby pomóc? W Chicago była jedna, oba stada korzystały z jej usług.

– Wiedźma Asila znalazła sposób, by kontrolować wilka należącego do stada – rzekł Charles. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem, no i nie sądzę też, żeby rozpowiadała o tym na prawo i lewo. Dzięki Bogu wiedźmy są zazdrosne o swoją wiedzę. Istnieje spora szansa, że tylko ona jedna zna ten sekret i lepiej, żeby tak zostało. Nie będziemy mieszać w to innej czarownicy. – Nadal wpatrywał się w miejsce, gdzie zniknęła wilkołaczyca.

– A Marrok?

– Asil ma rację. Ojciec zechce sam stawić jej czoła.

– A dałby radę?

Charles zamierzał chyba wzruszyć ramionami, lecz skrzywił się z bólu.

– Ja nie stanowiłem dla niej wyzwania. Nie znaczy to oczywiście, że ojciec jej by się nie przeciwstawił, ale jeśli by mu się nie udało... Marrok panuje nad wszystkimi wilkołakami w Ameryce Północnej, Anno. Nad wszystkimi. Gdyby przejęła kontrolę nad nim, kontrolowałyby je wszystkie.

– Myślisz, że tego właśnie chce?

– Nie wiem. Przez tyle czasu szukała Asila, ale... Marrok na pewno byłby niesamowitą zdobyczą.

Anna przysunęła się do Charlesa i objęła go, podtrzymując.

– Możemy tu zostać na noc? Myślisz, że wiedźma po nas przyjdzie?

Popatrzył na dziewczynę i westchnął.

– Myślę, że jesteśmy tu tak samo bezpieczni, jak gdziekolwiek indziej. No i Asil ją chwilowo zajmie. Biedny, stary Maur. Gdybym czuł się lepiej, pobiegłbym za nim. Ale dzisiaj jest zdany na siebie. – Uśmiechnął się przelotnie i niewesoło. – Nie mamy wyjścia, musimy tu zostać. Potrzebuję snu i jedzenia, zanim się gdzieś ruszę.

Posadziła go na jednym z pni, osłoniętych trochę od wiatru, a sama przeorganizowała obozowisko. Zebrała trochę suchego drewna, ułożyła i przy pomocy Waltera, który zasłonił ją od wiatru, rozpałała ogień. Postawiwszy wodę, opatrzyła Charlesa przy pomocy pasów oddartych z czystej koszuli. Charles, słaby jak niemowlę, cierpliwie poddawał się jej zabiegom.

Przygotowała jedzenie, dała mu dwie torebki, ona i Walter zjedli po jednej. Po skończeniu zasypała dokładnie ognisko śniegiem i kazała Charlesowi wejść do legowiska. Była zbyt zmęczona na kolejną przemianę, a Charles zbyt słaby. Walter ułożył się z przodu, osłaniając ich od śniegu i wiatru.



Anna otworzyła oczy. Było ciemno. Coś musiało znowu ją obudzić. Podniosła głowę, tracąc kontakt z ciepłą, pachnącą skórą Charlesa. Waltera nigdzie nie było, a w nocy musieli się wiercić, bo Charles ponownie leżał przy wejściu, żeby w razie czego móc ją chronić.

Wiatr ucichł, śnieg przestał padać. Puszcza pogrążona była w głuchej ciszy.

– *Me transmittite sursum, Caledoni[*]* – mruknęła. Szkoda, że nie mieli takiego Scotty’ego, który mógłby teleportować ich w bezpieczne miejsce. W powietrzu wisiała jakaś groźba.

Wysłuchała się w ciszę, lecz w nocnej głuszy usłyszała tylko bicie serca.

Bicie swojego serca i swój oddech.

– Charles? – szepnęła, dotykając delikatnie jego ramienia. Nie zareagował, więc trąciła go mocniej.

Wyturlał się spod osłony, padając bezwładnie twarzą w śnieg. Poświata księżycyca oświetliła go tak wyraźnie, jakby był dzień.

Anna nie mogła złapać oddechu, łzy napłynęły do oczu. Krew z rany na plecach przesiąkała przez kurtkę. Palce Anny lśniły ciemno, umazane krwią Charlesa.

– Nie! – Usiadła gwałtownie, uderzając się głową o pień, pod którym leżeli. Nie bacząc na ból, wyciągnęła rękę ku Charlesowi. – Charles!



Bran usiadł gwałtownie na łóżku. Ciężko dyszał, serce waliło mu młotem. Świeże powietrze w sypialni schłodziło jego zroszoną potem skórę.

Wiedźma.

– Co się stało? – Leah odwróciła się do niego, rozleniwiona, podpierając dłońią policzek.

– Nie wiem. – Bran wciągnął powietrze nosem, lecz w sypialni nie było nikogo prócz niego i towarzyszki. Szybko otrząsnął się ze snu, jednak resztki koszmaru pozostawiły po sobie silne wrażenie.

Wiedźma.

Zadzwonil telefon.

– Co się dzieje, tato? – odezwał się Samuel całkiem przytomnym głosem. – Coś do mnie mówiłeś?

Bran nie od razu zrozumiał, że Samuelowi nie chodzi o prawdziwą rozmowę. Potarł czoło, usiłując przypomnieć sobie sen. Wiedźma. Słowo to wywołało u niego zimny dreszcz.

Może śnił o przeszłości? Teraz już rzadko mu się to zdarzało, a jeśli, to jego snów nie nawiedzała wiedźma, a ludzie, którzy zginęli od jego klów po jej śmierci.

Nie, to nie był sen. Raczej ostrzeżenie. Natychmiast gdy sobie to uświadomił, ocknął się całkowicie. Coś było nie tak.

– Pamiętasz co? – Głos go nie zawiódł, był opanowany i spokojny.

– Kazałeś mi się obudzić – stwierdził Samuel kpiąco.

– Hm, mało przydatne. – Bran przecesał palcami włosy. – Wybacz, że cię niepokoiłem, spałem.

– Miałeś koszmar? – zapytał Samuel łagodnie.

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, przed oczyma Brana stanął obraz ze snu.

– Charles wpadł w tarapaty.

– To przez tego zdziczałego wilkołaka? – W tonie Samuela zabrzmiało uprzejme niedowierzanie. – Nigdy nie widziałem wilkołaka, przez którego Charles dostałby nawet zadyszki.

Wiedźma.

Ale nie jego wiedźma, nie ta, która dawno, dawno temu przemieniła go w potwora. Tamta była martwa, choć nigdy jej nie zapomni. To była inna wiedźma.

– Tato?

– Czekał, daj mi pomyśleć.

Odezwał się ponownie po chwili.

– Charles i Anna wyruszyli dwa dni temu. – Czasami głośne myślenie pomagało Branowi uporządkować ważny sen. Takie sny stanowiły kiepskie ostrzeżenia, zwykle przypominał je sobie, gdy było już po wszystkim. – A wczoraj wieczorem

przyszedł do mnie Asil. Był na mnie zły, że wysłałem Charlesa w góry tak krótko po postrzale.

– Asil martwił się o Charlesa? – zapytał Samuel sceptycznie.

– To samo pomyślałem. Zdumiewające. Asil był całkiem spokojny, dopóki...

– Co?

Bran znów potarł czoło.

– Jestem już stary. Zapomniałem. Głupia sprawa... Cóż, to by wyjaśniało...

– Ojczy?

– Przepraszam – zaśmiał się Bran. – Asil zniknął wczoraj rano. Prawdopodobnie poszedł za Charlesem, i właśnie zrozumiałem, dlaczego to zrobił. Opis tego wilka pasował do wyglądu wilczycy Sarai, towarzyszkii Asila.

– Przecież ona nie żyje już od bardzo dawna.

– Od dwustu lat. Asil mówił, że sam spalił jej ciało i pogrzebał prochy. Może jest stary, ale nawet on nie potrafiłby mnie okłamać. Sarai na pewno nie żyje.

Leah przeturlała się na skraj łóżka, zabrała odzież i bez słowa wyszła z sypialni. Trzaśnięcie drzwiami powiedziało Branowi wyraźnie, że zranił ją tą rozmową z Samuelem. Powinien omawiać tę sprawę z towarzyszką, nie z synem.

Nie było jednak czasu na przeprosiny. Właśnie naszło go dziwne skojarzenie.

Wiedźma.

– Samuelu, powiedz mi, dlaczego spaliłbyś ciało?

– Żeby uniemożliwić rozpoznanie. Gdyby było zbyt zimno na kopanie grobu. Bo tak nakazuje mi religia. Żeby nie rozprzestrzeniła się jakaś choroba. Bo jest zbyt wiele ciał, a nie ma w pobliżu koparki. Jestem blisko?

Bran był zbyt zatroskany, by się uśmiechnąć.

– A w czasie wojen napoleońskich? W Hiszpanii?

– Wiedźma.

Wiedźma.

– Śniłem o wiedźmie – rzekł Bran pewnie.

– Towarzyszka Maura została zadęcona na śmierć. Zawsze wydawało mi się, że to był wampir, bo przecież wiedźma nie dałaby rady tak długo trzymać w niewoli wilkołaka. Zabić tak, ale przetrzymywać i torturować?

– Znałem jedną, która potrafiła to zrobić.

– Babka od dawna już nie żyje, tato – rzekł Samuel oględnie.

– Tak, tak, zabita i pożarta – zniecierpliwił się Bran. – Wskazywałem tylko, że znamy taką, która byłaby do tego zdolna. A skoro jest jedna, może być i więcej.

– Sarai była towarzyszką Maura, oboje należeli do stada. Nie czułem niczego. Poza tym Sarai nie żyje od dwustu lat. Wiedźmy żyją tyle, co zwykli ludzie.

– Asil wspominał, że znów ma te sny. O niej. Zakładałem, że mówi o Sarai.

Odpowiedziało mu milczenie. Samuel też wiedział o snach Maura.

– Sam nie wiem – odezwał się Bran ponownie. – Może Sarai została zabita przez wampira, a wilk o podobnym ubarwieniu to tylko zbieg okoliczności? Może Asil spalił ją, bo nie mógł znieść myśli, że zgnije w ziemi? Może mój sen nic nie znaczył, a Charles jest już w drodze do domu razem z tym wilkołakiem?

– Wiesz, właśnie udowodniłeś coś całkiem przeciwnego, zgadzając się z tymi tezami. Wyszło ci znacznie lepiej, niż gdybyś je podważał. Ciekawe, jak to świadczy o tym, jak działa twój umysł.

– I twój. – Bran nie mógł powstrzymać uśmiechu. – Lepiej sprawdzę, co z Charlesem.

– Dobrze. Mam przyjechać?

– Nie. Zatrzymałeś się u Adama czy Mercy?

– Przecież jestem twoim synem – rzekł Samuel z przechwałą w głosie, mimo wyraźnej troski. – Oczywiście, że u Mercy.

Bran z uśmiechem odłożył słuchawkę. Potem wstał i się ubrał. Przystanął na moment przy zamkniętych drzwiach Leah, ale i tak nie mógł zmienić tego, że nie układało im się dobrze. Nawet nie chciał tego zmieniać, przykro mu tylko było, że towarzyszka tak często czuje się zraniona. W końcu zostawił ją w spokoju.

Nie zostawił kartki, wiedział, że Leah nie będzie obchodziło, gdzie i dlaczego wyszedł.



Annę bolało już gardło od łkania. Leżała na stygnącym ciele Charlesa z twarzą mokrą od łez i krwi, które zamarzały na mrozie. Opuszki palców piekły ją od śniegu.

Nie żył, to jej wina. Powinna zauważyć, że tak mocno krwawi. Miała go dla siebie tylko kilka dni.

Podniosła się i usiadła po turecku na ziemi, wpatrując się w jego piękną twarz. Żył co najmniej dwieście lat, a ona prawie nic o nim nie wiedziała. Nie знаła jego historii. Jak to było, dorastać jako wilkołak? Jakie miał przygody? Nie wiedziała nawet, jaki był jego ulubiony kolor. Zielony, jak w sypialni?

– Czerwony. Najbardziej lubię czerwony – szepnęła jego głosem.

To przecież niemożliwe.

Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, kiedy mrugnęła, leżała na plecach pod Charlesem, jak najbardziej żywym, choć z lewej strony jego twarz wyglądała, jakby podrapała ją jakaś bestia.

Ciężko dyszała i bolały ją ręce, które przybierały ludzki kształt. Czy to ona zadała mu te rany? Poczowała się tak, jakby jej serce, które na chwilę stanęło, nagle zaczęło bić.

– Charles? – wykrztusiła.

Nie poruszył mięśniami twarzy, ujrzała jednak ulgę w jego oczach, a uścisk zelżał.

Na chwilę wtulił nos w szyję Anny, a potem dźwignął się i stoczył z niej.

– Wystarczyło zapytać.

Usiadła, słaba i zdezorientowana.

– Zapytać?

– Jaki jest mój ulubiony kolor.

Gapiała się na niego, nic nie rozumiejąc. Żartował sobie z niej?

– Nie żyłeś – powiedziała. – Obudziłam się, a ty leżałeś cały we krwi i nie oddychałeś. Byłeś martwy.

Annę zaskoczył dobiegający zza niego warkot – całkiem zapomniała o Walterze.

– Ja też to czuję, wilku – powiedział Charles, szramy na jego policzku zaczęły szybko blednąć. – Czary. Czy wiedźma coś od ciebie wzięła, Anno? Skórę, krew, włosy?

Kiedy pojawił się wilkołak, Mary chwyciła ją za włosy.

– Włosy – wychrypiała nieswoim głosem.

– Wiedźmy należy trzymać jak najdalej od siebie – poradził jej Charles. – Włosy pozwoliły jej wejść do twoich snów. Gdybyś umarła we śnie, umarłabyś też naprawdę.

Za chwilę, pomyśli o tym za chwilę, teraz były ważniejsze sprawy. Gorączkowo zaczęła rozpinać kurtkę Charlesa. Przytrzymał jej rękę.

– Co się dzieje?

Rękę miał ciepłe, ale wtedy jego skóra też była ciepła.

– Muszę zobaczyć twoje plecy.

Puścił Annę, zdjął kurtkę i nie wstając, odwrócił się, żeby mogła zobaczyć, że na opatrunku nie ma świeżej krwi. Wsparła się czołem o jego bark i przez chwilę chłonęła zapach. Pod opatrunkiem wyczuła tylko starą krew i gojącą się ranę.

Złapała jego koszulę, starając się pozbierać.

– To był tylko koszmar? – zapytała, obawiając się uwierzyć. Bojąc się, że to jest sen, a tamto było prawdą.

– Nie, to była suma wszystkich twoich najgorszych strachów.
– Odwrócił się i objął Annę, rozgrzewając ciepłem swojego ciała. – Od kwadransa usiłowaliśmy cię wybudzić – szepnął i zawiesił głos. – Nie tylko dla ciebie było to straszne. Na chwilę twoje serce przestało bić, prawie przez minutę próbowałem ci wrócić oddech. Pewnie będziesz posiniaczona... Reanimowanie sprawia mi nieco kłopotów. Ciężko zrobić masaż serca i nie połamać przy tym żeber. – Przyciągnął ją do siebie mocniej. – Kłopot z bratem lekarzem polega na tym, że wiem, jak niewiele osób wymagających reanimacji przeżywa.

Anna poklepała Charlesa po ramieniu, z dala od rany.

– No tak, ale założę się, że większość z nich nie jest wilkołakami.

Wreszcie ją puścił.

– Zmarzłaś – powiedział energicznie. – Powinniśmy coś zjeść. Do świtu jeszcze parę godzin.

– Jak ty się czujesz?

– Lepiej. – Uśmiechnął się. – Dużo jedzenia, mało snu i jestem jak nowy.

Obserwowała, jak wyciąga z plecaka kilka paczuszek z jedzeniem, tym, które nie wymagało gorącej wody, czyli suszonymi owocami i mięsem.

Rozdarła zębami opakowanie i zaczęła żuć przekąski.

– Wiesz, kiedyś nawet polubię te rzeczy.

Karmiony kawałkami przekąsek Walter ułożył się na jej stopach. Szybko poczuła, jak zmarznięte palce tają.

W końcu położyli się znowu do snu jak wcześniej: Anna w środku, Charles na skraju legowiska.

– Boję się zasypiać – poskarżyła się Anna. Nie bała się dlatego, że mogłaby umrzeć we śnie, ale tego, że znów zobaczy twarz martwego Charlesa.

Charles przytulił ją i zaczął cicho nucić w języku Indian. Rozpoznała nosowe głoski i dziwaczną tonację.

Walter sapnął i ułożył się wygodniej. Tak doczekali poranka.

* *Beam me up, Scotty* w wersji łacińskiej. Pol. „Teleportuj mnie, Scotty” („Star Trek”).



12

Branowi nie przeszkadzała ciemność, kiedy zgodnie ze wskazówkami jechał na miejsce, które Charles z Tagiem uznali za najlepsze do rozpoczęcia trasy. Mijając subaru Asila, zawahał się – skoro Asil chciał dotrzeć do Charlesa, pewnie wybrał najkrótszą drogę.

Uznał jednak, że w razie kłopotów Charles wróci do samochodu, dlatego jechał dalej.

Po głowie chodziły mu różne myśli. Niektóre stada korzystały z usług czarownic. Nie jego – on nie zadawał się z czarownicami parającymi się czarną magią, a inne były zbyt słabe, by mu się przydać. Choć w razie czego mógł się do jakiejś zwrócić.

Jednak jeśli miał do czynienia z wiedźmą, która potrafiła więzić i torturować wilkołaka przez długi czas, nie chciał rozgłaszać tego faktu, żeby nie zachęcić innych do wzięcia z niej przykładu. Szczególnie jeśli ta, podobnie jak matka Brana, zyskała swoje moce w wyniku nawiązania połączenia z wilkołakiem.

Nie, lepiej trzymać wiedźmy z dala od tego.

Mógł też przyzwać Charlesa.

To okazało się trudniejsze. Właśnie dzięki telepatii matka-wiedźma zdołała Brana zniewolić. I przez nią nie mógł już czytać w myślach innych.

Efektom zgładzenia matki była utrata tej umiejętności – jedno z wielu błogosławieństw jej śmierci. Wraz z upływem czasu odzyskał zdolność telepatycznego mówienia do innych, lecz już nie słuchania. Matka uwięziła jego umysł tylko dzięki temu, że sama posiadała tę umiejętność, a to niezwykła rzadkość wśród wiedźm. Zdziwiłby się, gdyby w Ameryce Północnej znajdowała się jeszcze jedna o podobnych możliwościach. Mimo to za bardzo bał się nawiązać kontakt z synem, dopóki nie zyska całkowitej pewności, że Charles uwolnił się od wiedźmy Asila.

Ze wszystkich istot obdarzonych umiejętnością wykorzystywania mocy Bran najbardziej obawiał się wiedźm. Pewnie dlatego, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, sam mógłby zostać czarownikiem.

Skręcił z głównej drogi i ruszył pod górę na Silver Butte. Jechał po śladach szerokich opon, więc przynajmniej tu jeszcze Charles trzymał się planowej trasy.

Prowadzenie pick-upa po koleinach humvee nie było prostą sprawą i oderwało Marroka chwilowo od myśli o czarownicach. W pewnej chwili zaczął nawet żałować, że nie zaparkował przy wozie Asila, ale wzięwszy kolejny, wyjątkowo ostry zakręt, nieomal wjechał na humvee, stykającego się prawie maską z drzewem.

Przystanął zderzak w zderzak i zgasił silnik, rosnące po bokach drzewa uniemożliwiały objechanie tarasującego drogę wozu, a pod gładką pokrywą śnieżną mógł kryć się rów.

Od dłuższego czasu droga była tak wąska, że uniemożliwiała zawrócenie. Zastanawiał się, czy wracając, będzie musiał cofać. Uśmiechnął się smutno na myśl, że jeśli im się nie uda, to i tak nie będzie miało znaczenia.

Asilowi pewnie udało się już znaleźć Charlesa, a Asil wiedział sporo o wiedźmach. Razem na pewno poradzą sobie ze wszystkim, na co się natkną. Jeśli Charles trzymał się wyznaczonej trasy, Bran spodziewał się znaleźć syna przed zmrokiem.

Kluczyki zostawił w stacyjce, uznając, że nikt nie ukradnie samochodu, a nawet jeśli, to cóż, będzie miał do czynienia z Charlesem.

Nie zakładał kurtki, bo i tak zamierzał ruszyć w drogę w wilczej formie. Rozebrał się, nastawił na nieprzyjemne zimno i wyskoczył nago na śnieg, nim dokończył przemiany. Mógł co prawda otworzyć drzwiczki jako wilk, ale manipulowanie łapami nigdy nie pozostawało obojętne dla wyglądu auta. A mimo że Charles utyskiwał wiecznie na maszyny, swojego pick-upa bardzo lubił.

Bran zaczął sadzić równymi susami. Takie tempo mógł utrzymać przez cały dzień. Dawno już nie biegał po tych górach, nigdy nie należały do jego ulubionych terenów łowieckich, choć niezbyt wiedział dlaczego. Charles utrzymywał, że góry Cabinet są bardzo niegościnnie, a Bran uznał, że to wyjaśnienie jest dobre jak każde inne.

Postanowił ruszyć trasą zaplanowaną przez Charlesa, ale od tyłu. Pętla, którą chcieli iść, miała kilkadziesiąt kilometrów długości, mógł przebiec całą i wrócić w to samo miejsce jeszcze przed zmrokiem.



Chata prawie nie zmieniła się od pół wieku, kiedy to Charles widział ją po raz ostatni. Miała jedynie dodatkowo niewielki ganek, z którego oblażiła zielona farba. Nie była niczym szczególnym, setki podobnych domków z bali stało rozsianych

po całych górach Montany. Większość z nich została zbudowane podczas wielkiego kryzysu przez Rooseveltowskie hufce pracy.

Bale poszarzały przez tyle lat słońca, deszczu i śniegu. Za chatą, tuż przy lesie, parkowała poobijana terenówka.

Charles zatrzymał Annę na skraju linii drzew. Znajdowali się pod wiatr i byli dobrze ukryci. Walter natychmiast rozpląszczył się u stóp Anny, jakby był wiernym zwierzątkiem, a nie bestią wążącą tyle, co przeciętny niedźwiedź i zdolną wyrządzić od niego znacznie więcej szkód.

Uwielbienie Waltera dla Anny było tak wyraźnie platoniczne, że Charles nie potrafił się o to złościć. Pamiętał ekscytację w głosie wiarusa, kiedy ten powiedział: „Czuję się, jakbym mógł zasnąć”. Wiedział coś o demonach przeszłości pełnej śmierci i przemocy. Jeśli dzięki Annie Rice mógł liczyć na chwilę spokoju, to Charles nie miał nic przeciwko.

Wpatrywał się teraz z nienawiścią w chatę, pomstując na siebie za przepełniający go strach. Dawno już tak się nie bał. Przywykł do troski o Samuela, ojca i nawet do tej najświeższej, o Annę, lecz nie obawiał się nigdy o siebie. Jednakże wspomnienie niemocy, łatwości, z jaką wiedźma pozbawiła go wolnej woli, zupełnie jakby była jego Alfą, silnie podkopało wiarę Charlesa we własne siły.

Pogładził Annę po ramieniu. Wiedział przecież, że nie jest tak krucha, na jaką wygląda. W końcu była wilkołakiem.

Stary wiarus też był silny, wiele przeżył. Charlesa uspokajała myśl o tym.

– Nie dam rady pomóc wam bezpośrednio – powiedział. – Jeśli wiedźma mnie zobaczy, znów będzie mogła przejąć nade mną kontrolę. W magii Alfy liczy się dystans, a także kontakt wzrokowy i fizyczny.

Ani Anna, ani Walter nie należeli do stada Marroka, więc nic nie łączyło ich z Asilem. Poza więzią partnerską Anny i Charlesa byli jak wilki samotnicy, słabi i bezbronni bez stada.

Jednak wiedział, że przejęcie nad nimi kontroli zajmie wiedźmie nieco więcej czasu. Wystarczająco, żeby w razie czego się pokazał.

Jego pozbawiła woli natychmiast.

Nienawidził wiedźm. Inne istoty posługujące się magią nie przeszkadzały mu tak bardzo. Druidzi umieli wpływać na naturę – pogodę, rośliny i niektóre zwierzęta. Magowie zajmowali się materią nieożywioną. Ale wiedźmy wykorzystywały ciała i umysły. Każdego, bez wyjątku. Czarownice, te neutralne, nie były zbyt groźne, może dlatego, że większość posiadała mniej mocy niż on. Lecz wiedźmy mroku, wiedźmy czarne, czerpały moc z zabijania i zadawania bólu, a ich ofiarami były wszystkie żywe istoty, od much po ludzi.

– Jasne – powiedziała Anna lekko, jakby co dzień stawiała czoła czarownicom. – W razie potrzeby zajmiesz się wilczycą i Asilem. To i tak dużo roboty.

Kilka godzin snu, masa jedzenia i wolne tempo tego ranka pozwoliły Charlesowi wrócić do siebie. A to dawało nadzieję, że poradzi sobie z pomocnikami wiedźmy.

Anna zadrżała, pewnie trochę ze strachu, trochę z niecierpliwości. Na nocny koszmar zareagowała tak, jakby to Charles był celem ataku, choć przecież to ona przestała oddychać.

Walter uniósł pysk, w oczach wilka Charles ujrzał determinację i obietnicę, że będzie bronił Anny bez względu na wszystko. Brat wilk nie był zachwycony, widząc taki wyraz oczu u innego samca, jednak w tej sytuacji jego obrona dawała Annie większe szanse na przeżycie.

– Pójdę na mały obchód. Na razie czekajcie tu, dobrze?

– Nigdzie się stąd nie ruszę – przyrzekła Anna.

– I nie denerwuj się, to może trochę potrwać.

Tył chaty prawie przylegał do lasu. Z przodu i z boku dzielił ją od linii drzew kilkumetrowy pas wolnej przestrzeni. Sam nie

wybrałyby tego miejsca na kryjówkę przed wilkołakami, ale z drugiej strony wiedźma nie bała się wilkołaków. Na pewno nie dał jej żadnego powodu, żeby bała się jego.

Ku zaskoczeniu Charlesa Walter poszedł za nim, choć ukrywał się tak dobrze, że Charles wyczuł jego obecność tylko po zapachu. Duchy naprawdę postanowiły otoczyć opieką Waltera. Dziadek Charlesa potrafił tak znikać.

Znalazłszy się rzut kamieniem od chaty, Charles nabrał przekonania, że nikogo w środku nie ma. Gdy Walter pojawił się parę metrów przed nim i zamachał ogonem, Charles wiedział, że miał rację. Jednak najpierw obszedł niewielki budynek i otworzył drzwi, zanim odesłał Waltera do Anny.

W środku, w niewielkiej izbie mieściły się zaledwie prycza i stół. To tyle z mebli, jeśli nie liczyć półki nad kominkiem. Prycza była nowa, miała jeszcze metki ze sklepu, stół wyglądał starzej od chaty.

Palenisko wyglądało tak, jakby jeszcze niedawno ktoś korzystał z kominka, a leżące obok martwe zwierzę wyraźnie wskazywało na to, kim jest aktualny mieszkaniec chaty. Gdzie pojawiały się wiedźmy, tam pojawiały się i truchła zwierząt. Tylko czarownice nie zabijały, ale posiadały znacznie mniej mocy niż ich mroczne siostry.

Na prostej drewnianej podłodze rzucały się w oczy lśniące gwoździe i ślady łomu w miejscu, gdzie lokatorka podważyła deski. Charles, zbliżywszy się do pryczy, z łatwością odkrył przyczynę działań wiedźmy. Miał już wcześniej styczność z kręgami mocy. Niektóre czarownice używały ich, by nałożyć zaklęcia ochronne na coś dla nich cennego, inne do magazynowania mocy, którą mogły wykorzystać w dogodnym momencie. A skoro mógł wejść do chaty i nic go z niej nie wyganiało, uznał, że ten krąg należy do drugiego rodzaju, a to oznaczało więcej martwych zwierząt pod podłogą. Powęszył, zapach śmierci unosił się już od truchła leżącego przy kominku,

a na pewno nic nie gniło. Albo więc zabiła dość dawno i truchła zdążyły zamarznąć, albo rzuciła dodatkowe zaklęcie maskujące, żeby odór nie przyciągał padlinożerców. Główną mocą czarownic było manipulowanie zmysłami innych istot.

Ojciec twierdził, że gdyby Charles chciał, gdyby się uczył, mógłby być czarownikiem. Nie zachęcał syna do tego, ale też nie zniechęcał, choć taki talent w stadzie wzmocniłby moc Marroka. Charles wolał jednak subtelniejszą magię ludu matki i nigdy nie żałował swojego wyboru, tym bardziej teraz, stojąc pośrodku chatynki skażonej złem.

Zapach na leżącym na pryczy śpiworze był świeży – ktoś spał w nim tej nocy. Na stole stał ogarek grubej czarnej świecy, w której smród krwi był silniejszy niż wosku, oraz móździerz z popiołem na dnie – resztkami spalonych włosów Anny. To właśnie pozwoliło wiedźmie wnikać do snów jego ukochanej.

– Co to? – zapytała Anna, stając w progu. Od razu poczuł się lepiej, jakby jej obecność osłabiała zło, które przenikało drewno i cegłę. Kiedyś Annie o tym opowie, tylko po to, żeby ujrzeć jej zdumienie. Zaczynał poznawać dziewczynę coraz bardziej, a to pozwalało przewidywać jej reakcje. Sprawiało mu to ogromną przyjemność.

Anna patrzyła na oskórowany, wypatroszony krwawy strzęp przy kominku.

– Szop. Przynajmniej sądząc z zapachu.

Wokół truchła unosiła się także woń cierpienia, a na podłodze widniały ślady pazurów. Wyglądało na to, że został przybity do desek. Charles nie widział jednak powodu, by opisywać Annie sposób, w jaki zwierzę zginęło i co wcześniej wiedźma z nim robiła.

– Po co to jej było? – Ani Anna, ani Walter nie wchodzili do środka.

– Nie mam pojęcia. Może chciała zasilić zaklęcie związane z twoim snem? Czarne wiedźmy czerpią moc z cierpienia.

Anna pobladła.

– Istnieją potwory gorsze od wilkołaków, prawda?

– Tak. Nie wszystkie wiedźmy działają tak jak ta, ale bardzo trudno jest być dobrą czarownicą.

Obok martwego szopa stała misa wróżebna. Temperatura wewnątrz nie była wiele wyższa niż na zewnątrz, więc gdyby stała tu długo, wodę powinien ściąć lód. Czyli minęli się z wiedźmą o włos.

Choć nie chciał, dotknął stworzenia, żeby zobaczyć, od jak dawna nie żyje. Ciało było nadal...

Poruszyło się słabo. Charles błyskawicznie wyciągnął nóż i odciął zwierzakowi głowę, skracając jego cierpienia tak szybko, jak potrafił. Aż przeszedł go dreszcz na myśl, że jeszcze żyło. Nic nie powinno przeżyć takich tortur, jakie mu zadano. Charles spojrział z namysłem na świeżo przybite deski. Może smrodu rozkładu nie było dlatego, że cokolwiek kotwiczyło krąg mocy wiedźmy, też jeszcze nie umarło.

Walter warknął, a Charles odpowiedział tym samym, dzielając jego odczucia.

– Zostawiła to zwierzę przy życiu... – szepnęła Anna.

– Tak, i pewnie już wie, że je zabiliśmy. – Charles wytarł nóż o śpiwór i schował z powrotem do pochwy.

– To co zrobimy?

– Spalimy chatę – oświadczył. – Większość mocy wiedźm pochodzi z eliksirów i zaklęć. Jeśli spalimy to miejsce, chwilowo ją osłabimy. – I wyzwolimy tę istotę czy istoty, które uwięziła pod domkiem. Nie chciał mówić o tym Annie, nie widział takiej konieczności.

Anna przyniosła kanister z benzyną, który znalazła przytwierdzony do terenówki. Charles polał paliwem pryczę, a potem stos, jaki ułożył na środku izby z drewna kominkowego. Zanim zapalił zapalną, odesłał Annę i Waltera. Opary benzyny wierciły go w nosie, gdy zaczęły się palić.

Zaczekał, aż ogień wznieci się wystarczająco, żeby chata spłonęła, po czym wyszedł.

Dogoniwszy towarzyszy, chwycił Annę za rękę i pociągnął w głąb lasu, sam poganiany nieprzyjemnym swędzeniem między łopatkami. Byli dobre kilkadziesiąt metrów dalej, kiedy chata wybuchła, a mimo odległości podmuch ściał ich z nóg.

Anna podniosła głowę ze śniegu.

– Co się stało? Był tam jakiś dynamit czy coś?

Charles przetoczył się na plecy i wstał, starając się nie pokazać po sobie, jaki ten upadek miał wpływ na jego ranę.

– Nie wiem, czasami magia i ogień w połączeniu działają synergicznie. – Popatrzył w miejsce, gdzie stała chata, i aż gwizdnął. Z budynku zostało parę rzędów cegieł tam, gdzie znajdował się kominek. Blachy z terenówki leżały prawie u ich stóp, a rosnące najbliżej chaty drzewa połamały się jak zapalki.

– Rany! – zdumiała się Anna. – Wszystko w porządku, Walter?

Wilk przypadł do niej, otrząsnął się i spojrzał w górę z uwielbieniem.

– Wiedziała, że za nią pójdziemy. Starła się to przed nami ukryć. Nie wyczułem tego, kiedy obchodziłem dom. A ty, Walter?

Wielki wilk też nie.

– Co teraz?

– Myślę, że trzeba porzucić wątpliwości i zadzwonić po ojca. – Charles uśmiechnął się do Anny. – Do samochodu już niedaleko, a on i tak pewnie już wie, że coś jest nie tak. To Marrok obudził mnie zeszłej nocy. Dzięki niemu zauważyłem, co się z tobą dzieje. Ojciec nie jest głupi i w razie czego zna czarownice, do których będziemy mogli się zwrócić o pomoc.



Bran biegł od kilku godzin, kiedy w końcu ich usłyszał.

– Mówiłem ci, że najprawdopodobniej wyśle Taga – mówił Asil. – Nie jest taki głupi, żeby przyjść tu samemu.

Bran wyhamował. Asil nie mówił głośno, ale wiedział, że Bran go usłyszy, a to oznaczało, że za późno już na ucieczkę.

Wiedźmy potrafią się ukryć nawet na otwartej przestrzeni, jeśli zdobędą władzę nad tym, przed kim chcą się schować. A Asil nie mówił na pewno do Charlesa, więc był pod wpływem wiedźmy. A ponieważ należał do stada Brana, to wystarczyło, żeby i Bran znalazł się częściowo pod wpływem czarui.

Bran odwrócił się do Asila, który stał na głazie wielkości słońia. Obok drobna, grubo ubrana kobieta wczepiała się w jego ubranie, jakby bała się, że wiatr zwieje ją ze skały.

– Nie wiem, w czym Tag miałby być lepszy ode mnie – ciągnął Asil chłodno. W jego oczach szalało piekło, ale reszta ciała pasowała do głosu.

– Proszę do nas, *señor* – zawołała kobieta miękko i pospieszyła na spotkanie, z niezwykłą gracją schodząc z głazu.

Mówiła z amerykańskim akcentem, w każdym razie angielskie słowa, bo hiszpańskie wymawiała niczym rodowita Kastylijka. Z wyższych sfer. Bran zastanowił się przelotnie, jak długo już przebywa w tym kraju, skoro nauczyła się tak czysto mówić. Jego słuch był zbyt dobry, by nie wyłowić, który z języków jest jej ojczystym, nawet gdyby nie wiedział, że ma do czynienia z wiedźmą z Hiszpanii, morderczynią towarzyszką Asila. Kiedy zeskoczyła na ziemię, z roztargnieniem zarejestrował, że porusza się z wilczą gracją. Żaden człowiek nie mógłby się tak poruszać, wiedźma czy nie wiedźma. Ale przecież matce udało się zniewolić Brana, więc matka też pewnie umiała się tak ruszać.

Byłby przerażony, lecz nastąpiło coś gorszego – podszedł do niej jak wytresowany piesek – którym był kiedyś, dawno, dawno temu.

– Tak... – powiedziała wiedźma łagodnie, obchodząc go dokoła. – Colin Taggart. Malutki, maluczki... jak na wilkołaka.

Bran zdawał sobie sprawę, w przeciwieństwie do kobiety, z ogromnego napięcia Asila, spodziewającego się, że wiedźma w każdej chwili może odkryć jego wybieg, choć ani razu nie skłamał. „Mówiłem ci, że przyśle Taga” to nie to samo, co „Patrz, idzie Tag”. Bran wiedział, jak trudne jest balansowanie na tej linii, i docenił starania Asila.

Sądząc po przerażeniu, jakim Maur emanował, stary wilk zdawał sobie sprawę z konsekwencji, gdyby wiedźma zniewoliła Brana. Niewielu pamiętało, co się stało, gdy Bran wyzwolił się w końcu spod wpływu matki. Samuel, Asil... Trzeciej osoby nie pamiętał, to było tak dawno temu. Prawdopodobnie same wiedźmy nie wiedziały, dlaczego prawo tak surowo zabrania im robienia z wilkołaków chowańców lub pupili – choć i tak większość z nich nie była na tyle potężna, by się na to porwać.

Bran uznał, że wytrzyma przez chwilę. Po pierwsze, wiedźma mogła popełnić błąd – szczególnie jeśli nie zdawała sobie sprawy, z kim ma do czynienia. Po drugie, bał się, że tym razem nie ma już nikogo, kto mógłby go zabić. Poprzednim razem to Samuel wyciągnął go z tego, zanim... A Samuel ostatnio nie był tak pewny siebie, jak kiedyś.

Kontrolę, jaką objęła go wiedźma, mogła zdobyć tylko z pomocą krwi i ciała, a jedyną więzią, która w ten sposób działała, była ta łącząca go ze stadem. Pewnie wykorzystwała Asila, żeby wnikać do stada – ale jak?

Kiedy wiedźma mu się przyglądała, Bran badał więź z Asilem, szukając w niej czegoś, co łączyło Maura z wiedźmą. Prawie nie docierało do niego, co mówi kobieta. Z doświadczeniem, którego nabierał przez całe swoje długie życie, przeszukał Asila i wreszcie znalazł – nieżyjąca kobieta, prawdopodobnie towarzyszka Asila. Niemożliwe.

Nikt nie mógł stworzyć lub utrzymać więzi z nieżyjącym – dobrze o tym wiedział, bo po śmierci Błękitnej Sójki, matki Charlesa, sam próbował to zrobić.

A jednak, gdy miało się do czynienia z wiedźmami, niemożliwe stawało się możliwe.

Nie mógł iść za tym połączeniem dalej. Kobieta nie żyła, a jej więź łączyła się z Asilem. Jednak tylko w ten sposób, przywiązawszy się do towarzyszkę Asila, wiedźma mogła przejąć nad nim kontrolę. I dzięki temu mogła przesądzić swoją magię i zapanować nad każdym z wilków Brana.

Spojrzał na Asila zimno. Maur wiedział na pewno, że więź z jego martwą towarzyszką jest aktywna, powinien Branowi o tym powiedzieć. Odnosił wrażenie, że jest więcej rzeczy, o których nie wiedział, a powinien.

Wiedźmie jakimś cudem udało się przejąć i utrzymać więź partnerską, kiedy zabijała Sarai.

Bran nienawidził wiedźm.

– Colinie Taggarcie – rzekła do niego wiedźma – jesteś teraz mój. Twoja wola należy do mnie.

Bran poczuł, jak oblewa go magia. Część spływała z niego niczym miód z gorącego tost, czepiając się tu i ówdzie. Wiedźma krążyła wokół niego, a magia zestalała się powoli pod wpływem słów zaklęcia, które mamrotała. Nie bolało, ale budziło uczucie klaustrofobii, a gdy próbował się poruszyć, nie udało mu się.

Buchnęła w nim panika, pod jej wpływem drgnęło coś dawno głęboko pogrzebanego. Z trudem odetchnął i spróbował wyrzucić wiedźmę ze swojej świadomości. Panika była bardzo, bardzo niebezpieczna, dużo groźniejsza niż sama wiedźma.

Skierował więc uwagę na coś innego.

Najpierw spróbował odciąć Asila od stada. Liczył, że zerwawszy więź stadną Maura, będzie mógł wyzwolić się spod wpływu wiedźmy. I powinno to się udać, jednakże niezwykłość

więzi partnerskiej Maura i to, co później uczyniła z niej wiedźma, zakłóciło magię stada. Bran nie miał pewności, czy może oddzielić Asila od kogokolwiek – Sarai, wiedźmy, stada, siebie, nawet gdyby odprawił ceremonię wygnania przy użyciu krwi i ciała.

Rytm inkantacji się zmienił i Bran poczuł, jak sieć woli wiedźmy zaciska się na nim, pozbawiając tchu... Nie.

Wyciszył wiedźmę całkowicie i skoncentrował się na minimalizowaniu strat.

Ograniczył połączenia ze stadem, osłabił, aż w końcu ledwie je czuł. Przy zwykłym stadzie mógłby nawet zerwać połączenie, lecz w jego gromadzie żyło zbyt wiele wilków, które nie mogłyby ani chwili przeżyć bez wsparcia. Osłabienie pomogłoby ukryć więzi przed magią wiedźmy i w razie czego utrudnić jej ich wykorzystanie.

Miała do Brana dostęp przez Asila, postanowił więc zrobić wszystko, by dzięki niemu nie zyskała wpływu na żadnego innego członka stada. Jeśli Asilowi uda się utrzymać wiedźmę w przekonaniu, że Bran to Tag, to nawet nie będzie wiedzieć, gdzie szukać.

Równowaga kilku najstarszych wilków stała się z czasem niezwykle delikatna. Te więzi przekazał Samuelowi, odcinając je od siebie całkowicie. W ten sposób fundował synowi wstrząs, ale wilki go znają i nie będą protestować, a Samuel przez chwilę da sobie z nimi radę.

Nie wiedział, czy czarownica, która najwyraźniej weszła w posiadanie pewnych cech wilkołaka, wie o wilkach na tyle dużo, by odkręcić to, co właśnie zrobił, lecz uznał, że przynajmniej utrudni jej to, jak może. W najgorszym razie spowolni.

Najważniejsze jednak w jego działaniu było to, że kiedy... że jeśli wpadnie w szaleństwo, nie pociągnie za sobą reszty, nie od razu. Dzięki temu ktoś – najbardziej liczył na Charlesa, choć

może i Asil da sobie z tym radę – będzie miał możliwość, żeby go zabić.

Skończył, zanim wiedźma skończyła swoje zakęcie. Od wieków nie był sam w swojej własnej głowie i w innych okolicznościach może by się nawet tym cieszył.

Nie sprzeciwiał się wiedźmie, kiedy ta pstryknęła palcami, każąc mu iść za sobą. Szedł po jej lewej stronie, podczas gdy Asil, w ludzkiej formie, po prawej.

Raczej nie sądził, by dostrzegła cienistą istotę, kroczącą u boku Asila. Sam by jej nie zauważył, bo głęboki śnieg prawie nie ugiął się pod wilczymi łapami, lecz czuł jej zapach i jej magię.

Kiedyś takie istoty nazywano strażnikami. Zawsze uważał, że to nazbyt łaskawe określenie dla tego rodzaju ohydy. Ucieszył się na wieść, że ród posiadający to zakęcie został w końcu wybity do nogi. Najwyraźniej informacje Brana nie były pełne. Jednakże nie słyszał, żeby tamte wiedźmy, nawet u szczytu swej potęgi, mogły uczynić strażnika z wilkołaka.

Bran popatrzył uważnie na Asila, ale nie umiał stwierdzić, czy Maur wie, iż towarzyszy im częśćka jego ukochanej. Wyglądało na to, że wzywano ją tak często, że wytworzyła osobowość nie całkiem zależną od właściciela zakęcia. Zwykle, żeby temu zapobiec, strażników unicestwiano się co siedem lat. Wilczyca Sarai istniała w tej formie już od dwustu i Bran zastanawiał się, ile wypracowała sobie przez ten czas autonomii.

– Powiedz mi, Asil – odezwała się wiedźma, idąc z Maurem pod ramię, jak niegdysiejsza dama wchodząca z dżentelmenem na bal, a nie kobieta brnąca w śniegu po kolana. – Jak się czujesz, gdy Sarai postanowiła opuścić cię, żeby mnie chronić?

W jej słowach brzmiała prawda, wierzyła, że Sarai dokonała wyboru. Z wahania w głosie Asila Bran wywnioskował, że stary wilk też to usłyszał.

– A tak właśnie było? – zapytał.

– Tak, kochała mnie bardziej niż ciebie. Jestem jej małym motylkiem, opiekuje się mną.

Asil milczał przez moment.

– Już dawno nie jesteś niczym motylkiem, Mariposo – powiedział w końcu.

Wiedźma przystanęła gwałtownie, w zdenerwowaniu przechodząc na hiszpański.

– To nieprawda! Kłamiesz! Nic nie wiesz! Kochała mnie. Mnie! Była ze mną, kiedy ty wyruszałeś w te swoje podróże. Odesłała mnie tylko dlatego, że ją do tego namówiłeś!

– Kochała cię – zgodził się Asil. – Dawno temu. To już przeszłość. Teraz już nikogo nie może kochać.

Kątem oka Bran dostrzegł, a w każdym razie tak mu się wydawało, że leciutkie ślady łap zbliżyły się do Asila.

– Zawsze byłeś głupcem. To ty zmusiłeś Sarai, żeby mnie odesłała. Ona wolała, żebym została w domu, gdzie było moje miejsce.

– Jesteś wiedźmą, nie panowałaś nad swoimi mocami. Musiałaś się tego nauczyć.

– Nie posłałeś mnie na nauki! – krzyknęła wiedźma, wrywając się i stając we łzach. – Posłałeś mnie do więzienia! I wiedziałeś o tym. Czytałam listy, które do niej pisałeś. Wiedziałeś, jak wygląda u niej nauka. Linnea nie była nauczycielką, tylko strażnikiem więziennym.

Asil popatrzył na wiedźmę ze ściągniętą twarzą.

– Nie miałem wyboru. Mogłem cię albo tam wysłać, albo zabić. A Linnea była znana z umiejętności resocjalizacji.

– Resocjalizacji?! Nic nie zrobiłam! – Tupnęła nogą jak mała dziewczynka, a nie stara wiedźma, która żyła już sto lat dłużej, niż powinna.

– Nic? – zapytał Asil chłodno. – Dwukrotnie próbowałaś otruć Sarai. W wiosce w niewyjaśnionych okolicznościach znikają

zwierzęta domowe. Udawałaś Sarai, żeby wejść mi do łóżka. Myślę, że Sarai wiele ci mogła wybaczyć, ale nie to.

Wiedźma zawyła nieludzko, z wściekłością, a w oddali rozbrzmiał odgłos wybuchu. Zatrzymała się jak wryta, opuściła głowę, przykładając dłonie do skroni. Bran poczuł, że jej moc osłabła. W tym momencie zaatakował. Nie fizycznie, nadal nie mógł się poruszyć.

Wykorzystał więź, przepuszczając gniew przez Asila i Sarai, a potem dalej. Gdyby miał pięć minut, trzy, udałoby mu się wyzwolić. Zdołał zrobić coś z połączeniem pomiędzy wiedźmą a Sarai, lecz za mało, by je zerwać.

Wiedźma szybko odzyskała siły, ale utrzymanie połączenia wymagało od niej wysiłku. Odepchnęła Brana od swojej więzi i rzuciła na nią zaklęcie, by nie mógł więcej tego zrobić. Po wszystkim krwawiła z nosa, jednak nadal był jej wilkiem.

– Mówiłeś, że to przeciętny wilkołak – krzyknęła z takim gniewem, aż Bran pomyślał, że gdyby nie była tak osłabiona, zabiłaby Asila na miejscu. – A ja ci uwierzyłam. Tak samo, jak uwierzyłam ci wtedy, że odsyłasz mnie dla mojego dobra. Byłam głupia. Ten wilk jest silny. Skoro ty i tamten zawiedliście, Bran nie wysłałby byle kogo. Okłamałeś mnie, okłamałeś, mówiąc prawdę.

– Nie musisz mi wierzyć, możesz sprawdzić, czy mówię prawdę. Twoja więź z Sarai jest na to wystarczająco silna. Stanowiłaś zagrożenie dla nas i siebie samej. Zrobiliśmy to dla twojego dobra. Inaczej musielibyśmy cię zabić.

Pstryknęła w jego stronę drżącym palcem.

– Zamknij się!

Asil stracił pozorny chłód, krzywiąc się z bólu. Kolejne słowa ledwo z siebie wydusił.

– Zrobiłaś coś ohydneho, ten stwór, w którego przemieniłaś Sarai, cię nie kocha. Służy ci jak niewolnik, bez możliwości

wyboru, tak jak teraz. Ale z Branem tak łatwo sobie nie poradzisz. Zabije cię i to będzie tylko twoja wina.

– Nie zabije! Nie umarłam nawet, gdy Linnea próbowała mnie zabić. Nie znała mojej potęgi, nie wiedziała, jak wiele nauczyła mnie matka. Zabiłam ją i jej uczniów, a potem przeczytałam wszystkie jej książki. Studiowałam je miesiącami, pisząc do ciebie listy w jej imieniu. Wiedziałam, że bez ochrony mogę zginąć. Nawet moja matka zginęła. Dlatego zrobiłam z Sarai strażnika, a ona dała mi wieczne życie, bo nie chciała żyć beze mnie. Nie można tego zabrać wbrew woli. Nie da się. Musiała zrobić to z miłości.

Bran wiedział, że nie na tym polega zaklęcie strażnika, ale może ma to znaczenie dla więzi wilkołaczej, która pozwoliła wiedźmie przejąć nieśmiertelność Sarai? Może właśnie dlatego matka wykorzystwała Brana, a nie swojego ulubieńca, któremu kazała Przeistoczyć jego i Samuela?

– Kochałaś ją? – zapytał Asil.

– Oczywiście, że tak!

– Ja oddałbym za nią życie – wyszeptał, krzywiąc się. – Ty jej je zabrałaś. Nie wiesz, co to jest miłość.

Wiedźma uspokoiła się nagle. Zadarła wyniośle podbródek.

– Będę żyła dłużej niż ty – oświadczyła. – Chodź, mamy pewne sprawy do załatwienia. – Popatrzyła na Brana. – Ty również, Colinie Taggarcie. Musimy coś zrobić.

Bran wysłał pytanie do Asila, nie wiedząc, czy magia wiedźmy na to pozwoli. *Na ile to ważne, żeby nie wiedziała, kim jestem?* Jego matka zadbała, by mógł mówić w myślach tylko i wyłącznie do niej. Lecz ta wiedźma pochodziła z innego rodu, liczył więc, że się uda.

Wiedźma władcym gestem podniosła ramię, a Asil podał jej swoje.

– Powiedz, kiedy Bran przybędzie tu osobiście i ile wilków ze sobą przyprowadzi?

Asil zerknął na Brana i upewniwszy się, że wiedźma patrzy gdzie indziej, uniósł oczy do nieba. Odpowiedź na pytanie Brana. Ukrywanie tożsamości Marroka było niezwykle istotne.

– Myślę, że niedługo. I nie przyprowadzi raczej żadnych wilków. Kiedy zyskasz nad nim kontrolę, zyskasz ją nad całym stadem.

Ostatnie zdanie Asil skierował do Brana. Cóż, w takim razie Marrok będzie chronił swoje stado najlepiej, jak to możliwe.

– Dobrze. W takim razie najpierw zajmiemy się jego synem i tą uciążliwą siksą. Może przygotuję jakiś prezent dla Brana, żeby uczcić jego przybycie. Jak myślisz, co by wolał, wilczurę czy ludzką skórę? Wilczura jest miękka i ciepła, za to ludzka skóra robi większe wrażenie. I potem bardziej się przydaje. Zaprowadź mnie do Charlesa.

Znów poczuł drgnięcie. Berserk podnosił głowę. Bran uspokoił i jego, i siebie świadomością, że Charles jest starym, twardym wilkiem i doświadczonym myśliwym. Jeśli wiedźma nie dopadła go do tej pory i jeśli ten wybuch to jego sprawka, to Charles wie, z czym ma do czynienia. Wiedźma nie weźmie go z zaskoczenia.

Uważaj, synu. Wiedźma na ciebie poluje. Uciekaj.



Charles spodziewał się, że wiedźma wróci do chaty, lecz przez całą drogę nie dostrzegł jej śladu. Jednak po dotarciu do humvee sprawy przybrały dla nich zły obrót.

– Czy to nie twój pick-up? – zapytała Anna.

– Owszem – przyznał ponuro i otworzywszy drzwiczki, upewnił się, choć i tak nie miał wątpliwości. Zapach ojca. W kabinie panował chłód, więc Bran przybył co najmniej kilka godzin wcześniej.

Tak jak mówił Tag, w tym miejscu dało się złapać zasięg.

Jak się okazało, telefon Brana spoczywał w porządnie złożonych spodniach, leżących na tylnym siedzeniu. Rozmowa z Leah potwierdziła, że ojciec wyszedł w środku nocy i że towarzyszka ojca nie polubiła go za to ani odrobinę. Samuel okazał się bardziej pomocny, choć to, co powiedział, nie wróżyło dobrze.

Po kilku nieprzyjemnych minutach zakończył połączenie.

– Słyszałaś?

– Twój ojciec wie, że polujemy na wiedźmę, która zamordowała towarzyszkę Asila. I wie, że Asil tu za nami przyszedł.

Charles nie liczył na zbyt wiele, ale chciał się dowiedzieć, co planuje ojciec, zebrał więc magię pochodzącą od matki i sięgnął do stada.

– Charles?

Był zdumiony, że nadal stoi o własnych siłach. Przez moment miał wrażenie, jakby oberwał w głowę wielką maczugą. Musiał zamrużyć, żeby znowu widzieć wyraźnie. W głowie tłukła mu się jedna niewyobrażalna myśl – Marrok nie żyje.

– Charles, co się dzieje?

Wyciągnął rękę i skupił uwagę na pustce tam, gdzie zawsze tkwiło jego połączenie z ojcem i przez niego z resztą stada. To, co znalazł, pozwoliło mu znowu oddychać.

– Tata odciął więź ze stadem. – Uśmiechnął się do Anny tak słabo, jak się czuł. – Ale żyje, więź nie znikła całkowicie.

– Dlaczego to zrobił? Co to oznacza?

– Nie wiem. – Popatrzył na Annę. – Zabierz Waltera i jedźcie do Kennewick, do Waszyngtonu, do Samuela.

Anna skrzyżowała ramiona na piersiach, na jej twarzy odbił się upór.

– Nie. I nawet nie próbuj tego jeszcze raz. Czuję ten nacisk. Możesz sobie być bardzo dominujący, pamiętaj jednak, że na

mnie to nie działa. Jeśli wiedźma wykorzystuje więź stadną, to ja i Walter możemy być twoimi asami w rękawie. Nie zamierzam cię tu zostawić, więc przestań mnie namawiać czy zmuszać. To nie ma sensu.

Zmarszczył brwi, zrobił minę, która przerażała starsze, silniejsze od niej wilki. Anna tylko dzióbnęła go palcem w pierś.

– E-e. Nie działa. Jeśli mnie tu zostawisz, i tak pójdę za tobą.

Nie zamierzał wiązać Anny, a podejrzewał, że to jedyny sposób, by za nim nie poszła. Zrezygnowany, przeorganizował ich rzeczy na kolejną trasę. Tym razem chciał zabrać jak najmniej. Umieścił w plecaku Anny tylko jedzenie, zapalniczkę i rozpałkę oraz garnek do grzania wody. Za siedzeniem pick-upa znalazł stare rakiety, które woził ze sobą zawsze w zimie. Całą resztę bagażu zostawił.

– Myślisz, że już ją znalazł? – zapytała Anna, wspinając się pod górę za Charlesem, idącym po wilczych śladach.

– Nie wiem – powiedział, choć obawiał się, że wie. Bran sam musiał sprawdzić, że wiedźma wykorzystuje więź stadną, innego sposobu nie było. No chyba że naprawdę umiał czytać ludziom w myślach.

Charlesem targały wątpliwości. Nie mógł zdecydować, czy zamiast ruszyć za ojcem, nie lepiej wsiąść do samochodu i pognać do południowego Meksyku. Jakaś część bardzo pragnęła wierzyć w niezniszczalność Marroka, ale ta rozsądniejsza część, ta, która tak potulnie odpowiadała na pytania wiedźmy, zdawała sobie sprawę, że Bran jest człowiekiem, wilkołakiem, starym i potężnym, jednak nie niezniszczalnym.

Wciągnął ze świstem powietrze do płuc. Był skonany, a noga i pierś bolały dużo bardziej niż o świcie. Nie był głupi, wiedział, dlaczego tak się dzieje. Ojciec przez cały czas używał mu siły stada.

Mimo zapasowych rakiet chodzenie sprawiało mu trudność. Charles sam już nie wiedział, czy mają jakiegokolwiek szanse na ratunek, jeśli wiedźma schwytała Brana.

Nie powiedział tego Annie. Nie dlatego, że nie chciał jej wystraszyć, bał się raczej, że wypowiadając na głos lęki, zmaterializuje je. Poza tym Anna i tak wiedziała, widziała to w jego oczach.

Uważaj, synu. Wiedźma na ciebie poluje. Uciekaj.

– Dzięki, tato, bardzo mi pomogłeś – powiedział na głos. – A może jakaś wskazówka, gdzie jesteś albo dokąd idziecie?

– Charles?

– Ojciec potrafi porozumiewać się na odległość – wyjaśnił. – Choć twierdzi, że tylko w jedną stronę. To znaczy, że ty słyszysz jego głos, on do ciebie mówi, ale ty nie możesz się sprzeciwić albo o coś poprosić.

– Co ci powiedział?

– Wiedźma go schwytała, a teraz ściga nas. Ma też Asila, więc nas znajdzie. Ale oczywiście nie udzielił mi żadnych pomocnych informacji, gdzie są ani dokąd idą.

– Kazał ci odejść.

– Kazał mi uciekać – warknął Charles. Z tak osłabioną więzią rozkazy ojca miały moc zaledwie sugestii. – Niech mnie diabli, jeśli zostawię go na jej pastwę.

– Oczywiście, że nie. Tyle że idziemy w złą stronę.

– To znaczy?

– Pójdą raczej do chaty.

– Czemu? – Charles aż się zatrzymał i popatrzył na Annę.

– Jeśli każe Asilowi nas znaleźć, to on pójdzie najpierw tam, żeby dać nam czas na ucieczkę. – Uśmiechnęła się ze znużeniem. – Asil świetnie umie omijać nakazy, coś o tym słyszałam.

Rzeczywiście, całkiem w stylu Maura. Gdyby Charles nie był taki zmęczony, pewnie sam by o tym pomyślał. Tak czy owak,

powrót do chaty to lepszy pomysł niż podążanie śladami ojca. Charles popatrzył na Waltera.

– Jaka jest najkrótsza droga stąd do chaty?

Charles odwrócił się i ruszył za Walterem, choć wiedział, że to błąd. Ojciec miał rację, powinni uciekać. Wszystkie instynkty mówiły mu to samo. Ale dopóki istniała choćby nikła szansa ocalenia, Charles nie zostawi ojca na pastwę losu. Słuchanie intuicji, powiedział mu raz Bran, to nie to samo, co ślepe posłuszeństwo wobec niej.



Anna dobrze rozumiała, co kierowało Charlesem, kiedy próbował odesłać stąd ją i Waltera do brata, z dala od niebezpieczeństwa. Też miała ochotę to zrobić.

Charles zwalniał, częściowo przez nierówności terenu. W jednych miejscach śnieg ledwo przykrywał ziemię, w innych sięgał po pas. Nawet w raketach szło się bardzo trudno. Jednak główną przyczyną wolniejszego tempa okazały się jego rany.

Walter podszedł bliżej do Charlesa i w razie potrzeby podtrzymywał go nienachalnie, wspierając barkiem.

Ujrawszy, że Charles zaczyna się trząść, Anna przystanąła.

– Przemień się – powiedziała, wiedząc, że niewiele to pomoże, choć liczyła, że na czterech nogach łatwiej utrzyma równowagę niż na dwóch. Poza tym wilk wytwarzał więcej ciepła, a gęsta sierść je zatrzymywała. Z własnego doświadczenia wiedziała, że wilk lepiej znosi rany niż człowiek.

Najlepszym sygnałem tego, w jak ciężkim stanie jest Charles, było to, że zaczął rozbierać się bez słowa sprzeciwu. Ubrania, buty i opatrunki poskładał i schował w krzakach.

Kiedy stanął całkiem nagi, mogła przyjrzeć się dobrze jego ranom. Wyglądały strasznie, jak koszarne wyrwy w pięknym

rysunku stworzonym przez mięśnie i kości.

Opadł na czworaka, żeby nie stracić równowagi podczas przemiany. Mimo wszystko dziura na plecach wyglądała lepiej niż ostatnio. Czyli jednak rany się goiły.

Tym razem jego przemiana trwała tak długo, jak u przeciętnego wilkołaka. Otwór po kuli wyglądał dziwnie na żebrach wilka – wlotowy i wylotowy nie pasowały do siebie. Większa rana, na grzbiecie, przesunęła się w stosunku do tej z przodu.

– Musimy odpocząć i coś zjeść, zanim dotrzemy na miejsce – powiedziała Anna. – Nie pomożemy Branowi, jeśli będziemy wykończeni.

Nie zareagował. Zwiesił ciężko łeb i powlókł się za Walterem.

Skrót okazał się niezwykle trudny do przejścia. Anna przeklinała rakiety i gałęzie, wczepiające się we włosy i troki. Podchodzili właśnie ostrym zboczem, kiedy oba wilki stanęły i przypadły do ziemi.

Anna również upadła, usiłując zobaczyć, co je zaniepokoiło.



13

Wiedźma nie powiedziała dokładnie, jak ma ją zaprowadzić do Charlesa, więc Asil ruszył w stronę chaty. Uważnie dobierając słowa, wyjaśnił, że czuje tam obecność Charlesa i że może ten uznać za dobry pomysł, żeby tam zostać i na nich zaczekać.

Możliwe, że Charles uznałby za dobry pomysł pozostanie przy chacie i zaczekanie tam na nich, więc Asil tak naprawdę nie kłamał. Choć Branowi udało się jakoś odciąć więź stada, Asil był przekonany, że Charlesa nie ma w okolicy chaty. Chłopak stał się bardzo ostrożny, mając przy sobie swoją nową, kruchą ukochaną. Na pewno ruszył, zanim echo wybuchu ucichło, żeby ostrzec ojca. Wiedźma i wilczyca Sarai to jedno, lecz Charles dobrze wiedział, że w połączeniu z Asilem nie ma z nimi szans. Teraz powinien być już blisko samochodu. Asil nie znał za dobrze gór, ale zapamiętał odległości. Będzie musiał podążać ich śladem, kiedy dotrą do chaty, jednak jeśli Charles pójdzie po rozum do głowy i odjedzie, wysiłki wiedźmy spełzną na niczym.

Oczywiście jeżeli Charles zorientuje się, że i jego ojciec tu jest, popędzi prosto w paszczę lwa – chłopak był z typu tych

bohaterskich idiotów.

Tak czy owak, trochę im zajmie droga do chaty, a to da Charlesowi przewagę. Na razie Maur nie mógł wymyślić nic więcej, żeby mu pomóc.

Do tego wszystkiego bardzo chciał zobaczyć minę Mariposy na widok ruin. Zniszczenie chaty okazało się sprytnym posunięciem. Asil nie spodziewał się tak mądrego ruchu po Charlesie. Może nie doceniał Marrokowego ulubieńca-zabójcy?

Miał nadzieję, że Charles dobił tego biednego kojota tak bliskiego śmierci, podtrzymywanego przy życiu siłą woli i magią Mariposy. Za nic w świecie nie chciałby spędzić kolejnej nocy na deskach, wsłuchując się w przesycony bólem, urywany oddech biednego zwierzaka uwięzionego na dole. Większą część nocy zastanawiał się, co to. Targały nim podejrzania, że to ten zaginiony myśliwy, którego szukano po górach.

Nie chciał też nigdy więcej w życiu patrzeć, jak ktoś oprawia zwierzę żywcem. Ani też widzieć formy ukochanej wypełnionej obcym duchem, który wpatrywał się w wiedźmę jak w boginię i spełniał każde jej życzenie. Jego Sarai nigdy nie upolowałyby zwierzęcia, żeby Mariposa mogła je tak dręczyć. Nigdy nie zwabiłaby Asila. W dodatku ten stwór zrobił to bez rozkazu, bo Mariposa zdziwiła się na widok ofiary.

Strażnicy mogli jedynie słuchać i wykonywać rozkazy, nie umieli myśleć samodzielnie. Pomyślał, że wilczyca Mariposy to coś więcej niż bezmyślny strażnik. Taka sama głupia nadzieja wplątała go w cały ten bałagan.

Gdyby tylko Charlesowa Anna nie była Omega, gniew Asila pozbawiłby stwora o wyglądzie ukochanej możliwości zwabienia go w pułapkę. Teraz czuł ten gniew – bezsilną wściekłość i żal, że wilczyca jego Sarai została przemieniona w to... coś.

Gdyby został przy Charlesie, zamiast pognać za złudzeniem, może razem wymyśliliby sposób na unieszkodliwienie

Mariposa, może zyskaliby szansę na jej pokonanie. Lecz obecność Anny przytłumiła jego cierpienie, pozostawiając jedynie świadomość, że cokolwiek Mariposa uczyniła Sarai, nie zerwała więzi łączącej Asila z ukochaną. Gdy wilczyca o wygładzie Sarai uciekła, musiał podążyć za nią.

Nie, był już za stary, żeby obarczać innych za własne błędy. To nie wina Anny, a jego własna. Był już za stary, by wierzyć w szczęśliwe zakończenia. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić dla Sarai, to upewnić się, że tym razem jej wilczyca naprawdę umrze.

Patrząc rankiem w misę wróżebną, Mariposa ujrzała, że nadchodzi kolejny wilkołak. Asil wiedział, kto to, i zdawał sobie sprawę z katastrofy, jaka nastąpi, jeśli Bran dostanie się w ręce wiedźmy. To dlatego, kiedy zapytała, kogo jako następnego wysłałby Bran, skłamał. Choć powiedział prawdę. Bran wysłałby Taga.

Asil nie patrzył na Alfę biegnącego przy nich z wesołością godną golden retrievera. Bran był podstępny: łagodny, spokojny, aż rzucił się jednym ruchem rozszarpać gardło. Posiadał też wiele innych zalet. Asil nie wątpił, że mimo wyłomu, który on sam uczynił w zabezpieczeniach Brana, stary wilk jakoś dałby radę się wywinąć. Może gdyby mógł jakoś wcześniej go ostrzec? Może gdyby powiedział o wszystkim zaraz po przybyciu do Aspen Creek?

Za późno, za późno.

Asil nie wiedział, co to skromność. Znał swoje siły, a dysponował wielkimi – i padł ofiarą wiedźmy. Nie miał pojęcia, jak przekonał samego siebie, że Branowi uda się oprzeć zaklęciu, skoro on nie potrafił tego zrobić.

Tyle przynajmniej, że nie wiedziała, kim jest Bran. Na razie.

Żałował, że to nie Samuel wyruszył w góry zamiast Charlesa. Młodszy syn Marroka był mięśniakiem, zabójcą. Mało mówił i tylko straszył wszystkich, łypiąc groźnie zza pleców Brana,

który sam mógł równie dobrze budzić strach, gdyby nie zależało mu tak na wyglądzie nieszkodliwego chłopca.

Asil raz czy dwa widział Charlesa w akcji i chcąc nie chcąc, musiał przyznać, że to robiło wrażenie. Lecz zaletami Charlesa były siła i zwinność, a oni potrzebowali subtelności, nie krzepy. Samuel jest stary i przebiegły. Wykształcony. Charles jest tylko zabójcą, i to jeszcze zdekoncentrowanym przez nową, delikatną i bezradną towarzyszkę. Anna nie przypominała w niczym Sarai, kobiety, która potrafiła zawalczyć o swoje prawa.

Coś otarło się o jego biodro.

Spojrzał w dół, jednak niczego nie zobaczył, mimo że znów poczuł muśnięcie. Niby przypadkowo, żeby nie przyciągać uwagi widzimy, opuścił rękę. Jego dłoń wylądowała na futrzastym grzbiecie – nieistniejącym dla innych zmysłów Asila. Mimo to wiedział, czego dotyka. Z nadzieją, która ogarnęła jego serce, zacisnął palce na jedwabistej sierści, tak kiedyś znajomej.

Czy wiedźma potrafi zmienić kształt?

Pytanie Brana przywróciło Maura do rzeczywistości. Niestety, Mariposa dostrzegła jego zawahanie.

– Coś jest nie tak? – zapytała.

– Owszem, mnóstwo rzeczy. – Miała rację, Asil z radością zwodził ją prawdami. Nie nauczyła się jeszcze wzorem Alf zadawać konkretnych pytań. Brana nie byłoby tak łatwo oszukać. – Moja Sarai odeszła, a ja nadal żyję. – Pociągnął nosem, a puszca podsunęła mu jeszcze lepszą odpowiedź: – Coś się kryje pomiędzy drzewami. Jakiś duży drapieźnik, ale nie niedźwiedź. Słyszałem, że w tych rejonach występują rosomaki.

Mariposa zbyła obecność rosomaka wzruszeniem ramion i przestała zwracać na starego wilkołaka uwagę. Asil zastanawiał się, czy wiedźma zdaje sobie sprawę, że nuci ulubioną melodię Sarai. Robiła to, żeby dręczyć go wspomnieniami o tym, co utracił, czy też po prostu ją to uspokajało?

Bran odczekał, aż Mariposa pograży się w myślach, i dopiero wtedy zaczął mówić do Asila.

Posiada nieśmiertelność, siłę i szybkość wilkołaka. Czy może też zmieniać kształt? Jest prawdziwym wilkołakiem? Umie ukryć jakoś swój zapach, maskować, żeby pachnieć człowiekiem i wiedźmą, ale nie wilkołakiem? A może czerpie ze swojego stworzenia?

Asil wzruszył ramionami. Nigdy nie widział, by się przemieniała. Popatrzył w dół na dłoń, nadal zanurzoną w niewidzialnym futrze. Może jest sposób, by dowiedzieć się czegoś o Mariposie?

Przez całe dwieście lat, od momentu, kiedy zorientował się, że Mariposa ma dostęp do jego więzi, blokował ją najlepiej jak potrafił. Teraz najgorsze już się stało, więc chyba i tak nie ma to znaczenia.

Opuścił osłony i tylko żelazna samokontrola pozwoliła mu iść dalej, jakby nic się nie stało, kiedy miłość Sarai zalała go niczym fala oceaniczna. Przez chwilę mógł jedynie stawiać stopę przed stopą.

Nieliczne pary mogły porozumiewać się ze sobą poprzez myśli, oni dzielili emocje. Przez te wszystkie lata, kiedy żyli ze sobą, wypracowali sposób porozumiewania się nie mniej wyraźny od telepatii.

Była taka szczęśliwa, że wreszcie ją wpuścił, że może czerpać energię z niego, tworzyć się z niego, a nie z Mariposy. Otworzył się, pozwolił brać wszystko, czego chciała. Jeśli okaże się kolejną sztuczką wiedźmy, skończy się to dla niego fatalnie, ale był przekonany, że to jego ukochana. Zaczerpnęła jedynie odrobinę, podczas gdy on dowiadywał się tego, co chciał wiedzieć.

Sarai nie żyła i nigdy jej nie odzyska. Rozumiał, że to półżywy cień jego towarzyski. Jeśli uda się zgładzić Mariposę, nawet ta częśćka Sarai odejdzie na zawsze; jeśli nie, zostanie na wieki uwięziona w tym piekle półistnienia. Rozumiał to wszystko, ale

nie potrafił przejmować się teraz przyszłą żalobą, bo w całości pochłaniała go radość, którą sprawiała mu część Sarai.

Co się dzieje?

Asil czuł frustrację Brana. Ciekaw był, ile z tego, co robił teraz z Sarai, czuje jego Alfa. Czy Bran powinien wiedzieć? Sarai uważała, że tak, więc spróbował mu to przekazać.

– Wiem, że twój strażnik to nie Sarai, ale sprawia takie wrażenie. Chciałbym z nią porozmawiać. Jeszcze ten jeden raz – rzekł, a w odpowiedzi Mariposa wbiła paznokcie w rękaw białej kurtki Asila.

– Ona tu jest. To Sarai. Lecz należy do mnie – syknęła Mariposa. – Nie będziesz z nią rozmawiał, ona cię nie chce.

Bran zrozumiał, widać to było po zadumany spojrzeniu, którym obrzucił go Alfa. To by wystarczyło, ale Mariposa rościła sobie prawa do kogoś, kto należał tylko do niego.

– Sarai nadal mnie kocha – powiedział, wiedząc dobrze, że właśnie drażni wiedźmę. – Jakaś część jej nadal mnie kocha. Widziałem to w oczach wilczycy, kiedy do mnie przyszła. – Teraz wiedział na pewno, że się nie mylił. Uczepił się tej myśli jak szalony. – Przyszła do mnie sama, nie ty ją wysłałaś.

– Należy do mnie! – zdenerwowała się wiedźma. – Tak jak ty. – Przystanęła, zastanowiła się i znalazła coś, co ją ucieszyło. Uśmiechnęła się do Asila uwodząco. – Ty też mnie kochasz.

Poczuł, jak sięga po niego poprzez więź pomiędzy nim a Sarai, i przeraził się, że zobaczy, co robią. Ukochana była wystraszona, a on nie mógł tego zdzierżyć.

Postanowił zdekoncentrować Mariposę. Nie okazało się to trudne.

Pochylił się i wpił w usta wiedźmy. Po sekundzie zaskoczenia oddała pocałunek. Wiedział, przez te wszystkie lata wiedział, co leży u korzeni jej fascynacji Sarai. Usiłował to powiedzieć ukochanej od razu, gdy to pojął, lecz Sarai widziała w ludziach tylko dobro. Uważała, że jest zbyt podejrzliwy i próżny – co było

prawdą. Stwierdziła, że to zaburza jego ocenę sytuacji – co nie było prawdą.

Nie uwierzyła, gdy mówił, że Mariposa ma obsesję na jego punkcie, dopóki Mariposa nie próbowała otruć Sarai po raz drugi. Dziewczyna usiłowała udąć jego partnerkę, co oczywiście było z góry skazane na niepowodzenie. Potrafiła zmienić wygląd, lecz nie zapach. Gdyby Sarai była człowiekiem, umarłaby otruta, a tak skończyło się na trzech dniach choroby. Jednakże Mariposa chciała ją zabić.

Dopiero wtedy Sarai przyznała, że z dziewczyną jest coś nie tak i sama tego nie naprawi, dopiero wtedy zgodziła się na odesłanie Mariposy z domu.

Całował Mariposę do utraty tchu, aż wokół zaczął rozchodzić się falami zapach jej pożądania. Wtedy odsunął się, otarł usta wierzchem dłoni i powiedział czystą prawdę:

– Nie kocham cię. Nigdy cię nie kochałem.

Nie mogła mieć wątpliwości – usłyszała to w jego głosie, poczuła w obojętnym ciele. Przez moment twarz Mariposy odzwierciedlała pustkę po wstrząsie, a Asil niemal jej pożałował. Niemal, bo nie zapomniał o Sarai, o tym biednym kojocie pod podłogą chaty, o szopie, którego oparowała żywcem i utrzymywała przy życiu, nie dlatego, że było to konieczne do zaklęcia, ale dlatego, że sprawiało jej to przyjemność.

Błyskawicznie się jednak opanowała. Uśmiechnęła się cynicznie.

– Może i nie, ale mnie pożądałeś. Widziałam to w twoich oczach. Widzę i teraz. Jestem młoda i piękna, a Sarai była stara i wielka jak krowa. Pragnąłeś mnie, a ona o tym wiedziała. Była zazdrosna i dlatego się mnie pozbyła.

Uniósł brwi.

– Coś ci się pomieszało. Myślałem, że to ja byłem zazdrosny o tę wielką miłość, którą darzyła cię Sarai. Myślałem, że to ja się

ciebie pozbyłem, bo Sarai kochała cię bardziej. Przecież to mówiłaś nie tak dawno.

– *Cabrón!* – Tupnęła nogą. – *Hijo de puta.*

Trudno uwierzyć, że miała dwieście lat, a nie dwanaście. Była jak Piotruś Pan, wieczne dziecko.

– Kochała mnie. To mnie ostatecznie wybrała. I dlatego jest ze mną, a nie z tobą. Ale... – podniosła palec – ty mnie pożądałeś. To dlatego się mnie pozbyła. Ty mnie pożądałeś, dlatego byłam zła. A ja byłam młoda i bezbronna, byłam dzieckiem, byłam zdana na twoją opiekę, a ty mnie pragnąłeś.

– Niby czemu miałbym pragnąć ciebie, skoro miałem Sarai. Sarai, która była prawdziwą kobietą, kimś, kim ty nigdy nie będziesz. Pragnąłem tylko Sarai, tylko dla Sarai chciałem żyć i umrzeć. Ty byłaś dla mnie jedynie sierotą, którą Sarai chciała się zająć.

Pozwolił, by prawda zadźwięczała w jej uszach, a gdy uniosła dłonie pełne magii, nie drgnął nawet, by się obronić. Był pewien, że go nie zabije, nie, zanim nie przekona go do swoich racji. Lub gniew nie pozbawi jej panowania nad sobą.

Honor wymagał, by walczył do ostatka, próbując powstrzymać niebezpieczeństwo, jakie ściągnął na Marroka. Asil był gotów przetrzymać wszystko. A dopóki wiedźma skupiała się na nim, nie zwracała uwagi na jego połączenie z Sarai, a co ważniejsze, na Brana.

Ale wilczyca Sarai nie okazała się taką optymistką. Na moment, nim magia uderzyła w Asila, wyświetliła mu serię obrazów tego, co wiedźma robiła ludziom. Obrazów, które podważyły jego przekonanie, iż wytrzyma wszystko, o ile nie umrze.

Jeśli potrzebował dowodu, że ma do czynienia jedynie z cieniem towarzyski, zyskał go teraz. Sarai wiedziała, że straszenie Asila tym, co miało nadejść, w niczym mu nie pomoże. Ale wilczyca przynajmniej przypomniała, że jeśli Asil

nie zablokuje połączenia, ona poczuje jego ból. A nawet jeśli była tylko cieniem, nie chciał, by cierpiała. Odciał więź w ostatniej chwili, nim moc wiedźmy go uderzyła. Atak pozbawiony był jakiegokolwiek finezji – wiedźmą kierowała czysta furia.

Krzyknął, bo nie był przygotowany, bo bolało ponad wszelkie wyobrażenia i dlatego, że wilk uznał, iż nie pozwoli mu leżeć i przyjmować ciosów.

Przemiana w tym momencie była tak nieuchronna, jak głupia. Ból kilkakrotnie silniejszy niż zwykle wypalał zakończenia nerwowe. Czas zwolnił, sekundy przeobraziły się w godziny, aż stały się pasmem jednej niekończącej się agonii. I nagle wszystko ustało. Przemiana dobiegła końca, a on nic nie czuł. Trwało to moment, na tyle Sarai zabrała jego ból, by mógł w wilczej formie stanąć naprzeciw Mariposy, całkowicie opanowany.

Po raz pierwszy na twarzy Mariposy odbiła się groza, a Asil pożywiał się nią, jakby to było świeże, ociekające krwią mięso. Potrzebował chwili, zanim zaatakował, lecz to wystarczyło, żeby wiedźma zdążyła przyzwać na ratunek jego towarzyszkę.

– Sarai!

Szczęki Maura zwarły się na sierści zamiast ludzkiej skórze, na języku poczuł krew Sarai, nie Mariposy. Zatopił kły mocniej, a ból zaklęcia znów zaczął rozrywać mu ciało, dopóki Bran nie wykonał swojego ruchu.



– Nie są aż tak ohydne – powiedziała Anna. – Gdybym miała pięć lat i nadal lubiła lepkie, ciągnące się słodkości, to mogłyby mi nawet smakować.

Anna szeptała cicho, przeżuwając liofilizowane lody. Charles uznał, że najwyraźniej przekonał dziewczynę, jak ważne jest dostarczanie organizmowi kalorii. Szkoda tylko, że część dawała jemu i Walterowi. Choć Walter był zachwycony.

Charles warknął, obserwując maleńkie figurki idące łąką poniżej. Wiatr od czasu do czasu przywiewał ku nim jakieś słowo, ale jego kierunek uniemożliwiał tamtym zorientowanie się, że ktoś na nich patrzy.

– Ciekawe, dlaczego to robi – zastanawiała się Anna, kiedy Asil zaczął przemianę.

Charlesowi nie wydawała się celowa. Może to jakaś dziwaczna kara? Jeśli tak, odbiła się rykoszetem, bo Asil, zataczający się początkowo, nagle stanął prosto i z gracją drapieżnika rzucił się na wiedźmę.

Cała trójka – on, Anna i Walter – powstali. Byli za daleko, żeby mieć wpływ na rezultat, ale...

Nagle, jakby znikąd, pojawiła się ta istota, która wyglądała jak towarzyszka Asila, i zasłoniła sobą wiedźmę. Wtedy ruszył też Bran. Wiedźma, pochłonięta patrzeniem na walkę wilków, mało co, a by go nie zauważyła. Mało co.

A Charles znajdował się zbyt daleko, by zapobiec temu, co się stało.



Asil czuł jej frustrację, lecz Sarai nie mogła zignorować głównego instynktu strażnika, obrony Mariposy. Jeszcze nie. Nie dał jej jeszcze wystarczająco dużo siły. Walczyli więc, bo nie mogła przestać, póki on żył lub póki obowiązywał rozkaz wiedźmy.

Normalnie nie trwałoby to długo. Może i Sarai była waleczna, ale to Asil nauczył ją wszystkiego, a w wilczej formie był od niej

dużo większy. Stała się szybsza, silniejsza, lecz walczyła tylko po to, by go zabić, on zaś, by nie zginąć, ale i nie zrobić krzywdy Sarai.

Gdyby go zabiła, cierpiałaby z tego powodu bez końca, a tego nie mógłby znieść. Poczł, jak więź więdźmy się urywa. Sarai zawałała się, jakby była wolna.

Jednak wolność trwała załedwie sekundę.

– Asil, siad! – rozkazała więdźma chrapliwie, a on, zwiędźzany na powrót mocą, usiadł. – Sarai, przestań. – Mariposa nie zauważyła nawet, że Sarai wcale nie atakowała. To dlatego, że więdźma nie patrzyła na nią, a na Brana.

Asil też popatrzył na Alfę.

W pierwszej chwili pomyślał, że Bran nie żyje. Mariposa podeszła do nieruchomego wilka i kopnęła go.

– Wstawaj!

Bran podniósł się sztywno. Wilcze ciało nadal należało do Marroka, szara sierść i ta zabawna łatka na ogonie, jednak z oczu, które podniósł na więdźmę, wyzierała pustka.

Zombie miawały więcej świadomości. Gdyby łapy mu na to pozwalały, Asil zrobiłby teraz znak ochrony przed złem, którego nauczył się od matki, choć i tak byłby bezużyteczny, bo działał jedynie w przypadku więdźm. A jeśli Mariposa nie znała takiego znaku, nie zamierzał jej go uczyć. Nawet strażnik, cień ukochanej, miał w sobie więcej życia niż to, co poruszało ciałem Marroka. Mariposa, zadowolona, że Bran znów jej słucha, zwróciła się do Asila:

– Przemień się, Hussan.

O Allachu, co za ból. Zbyt wiele przemian w ciągu tak krótkiego czasu. Nakazowi więdźmy nie dało się sprzeciwić. Po wszystkim zatoczył się na niepewnych nogach, czując lodowate kryształki śniegu na skórze. Zwykle był mniej wrażliwy na zimno niż przeciętny wilkołak.

A teraz je czuł.

– Ubierz się.

Ubranie było poszarpane i zakrwawione, ale lepsze to niż stanie nago na wietrze. Założył je na siebie i drżącymi rękami z trudem rozwiązał sznurówki. Znalazł tylko jedną skarpetkę. Była mokra, więc włożył buty na boso stopy. Ewentualne pęcherze to teraz jego najmniejsze zmartwienie.

Asil bał się, był przerażony. Żadna znana mu wiedźma, a poznał ich w życiu wiele, nie potrafiła zrobić czegoś takiego za pomocą magii, którą nosiła w sobie. Człowiekowi, owszem, nieżywemu człowiekowi. Zrozumiał, że popełnił błąd, traktując Mariposę jak dziecko, potężne, ale dziecko. Miała przecież dwieście lat na zdobycie mocy i pogłębienie wiedzy.

Ostrożnie starał się wymacać więź stadną ze swoim Alfą... Nie znalazł. Czyżby wiedźmie udało się zrobić Branowi to, co uczyniła Sarai? Dwa wieki to dużo czasu na studia i naukę. Może znalazła sposób na stworzenie drugiego strażnika, metodę trwającą kilka minut, przy której nie potrzebowała całymi dniami torturować swojej ofiary?

Następnie zdał sobie sprawę, że to Bran go odciął, bo reszta więzi była na miejscu. Zrozumienie przyniosło nadzieję. Spojrzał jeszcze raz na Marroka, lecz zobaczył tylko tę samą pustkę, niemającą w sobie nic z Brana.

Na wszelki wypadek ponownie sprawdził więzi – ktoś je skutecznie blokował. A przecież tylko Bran mógłby to zrobić.

Jednak nie zostały zerwane ostatecznie.

Coś przypląnęło ze strony Brana i dotknęło Asila czarnymi, zimnymi palcami, wsączając się powoli w jego duszę. Sarai pisnęła, wcześniej niż on domyślając się, co się dzieje. Zawsze była w tym lepsza od swojego towarzysza. Dla niego gniew zawsze był czymś dynamicznym, kipiącym. Tu pojawiło się coś dużo gorszego.

Berserk.

Przebywał w tym czasie w północnej Afryce, nie miał więcej niż wiek. Jednak nawet tam dotarły opowieści. O Wcielonej Śmierci. Całe wioski wybite do nogi, mężczyźni, kobiety, nawet jednodniowe niemowlęta. Opowiadano o tym, śpiewano, ale większość historii przepadła w odmętach dziejów.

Pewna wiedźma wbrew woli Przeistoczyła swojego syna i wnuka, by móc im rozkazywać. Latami musieli spełniać jej życzenia. Dzięki nim wiedźma stała się najpotężniejszą istotą na Wyspach Brytyjskich. Aż pewnego dnia jej syn wyrwał się z niewoli.

Zabił matkę, a potem ją pożarł. Następnie uśmiercił wszystkie żywe stworzenia w promieniu wielu mil. Wreszcie zaszył się w głuszy, w sercu walijskich lasów, i od tamtej pory przez wiele lat żadna istota nie uszła z życiem, znalazłszy się zbyt blisko jego nory.

Całymi latami wielcy myśliwi, ludzie, wilkołaki i inni udawali się tam, by dowieść swej odwagi. Żaden nie wrócił. Inni szli szukać zemsty za śmierć bliskich. Także umierali. Nawet głupcy, którzy przypadkiem zapuszczali się w te rejony, ginęli.

Wieść niosła, że pewnego dnia Bran wyłonił się z lasu z synem u boku. Nie żaden berserk, tylko harfiarz, bard i wilk samotnik.

Bez pożywki większość strasznych historii zamienia się w legendy, a potem rozpływa w niebyt. Asil, prócz Samuela, był jedynym, który wiedział wystarczająco dużo, by pojąć, co uczyniła wiedźma. Myślała, że ma Marroka pod kontrolą. Ale Mariposa, jak w wielu innych przypadkach, tak i w tym wierzyła we własną wersję rzeczywistości.

– ... *him of eagum stod ligge gelicost leoht unfaeger* – zacytował Asil.

– Co mówiłeś? – Mariposa była blada i zmęczona, ale jej smycz mocna.

– To „Beowulf” – odparł. – Tłumaczenie brzmi mniej więcej tak: „Z jego oczu bił złowrogi blask”. Nie jestem poetą, żeby tłumaczyć z rymami.

Mariposa spojrzała podejrzliwie na Brana, lecz zobaczyła jedynie oczy tak zgaszone, że wydawały się raczej brązowe niż bursztynowe. Asil wiedział o tym, bo sam też patrzył.

„Z jego oczu bił złowrogi blask”. Rzeczywiście, Bran z czasów, gdy był berserkiem, mógł kojarzyć się z Grendelem, ale brak światełka inteligencji, duszy, w ślepiach Alfy i lodowata, mroczna furia przesączająca się w każdego związanego z nim wilkołaka były czymś znacznie potężniejszym i budziły większą grozę niż Grendel i jego matka, potwory ze starych eposów. Asil miał nadzieję, że ta moc dotknie tylko najbliższe Branowi stado, ale obawiał się, że może rozprzestrzenić się dalej.

Śmierć przetoczyłaby się przez świat, zbierając żniwo niewidziane od epidemii czarnej ospy, kiedy wymarła jedna trzecia Europy. Potem nie byłoby już miejsca na tym świecie dla wilkołaków.

– Boisz się – powiedziała wiedźma. – I powinienes. Na razie pozwalam ci być sobą, ale jeśli znów będziesz przeszkadzał, zrobię z ciebie mojego pieska, tak jak z niego. To mniej użyteczne istoty niż Sarai, potrafią jedynie wykonywać ślepo rozkazy. A ja chciałam uczynić cię strażnikiem, jak ją, więc lepiej nie wchodź mi w drogę, bo zmienię zdanie.

Myślała, że Bran się jej boi. I tak było, dopóki nie stworzyła potwora dużo groźniejszego od siebie. Nie miała o niczym pojęcia.

Podeszła do Asila i spoliczkowała go mocno. Nie bronił się. Trochę przeszkadzał jej wzrost, ale zaczerpnąwszy siłę od Sarai, uderzyła z całej mocy. Machinalnie zlizął krew z warg.

– Za to, że kłamałeś, kim on jest. Teraz wiem, że to Marrok, a nie żaden byle wilkołak. Wiedziałeś, wiedziałeś i kazałeś mi wierzyć, że to ktoś inny. Mógł mnie skrzywdzić. A ty miałeś

mnie bronić, nie pamiętasz? Oddano mnie wam pod opiekę, pod ochronę.

Długo żyjące wilki traciły kontakt z rzeczywistością. Pierwsza fala spiętrzała się, gdy marli ich bliscy, aż wreszcie na świecie nie pozostawał nikt, kogo znali jako ludzie. Druga nadchodziła w różnym czasie dla różnych wilków, gdy świat zmieniał się tak, że nie mogli już znaleźć w nim dla siebie miejsca.

A Mariposa zawsze miała ze sobą problemy, jeszcze na długo przedtem, zanim zabiła Sarai. Aczkolwiek jeśli uważała, że Asil będzie jej bronił, to naprawdę zwariowała.

– Twoja zdrada nie ma znaczenia – rzekła i dziecinnie odrzuciła głowę. – Sama potrafię się bronić. Ten tu – wskazała Brana – należy do mnie. Zmień się. Chcę zobaczyć, jak wyglądasz. Nigdy nie udało mi się znaleźć twojego zdjęcia, Branie Cornicku.

Asil wstrzymał oddech na widok swojego Alfy wykonującego rozkaz. Zastanawiał się, czy ból przemiany będzie tą kroplą, która przesądzi o wyzwoleniu się potwora.

Czekali na chłódzie, Asil, cień jego towarzyszk i wiedźma, aż przemiana się dokona. Ich oddechy unosiły się niczym para, przypominając Asilowi, jak kiedyś, wiele lat temu, w samym środku zimy Bran zabrał stado Marroka, wszystkie wilki, które należały tylko do niego, zapakował w autokar i zawiózł do wielkiego hotelu w parku Yellowstone. Wynajął wszystkie pokoje, żeby mogli biegać i wycić przez całą noc po zaśnieżonych terenach pomiędzy gejzerami, sami, obserwowani tylko przez jelenie i bizona.

– Nie możesz wiecznie ukrywać się w tej swojej szklarni – powiedział Asilowi, który grzecznie wymigiwał się od wycieczki. – Musisz od czasu do czasu zdobyć nowe wspomnienia.

Asil przymknął oczy i zaczął się modlić, po raz pierwszy od chwili, gdy została mu odebrana Sarai. A kiedyś był naprawdę

bogobojnym człowiekiem. Modlił się, by Allah nie pozwolił Branowi stać się potworem, który zniszczy dom tworzony z takim sercem, raj dla wilków.

Otworzywszy oczy, ujrzał Brana stojącego nago na śniegu. Nie drżał z zimna, choć panował mróz. Jasna cienka skóra ukazywała błękitne żyły, którymi krew płynęła z powrotem do serca. Miał kilka blizn. Jedną na żebrach, inną tuż pod prawym ramieniem.

– Takie sobie ciało – oceniła Mariposa. – Ale takie macie, wilki. Trochę słabe, jak na mój gust. – Odęła usta i potrząsnęła głową. – Spodziewałam się czegoś bardziej... krzepkiego. Marrok powinien być... – Spojrzała na Asila. – Bardziej jak Hussan. Mężczyzną, za którym ludzie się oglądają, na widok którego inni mężczyźni mają się na baczności. A ty potrzebujesz syna mięśniaka, który robi za ciebie wrażenie na gościach i zabija. Widzisz, przygotowałam się. Kiedy o tym usłyszałam, wiedziałam, że ktoś taki nie utrzyma całego stada sam.

Starła się go sprowokować – Asil był zdumiony. Sprawdzała moc swoich więzów, aby upewnić się, że jej niewolnik nie posiada już własnego zdania. Hiperwentylacja nie pomoże, powiedział sobie Asil nieco rozpaczliwie. Czy ona nie widzi potwora w tym pozornym bezruchu?

Przed paniką ratowała go tylko myśl, że takie zaczepki raczej rozbawiłyby Brana, niż rozzłościły. Oczywiście Bran nie był teraz sobą...

– Możesz zmienić się z powrotem? – zapytała, nie wzbudziwszy reakcji Brana. – Nie mam dla ciebie butów, a wolałabym nie odcinać ci odmrożonych stóp.

– Tak – wybełkotał Bran, przeciągając ostatnią literę, jakby był pijany.

Czekała, że zacznie, aż w końcu prychnęła niecierpliwie i pogoniła go.

– No, do roboty.

Nim Bran dokończył przemianę, wezwała do siebie gestem Sarai i wspięła się na jej grzbiet niczym na osła. Asil przełknął gniew, gniew niewspółmiernie intensywny jak na ten mały atak na godność Sarai, która nie była Sarai. Zerknął nerwowo na Brana i sięgnął do najgłębszych pokładów spokoju.

– Gdy skończy, dogonicie nas.

Sarai wyminęła ich, zostawiając za sobą falę troski i tkliwości. Gdy tylko zniknęła z widoku, Asil poczuł, jak ta podstępna furia zalewa go, jak gdyby obecność Sarai wyciszała Brana, jak gdyby nadal była Omegą... A czemu nie?

Uklęknął na jedno kolano i pochylił głowę, łudząc się, że gdy tamten wilk powstanie, nadal będzie związany własną czy wiedźmią wolą.

Choć nie odważył się zrobić odpowiednich gestów i dużo czasu minęło, odkąd był dobrym muzułmaninem, nie mógł powstrzymać się przed modlitwą.

– *Allach Akbar...*



Gdy wiedźma poruszyła rękami, Charles nawet z tak dużej odległości poczuł powiew jej magii – ohydnej, zepsutej i potężnej. Niezwykle potężnej.

Potem ujrzał, jak jego ojciec upada – a więź się urwała.

Zamarł. Nagłość tego, co się stało, zaparła mu dech w piersiach. Stabilna obecność, która była w nim, odkąd sięgał pamięcią, zostawiła po sobie wielką, głuchą pustkę. Płuca przestały na chwilę pracować, lecz naraz wessały powietrze, a brat wilk zapragnął zawyc do nieba.

Charles ze wszystkich sił walczył, by uciszyć brata wilka, jednak sam czuł w głębi dziwną, okrutną wściekłość, głębszą

i mroczniejszą niż zwykle brutalne popędy. Zrozumiał, a przynajmniej miał taką nadzieję.

Bran nie oszedł. Przemienił się.

Ojciec nie mówił o przeszłości dawniejszej niż dziesięć, dwadzieścia lat. Charles nie od razu, ale nauczył się to doceniać.

Czasami jednak udawało mu się namówić Samuela na opowieści. Bran jako berserk był ulubioną historią Charlesa, póki nie pojął, że to nie tylko opowieść. Gdyby o tym nie słyszał, mógłby przeoczyć wsączający się w niego mrok, mógłby uwierzyć, że Bran został złamany.

Wykorzystał nadzieję, aby ukoić brata wilka, i razem już sięgnęli do magii stada, która stanowiła jeden z zasobów Alfy. Szukali, szukali, aż znaleźli połączenie, zmienili je i zamknęli prawie całkiem, aż przesączał się przez nie jedynie cienki strumyczek trującej furii. Bran nadal żył.

Lecz jako co?



14

Choć Charles miał ochotę popędzić na przełaj, gdy tylko wiedźma zniknęła z pola widzenia, narzucił jednak niespieszne, równe tempo tak, żeby Anna mogła nadążyć w swoich raketach.

Kiedy się zbliżyli, a drzewa i krzewy ustąpiły, dając im widok na polanę, gdzie czekali Asil i Bran, Charles zwolnił ostrożnie, aż wreszcie przystanął.

Popatrzył na Annę, potem na Waltera. Anna kiwnęła głową i przykucnęła. Walter przyczaił się jak żołnierz, którym kiedyś był. Charles najchętniej zostałby z nimi, nie chciał narażać życia Anny, ale wiedział, że w razie czego Walter się nią zajmie, mógł więc sam podjąć ryzyko.

Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, Asil skończył modlitwę, lecz został na miejscu, nie podnosząc głowy, jakby ze wszystkich sił starał się nie uczynić nic, co mogłoby urazić Marroka.

– Powoli – przestrzegł cicho, nie poruszając się. Asil miał świetny słuch, a może to węch podpowiedział mu nadejście Charlesa? – I ja, i twój ojciec znajdujemy się bez reszty we

władzy więdźmy. Muszę robić wszystko, co mi każe, tak jakby była moim Alfą. – Wreszcie przekręcił głowę, spoglądając z rozpaczą na Charlesa. – Twojego ojca związała jeszcze silniej. Odkryła, kim jest, odebrała mu wolną wolę, jak lalkarz przywiązujący sznurki do marionetek. Mam nadzieję – ciągnął przyciszonym głosem – że kiedy dokończy przemiany, nadal będzie przy zdrowych zmysłach. – Potarł ze znużeniem twarz. – Muszę tu zostać i patrzeć, ale ty nie. Zabieraj stąd swoją ukochaną i uciekaj. Zbierz całe stado z Aspen Creek i wynoście się stąd na skraj świata. Mając Brana pod kontrolą, będzie panowała nad każdym jego wilkiem. Jest szalona, nigdy nie była całkiem zdrowa na umyśle, i związała się z nieżyjącym wilkiem Sarai. Żywy i martwy zawsze stanowią dziwną parę.

Charles czekał.

Asil uśmiechnął się lekko.

– Myślę, że przecenia swoje siły. Jeśli nie zdoła go utrzymać...
– Spojrzał na Brana. – Cóż, *perdito*, lepiej być wtedy daleko, daleko stąd.

Bran zachwiał się, stając na szeroko rozstawionych łapach, niczym nowo narodzony źrebak. Z jego oczu wyzierała pustka. Całkowita pustka.

Gdyby nie ten kawał lodowatej furii zalegającej mu w żołądku, daru od ojca, Charles uwierzyłby, że wiedźma odebrała Branowi całą świadomość.

Charles pomyślał, że jeszcze jedna zmiana, a potem może kolejna i będzie miał potężnego kaca. Nie po raz pierwszy żałował, że nie odziedziczył po ojcu umiejętności mówienia do ludzi w ich głowach. Zaoszczędziłoby mu to masę energii.

Przemienił się, licząc, że Asil zaczeka. Zabrało mu to więcej czasu niż zazwyczaj, zaczął nawet się obawiać, że utknie w ludzkiej formie na dłużej, niż liczył.

Jednakże w końcu było po wszystkim – stał na śniegu goły niczym święty turecki. Nie wystarczyło mu energii na

wyczarowanie okrycia.

– Za późno, już nadchodzi – powiedział. – Gdy wiedźma przejmuje nad kimś kontrolę, może widzieć jego oczyma – wyjaśnił Asilowi to, co sam wiedział od brata. – Jej niewolnicy są niczym żywe golemy.

– W takim razie już po nas – jęknął Asil, zamykając oczy.

– Zbyt łatwo się poddajesz. – Nie mógł powiedzieć Maurowi o Annie i Walterze, bo wiedział, że ta informacja dotrze zaraz do wiedźmy. – Nasze stado ma Omegę, pomoże nam. Może to wystarczy.

– Wiesz, czym był? – zapytał Asil.

– Tak.

Asil popatrzył na Marroka.

– Zabij go od razu, jeśli możesz, jeśli go kochasz, jeśli zależy ci na stadzie.

Charles spojrział na ojca, który wyglądał niezwykle krucho, jak na wilkołaka. Nie jak wilk, który budzi lęk w sercach przeciwników – zwodniczy wygląd.

Charles zaśmiał się chrapliwie.

– Jeśli myślisz, że mógłbym zabić ojca, jesteś głupcem. To Marrok, nie ma w nim ani krzty tej słabości, o jaką go posądzasz. Nigdy nie ufaj temu, co widzisz w wypadku mojego ojca.

To była prawda, poza tym Charles był ranny. Nawet oddychał z trudem.

Wiedział, że powinien odejść. Puste oczy Brana spojrzały na niego. Charles już się przekonał, że wiedźma z łatwością może go pokonać. Będzie tylko kulą u nogi.

Zostań. Potrzebuję cię.

– Do czego? – zapytał. Wpatrywał się w Brana, ale choć słyszał głos ojca w głowie, w martwych ślepiach widział jedynie bezmyślną bestię.

Bo jesteś jedynym, którego na pewno nie zabiję.



Anna przysłuchiwała się ich rozmowie, przyciskając dłonie do brzucha. Wiedziała, że Charles na nią liczy – na nią i Waltera. Mieli być jego asami w rękawie.

Problem w tym, że ona nie była asem. Prędzej blotką, dzokerem, ale nie asem. Walter walczył jako żołnierz, warto było na niego postawić.

– Znasz to miejsce? – szepnęła. – Możemy się gdzieś przenieść tak, żebyśmy ich widzieli, nie ujawniając się?

Ruszył, obchodząc Asila i Charlesa z prawej strony. Anna starała się iść za Walterem najciszej jak umiała. Rice poruszał się po lesie jak Charles, jakby był jego częścią.

Nawet nie marzyła, że doprowadzi ją tak blisko. Stanęli pod starym drzewem, którego gałęzie zwieszały się do ziemi, zaledwie dziesięć metrów od miejsca, gdzie Marrok wpatrywał się w syna.

Wilkołak wśliznął się pod gałęzie. Anna wczołgała się za nim i nagle znalazła się w suchej, usłanej grubą warstwą igieł drzewnej jamie. Szpilki wbijały się wszędzie, ale dzięki nim ziemia była miękka. Położyła się płasko na brzuchu, żeby widzieć coś spod gałęzi.

Znajdowali się trochę wyżej niż Charles i niestety wiatr wiał w jego stronę. Anna uznała, że powinna się przemienić – jako wilk miała więcej siły, a ponadto kły i pazury. W ludzkiej formie mogła się bronić tylko ludzkimi paznokciami. Jednak jej próby spełzyły na niczym. Leżała, ciężko dysząc i drżąc z wysiłku. Za wcześnie na kolejną przemianę.

Walter ułożył się obok niej. Dopiero ciepło bijące od niego uświadomiło Annie, jak bardzo zmarzła. Zdjęła rękawiczki i położyła dłonie na wilku, by je ogrzać.



– Mówi do ciebie?!

Charles uniósł rękę, żeby uciszyć Asila. Musiał spokojnie pomyśleć. Ojciec miał plan, to jasne. Jednak nie wyglądało na to, że się nim podzieli... O ile w ogóle mógł.

– Czego wiedźma chce ode mnie?

– Nie wiem... – Asil zrobił dziwną minę. – Sarai uważa, że chce cię zabić, by złamać Marroka i odzyskać moc, którą odebrałaś jej, niszcząc chatę. Chyba robiła to już wcześniej... Przejmowała władzę nad stadem. To znaczy Sarai mówi to tak, jakby wiedźma znowu to robiła. – Przerwał. – Jeśli dobrze rozumiem, tamci, których przejęła, zginęli. Niezupełnie. Niknęli powoli, aż nic z nich nie pozostało. – Pomasował skronie, jakby bolała go głowa.

Ha, pomyślał Charles, czując napływ adrenaliny. Więzy miłości są niezwykle silne. Może wiedźma straci Sarai na rzecz Asila.

Odłożył tę myśl do rozważenia w innym czasie i skupił się na słowach Maura.

– Zdziwi się, próbując przejąć stado ojca. Anna uważa, że jesteśmy bandą psychopatów.

– I ma dziewczyna rację – uśmiechnął się Asil.

Charles podał mu rękę, pomagając wstać. Asil zachwiał się jak pijany.

– Kiepsko wyglądasz. Jesteś ranny?

Asil otrzepał śnieg z poszarpanej nogawki, choć materiał i tak już przemókł.

– Nie, tylko parę zadrapań. Głównie ucierpiało ubranie. – Spojrzał na Charlesa spod oka. – Ale przynajmniej jakieś ubranie mam.

Charles był zbyt zmęczony na głupie gierki.

– Więc wiedźma mnie zabije – rzekł, patrząc na ojca i zastanawiając się, co też staruszek knuje.

– Możliwe. – Asil otrzepał ze śniegu drugą nogawkę. – Albo każe cię zabić Branowi. Tudzież Sarai bądź mnie. Liczy się, że to będzie twój ból, twoja śmierć. A nie, kto ci ją zada. Najważniejsze, że ona weźmie, co ma zabrać. Choć założę się, że zmusi do tego twojego ojca. Zawsze czerpała radość z cierpienia innych.

Gdyby Charles nie myślał właśnie o tym, jak obecność Asila pozwoliła Sarai wyzwolić się spod wpływu wiedźmy, nie pojąłby znaczenia tego faktu.

Podstępne wilczysko. Charles zerknął na ojca z podziwem.

– Ach, więc to tak. Co zrobiła twoja matka? Kazała ci zabić Samuela?

Asil zmarszczył brwi, ale zanim się odezwał, nieopodal zaszeleściły krzewy, zwiastując nadejście wiedźmy. Charles poczuł znajomy chłód, znak, że brat wilk gotuje się do walki. Bran mógł być sobie wysokiej klasy manipulatorem, lecz Charles nie był w szczytowej formie, a poza tym istniało wiele czynników pozostających poza wpływem kogokolwiek.

Sarai zatrzymała się w pewnej odległości od Charlesa, stając pomiędzy nim a wiedźmą, która zsunęła się z jej grzbietu. Jej potrzeba chronienia musiała być instynktowna, jak u matki broniącej młodych.

Wiedźma – Mary, jak się przedstawiła, Mariposa, Motylek, jak nazywał ją Asil – była mniejsza, niż wydawało mu się to przy pierwszym spotkaniu. A może wydawała się mniejsza, bo stała przy Sarai? Tym razem nie miała szalika, zasłaniającego młodziutką twarz, niewinną, jakby zło tego świata nigdy jej nie skałało.

– Gdzie twoja kobieta, Charlesie?

Czekał, lecz nakaz odpowiedzi nie nadszedł. Przypomniawszy sobie osłabione więzi stadne i jego serce napełniło się nadzieją

– może ojciec odkrył sposób, by rozwiązać jego największy problem?

– Niedaleko.

Uśmiechnęła się, mierząc wilkołaka lodowatym spojrzeniem.

– Gdzie konkretnie?

Przekrzywił głowę.

– Nie tam, gdzie ich zostawiłem. – Brat wilk nie miał co do tego wątpliwości, choć Charles nie miał pojęcia, skąd ta pewność.

Znieruchomiała, mrużąc oczy.

– Ile wilków liczy stado twojego ojca?

– Włączając ciebie i twojego potworka?

Uniosła brew.

– No, no, widzę, że Asil nie tracił czasu, wprowadzając cię w nasze sprawy. Owszem. Wliczając nas.

– Trzydzieści dwa... może trzy. – Ta informacja nie mogła zaszkodzić stadu, po prostu nie wiedział, czy liczyć Samuela.

– Powiedz, czemu miałabym zostawić cię przy życiu? – zapytała. – Co możesz zrobić dla mnie takiego, czego nie może twój ojciec?

Sarai skupiała się na Asilu, całkiem przekonana, że Charles znajduje się pod pełną kontrolą wiedźmy. Lepsza okazja się nie nadarzy.

Ogromne doświadczenie sprawiało, że Charles nauczył się nie poddawać impulsom i emocjom.

– Powinnaś mnie oszczędzić, gdyż mogę być jedyną rzeczą, która ocali cię od śmierci.

– Co masz na myśli? – Tym razem Mariposa przekrzywiła głowę na wilczą modłę.

Ufał wyliczeniom ojca? Bran liczył, że przełamie kontrolę wiedźmy, gdy wiedźma rozkaże mu zabić syna.

Charles mógł też spróbować czegoś innego. Może uda się zaatakować wiedźmę, nie ryzykując tak bardzo? Wystarczy

ułamek sekundy, jeśli znajdzie się w jej zasięgu, a reszta nie.

Jednak jeżeli miał to zrobić, to tylko teraz, bo lada moment może stracić szansę.

Charles spuścił oczy, jak gdyby uznawał wyższość wiedźmy, i następane słowa wypowiedział powoli, szeptem.

Mariposa machinalnie zbliżyła się do niego, żeby usłyszeć.

– Mój oj... – W połowie drugiego słowa rzucił się na nią z pełną szybkością, jaką mógł z siebie wykrzesać.

– Sarai! – wrzasnęła Mariposa przerażona. Gdyby był w lepszej formie, na nic by się to zdało, ale osłabiony, nie okazał się wystarczająco prędko. Wilczyca natarła z siłą pociągu, zbijając Charlesa z nóg, zanim dotknął wiedźmy. Liczył, że element zaskoczenia pozwoli mu zgładzić Mariposę natychmiast, lecz nie budował przyszłości jedynie na nadziejach. Przewidział taką ewentualność i siłę zderzenia, która mogła połamać mu zebra, wykorzystał, by się odturlać od Sarai.

Teraz, w toku walki zapomniał o bólu, ledwie czuł rany. Jedną nogę miał słabszą i zdawał sobie sprawę, że jego ciosy będą słabsze.

Większość ludzi, widząc starcie rannego człowieka z wilkołakiem, nie miałyby wątpliwości co do wyniku. Myliliby się.

Gdyby to była prawdziwa Sarai, prawdziwa towarzyszka Asila, miałby dylemat. Ale to nie była ona. Charles zdawał sobie z tego sprawę, nawet mimo że biedny Asil wierzył w istnienie swojej więzi z tym stworem, tak dobrze imitującym żywą istotę. Jednak duchy gór nie miały wątpliwości, wyśpiewały Charlesowi prawdę, wlewając w niego na powrót trochę siły.

Drasnęła go w bok, lecz ostatecznie była jedynie pseudo-Omegą, on zaś przez całe życie walczył i zabijał wilkołaki. Nawet ranny okazał się od niej szybszy, robił uniki z płynnością wody omywającej kamień. Trzydzieści lat nauki sztuk walki

dało mu przewagę, której nie równoważyło kilkaset lat jej istnienia.

Przeciągał starcie ile mógł, ale był zmęczony, a najgorsze miał jeszcze przed sobą.



Anna mocowała się z wiązaniami rakiet. Zaspą pomiędzy nimi a Charlesem była wydeptana i nie głębsza niż na długość dłoni. Uznała, że bez rakiet będzie szybsza. Gdyby tylko wiedziała, gdzie najlepiej się przyda.

Gdyby zdjęła te przeklęte rakiety wcześniej, popędziłaby od razu, gdy wilczyca zaatakowała Charlesa. Ale już podczas rozplątywania mokrych, zmarzniętych troków stało się jasne, że Charles świetnie sobie radzi. Stał spokojnie, podczas gdy poobijana wilczyca krążyła wokół niego, wyglądając szansy na atak. Anna spokojnie pozbyła się drugiej rakiety. Nie nadawały się do ponownego założenia, lecz przynajmniej odzyskała swobodę ruchów.

Niestety, nie tylko ona miała rzucić się w wir walki.

– Asil, pomóż jej – rozkazała Mariposa.

Maur spoglądał przez moment na wiedźmę, po czym zdjął koszulę i rzucił na ziemię. Włączył się do walki ze swobodą wojownika, który zna śmierć i nie boi się jej. Gdyby Anna nie martwiła się tak o Charlesa, gdyby oglądała film, rozsiadłaby się wygodnie i z popcornem w garści podziwiała scenę. Niestety, tutaj krew była prawdziwa.

Już miała skoczyć naprzód, gdy zorientowała się, że nadal zaciska dłoń na karku Waltera. Zatrzymała się i pogładziła wilka przeprasząco.

Asil w jednej chwili spokojnie szedł, a w następnej pognał przed siebie. Wyminąwszy Charlesa, uderzył Sarai łokciem

w bok szyi. Bezwładną porwał w ramiona i zaczął uciekać.

– Asil! – wrzasnęła wiedźma, ale nie wydała żadnego rozkazu. Asil zeskoczył ze skarpy, lądując na stromym zboczu poniżej. Pędził z taką szybkością, jakby miał narty na nogach.

Anna zdała sobie naraz sprawę, że rozkaz pomocy można było zrozumieć na wiele różnych sposobów. Zza gałęzi Anna nie widziała już Asila, słyszała tylko odgłos szybko oddalających się kroków na śniegu. Wkrótce Maur znalazł się poza zasięgiem umożliwiającym wiedźmie wydanie mu rozkazu.

Cała akcja mogła trwać jakieś dwadzieścia sekund i choć uwaga Anny skupiła się na Asilu, Charles nie dał się zdekoncentrować. Rzucił się na wiedźmę, lecz ta cisnęła w niego czymś, co zbiło go z nóg, wywracając na śnieg. Impet rozpędu sprawił, że Charles zatoczył się niezdarnie w stronę wiedźmy.

– Nie! – wrzasnęła histerycznie, cofając się gwałtownie. Anna musiała sobie przypomnieć, że ta kobieta jest tak stara jak Charles, choć wygląda na szesnaście, siedemnaście lat. – Muszę pozostać bezpieczna. Sarai! Sarai!

Anna spięła się do skoku, lecz Charles podparł się i wstał. Cokolwiek Mariposa mu zrobiła, zraniła go tym. Ból nie odbijał się na jego twarzy, jednak ruchy stały się powolniejsze. Jednak gdyby potrzebował Anny, na pewno dałby jakoś znać.

Popatrzyła na towarzyszącego jej wilka, lecz ten, choć skupiony i spięty, nie wydawał się martwić. Oczywiście, nie wiedział o wiedźmach więcej niż ona, a Charlesa znał zaledwie dzień.

Nie tylko Anna zwróciła uwagę na wolniejszy refleks Charlesa. Wiedźma zakryła dłońmi twarz i zaniósła się urywanym śmiechem.

– Zapomniałam! – Podniosła palec, kierując go na Charlesa, i powiedziała coś, co dla Anny nie brzmiało jak hiszpański.

Charles wzdrygnął się, chwytając za pierś. – Całkiem zapomniałam, że mogę bronić się sama.

Anna jej nie słuchała, wpatrzona w twarz ukochanego. Nie oddychał. Jeśli to coś, co wiedźma mu zrobiła, nie przestanie działać, Charles umrze. Anna niewiele wiedziała o czarach, a to, co wiedziała, prawdopodobnie niewiele miało wspólnego z prawdą. Na szczęście już raz udało jej się zdekoncentrować wiedźmę i pomóc Charlesowi się wyrwać. Może uda jej się jeszcze raz.

Anna skończyła z czekaniem na sygnał.

Wyprysnęła spod osłony gałęzi i po dwóch krokach gnała już z pełną prędkością. Jej trener z dzieciństwa byłby z niej dumny. Zignorowała palący ból w przeforsowanych mięśniach ud i piekący chłód w płucach, skupiła się na wiedźmie. Prawie nie zwróciła uwagi na biegnącego przy niej Waltera.

Ujrzała, jak wiedźma opuszcza ręce i patrzy na nią. Usłyszała jej słowa:

– Branie, Marroku, Alfo Marroku, zabij dla mnie swojego syna, Charlesa.

A potem znów uniosła palec, kierując go na Annę. Anna nie miała czasu, żeby przygotować się na cios, coś uderzyło ją z boku, zbijając z nóg i odsuwając z drogi zaklęcia.



Stało się, pomyślał Charles. Rozkaz wiedźmy dźwięczał mu w uszach – w których i tak dzwoniło po ostatnim ataku. Stało się w najgorszym dla niego momencie, kiedy zataczał się, na wpół oślepiony, nie mając pojęcia, jak wiele czasu ojciec potrzebuje na wyrwanie się spod kontroli wiedźmy.

Jeśli w ogóle mu się uda.

Nie mógł jednak obarczyć ojca swoją śmiercią, dlatego zebrał się w sobie, z pomocą węchu ocenił, z której strony nadejdzie atak, i wyczuł obecność wrogiego bytu, bo nic nie działało tak, jak powinno.

Wyciągnął rękę i chwycił ojca za sierść tak mocno, jak potrafił, pozwalając, by impet cichej szarży przewrócił go, jednocześnie stopami odepchnął Brana, by ten przeleciał nad nim, lądując dalej.

Oczywiście nie poszło tak gładko. Bran był dużo szybszy od Sarai. Szybszy, silniejszy i lepiej umiał używać pazurów. Na szczęście jego najgroźniejsza broń – umysł – zamglona była czarem wiedźmy, więc Charlesowi udało się go przerzucić bez większej szkody dla siebie. Wykorzystując siłę pędu, zerwał się płynnie na nogi i stanął, czekając, aż ojciec zaatakuje ponownie.



Walter przygniatał Annę nieruchomym ciałem. Zepchnęła go z siebie delikatnie. Jeśli sprawiła mu ból, nie okazał tego. Był bezwładny, nie stawiał oporu, mogła tylko liczyć na to, że nie wyrządzi mu jeszcze większej krzywdy. Zasłonił ją sobą, przyjmując na siebie zaklęcie.

Podniosła się i ruszyła w stronę Mariposy. Nie mogła pozwolić sobie na sprawdzenie, co z Walterem, najpierw musiała zrobić coś, by powstrzymać wiedźmę przed wyrządzeniem kolejnych szkód.

– Nie chcesz zrobić mi krzywdy – oświadczyła wiedźma stanowczo, wpatrując się w Annę szeroko otwartymi oczyma. – Chcesz przestać.

Anna zwolniła kroku, aż przystanęła tak blisko Mariposy, że czuła miętowy zapach jej pasty do zębów. Przez moment nie wiedziała, co robi i dlaczego.

– Stój tam – rzekła wiedźma, wyciągając broń.

Jesteś Omegą, powiedziała sobie Anna w duchu, nie musisz słuchać niczyich rozkazów. I nagle odzyskała zdolność ruchu. Z precyzją, której nauczył ją brat, należący do szkolnej drużyny bokserkiej, wspomaganą siłą i szybkością wilkołaka, grzmotnęła Mariposę w szczękę. Usłyszała trzask pękającej kości, wiedźma padła na ziemię, twarzą w śnieg, nieprzytomna.

Anna odetchnęła głęboko i popatrzyła na walczących. Jeszcze przez moment walczyli w zwarciu, a potem Charles stanął bez ruchu, dysząc ciężko. Znajdował się poza zasięgiem ojca, czekał spokojnie, odprężony. Krwawił znowu z ran na nodze i żebrach, lecz dużo poważniej wyglądała nowa rana, długa szrama biegnąca od lewego ramienia przez cały brzuch aż po prawe biodro. Marrok podniósł się i potrząsnął głową, przestępując z łapy na łapę.

Powinna zabić wiedźmę i wyzwolić Marroka.

Spojrzała na bezwładne ciało. Dziewczyna wyglądała tak młodo i niewinnie, aż trudno uwierzyć, że wyrządziła tyle krzywd.

Anna już raz kogoś zabiła, choć zrobiła to przypadkowo. Zabójstwo z zimną krwią to coś całkiem innego.

Walter wiedział, jak zabijać. Machinalnie popatrzyła na niego, poruszył się niemrawo. Zmiana zaszła tylko w oczach. Jeszcze przed chwilą były zamknięte, a teraz uniesione powieki ukazywały zachodzące mgłą ślepie.

Anna klęczała przy nim, nie wiedząc nawet, jak się tam znalazła. Nie wyczuła tętna, Walter nie oddychał. Ten człowiek przeżył wojnę i trzydzieści lat mieszkania w surowych górach, a potem oddał za Annę życie. Zacisnęła dłonie, jedną gołą, drugą w rękawicy, na jego sierści.

Wreszcie wstała, podeszła do nieprzytomnej wiedźmy, chwyciła za brodę i czerep, po czym przekręciła z siłą znacznie

większą niż ludzka. To było proste, zupełnie jak na filmach. Pojedynczy chrzest i wiedźma nie żyła, jak Walter.

Puściła trupa, wyprostowała się i cofnęła, ciężko dysząc. W lesie panowała taka cisza, jakby cały świat nabrał powietrza i przestał oddychać. Jakby Anna była ostatnią pozostałą przy życiu istotą.

Otępiała, odwróciła się na sztywnych nogach. Marrok stał nad ciałem Charlesa.

Spóźniła się.



Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, na tle rozplomienionego nieba czerniły się wyniosłe sylwetki gór. Asil wtulił twarz w szyję trzymanej w ramionach nieprzytomnej Sarai i wdychał znajomy zapach. Nie sądził, że dane mu będzie jeszcze raz poczuć tę ukochaną woń. Sarai była taka piękna.

Nie oddalili się na tyle, by nie słyszeć odgłosów walki, ale nie widząc ich, wiedźma nie mogła tak łatwo ich kontrolować.

Asil czekał. Uczynił, co mógł, by wyrwać ich z tej bitwy, w której walczyli po złej stronie. Nie mógł zrobić nic ponad to.

Dlatego czekał, tuląc Sarai i starając się zapomnieć, że robi to po raz ostatni.

W razie zwycięstwa Mariposa go zabije. Odebrał jej Sarai, nie wybaczy mu tego. Jeśli Charlesowi lub Branowi uda się zgładzić wiedźmę, Sarai odejdzie już na zawsze. Istoty stworzone przez wiedźmę nie mogły trwać po jej śmierci.

Przytulał więc ukochaną do siebie, udając, że ta chwila nigdy się nie skończy, udając, że to Sarai trzyma w ramionach... Niemal czuł w jej zapachu nutę cynamonu.

Gdy zapach rozplýwał się w woni sosen i jodeł, śniegu i mroźnej zimy, zastanawiał się, czy znając przyszłość, dawno,

dawno temu, znalazłby tyle siły, by zabić to przestraszone, posiniaczone dziecko, które stanęło na progu ich domu. Wsparł czoło na kolanie, pogrążając się w czarnej rozpacz, ściskając w rękę garść zabrudzonej, płowóżółtej sierści.

Nie potrafił wykrzesać z siebie zadowolenia, że Mariposa nie żyje, a wilczyca Sarai odzyskała nareszcie wolność.

Zresztą radość i tak byłaby przedwczesna, bo właśnie poczuł zalewającą go falę szaleństwa, rozprzestrzeniającą się niczym pożar w lesie w środku lata. Był znużony, ale furia o to nie dbała, chwyciła Asila w silny uścisk, domagając się od niego przemiany. W górach odbił się echem przeciągły skowyt i Asil odpowiedział.

Bestia się przebudziła. Asil rozwarł palce, pozwalając, by wiatr zabrał mu ostatnią cząstkę Sarai. Potem odpowiedział na wezwanie swego pana.



Anna nie pomyślała, żeby biec, póki nie znalazła się w połowie drogi do Charlesa.

Niemożliwe, żeby nie żył. Zabiła tę przeklętą wiedźmę dwie albo trzy minuty wcześniej. Niemożliwe, że to jej wina, niemożliwe, że ojciec go zabił.

Minęła Marroka, jego moc ogarnęła Annę, kiedy się przez nią przebijała, i dziewczyna upadła na śnieg. Ostatni kawałek czołgała się do Charlesa. Leżał z zamkniętymi oczyma, cały zakrwawiony. Wyciągnęła rękę, ale bała się go dotknąć.

Była tak pewna, że nie żyje, że gdy otworzył oczy, dopiero po chwili zrozumiała, co widzi.

– Nie ruszaj się – szepnął, patrząc ponad jej ramieniem. – Nawet nie oddychaj.



Charles obserwował wilka, który kiedyś był jego ojcem. Bestia szła powoli naprzód, w jej ślepiach błyszczała piekielna kombinacja szaleństwa i przewrotności.

Bran się przeliczył. Może gdyby wiedźma nie zginęła, a jej więź nie zerwała się tak gwałtownie... Może gdyby Charles już przed walką poddał się, odsłaniając gardło, wierząc, że ojciec go nie skrzywdzi, nawet gnany wewnętrznym nakazem... Może gdyby zamiast niego był tu Samuel...

A może to wszystko wydarzyłoby się i tak, bez względu na to, co i kto by zrobił. Może nic nie było w stanie powstrzymać Brana już od chwili, gdy wiedźma podporządkowała go swej woli tak samo, jak wieki temu zrobiła to jego matka.

„Dlaczego” nie miało już znaczenia, bo jego bystry ojciec, który potrafił przystosowywać się niczym kameleon, odszedł, zaś jego miejsce zajęła najgroźniejsza istota, jaką kiedykolwiek widziały te góry.

Charles myślał, że to koniec. Paliło go w płucach, ledwie mógł oddychać. Jeden z ostrych pazurów przebił płuco – nie pierwszy raz zresztą, znał więc to uczucie. Już miał się poddać, gdy nagle pojawiła się Anna. Nie poświęciła Branowi więcej uwagi niż byle pudłowi.

Fakt, że ukochana znajduje się w niebezpieczeństwie, wzbudził czujność Charlesa, choć część tej uwagi zmieniła się w gorączkową potrzebę sprawdzenia, czy nic jej nie jest.

Wyglądała okropnie. Z włosami wilgotnymi od potu, zmierzwionymi przez czapkę, którą gdzieś zgubiła. Nie zauważyłby, że osmagana wiatrem twarz jest brudna, gdyby nie jasne ślady łez, biegnące przez policzki aż po brodę. Ostrzegł ją szeptem, uśmiechnęła się w odpowiedzi – jakby nie usłyszała,

co mówił, jakby nie wierzyła w niebezpieczeństwo, o którym ją informował – a on, mimo przerażenia, nagle oniemiał.

– Charles – powiedziała. – Myślałam, że ty też nie żyjesz. Nie, nie ruszaj się. – Położyła mu rękę na ramieniu, przytrzymując delikatnie. – To...

Asil warknął pożądliwie i Anna odwróciła się do niego.

Asil nie był małym wilkiem, nie tak dużym jak Samuel czy Charles, ale wystarczająco masywnym. Jego sierść miała tak głęboki odcień brązu, że w zapadającym zmroku wyglądała na czarną. Uszy miał sztywno postawione, z paszczy ciekła ślina.

Ale Anna nie była głupia, podobnie jak Charles, skupiała się na Marroku. Bran obserwował ich niczym kot, który czeka, aż mysz zrobi coś ciekawego – na przykład ruszy do ucieczki.

Annie zaparło dech w piersiach, zapach jej strachu sprawił, że Charles usiadł. Co było głupim posunięciem, na szczęście Bran zignorował syna, wpatrując się w Annę.

Schwytana w pułapkę szalonego spojrzenia, Anna instynktownie chwyciła Charlesa za rękę.

I wtedy to się stało.

Nieoczekiwanie, bez żadnego ostrzeżenia, więź partnerska okryła go niczym stara, ulubiona koszula. Przez moment nie czuł się obolały, zmęczony, pokonany, zmarznięty, nagi i przerażony. Przez moment furia, którą emanował ojciec, a która zżerała Charlesa żywcem, zbladła wobec uczucia szczęścia.

Anna aż jęknęła, zaskoczona, obdarzając ukochanego spojrzeniem jasno mówiącym: „A mówiłeś, że trzeba do tego seksu. Z nas dwojga to ty jesteś tu znawcą”.

A potem moment ten ustąpił przed rzeczywistością.

Trącił Annę, odpychając tak, że teraz sam znajdował się pomiędzy nią a dwoma wściekłymi wilkołakami, które wpatrywały się w dziewczynę ze straszliwą intensywnością.

Wyzwoliła ostrożnie dłoń. I dobrze, powiedział sobie w duchu. Potrzebował obu rąk, żeby jej bronić. O ile w ogóle uda mu się wstać.

Czuł, jak Anna cofa się za niego. Ulżyło mu, bo myślał, że będzie się sprzeciwiać. A potem poczuł na ramionach jej chłodne dłonie i pierś przyciskającą się do rany na plecach.

Nabrała powietrza i zaczęła śpiewać. Była to ta sama pieśń, którą Bran śpiewał na pogrzebie doktora Wallace'a, „Simple Gifts”.

Spokój owiał Charlesa niczym tropikalna bryza, poczuł się tak, jak czuł się przez te kilka godzin, kiedy spotkał Annę po raz pierwszy. Asil mówił, że sama musi się wyciszyć, nie może dawać spokoju, sama go nie posiadając. Teraz śpiewała i pieśń kładła się balsamem na duszy Anny, a spokój, jaki z tego czerpała, oddawała wilkom.

Przy trzecim wersie Charles przyłączył się, uzupełniając jej głęboki alt swym miękkim tenorem. Zaśpiewali piosenkę dwa razy, a gdy skończyli, Asil westchnął ciężko i położył się na śniegu, jakby był zbyt znużony, by się poruszyć.

Charles zaczekał, żeby to Anna wybrała następną piosenkę. Z rozbawieniem zauważył, że kolejną, „The Black Velvet Band”, śpiewa z lekkim irlandzkim akcentem. Po wykonaniu zorientował się, że nauczyła się, słuchając Irish Rovers. W połowie „The Wreck of the Edmund Fitzgerald” Bran dowlóknął się do dziewczyny i ze znużonym westchnieniem złożył łeb na jej kolanach.

Charles obiecał sobie, że gdy zobaczy Samuela, uświadomi mu, że Annie wystarczyło zaśpiewać kilka piosenek, żeby uśpić bestię, której ułagodzenie zajęło jego bratu tyle lat.

Anna nadal śpiewała, kiedy Charles dźwignął się na nogi. Nieprzyjemne doświadczenie, lecz kły i pazury ojca nie były ze srebra i wiedział, że nowe rany szybko się zagoją. Zapadła już

noc, ale księżyc świecił jasno, choć brakowało mu jeszcze do pełni.

Charles przekroczył Asila, który pogrążony w głębokim śnie, nawet nie drgnął, i poszedł sprawdzić ciała. Wiedźma miała skręcony kark, ale i tak postanowił ją spalić i rozrzucić prochy. Walter także nie żył.

– Zginął w mojej obronie – rzekła cicho Anna, skończywszy śpiewać.

Popatrzył na nią.

– Wiedźma rzuciła we mnie zaklęciem, Walter mnie zasłonił.

Anna była bardzo blada, na jej policzku zaczynał ciemnieć siniec. Mimo regularnych posiłków i przekąsek straciła jeszcze na wadze. Miała połamane paznokcie, knykcie u prawej ręki, tej, którą gładziła delikatnie pysk Brana, były zdarte do krwi, prawdopodobnie od uderzenia Mariposy.

Trzęsa się trochę, z szoku, zimna, a może jednego i drugiego. W chwili gdy Charles o tym pomyślał, Bran zwinął się w kłębek przy Annie, otaczając ją swym ciepłem.

Walter miał rację – Charles nie troszczył się wystarczająco o swoją ukochaną.

– Wobec tego Walter zginął tak, jak żył – rzekł. – Jako bohater, żołnierz, wojownik, chroniąc to, co dla niego najważniejsze. Myślę, że by nie żałował, gdyby go o to zapytać.



15

Poruszyła się pod wpływem chłodu. Nie mogła znieść widoku ciał – mężczyzny, który zginął w jej obronie, i kobiety, którą sama pozbawiła życia. Ale to mróz, wysysający z ciała Anny ciepło, był bodźcem do działania.

Śmiertelnie znużona, podniosła się, budząc wilki, które skupiły się wokół niej, daremnie próbując ją ogrzać. Popatrzyła przepaszająco na Charlesa.

– Wiem, że samochody stoją kilka godzin drogi stąd, możesz mi pokazać, którądy iść? – Spojrzała na trupy i szybko odwróciła wzrok. – Nie mogę tu dłużej zostać.

Charles podniósł się ze stęknieniem, a Bran podtrzymał chwiejącego się syna. Asil także wstał. Spośród trzech wilków tylko Marrok był w formie odpowiedniej do wędrówek.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie dam rady zjeść tyle, żeby utrzymać ciepło. A nie mam wystarczająco siły, by się przemienić. – Wraz z zapadającą nocą temperatura się obniżała, robiło się coraz zimniej.

Charles trącił Annę łbem i mocno kulejąc, zaczął schodzić. Bran szedł u jej boku, jak przedtem Walter. Kierowana silną

potrzebą wsparcia i pocieszenia, zacisnęła dłoń na jego karku, całkiem zapominając, że to Marrok.

Nocą las wydawał się niesamowity, ale albo już przywykła, albo leśne duchy Charlesa wreszcie postanowiły być jej przychylnie. Wlokła się ze znużeniem, czując, jak szczęka zębami. Uczyniwszy nieostrożny krok, wpadła w zaspę po pas, zbyt zmęczona, by podjąć próbę wydostania się.

W plecaku coś zachrząściło, po chwili Asil podał Annie baton czekoladowy. Zrezygnowana, rozerwała opakowanie zębami i zaczęła jeść. Miała wrażenie, że przeżuwa teksturę, a jedyne, o czym teraz marzyła, to paść w ten miękki śnieg i zasnąć. Ale Asil warknął na nią, wycofując się bez skruchy, gdy Bran warknął na niego w odpowiedzi. Charles stał całkiem cicho, wpatrując się w Asila żółtymi ślepiami. Ta groźba wybuchu poruszyła Annę do tego stopnia, że uparcie przeżuwała i łykała, aż zjadła cały baton.

Wygrzebawszy się z zasy, ruszyła naprzód, trzymając się daleko od złudnych, gładkich łąch śniegu. Niewiele to pomogło, wilki też wpadały w śnieg, ale nie tak często, jak ona.

Ujrawszy samochody, w pierwszej chwili pomyślała, że ma zwidy.

Pick-up stał za humvee, więc to do niego się skierowała. Po kilku sekundach szarpania w końcu udało jej się otworzyć drzwiczki. Kabina nie była zaprojektowana na trzy wilkołaki i kobietę, ale jakoś się wcisnęli. Zatrzasnęła drzwiczki, przekręciła kluczyk w stacyjce i otepiła czekała, aż szoferka wypełni się ciepłem.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że obok niej usadowił się Bran. Charles zajął miejsce pasażera, Asil zwinął się na podłodze. Bran ułożył się wygodnie, kładąc pysk na jej udzie. Drżał co chwilę. Anna podejrzewała, że to nie z powodu zimna.

Kiedy samochód nagrzał się porządnie, Anna zdjęła rękawiczki i przyłożyła dłonie do nawiewów, czekając, aż wróci

im czucie. Potem dopiero zdołała rozwiązać buty, które zdjęła razem z mokrymi skarpetkami. Na macie zebrały się kałuże stopniałego śniegu, ale woda ogrzała się już, więc nie przeszkadzało jej to. Wcisnęła ciuchy za siedzenie i ruszyła.

Wycofywanie pick-upa wąską dróżką okazało się koszmarem. Droga wznosiła się i opadała, połowę czasu nie widziała nic przez tylną szybę i musiała polegać jedynie na bocznych lusterkach. Gdy wreszcie znalazła się na prostej drodze, ręce trzęsły jej się z nerwów, a po plecach spływał pot. Ale pick-up pozostał w jednym kawałku.

W samochodzie pachniało ciepłą wilgotną sierścią, zegar na desce wskazywał trzecią rano, a palce u stóp pulsowały, nareszcie rozgrzane.

Jechała jakieś pół godziny, kiedy nadjeżdżający z naprzeciwka szary samochód błysnął światłami i się zatrzymał. Znajdowali się co prawda na głównej drodze, ale i tak stanęła na środku szosy, po czym opuściła szybę. Przez całą drogę nie widziała żadnego samochodu, więc stwierdziła, że ma się czym przejmować.

Wewnątrz SUV-a zobaczyła jedynie Taga.

– Bran kazał mi zebrać kilku ludzi, podobno trzeba coś posprzątać. Wszyscy cali?

Nie od razu zrozumiała, jak i kiedy Bran mógł powiedzieć coś Tagowi. Omiotła spojrzeniem współtowarzyszy. Żaden według niej nie był „cały”.

– Co Bran ci powiedział? – wybełkotała, ledwie ruszając ustami.

Tag zmarszczył czoło, ale odpowiedział:

– Że tam na górze są dwa trupy, więdźmy i wilka. Mamy wszystko pozbierać i zatrzeć ślady.

Anna przytaknęła.

– Na końcu drogi stoi też humvee. Kluczyki są w stacyjce. I Asil też przyjechał swoim wozem, tylko nie wiem, gdzie go

zostawił.

Twarz Taga znieruchomiała na moment, jakby wilkołak czegoś słuchał, a potem rozjaśniła się w lekkim uśmiechu. Postukał się palcem w skroń.

– Za to Bran wie. Sprowadzimy je. Dojedziecie sami?

Dobre pytanie. Sama nie wiedziała, czy kłamie, odpowiadając:

– Tak.

Dźwięk silnika zmienił natężenie, kiedy Tag nacisnął gaz, lecz samochód nie ruszył ani szyba nie powędrowała do góry.

– Coś się stało... – zająknął się Tag niepewnie. – Coś poczułem...

– To była wiedźma – oświadczyła Anna stanowczo i zgodnie z prawdą.

Jeśli Bran zechce, by wszyscy wiedzieli, co zrobiła mu wiedźma Asila, sam im to powie. Zasunęła okno i ruszyła dalej.

Bała się, że nie trafi do domu Charlesa, ale udało jej się bez trudu. Budynek wyglądał przytulnie i bezpiecznie, pokryty pierzynką śniegu.

Anna wpuściła wilki, chwiejnie dopadła łazienki, a potem sypialni. Zrzuciła brudne ciuchy i w samej bieliźnie wsunęła się pod kołdrę. Zasnęła, zanim trzy wilki ustaliły, jak pomieścić się z nią w łóżku.



– Wszystko z nią w porządku? – zapytał Bran.

Charles przymknął oczy i nastawił ucha. Mógł powiedzieć tylko, że więź pomiędzy nim a ukochaną jest silna i stabilna. Nie wiedział jeszcze, jak i czym ich obdarzy. Za to dzięki słuchowi mógł na pewno stwierdzić, że Anna nuci.

– Da sobie radę – rzekł.

Asil zasalutował filizanką. Podobnie jak Bran był wykąpany i ubrany w dres.

Na podjeździe zachręściły opony samochodu.

– To mój – stwierdził Asil, ale nawet się nie ruszył.

Drzwi uchyliły się, przez szczelinę zajrzała ostrożnie Sage. Na widok Brana porządnie otrzepała buty i weszła.

– Ktoś powinien odgarnąć śnieg – powiedziała do Charlesa. – Asil, przyprowadziłam ci samochód. Dostaniesz go, jeśli podrzucisz mnie do domu.

– Posprzątane? – zapytał Bran łagodnie.

Sage przytaknęła.

– Tag mówi, że tak. Zabrał ciała pick-upem do krematorium. Mam wam powiedzieć, że prochy wilka rozsypią tam, gdzie zawsze, i że zabrał dwa kilogramy soli i zmiesza je z popiołem po wiedźmie, a potem przyniesie ci wszystko do domu.

– Bardzo dobrze. Dziękuję – rzekł Bran.

Kiedy Sage zdawała relację, Asil zebrał swoje nakrycie i zaniósł do kuchni.

– Pojadę z Sage. – Odetchnął głęboko i skłonił się formalnie Branowi. – A co do tego, czego ci nie powiedziałem, oczekuję twojej wizyty.

Sage aż jęknęła zdenerwowana, Bran tylko westchnął.

– Jesteś za stary na lanie. Nie mam ci do powiedzenia nic więcej ponad to, co już wiesz. – Uniósł brew. – No chyba że ściga cię jeszcze jedna wiedźma albo coś w tym rodzaju, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu stada. Nie? W takim razie wracaj do domu i odpocznij, stary druhu. – Napił się herbaty i dodał: – Mam nadzieję, że tym samym przestaniesz mnie dręczyć prośbami o śmierć. Dostaję od tego niestrawności.

– Och, myślę, że jeszcze przysporzę ci ataków niestrawności – uśmiechnął się Asil. – Choć z innych powodów. I trochę z tym poczekam. – Zwrócił się do Charlesa: – Dziękuję ci za pomoc.

Charles popatrzył na drzwi łazienki, za którymi szumiał prysznic.

– To Anna zabiła wiedźmę.

W oczach Asila błysnął podstępny ognik.

– W takim razie muszę jej odpowiednio podziękować.

Charles spojrzał Maurowi chłodno w oczy.

– Tylko spróbuj.

Asil odrzucił głowę i zaśmiał się. Potem wziął Sage pod rękę i wyprowadził ją z domu, bez skrzywienia wychodząc boso na śnieg.

– Nie licz na to, że to koniec – powiedział Bran, kiedy ucichł warkot silnika. – Ale teraz to będą żarty. Chyba też wrócę do domu. Leah będzie się martwiła.

Charles zignorował kwestię Asila, po głowie chodziły mu inne troski.

– Na pewno? Możesz tu zostać jeszcze trochę. – Nigdy nie zapomni Tamtego, berserka kryjącego się pod swobodną fasadą, którą utrzymywał ojciec.

Bran uśmiechnął się, jednak uśmiech ten tylko podkreślił udręczone spojrzenie.

– Nic mi nie jest. Zajmij się swoją towarzyszką. I daj mi znać, kiedy postanowicie urządzić ceremonię. Chciałbym Annę oficjalnie przyjąć do stada tak szybko, jak to możliwe. Pełnia będzie w tym tygodniu.

– Może być ta pełnia – zgodził się Charles i przekrzywił głowę, spoglądając na ojca. – Musisz być bardzo zmęczony, skoro myślisz, że mnie oszukasz.

Bran, który był już w połowie drogi do drzwi, odwrócił się. Tym razem uśmiech sięgnął już oczu.

– Za dużo się martwisz. A co powiesz na: „Nic mi nie będzie”?
Lepiej?

Teraz mówił prawdę.

– W razie czego daj znać, to przywiozę Annę.

Bran skinął głową i wyszedł, zostawiając Charlesa samego. Dopiero gdy Anna, ciepła i mokra po prysznicu, weszła do pokoju, nucąc znajomą piosenkę, troska o stan Brana odpłynęła.

– *Crep, crep, venefica est mortua* – powiedziała.

– Co jest martwe? – zapytał i rozjaśnił się na myśl o piosence.

– Bim-bam, nie żyje wiedźma – sprecyzowała, siadając obok niego. – I porządny człowiek też. Świętujemy czy oplakujemy?

– Odwieczny dylemat.

Rozcapierzyła palce na blacie.

– Był dobrym człowiekiem, zasługuje na szczęśliwe zakończenie.

Nakrył jej dłoń swoją, szukając odpowiednich słów. Nie znalazł.

Anna oparła się czołem o jego ramię.

– Mogłeś zginąć.

– Tak.

– Ja też.

– Tak.

– Chyba przyjmę to szczęśliwe zakończenie, które nam dał, i sprawię, by nabrało znaczenia. – Impulsywnie otoczyła Charlesa ramionami. – Kocham cię.

Odwrócił ją i wziął na kolana. Ramiona mu drżały, bo bał się przygarnąć Annę za mocno, żeby nie zrobić jej krzywdy.

– Ja ciebie też.

Po chwili milczenia spojrzała na niego.

– Ty też jesteś głodny?



Opuściwszy dom syna, Bran poczuł, jak bestia porusza się niespokojnie. A myślał, że ją skutecznie okiełznał.

Nieprzyjemnie było odkryć, że klatka, którą dla niej wymyślił, ma skazy.

Ostatnio czuł się tak po śmierci Błękitnej Sójki. Utrzymał wtedy bestię resztką sił. Przeraziło go to. Obiecał sobie wówczas, że nikogo już nigdy tak nie pokocha.

Było wciąż ciemno, gdy zaparkował w garażu. Spali prawie dobrą, do świtu zostało parę godzin. Wszedł do domu i cicho pokonał schody.

Leah nie było w jej pokoju.

Zanim dotarł do sypialni, wiedział już, że śpi u niego. Wszedł na palcach i zamknął za sobą drzwi.

Spała skulona na jego połowie łóżka, tuląc do siebie poduszkę. Jej widok obudził w Branie czułość, we śnie wyglądała tak łagodnie i bezbronne.

Odsunął od siebie tę czułość, była dla niego zbyt niebezpieczna. Wiedział, że jego synowie nigdy nie zrozumieją jego małżeństwa, więzi partnerskiej. Leah znalazł kilka lat po śmierci Błękitnej Sójki – był pewien, że tak głupiej i egocentrycznej kobiety nigdy nie pokocha. Ale miłość nie jest konieczna, żeby ustalić więź partnerską – konieczna jest akceptacja i zaufanie. Miłość to bonus, na który nie mógł sobie pozwolić.

Przy Błękitnej Sójce zrozumiał, że więź jest odpowiedzią na bestię – koszty jej kontrolowania rozkładały się na dwoje. Potrzebował partnerki, by panować nad potworem, którym mógł się stać. Nie mógł jednak pozwolić sobie na utratę osoby, którą kochał tak, jak Błękitną Sójkę. W przypadku Leah osiągnął akceptowalny kompromis.

Rozbierał się, celowo hałasując. Leah obudziła się, kiedy rzucił na podłogę bluzę.

Usiadła, przecierając zaspane oczy, ale gdy zdjął spodnie, wykrzywiła twarz.

– Jeśli myślisz, że będziemy...

Zamknął jej usta pocałunkiem, a potem karmił bestię skórą Leah, zapachem i odgłosami, jakie z siebie wydawała, gdy sprawiał jej przyjemność. Przestała opierać się po pierwszym pocałunku. Gdy skończył, przytuliła się do niego, drżąc jeszcze.

Bestia spała.



Stado pędziło przez ścięty mrozem las niczym Dziki Gon w starych opowieściach, zabójcze dla każdej istoty, która stanęła mu na drodze.

Anna cieszyła się, że żadne zwierzę nie napatoczyło się na nich. Lubiła polowania, w każdym razie jej wilczyca lubiła, lecz nadal czuła na języku posmak krwi i ciała Brana, dany jej, by scementować ją ze stadem. Smak był słodki, mocny – i niepokoił Annę dużo bardziej niż jej wilczycę. Wolałaby dookreślić swoje wrażenia, zanim zamieni go na inny.

Charles zostawał w tyle. Anna trzymała się go, aż wreszcie razem odłączyli się od stada. Na oczach stada zachowywał się z ogromną godnością. Teraz gdy byli sami, kicnął w bok, zbijając Annę z nóg. Zabawa się rozpoczęła. Gonili się, dopóki Anna nie zauważyła, że zaczyna oszczędzać ranną nogę. Wtedy odpoczęli.

Wcześniej, po południu, wzięli ślub w kościele w mieście. Sage uratowała Annę, zabierając na wypad do Missoula, miała więc odpowiednią sukienkę. Asil zatroszczył się o bukiet i udekorował kaplicę swymi różami.

Nie wiedziała, że Charles skontaktował się z jej rodziną, dopóki nie weszła do kościoła, gdzie czekał na nią własny ojciec, który w miejsce Brana poprowadził ją do ołtarza. Jej brat stał w ławce dla drużbów obok Samuela.

Ślub więc brała tak zapłakana, że kapłan przerwał ceremonię i podał chusteczkę, by wytarła nos, co wywołało jej śmiech.

Jednak najcudowniejszy moment nastąpił po ceremonii, kiedy jej ojciec, szczupły, wysoki, przygarbiony, pogroził Charlesowi palcem, strasząc śmiercią i rozczłonkowaniem, jeśli ten nie będzie o Annę dbał. Wilkołaki, które to słyszały, czyli wszystkie obecne w kościele, patrzyły z uciechą, jak Charles potulnie spuszcza głowę, jakby to ojciec Anny był Marrokiem.

Ułożyła się teraz wygodnie przy Charlesie, wtulając w jego miękką sierść. Zatoczyli pętlę, by znaleźć się nieopodal domu Brana, gdzie zatrzymali się jej ojciec i brat. Światła wciąż się paliły, więc nie spali, rozmawiając pewnie o niej. Miała nadzieję, że są równie szczęśliwi jak ona. Sądząc po kilku ostatnich dniach, nowe życie Anny nie miało być łatwe, ale była pewna, że będzie jej się podobało.

Gdzieś w głębi lasu czerwony wilk zawył, wzywając swą towarzyszkę. Anna skoczyła na równe łapy, uszczypnęła Charlesa żartobliwie w nos i ruszyli w szaleńczą pogoń.

**Koniec
tomu pierwszego**

COPYRIGHT © 2008 BY HUROG, INC.
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2022
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY DOMINIKA SCHIMSCHNEINER, 2013

WYDANIE II

ISBN 978-83-7964-775-0

TYTUŁ ORYGINAŁU: Cry Wolf

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Dan dos Santos

PROJEKT OKŁADKI

Szymon Wójciak

ILUSTRACJA GŁOWA WILKA

Leszek Woźniak

REDAKCJA

Karolina Kacprzak

KOREKTA

KATARZYNA PAWLIK, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

SERIA

alfa
omega
1

WILCZY
TROP



Briggs po mistrzowsku
tworzy krwiste postaci,
buduje napięcie i rozpędza akcję
– wszystko, co najlepsze
w urban fantasy.

**ANETA
JADOWSKA**

W stadzie wilkołaków
Omega jest jak szaman wśród ludzi
– ponad podziałami, rozgrywkami
i wewnętrznymi walkami.
Omega jest silna, niezależna
i odważna. Jest siłą i harmonią
swojego stada. Chyba że zostanie
przez to stado złamana.
Wtedy przyniesie mu zagładę.

Anna Latham była rozsądną
dziewczyną i nie wierzyła w istnienie
wilkołaków. Do dnia, kiedy została
brutalnie zaatakowana i przemieniona.
Nowe życie okazało się czymś znacznie
gorszym niż najczarniejsze
opowieści grozy.

Doprowadzona do skrajnej wytrzymałości
dziewczyna robi coś, czego nigdy nie
zrobiłby żaden wilkołak – łamie zakaz
Alfy swojego stada. To jedno zdarzenie
zmieni całe jej życie.

Wydaje się, że teraz wszystko się ułoży:
koszmar stada z Chicago się skończył,
u jej boku pojawił się towarzysz,
o jakim marzyłaby każda wilczyca,
a ośnieżone góry Montany zapraszają
do radosnej gonitwy za zwierzyną.
Niestety, istnieją na świecie rzeczy
straszniejsze od wilkołaka.

